



Alice Munro
KOCZKA, LUBI,
SZAMUJE...



Wydawnictwo Dwie Siostry

ALICE
Kocha, lubi, szanuje...
MUNRO

Z języka angielskiego przełożyły
Jadwiga Jędryas
Tina Oziewicz

Wydawnictwo Dwie Siostry

Warszawa 2011

Spis treści

Kocha, lubi, szanuje... [tłum. J. Jędryas]

Wiszący most [tłum. T. Oziewicz]

Meble rodzinne [tłum. J. Jędryas]

Pociecha [tłum. T. Oziewicz]

Pokrzywy [tłum. J. Jędryas]

Pion i poziom [tłum. T. Oziewicz]

Co się pamięta [tłum. J. Jędryas]

Queenie [tłum. T. Oziewicz]

Stary niedźwiedź mocno śpi [tłum. T. Oziewicz]

Kocha, lubi, szanuje...

Przed laty, zanim jeszcze pociągi przestały kursować na tyłu trasach lokalnych, kobieta o upstrzonym piegami wysokim czole i kręconych rudych włosach weszła na dworzec kolejowy i zapytała o możliwość nadania mebli.

Zawiadowca stacji lubił przekomarzać się z kobietami, zwłaszcza prostymi, którym zdawało się to sprawiać przyjemność.

– Mebli? – upewnił się, jak gdyby nikt dotąd nie wpadł na podobny pomysł. – Taaak. A co to za meble?

– Stół jadalny i sześć krzeseł. Komplet mebli do sypialni, kanapa, stolik do kawy, szafki nocne, stojąca lampa. A także kredens i komoda.

– Hola, hola. Toż to umeblowanie całego domu.

– Aż tyle tego nie ma – odparła kobieta. – Brakuje wyposażenia kuchni, a mebli starczyłoby ledwie na jeden pokój.

Jej stłoczone z przodu ust zęby nadawały twarzy wyraz gotowości do kłótni.

– Będzie pani potrzebować ciężarówkę – odpowiedział zawiadowca.

– Nie, chcę je nadać pociągiem. Pojadą na zachód, do Saskatchewan.

Przemawiała do niego donośnym głosem, jakby zwracała się do głuchego lub głupca. Poza tym było coś niewłaściwego w jej sposobie wypowiedzania słów. Akcent. Pomyślał o holenderskim – Holendrzy zaczęli się osiedlać w okolicy – ale kobieta nie miała ciężkiej postury Holenderek ani ich ładnej różowej cery czy jasnych włosów. Oceniał jej wiek na nie więcej niż czterdzieści lat, ale jakie to miało znaczenie? W każdym razie nie była z niej żadna piękność.

Przybrał rzeczowy ton.

– Najpierw musiałyby pani przywieźć je tu ciężarówką. I trzeba by się upewnić, czy pociąg przejeżdża przez tę miejscowość w Saskatchewan. Bo jak nie, musiałyby pani załatwić dla nich jakiś transport, powiedzmy z Reginy

– Chodzi o Gdynię – wyjaśniła. – Pociąg przejeżdża przez Gdynię.

Zdjął z gwoźdźca poplamiony tłuszczem rozkład jazdy i poprosił o przeliterowanie nazwy. Sięgnęła po ołówek, również zawieszony na sznurku, i napisała na wyjętej z torebki kartce: GDYNIA.

– Z jakiego to może być kraju?

Odpowiedziała, że nie wie.

Wyjął z jej rąk ołówek i wodząc nim wzdłuż linii, stwierdził:

– W tej okolicy jest wiele miejsc, w których mieszkają tylko Czesi, Węgrzy albo Ukraińcy.

Wypowiadając te słowa, uświadomił sobie, że ona mogła być jedną z nich. Ale nawet jeśli tak, to co z tego? Tylko stwierdzał fakt.

– Zgadza się, to tutaj, na trasie.

– Tak – potwierdziła. – Chciałabym nadać je w piątek... Czy to możliwe?

– Możemy je nadać, ale nie mogę powiedzieć, kiedy dotrą na miejsce – zaznaczył. – To zależy od kolejności połączeń. Ktoś będzie na nie czekał?

– Tak.

– W piątek, czternasta osiemnaście, pociąg towarowo–osobowy. Ciężarówka odbierze je rano. Mieszka pani tu, w mieście?

Przytaknęła, zapisując adres. Exhibition Road 106.

Dopiero niedawno domom nadano numery, więc zawiadowcy niewiele to mówiło, choć wiedział, gdzie leży Exhibition Road. Gdyby wspomniała nazwisko McCauley, może okazałby większe zainteresowanie i wszystko potoczyłoby się inaczej. Przy tej ulicy stały nowe domy, zbudowane po wojnie, a mimo to nazywane „wojennymi”. Uznał, że chodzi o jeden z nich.

– Zapłaci pani przy nadaniu – powiedział.

– Chciałabym też kupić bilet dla siebie na ten pociąg. W piątek po południu.

– Do tej samej miejscowości?

– Tak.

– Dojedzie pani do Toronto, ale tam będzie pani musiała poczekać na transcontinental, dwudziesta druga trzydzieści. Chce pani miejsce sypialne czy siedzące? Można wykupić kuszetkę albo miejsce siedzące w zwykłym przedziale.

Poprosiła o siedzące.

– W Sudbury poczeka pani na pociąg z Montrealu, ale proszę nie wysiadać; wagony zostaną po prostu przetoczone i doczepione do składu montrealskiego. Minie pani Port Arthur, potem Kenoreę i dojedzie do Reginy; tam przesiądzie się pani na pociąg lokalny.

Skinęła głową, jakby czekała tylko, aż dostanie bilet.

– Ale nie gwarantuję, że meble dojadą razem z panią – dodał zawiadowca. – Myślę, że raczej dzień albo dwa dni później. To kwestia pierwszeństwa przejazdów. Ktoś po panią wyjdzie?

– Tak.

– To dobrze. Bo to pewnie nawet nie będzie porządna stacja. Tam miasta nie wyglądają tak jak u nas. Zwykle to straszne dziury.

Wyjęła z torebki sakiewkę i zapłaciła banknotem ze schowanego tam rulonu. Jak starsza pani. I przeliczyła resztę. Ale nie tak, jak zrobiłaby starsza kobieta: wyciągnęła otwartą dłoń z bilonem i przeliczyła pospiesznie pieniądze, choć widać było, że nie umknąłby jej nawet pens. Po czym odwróciła się niezbyt uprzejmie, nie żegnając się.

– Do zobaczenia w piątek – krzyknął zawiadowca.

W ten ciepły wrześniowy dzień miała na sobie długi ponury płaszcz, a także ciężkie sznurowane trzewiki i skarpetki.

Właśnie nalewał sobie kawy z termosu, gdy wróciła i zapukała w okienko.

– Meble, które nadają – oświadczyła – są w bardzo dobrym stanie, prawie nowe. Nie chciałabym, żeby się poobijały czy porysowały. Ani przeszły zapachem bydła.

– Proszę pani – obruszył się – kolej ma dosyć doświadczenia w transporcie towarów. I nie używa tych samych wagonów do przewożenia mebli i zwierząt.

– Zależy mi na tym, by dotarły na miejsce w takim stanie, w jakim wyruszą.

– Kiedy kupuje pani meble, stoją one w sklepie, prawda? Ale zastanawiała się pani kiedykolwiek, jak tam trafiły? Nie zrobiono ich przecież w sklepie? Nie, wyprodukowano je w jakiejś fabryce, a do sklepu zostały przetransportowane, i to najprawdopodobniej pociągiem. Skoro tak, to czy nie lepiej założyć, że kolej wie, jak się z nimi obchodzić?

Wciąż patrzyła na niego bez uśmiechu lub jakiegokolwiek sygnału, że dostrzega swoją kobiecą naiwność.

– Mam nadzieje – odparła. – Mam nadzieję, że wie.

Zawiadowca był przekonany, że zna w mieście wszystkich. Czyli z połowę mieszkańców. I to tych, którzy naprawdę byli „stąd” – to znaczy nie przybyli dzień wcześniej i nie zamierzali szybko wyjeżdżać. Kobieta, która wybierała się do Saskatchewan, była mu nieznajoma, bo nie chodziła do jego kościoła, nie uczyła jego dzieci ani nie pracowała w sklepie, restauracji czy urzędzie, które odwiedzał. Nie była też zamężna z kimś, kogo by znał z towarzystw Elks, Oddfellows, Lions Club czy ze stowarzyszenia kombatantów Legion. Spojrzenie rzucone na jej lewą dłoń, kiedy wyciągała pieniądze, upewniło go – bo nie można powiedzieć, żeby zaskoczyło – iż nie była mężatką. Z tymi butami, skarpetkami zamiast pończoch, bez kapelusza czy rękawiczek popołudniową porą, mogłaby być chłopką. Ale nie okazywała zwykłej tamtym niepewności czy skrępowania. Nie miała manier wieśniaczki; szczerze mówiąc, nie miała żadnych manier. Potraktowała go, jakby był maszyną do udzielania informacji. A przy tym napisała miejski adres – Exhibition Road. Jeśli kogoś naprawdę mu przypominała, to pewną siostrę bez-habitową, którą kiedyś widział w telewizji: opowiadała o pracy misyjnej gdzieś w dżungli; pewnie nie nosiły tam habitów, żeby łatwiej było im się ruszać. Siostra uśmiechała się sporadycznie, na dowód, że religia powinna ludzi uszczęśliwiać, ale w zasadzie spoglądała ponad głowami publiczności, jak gdyby była przekonana, że inni istnieją na świecie głównie po to, by ona mogła nimi komenderować.

Johanna chciała załatwić jeszcze jedną rzecz, którą ciągle odkładała na później: pójść do sklepu z konfekcją „U Milady”, by sprawić sobie strój. Nigdy tam jeszcze nie była; gdy potrzebowała czegoś, na przykład skarpetek, szła do „Odzieży Męskiej, Damskiej i Dziecięcej Callaghana”. Miała mnóstwo rzeczy odziedziczonych po pani Willets, jak chociażby ten nieśmiertelny płaszcz. A Sabitha, dziewczynka, którą się zajmowała u pana McCauleya, zasypywana była kosztownymi strojami po kuzynkach.

Na wystawie „U Milady” stały dwa manekiny ubrane w garsonki o dosyć krótkich spódniczkach, z pudełkowymi żakietami. Jedna garsonka była w kolorze rdzawozłotym, druga – ciepłym ciemnozielonym. Wokół nóg manekinów leżały rozrzucone duże liście klonu w jaskrawych barwach. Były też przyklejone tu i ówdzie na szybie. O tej porze roku, kiedy większość ludzi starała się zgrabić liście i je spalić, tutaj stanowiły główną ozdobę. Ukośny napis na szybie, wykaligrafowany czarnym pochyłym pismem, głosił: „Prosta elegancja, moda na jesień”.

Otworzyła drzwi i weszła do środka.

Przed nią, w pionowym lustrze, ukazało się odbicie jej samej od stóp do głów, w dobrej jakości, jednak bezkształtnym długim płaszczu pani Willets, spod którego ponad skarpetkami wyzierało parę centymetrów gołych masywnych nóg.

Robili to oczywiście naumyślnie. Ustawiali lustro w tym miejscu, żeby człowiek od razu zdał sobie sprawę ze swych braków, a następnie – na to liczyli – wpadł na pomysł kupienia czegoś, by poprawić sobie wygląd. Gdyby nie była zdecydowana coś kupić, wyszłaby, uświadomiwszy sobie tak ewidentny podstęp.

Pod ścianą stał regał z sukniami wieczorowymi, z których każda, ze swoimi muślinami i taftami, w bajecznych kolorach, godna była królowej balu. W głębi, za szkłem, by nie dosięgły ich niczyje niepożądane dłonie, wisiało z pół tuzina sukni ślubnych z nieskazitelnie białego muślinu, kremowej satyny lub koronki w odcieniu kości słoniowej, wyszywanych srebrnymi paciorkami lub maleńkimi perłami. Obcisłe gorsety, wycięte dekolty i sute spódnice. Nawet gdy była młodsza, nie mogła brać pod uwagę takiej ekstrawagancji, nie tylko ze względu na pie[^] niądze, ale dlatego, że nie żywiła absurdalnej nadziei na przemianę, szczęście.

Minęło parę minut, zanim ktoś się pojawił. Może mieli tu judasz, przez który się jej przyglądali, oceniając, że nie jest ich typem klienta, i czekając, aż odejdzie.

Nie odeszła. Minęła odbicie w lustrze, schodząc z linoleum przy wejściu na miękką wykładzinę, aż zasłona w głębi sklepu wreszcie się rozsunęła i ukazała się Milady we własnej osobie, ubrana w czarną garsonkę z błyszczącymi guzikami. Wysokie obcasy, szczupłe łydki, pas tak ciasny, że jej nylonowe pończochy aż chrzęściły, włosy w odcieniu złota ściągnięte do tyłu, odsłaniające umalowaną twarz.

– Chciałabym przymierzyć garsonkę z wystawy – powiedziała Johanna wyćwiczonym głosem. – Zieloną.

– Och, jest piękna – stwierdziła kobieta. – Ta na wystawie akurat jest w rozmiarze trzydzieści osiem. Pani pewno nosi... –czterdzieści dwa?

Zachręściła koło Johanny i poprowadziła ją do części sklepu, gdzie wisiały codzienne ubrania, kostiumy i sukienki.

– Ma pani szczęście. Oto rozmiar czterdzieści dwa.

Pierwsze, co Johanna zrobiła, to sprawdziła cenę na etykietce. Była przeszło dwukrotnie wyższa od tej, której się spodziewała; nie miała zamiaru niczego ukrywać.

– Dosyć droga.

– To bardzo piękna wełna. – Kobieta gmerała chwilę, zanim znalazła etykietkę i przeczytała skład materiału, choć Johanna nie bardzo słuchała, bo wzięła do ręki brzeg, by ocenić wykończenie.

– W dotyku wydaje się jak jedwab, ale jest nie do zdarcia. Widzi pani, że cała jest na podszewce ze ślicznego sztucznego jedwabiu. Nie będzie się wyciągać przy siedzeniu ani defasonować jak tanie kostiumy. Proszę spojrzeć na aksamitne mankiety i kołnierz, i te maleńkie aksamitne guziczki na rękawach.

– Zauważyłam.

– Takie detale mają swoją cenę, gdzie indziej ich nie ma. Wspaniały jest ten dotyk aksamitu. I to tylko w zielonym kostiumie; w morelowym nie, chociaż kosztuje tyle samo.

Rzeczywiście, wykończenie kołnierza i mankietów aksamitem nadawało kostiumowi, zdaniem Johanny, wizerunek subtelного luksusu, zachęcając do kupna. Ale nie zamierzała się do tego przyznać.

– Nie zawadzi przymierzyć.

Ostatecznie była przygotowana. Czysta bielizna i talk pod pachami.

Kobieta okazała dość taktu, by zostawić ją samą w jaskrawo oświetlonej kabinie. Johanna starała się nie patrzeć, dopóki nie wciągnęła spódnicy i zapięła zakietu.

Najpierw popatrzyła na kostium. W porządku. Dobrze leżał; spódnica była krótsza niż te, które zwykle nosiła, no ale jej rzeczy nie były sztywne. Do kostiumu nie miała zastrzeżeń. Gorzej z tym, co z niego wystawało. Szyja, twarz, włosy, duże dłonie i grube nogi.

– I jak tam? Mogę zerknąć?

Zerkaj sobie, ile chcesz, odpowiedziała w myślach Johanna, i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu.

Kobieta przyjrzała się z jednej i drugiej strony.

– Oczywiście musi pani włożyć pończochy i wysokie obcasy. Jak się pani w nim czuje? Wygodnie?

– Kostium jest dobry – odpowiedziała Johanna. – Kostiumowi niczego nie brakuje.

Twarz kobiety w lustrze zmieniła się. Przestała się uśmiechać. Malowało się na niej rozczarowanie i zmęczenie, ale i cieplejszy wyraz.

– Czasem tak już po prostu jest. Człowiek się nie przekona, dopóki czegoś nie włoży. Chodzi o to – dodała z coraz silniejszym i łagodniejszym przekonaniem w głosie – że jest pani kobietą zgrabną, ale mocnej budowy. Ma pani grube kości, ale cóż w tym złego? Filigranowe aksamitne guziczki są nie dla pani. Proszę już nie myśleć o tym kostiumie. Niech go pani zdejmie.

Gdy Johanna rozebrała się ponownie do bielizny, usłyszała stukanie i zza zasłony wyłoniła się dłoń.

– Niech pani to włoży, a co tam!

Brązowa wełniana sukienka, na podszewce, z szerokim, elegancko marszczonym dołem, rękawami trzy czwarte i prostym, okrągłym dekoltem. Maksymalnie prosta, poza wąskim, złotym paskiem. Nie kosztowała tyle co kostium, choć jak na sukienkę również sporo.

Przynajmniej była stosowniejszej długości i ładnie się układała wokół nóg. Johanna wzięła głębszy oddech i spojrzała w lustro.

Tym razem nie wyglądała, jakby ktoś przebrał ją dla żartu.

Kobieta weszła do kabiny, stanęła obok i roześmiała się z ulgą.

– To kolor pani oczu. Nie musi pani nosić aksamitu. Ma pani aksamitne oczy.

Johanna chyba by wyśmiała tego typu komplement, lecz obecnie wydało jej się to prawdą. Nie miała dużych oczu, a gdyby ją poprosić o opisanie ich koloru, powiedziałaaby „takie brązowe”. Teraz miały jednak naprawdę odcień głębokiego brązu – ciepły i lśniący.

Nie chodzi o to, że nagle zaczęła uważać się za ładną czy coś w tym rodzaju. Po prostu gdyby jej oczy były kawałkiem materiału, miałyby ładny kolor.

– No dobrze, założę się, że niezbyt często wkłada pani wizytowe pantofle – powiedziała kobieta. – Ale gdyby miała pani pończochy i choć minimalne obcasy... Na pewno nie nosi też pani biżuterii, i słusznie – przy takim pasku nie potrzebuje jej pani.

– Może zdejmę, a pani ją zapakuje – przerwała Johanna. Z przykrością pozbywała się miękkiego ciężaru spódnicy i dyskretnej wstążki złota wokół talii. Jeszcze nigdy w życiu nie miała głupiego wrażenia, że jest więcej warta dzięki temu, co na siebie włożyła.

– Przypuszczam, że to na specjalną okazję – dobiegł ją głos sprzedawczyni, gdy z pośpiechem wkładała swoje codzienne, raptem bardziej wyświechtane ubranie.

– Prawdopodobnie pójdę w niej do ślubu – odpowiedziała.

Zaskoczyły ją własne słowa. Nie popełniła wielkiego błędu; kobieta nie wiedziała, kim jest Johanna, i pewno nie będzie rozmawiać z nikim, kto ją zna. Ale przecież obiecała sobie, że nie piśnie ani słówka. Może poczuła, że coś jest sprzedawczyni winna – że wspólnie przebrnęły przez katastrofę zielonego kostiumu i odkrycie brązowej sukienki, a to wytworzyło między nimi więź. Naturalnie to bzdura. Ta kobieta zajmowała się handlem ubraniami i właśnie udało jej się coś sprzedać.

– Och! – wykrzyknęła kobieta. – Och, to cudowne!

Może i tak, pomyślała Johanna, a może nie. Mogła wychodzić za byle kogo. Za biednego farmera, który potrzebował konia pociągowego, albo astmatycznego półkalekę, liczącego na pomoc pielęgniarki. Ta kobieta nie miała pojęcia, co to był za mężczyzna, a zresztą bynajmniej jej to nie obchodziło.

– Od razu widać, że to wybór z miłości – powiedziała kobieta, jakby czytała w myślach Johanny. – To dlatego tak błyszcząły pani oczy w lustrze. Zawinęłam sukienkę w papier, wystarczy, że ją pani wyjmie i powiesi, materiał sam się rozprostuje. Jeśli pani chce, można ją lekko wyprasować, ale pewnie nie będzie potrzeby.

Przyszła chwila wręczenia pieniędzy. Obie udawały, że nie patrzą, ale obie patrzyły.

– Jest warta swojej ceny – powiedziała kobieta. – Tylko raz się wychodzi za mąż. No, może nie zawsze to prawda...

– W moim przypadku tak będzie – odparła Johanna. Jej twarz zalał gorący rumieniec, bo w rzeczywistości o małżeństwie nie było mowy. Nawet w ostatnim liście. Ujawniła przed tą kobietą swoje rachuby, co nie było chyba zbyt fortunnym posunięciem.

– Gdzie go pani poznała? – zapytała sprzedawczyni tym samym tęsknie pogodnym tonem. – Jak wyglądało wasze pierwsze spotkanie?

– Poznaliśmy się przez rodzinę – odpowiedziała zgodnie z prawdą Johanna. Nie miała zamiaru opowiadać więcej, ale usłyszała wypowiedziany przez siebie dalszy ciąg: – Na Western Fair. W London.

– Na Western Fair – powtórzyła kobieta. – W London. – Równie dobrze mogłaby powiedzieć: „Na balu królewskim. W zamku”.

– Zabraliśmy ze sobą jego córkę z przyjaciółką – dodała Johanna, pomyślawszy sobie, że ściślej biorąc to on, jego córka Sabitha i Edith zabrali ze sobą ją, Johannę.

– No, mogę powiedzieć, że nie był to dla mnie stracony dzień. Pomogłam wybrać suknię, która uczyni kobietę szczęśliwą panną młodą. To wystarczy, by nadać sens mojemu życiu. – Kobieta przewiązała różową wstążeczką pudło z suknią, zrobiła dużą, zbyteczną kokardę, a następnie przeciągnęła po niej nożyczkami.

– Siedzę w sklepie przez cały dzień – podjęła. – I czasem zachodzę w głowę, co ja tu w ogóle robię. „Co ty tu robisz?”, pytam samą siebie. Układam rzeczy na wystawie, staram się zachęcić ludzi, aby wchodzili, ale czasem przez cały dzień – cały dzień – nikt tu nie zajrzy. Wiem, że dla ludzi te ubrania są za drogie, ale one są dobre. Dobrej jakości. A za to trzeba zapłacić odpowiednią cenę.

– Pewnie klienci przychodzą po coś takiego – powiedziała Johanna, spoglądając w kierunku sukien wieczorowych. – Gdzie indziej by je dostali?

– W tym właśnie problem. Nie przychodzą. Jadą do miasta. Pięćdziesiąt, sto kilometrów, nieważna benzyna, i wmawiają sobie, że znajdą tam coś lepszego niż u mnie. Ale nie znajdują. Ani lepszej jakości, ani w większym wyborze. Po prostu wstydziłiby się powiedzieć, że kupili strój na wesele w tym mieście. Albo przychodzą, mierzą coś i mówią, że muszą się zastanowić. Zapewniają, że wrócą. A ja sobie myślę: „No tak. Już ja wiem, co to znaczy”. To znaczy, że będą się starali znaleźć coś podobnego, ale tańszego w London albo Kitchener, a nawet jak nie będzie tańsze, i tak to kupią, skoro przebyli taki szmat drogi i już im się odechciało szukać.

– Sama nie wiem – dodała. – Może gdybym była stąd, inaczej by to wyglądało. To bardzo hermetyczne środowisko. Pani nie jest stąd?

– Nie – odpowiedziała Johanna.

– Nie ma pani wrażenia, że jest bardzo hermetyczne?

Fermetyczne.

– To znaczy, komuś z zewnątrz ciężko się przebić.

– Przywykłam do samotności – odparła Johanna.

– Ale znalazła pani kogoś. I już nie będzie pani sama, czyż to nie cudowne? Są takie dni, gdy myślę sobie, jakby to było wspaniale być mężatką i siedzieć w domu. Oczywiście byłam kiedyś mężatką, ale i tak pracowałam. No cóż, może wejdzie tu kiedyś mężczyzna moich marzeń i zakocha się we mnie, a wtedy wszystko się ułoży!

Johanna musiała się śpieszyć; potrzeba rozmowy u tamtej kobiety sprawiła, że była już spóźniona. Chciała zdążyć do domu przed powrotem Sabithy ze szkoły.

I wtedy przypomniała sobie, że Sabithy nie było, gdyż w weekend kuzynka jej matki, ciotka Roxanne, wywiozła ją do Toronto, by tam wiodła życie prawdziwej bogatej dziewczynki i uczęszczała do odpowiedniej dla siebie szkoły. Ale Johanna nie przestała iść szybko – tak szybko, że jakiś cwaniaczek podpierający ścianę sklepiku zawołał za nią: „Pali się?”. Więc odrobinę zwolniła, aby nie zwracać na siebie uwagi.

Przeszkadzało jej pudło z suknią. Skąd mogła wiedzieć, że sklep posiada własne różowe kartony z fioletowym napisem „U Milady”? W sam raz, by ją wydać.

Czuła, że się wygłupiła, wspominając o ślubie, skoro on do niego nie nawiązał; powinna była o tym pamiętać. Tyle już powiedziano – lub napisano – tyle uczuć i nadziei wyrażono, że samo małżeństwo zostało po prostu pominięte milczeniem. To tak jak mówić o rannym wstawaniu, nie wspominając o śniadaniu, choć z pewnością zamierza się je zjeść.

Mimo to powinna była trzymać język za zębami.

Dostrzegła pana McCauleya, który zbliżał się chodnikiem po drugiej stronie ulicy. Nieważne – nawet gdyby spotkał się z nią twarzą w twarz, nie zwróciłby uwagi na pudło. Dotknąłby ręką kapelusza i poszedł dalej, być może zauważając, że mija swoją gospodynię, ale prawdopodobnie nie. Zajmowały go inne rzeczy i ci, którzy go znali, wiedzieli, że widzi przed sobą inne miasto niż reszta ludzi. W każdy powszedni dzień, a czasem przez zapomnienie w święto lub w niedzielę, wkładał trzyczęściowy garnitur, lekki lub ciężki płaszcz, szary filcowy kapelusz i wyglansowane buty i ruszał pieszo z Exhibition Road do biura w centrum, które prowadził ponad dawnym sklepem z uprzężą i walizkami. Nazywano je biurem ubezpieczeń, choć minęło sporo czasu, odkąd rzeczywiście sprzedawał polisy. Bywało, że ludzie wchodzili do niego na górę, by dowiedzieć się o polisę albo, częściej, o granice działek, historię jakiejś nieruchomości w mieście lub gospodarstwa na wsi. Jego biuro zavalone było starymi i nowymi mapami i nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż rozkładanie ich i wdawanie się w dyskusje znacznie odbiegające od odpowiedzi na zadane pytanie. Trzy lub cztery razy w ciągu dnia wychodził z biura i spacerował po ulicy, tak jak teraz. W czasie wojny ustawił mclaughlina–buicka na kołkach w szopie i zaczął chodzić wszędzie pieszo, by dać przykład innym. Piętnaście lat później wciąż wyglądał, jakby dawał przykład. Z rękoma założonymi za plecami przypominał dobrodusznego właściciela dokonującego inspekcji włości lub duszpasterza, który patrzy uszczęśliwiony na swoją trzódkę. Naturalnie połowa ludzi, którzy go spotykali, nie miała pojęcia, kim był.

Miasto się zmieniło, nawet odkąd Johanna tu zamieszkała. Handel przeniósł się w pobliże autostrady, gdzie powstał nowy dyskont i sklep firmowy opon Canadian Tire oraz motel z barem i z tancerkami topless. Usiłowano poprawić wygląd niektórych sklepów w centrum, odmalowując je na kolor różowy, łososiowy czy oliwkowy, jednak farba zaczynała się już łuszczyć na starej cegle i niektóre lokale stały puste. Sklep „U Milady” z pewnością czekał ten sam los.

Co by zrobiła Johanna na miejscu tamtej kobiety? Po pierwsze, nie miałyby tylu wytwornych sukien wieczorowych. A zamiast nich? Przystawiając się na tańsze ubrania, wchodziło się w konkurencję z Callaghanem i z dyskontem, a w takim przypadku prawdopodobnie nie wystarczyłoby klientów dla wszystkich. A gdyby tak pójść w eleganckie ubranka niemowlęce i dziecięce, w nadziei na przyciągnięcie babć i cioć, które miały pieniądze i wydałyby je na takie właśnie rzeczy? Nie zawracać sobie głowy matkami, które poszłyby do Callaghana, mając mniej pieniędzy i więcej rozsądku.

Ale gdyby to ona, Johanna, decydowała, nigdy nie zdołałaby nikogo przyciągnąć. Wiedziała, co i jak należy zrobić, mogła zatrudnić ludzi i nadzorować ich pracę, ale nie potrafiłaby nikogo zauroczyć ani zachęcić. Proszę to wziąć albo zostawić – takie byłoby jej podejście. Z pewnością każdy by zostawił.

Rzadko ktoś się do niej przywiązywał i od dawna była tego świadoma. Sabitha oczywiście nie uroniła łzy przy pożegnaniu, choć można było powiedzieć, że Johanna była dla niej kimś najbardziej zbliżonym do matki, skoro matka dziewczynki zmarła. Pan McCauley wyraziłby zmartwienie z powodu jej odejścia, bo była dobrą gospodynią i trudno byłoby ją zastąpić, ale tylko tyle. I on, i wnuczka byli rozpieszczeni i egocentryczni. Jeśli chodzi o sąsiadów, ci z pewnością by się ucieszyli. Johanna zadarła z sąsiadami z obu stron. Po jednej pies sąsiadów rozkopywał jej warzywniak, zagrzebując i odgrzebując kości, co z powodzeniem mógł robić u siebie. Po drugiej zaś, na posesji McCauleyów, rosła czereśnia, której gałęzie wraz z większością owoców zwieszały się nad podwórzem sąsiadów. W obu przypadkach Johanna zrobiła awanturę i wygrała. Pies został uwiązany, a sąsiedzi zostawili czereśnie w spokoju. Z drabiny mogła sięgnąć na ich stronę, tyle że przestali płoszyć ptaki, przez co zbiory były mniejsze.

Pan McCauley pozwoliłby im zrywać, pozwoliłby psu kopać, pozwoliłby się wykorzystywać. Choćby dlatego, że byli to nowi ludzie, mieszkający w nowych domach, więc nie zwracał na nich uwagi. W pewnym okresie przy Exhibition Road stały tylko trzy albo cztery duże domy. Naprzeciwko znajdował się plac, na którym odbywały się targi jesienne (tak zwana Wystawa Rolnicza, Agricultural Exhibition, stąd nazwa ulicy), a między domami rozciągały się niewielkie sady i łąki. Przed mniej więcej dwunastu laty teren rozparcelowano na jednakowej wielkości działki, na których stanęły domy różnej wielkości, parterowe i piętrowe. Niektóre zaczynały już sprawiać wrażenie zaniedbanych.

Były tylko dwa domy, których mieszkańców pan McCauley znał i z którymi utrzymywał kontakty: dom nauczycielki, panny Hood, i jej matki oraz dom Shultzów, którzy prowadzili warsztat szewski. Córka Shultzów, Edith, była – przynajmniej jakiś czas temu – przyjaciółką Sabithy; rzecz całkiem

naturalna, skoro chodziły do tej samej klasy (a było tak ostatniego roku, kiedy Sabitha musiała repetować) i mieszkały blisko siebie. Pan McCauley nie miał nic przeciwko ich przyjaźni; może liczył na to, że Sabitha zostanie wkrótce wysłana do Toronto, gdzie będzie prowadzić inny tryb życia. Johanna nie wybrałaby Edith, choć dziewczynka nie była źle wychowana i gdy do nich przychodziła, zachowywała się grzecznie. I nie była głupia. W tym właśnie mógł tkwić problem – była inteligentna, a Sabitha nie bardzo. To pod jej wpływem Sabitha zrobiła się przebiegła.

Wszystko to już minęło. Kiedy pojawiła się kuzynka Roxanne – pani Huber – córka Shultzów stała się częścią dziecięcej przeszłości Sabithy.

Postaram się załatwić wysyłkę wszystkich pańskich mebli pociągiem, jak tylko będą mogły zostać odebrane, i zapłacę zaliczkę, kiedy dowiem się ceny. Stwierdziłam, że będzie pan ich potrzebował. Chyba za bardzo się pan nie zdziwi, że liczę, iż nie będzie miał pan nic przeciwko temu, że przyjadę panu pomóc, a wierzę, że mogę się okazać pomocna.

Taki list zaniósła na pocztę, zanim poszła na stację kolejową załatwić transport. Pierwszy list wysyłany do niego bezpośrednio. Do tej pory wsuwała je zawsze do koperty z listami, jakie na jej polecenie pisała Sabitha. Jego listy do niej były również porządnie złożone, opatrzone jej imieniem – Johanna – napisanym na maszynie na odwrocie kartki, by nie było wątpliwości. Dzięki temu pracownicy poczty nie mogli się o niczym dowiedzieć, a zawsze to jeden znaczek mniej. Oczywiście Sabitha mogła donieść dziadkowi albo nawet przeczytać, co było napisane do Johanny, ale Sabithę kontakt ze starszym panem interesował równie mało jak same listy – zarówno ich pisanie, jak i otrzymywanie.

Meble złożone były w stodole, miejskiej – nie prawdziwej ze zwierzętami i strychem. Kiedy rok czy dwa lata temu Johanna po raz pierwszy je zobaczyła, były zakurzone i upstrzone odchodami gołębi. Stały jedne na drugich, bez ładu i składu, niczym nie przykryte. Johanna wyniosła mniejsze na podwórze, robiąc miejsce wokół większych, których by nie ruszyła – kanapy, komody, kredensu i stołu jadalnego. Udało jej się rozłożyć ramę łóżka. Wyczyściła drewno miękką szmatką, następnie przetrzała olejkami cytrynowymi i kiedy skończyła, meble po prostu lśniły. Niczym srebro, bo były z klonu srebrzystego. Wydały jej się wykwintne, jak satynowa pościel czy blond włosy. Wykwintne i nowoczesne. Zupełne przeciwieństwo tych ciemnych i dziwacznie rzeźbionych mebli, o które dbała w domu. Dla niej były to jego meble; wciąż tak myślała w środę, gdy je wystawiła. Na dolnej warstwie położyła stare kołdry, dla ochrony przed tymi rzeczami, które ustawiła na wierzchu, a całość nakryła prześcieradłami, by nie narobiły na to ptaki. W rezultacie meble były tylko lekko zakurzone. Ale znów przetrzała je wszystkie olejkami cytrynowymi przed wstawieniem do środka i okryła tak samo jak poprzednio. Zabezpieczone w ten sposób miały czekać, aż w piątek zabierze je ciężarówka.

Drogi Panie McCauley,

wyjeżdżam pociągiem dziś po południu (piątek). Zdaję sobie sprawę, że nie wręczyłam Panu wypowiedzenia, ale rezygnuję z mojej ostatniej wypłaty; w najbliższy poniedziałek należałoby mi się za trzy tygodnie. Na kuchni jest gulasz wołowy w parowniku – wystarczy, że Pan sobie podgrzeje. Wyjdą z tego trzy posiłki, a ostatecznie i cztery. Kiedy Pan podgrzeje i nałoży sobie, ile chce, proszę przykryć garnek i wstawić do lodówki. Niech Pan koniecznie od razu przykryje, żeby przypadkiem gulasz się nie zepsuł Wyrazy uszanowania dla Pana oraz Sabithy. Odezwę się, jak już się zadomowię.
Johanna Parry.

PS. Nadałam do pana Boudreauego meble, bo może ich potrzebować. Przed podgrzaniem niech Pan sprawdzi, czy jest dość wody na dnie parownika.

Pan McCauley bez trudu uzyskał informację, że Johanna kupiła bilet do Gdyni w Saskatchewan. Zadzwoił na stację i zapytał zawiadowcę. Nie miał pojęcia, jak opisać Johannę –wyglądała na kobietę starszą czy młodszą, była szczupła czy raczej przysadzista, jakiego koloru miała płaszcz? – ale nie było to konieczne, gdy wspomniał o meblach.

W czasie gdy dzwonił, na stacji parę osób czekało na wieczorny pociąg. Zawiadowca z początku starał się mówić cicho, ale wzburzył się, gdy usłyszał, że chodziło o skradzione meble (pan McCauley w rzeczywistości powiedział: „Chyba zabrała ze sobą jakieś meble”). Przysięgał, że gdyby wiedział, kim jest ta kobieta i co zamierza, nigdy nie pozwoliłby jej wsiąść do pociągu. Stwierdzenie to zostało usłyszane, powtórzone i przyjęte za dobrą monetę, choć nikt się nie zastanowił, w jaki sposób zawiadowca mógłby zatrzymać dorosłą kobietę, która zapłaciła za bilet, jeśli nie miał bezpośredniego dowodu, że jest ona złodziejką. Ludzie, którzy powtórzyli jego słowa, w większości uwierzyli, że zdołałby ją zatrzymać i że gotów był to zrobić. Pokładali wiarę w autorytecie zawiadowców stacji kolejowych oraz postawnych starszych panów w trzyczęściowych garniturach – takich jak pan McCauley.

Gulasz był wyśmienity, jak zresztą wszystko, co przyrządzała Johanna, ale pan McCauley nie mógł go przełknąć. Zaniedbał przykrycia garnka, zostawił parownik na kuchni, a nawet nie zakręcił palnika, aż woda pod dnem wygotowała się i doleciał go zapach spalonego metalu.

Był to zapach zdrady.

Powtarzał sobie, że powinien być przynajmniej wdzięczny za to, że Sabitha była pod opieką i nie musiał się o to martwić. Jego kuzynka, Roxanne – w rzeczywistości kuzynka jego żony – napisała mu, że z tego, co zaobserwowała podczas letniej wizyty Sabithy nad jeziorem Simcoe, należało się dziewczyną zająć.

„Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, byście wy – ty i ta kobieta, którą zatrudniłeś – na coś się zdali, kiedy zaczną się wokół niej kręcić chłopcy.”

Nie posunęła się tak daleko, by zapytać go, czy chce mieć do czynienia z drugą Marcelle, ale właśnie to miała na myśli. Oświadczyła, że odda Sabithę do dobrej szkoły, gdzie przynajmniej nauczą

ją odpowiednich manier.

Włączył telewizor, by przestać o tym myśleć, ale na próżno.

To te meble tak mu zalazły za skórę. To Ken Boudreau.

Akurat trzy dni wcześniej – dokładnie w dniu, w którym Johanna kupiła bilet – otrzymał list od Kena Boudreau z prośbą o: a) udzielenie pożyczki pod zastaw mebli, które należały do niego (Kena Boudreau) i jego zmarłej żony Marcelle, a które przechowywane były w stodole pana McCauleya, lub: b) jeśli mu to nie odpowiadało – sprzedanie mebli po najkorzystniejszej cenie i jak najszybsze przesłanie pieniędzy do Saskatchewan. List nie wspominał o pożyczkach, jakich teść już udzielił zięciowi na poczet mebli, znacznie przewyższających kwotę, jaką można by uzyskać z ich sprzedaży. Czy Ken Boudreau mógł o tym zapomnieć? A może, co było prawdopodobniejsze, miał po prostu nadzieję, że zapomniał teść?

Wyglądało na to, że został właścicielem hotelu. Ale jego list stanowił litanię wyrzutów pod adresem typa, do którego hotel należał poprzednio i który zataił przed nim różne szczegóły.

„Jeśli uda mi się pokonać tę przeszkodę – pisał – z pewnością zdołam rozkręcić interes”. Co to była za przeszkoda? Konieczność natychmiastowego pozyskania pieniędzy, ale nie napisał, czy chodzi o dawnego właściciela czy bank, czy może prywatnego wierzyciela hipotecznego albo kogoś tam jeszcze. Ta sama stara śpiewka – zdesperowany, przypochebny ton zaprawiony odrobiną arogancji, poczuciem, że coś mu się należy ze względu na rany, wstyd, jakiego doświadczył z powodu Marcelle.

Targany wieloma wątpliwościami, jednak pomny faktu, że Ken Boudreau był w końcu jego zięciem, walczył na wojnie i przeszedł Bóg wie jakie kłopoty w małżeństwie, pan McCauley usiadł i napisał list, informujący, że nie ma zielonego pojęcia, jak otrzymać najlepszą możliwą zapłatę za meble, i będzie mu niezwykle trudno dowiedzieć się tego, ale załącza czek, który uznaje za absolutnie prywatną pożyczkę. Pragnie, aby jego zięć jako taką ją potraktował i przypomniał sobie szereg udzielonych w przeszłości podobnych pożyczek – których suma, jego zdaniem, przekroczyła wartość mebli. Załączał opatrzoną datami listę pożyczonych sum. Poza pięćdziesięcioma dolarami spłaconymi blisko dwa lata temu (z obietnicą dalszych regularnych zwrotów) niczego nie otrzymał. Zięć powinien zatem zrozumieć, że z powodu tych niespłaconych nieoprocentowanych pożyczek spadły jego dochody, gdyż w przeciwnym wypadku byłby te pieniądze zainwestował.

Chciał dorzucić: „Nie jestem takim głupcem, za jakiego chyba mnie uważasz”, ale się pohamował, gdyż ujawniłoby to jego podenerwowanie, a może i słabość.

A teraz – proszę bardzo. Ten typek wyskoczył przed szereg i wciągnął w plan Johanę – zawsze umiał się zakręcić koło kobiet – kładąc łapę i na meblach, i na czeku. Pracownik stacji powiedział, że kobieta sama zapłaciła za transport. Te nowomodne, efekciarskie klonowe klamoty wyceniono kiedyś zbyt wysoko; nie dostaną za nie wiele, zwłaszcza gdy doliczyć koszty transportu koleją. Gdyby byli mądrzejsi, zabraliby po prostu coś z domu, któryś ze starych kredensów albo kanapę, zbyt niewygodną, by na niej siadać, wykonaną i kupioną w minionym stuleciu. Naturalnie byłyby to

zwykła kradzież. Ale to, co zrobili, nie plasowało się od niej daleko.

Poszedł spać, zdecydowany dochodzić sprawiedliwości.

Obudził się sam, w domu pozbawionym dochodzącego z kuchni zapachu kawy czy śniadania. Zamiast tego w powietrzu unosiła się woń spalenizny. Jesienny chłód zagościł we wszystkich pustych, wysokich pomieszczeniach. Poprzedniego wieczoru i przedtem było ciepło – piec nie był jeszcze używany, a kiedy pan McCauley go włączył, wraz z ciepłym powietrzem powiało piwniczną wilgocią, pleśnią, ziemią i rozkładem. Mył się i ubierał powoli, z przerwami, popadając w zamyślenie. Na śniadanie posmarował sobie kromkę chleba masłem orzechowym. Należał do pokolenia, w którym trafiali się mężczyźni niezdolni rzekomo zagotować nawet wodę; był takim przypadkiem. Wyjrzał przez okno frontowe i zobaczył drzewa po drugiej stronie hipodromu spowite poranną mgłą, która – zamiast ustępować, jak powinno się dziać o tej porze dnia – zdawała się zbliżać środkiem toru. Miał wrażenie, że we mgle dostrzega majaczące budynki dawnych pawilonów targowych: swojskie, przestronne budynki, jak potężne stodoły. Latami stały niewykorzystane – przez cały okres wojny – i zapomniał, co się z nimi w końcu stało. Zburzono je czy się zawaliły? Czuł wstręt do gonitw, jakie się tam teraz odbywały, do tłumów, głośnika, nielegalnych trunków, do zgubnego tumultu letnich niedziel. Kiedy o tym pomyślał, przypominał sobie swoją biedną Marcelle, siedzącą na stopniach werandy i wołającą do dawnych koleżanek z Masy, które wysiadały z zaparkowanych samochodów i spieszyły na gonitwy. Jej podniecenie, radość, że znowu jest w mieście, uściski, zagadywanie ludzi, lawiny słów, trajkotanie o dzieciństwie i o tym, jak bardzo za wszystkimi tęskniła. Twierdziła, że sielankę jej życia psuła jedynie tęsknota za mężem, Kenem, który został na zachodzie w związku z pracą.

Wychodziła w jedwabnej piżamie, z burzą nieuczesanych tlenionych włosów. Ramiona i nogi miała szczupłe, ale twarz pełną, a to, co jej zdaniem było opalenizną, miało chorobliwy odcień brązu, którego źródłem nie było słońce. Może żółtaczka.

Mała siedziała w domu i oglądała telewizję – niedzielne kreskówki, na które była zdecydowanie za duża.

Nie umiał stwierdzić, co było nie tak, ani czy było. Marcelle pojechała do London na jakiś kobiecy zabieg i zmarła w szpitalu. Kiedy zatelefonował do jej męża, by mu o tym powiedzieć, Ken Boudreau zapytał: „Co ona połknęła?”

Czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby matka Marcelle żyła? Rzecz w tym, że matka była równie zdezorientowana jak on. Siedziała w kuchni, płacząc, podczas gdy ich nastoletnia córka, zamknięta na klucz w swoim pokoju, wyłączyła przez okno i ześlizgiwała się po dachu werandy, pod którą czekały na nią samochody z tabunami chłopaków.

Dom wypełniało niemiłosierne poczucie opuszczenia, bycia oszukanym. Oboje z pewnością byli dobrymi rodzicami, którym Marcelle załazła za skórę. Kiedy uciekła z lotnikiem, mieli nadzieję, że się wreszcie ustatkuje. Wykazali się wobec nich wspianiałomyślnością, jakby tamci byli zupełnie normalną parą. Ale wszystko się rozpadło. Równie wspianiałomyślny był dlajohan–ny Parry, a proszę, jak ona odwróciła się przeciwko niemu.

Poszedł do miasta i wstąpił do hotelu na śniadanie.

– Ranny ptaszek dzisiaj z pana – przywitała go kelnerka.

I jeszcze nie zdążyła nalać mu kawy, kiedy zaczął opowiadać o tym, jak to gospodyni opuściła go bez żadnego ostrzeżenia czy wyjaśnienia, nie tylko zostawiając pracę, ale i zabierając mnóstwo mebli należących do jego córki, a teraz rzekomo do zięcia, ale była to nieprawda, bo zostały zakupione za wiano córki. Jak to córka wyszła za lotnika, człowieka przystojnego, sympatycznego, który ani za grosz nie zasługiwał na zaufanie.

– Proszę wybaczyć – przerwała kelnerka. – Miło się z panem gawędzi, ale inni goście czekają na śniadanie. Przepraszam...

Wszedł po schodach do swego gabinetu. Biurko zaścielały rozłożone stare mapy, które dzień wcześniej studiował, usiłując zlokalizować pierwszy cmentarz w hrabstwie (opuszczony, jak sądził, w 1839 roku). Zapalił światło i usiadł, ale stwierdził, że nie potrafi się skoncentrować. Po uwadze kelnerki nie mógł dokończyć śniadania ani wypić kawy. Postanowił się przejść, żeby trochę ochłonać.

Zamiast jednak spacerować jak zwykle, pozdrawiając ludzi i zamieniając z nimi parę słów, okazało się, że zaczyna im o sobie opowiadać. Gdy ktoś go zagadywał, jak się miewa tego ranka, dawał upust swoim żalom w kompletnie nietypowy dla siebie, zawstydzający wręcz sposób. Tamci, podobnie jak kelnerka, mieli jednak własne sprawy do załatwienia, więc kiwali głowami, przestępowali z nogi na nogę i przepaszali, że muszą odejść. Nie wyglądało, że ranek się ociepli, jak zwykle mgliste jesienne poranki. Nie miał grubej marynarki, więc wstępował do sklepów, żeby się ogrzać.

Ludzie znający go dłużej byli najbardziej skonsternowani. Zawsze tak powściągliwy, kulturalny dżentelmen, zwrócony w dawne czasy, okazujący kurtuazję, która była zręczną namiastką jego uprzywilejowania (co zakrawało na żart, bo uprzywilejowanie to, dla innych bynajmniej nie oczywiste, istniało głównie w jego wspomnieniach), powinien być ostatnią osobą, która wyciąga swe krzywdy na widok publiczny albo oczekuje współczucia. Nie robił tego, gdy zmarła mu żona, ani nawet gdy zmarła córka. Teraz zaś pokazywał jakiś list i pytał, czyż to nie bezczelność w kółko wyłudzać od niego pieniądze, jak robi ten typek. A kiedy on się nad nim ulitował, tamten zmówił się z jego gospodynią, by ukraść meble. Niektórzy myśleli, że miał na myśli własne meble; byli przekonani,

że starszy pan został bez łóżka czy krzesła. Radzili zgłosić to na policję.

– Nie warto, nie warto – odpowiadał. – Nie skruszysz kogoś, kto ma serce z kamienia.

Wszedł do warsztatu szewskiego i przywitał się z Hermanem Shultzem.

– Pamięta pan trzewiki, które mi pan podzelał, te przywiezione z Anglii? Naprawiał je pan ze cztery, pięć lat temu.

Warsztat przypominał grotę; ocienione żarówki wisały nad stanowiskami pracy. Było tam potwornie duszno, ale męskie zapachy – kleju, skóry, pasty do butów, świeżo wyciętych oraz starych, przegniłych, filcowych wkładek – podziały na pana McCaule–ya kojąco. Tutaj jego sąsiad Herman Shultz – doświadczony rzemieślnik, zgarbiony, w okularach, o ziemistej cerze, przez cały rok

pracowicie wbijał żelazne gwoźdźniki i skuwki i skrutnie zakrzywionym nożem wycinał ze skóry pożądane kształty. Do cięcia filcu służyło coś w rodzaju miniaturowej okrągłej piły. Polerki wydawały odgłosy szurania, tarcza z papierem ściernym zgrzytała, kamień szlifierski bzyczał na brzegach narzędzi jak mechaniczny owad, a maszyna do szycia dziurkowała skórę w solennym, przemysłowym rytmie. Pan McCauley od lat oswojony był z wszystkimi dźwiękami i zapachami oraz precyzyjnymi czynnościami właściwymi dla tego miejsca, ale nigdy ich nie rozróżniał ani się nad nimi nie zastanawiał. Teraz Herman w swym pociemniałym skórzanym fartuchu, z trzewikiem w rękę, wyprostował się, uśmiechnął, skinął głową i pan McCauley ujrzał w tej grocie całe życie tego człowieka. Zapragnął wyrazić swą sympatię czy podziw, albo jeszcze coś, czego nie pojmował.

– Tak, pamiętam – odpowiedział Herman. – To były piękne buty.

– Znakomite. Kupiłem je w Anglii, podczas podróży poślubnej. Nie pamiętam już, gdzie, ale nie w Londynie.

– Pamiętam, że mi pan o tym wspomniał.

– Porządnieje pan zreperował. Nadal mi służą. Świetna robota, Hermanie. Wykonuje pan świetną robotę. Uczciwą.

– To dobrze – Herman rzucił okiem na but w swojej dłoni. Pan McCauley zobaczył, że tamten chce wrócić do pracy; nie mógł do tego dopuścić.

– Właśnie przejrzałem na oczy. Przeżyłem szok.

– Ach tak?

Starszy pan wyjął list i zaczął czytać na głos fragmenty, przerywając sobie posępnym śmiechem.

– Zapalenie oskrzeli. Pisze, że ma zapalenie oskrzeli. Nie wie, do kogo się zwrócić. „Nie wiem, do kogo się zwrócić”. Och, zawsze wie, do kogo. Kiedy już wyczerpie inne możliwości, zwraca się do mnie. „Parę setek, póki nie stanę na nogi”. Żebrze i prosi, a przez cały czas knuje z moją gospodynią. Wie pan? Ukradła meble i odjechała z nimi na zachód. Działali ręka w rękę. Człowiek, którego ustawicznie wyciągałem z tarapatów. Nie oddał mi ani pensa. Nie, przepraszam, muszę uczciwie przyznać: oddał pięćdziesiąt dolarów. Pięćdziesiąt z setek, setek. Tysięcy. Podczas wojny służył w wojsku. Niskich często brano do lotnictwa. Obnosili się z tym jak jacyś bohaterowie wojenni. No cóż, może nie powinienem tego mówić, ale moim zdaniem wojna zepsuła niektórych z nich, nigdy potem nie umieli się już przystosować do życia. Ale to jeszcze niczego nie usprawiedliwia, prawda? Nie mogę wiecznie go usprawiedliwiać z powodu wojny.

– Nie, nie może pan.

– Jak tylko go poznałem, wiedziałem, że nie można mu zaufać. To właśnie jest najdziwniejsze. Wiedziałem, a mimo to pozwoliłem się naciągać. Są tacy ludzie. Człowiek się nad nimi lituje właśnie dlatego, że to oszuści. Załatwiłem mu robotę w ubezpieczeniach, miałem pewne znajomości. Oczywiście wszystko zmarnował. Co za zakała. Niektórzy już tacy są.

– Ma pan rację.

Pani Shultz nie było tego dnia w warsztacie. Przeważnie stała za ladą i przyjmowała buty,

pokazywała je mężowi, powtarzała jego słowa, wypełniała druczki i odbierała należność, wręczając naprawione obuwie. Pan McCauley pamiętał, że w lecie przeszła jakąś operację.

– Nie ma dziś pańskiej żony? Dobrze się czuje?

– Chciała trochę odpocząć. Córka mi pomaga.

Herman Shultz wskazał głową w stronę półek na prawo od lady, gdzie stały zreperowane buty. Pan McCauley spojrzął i zobaczył Edith, której nie zauważył, wchodząc. Dziecinnie chuda nastolatka o prostych czarnych włosach stała tyłem do niego, ustawiając buty. Tak samo niepostrzeżenie przychodziła do nich jako koleżanka Sabithy. Nigdy nie można było zobaczyć z bliska jej twarzy.

– Będiesz pomagać ojcu? – zapytał pan McCauley. – Skończyłaś już szkołę?

– Jest sobota – odpowiedziała Edith, na wpół odwrócona, z nikłym uśmiechem.

– Faktycznie. A więc to dobrze, że pomagasz ojcu. Musisz dbać o rodziców. Ciężko pracują, porządni z nich ludzie. – Pan McCauley przybrał lekko przepraszający wyraz twarzy, jakby świadom, że prawi morały, i dodał: – Czcij ojca swego i matkę swoją, abyś długo żył... Edith mruknęła coś, co nie było przeznaczone dla jego uszu:

– W warsztacie szewskim.

– Zabieram wam czas, zawracam głowę – skwitował smutno pan McCauley – Macie robotę.

– Mogłaś sobie darować ten sarkazm – rzucił ojciec Edith, gdy starszy pan wyszedł.

Przy kolacji powtórzył matce Edith wszystko, co usłyszał od pana McCauleya.

– Jest jak nie on – zakończył. – Coś złego go spotkało.

– Może miał lekki udar – odparła. Od czasu własnej operacji – kamieni żółciowych – wypowiadała się ze znanstwem i pogodną satysfakcją o nieszczęściach innych.

Odkąd Sabitha wyjechała i pochłonęło ją inne życie, które wydawało jej się zawsze pisane, Edith ponownie stała się tym, kim była przed przybyciem Sabithy. „Dziewczyną dojrzałą jak na swój wiek”, pilną, krytyczną. Po trzech tygodniach od rozpoczęcia liceum wiedziała, że będzie bardzo dobra z wszystkich nowych przedmiotów: łaciny, algebry, literatury angielskiej. Uważała, że jej inteligencja spotka się z uznaniem i otworzy przed nią wyjątkową przyszłość. Głupstwa minionego roku z Sabithą zaczynały znikać z jej horyzontu.

Kiedy jednak myślała o wyjeździe Johanny na zachód, przechodził ją dreszcz dobiegający z przeszłości, ogarniał strach. Próbowwała go zdusić, ale na próżno.

Jak tylko skończyła zmywać naczynia, zaszyła się w swoim pokoju z książką z listy lektur na angielski. *Dawid Copperfield*.

Była dzieckiem, które nigdy nie otrzymało od rodziców nic poza chłodnymi wymówkami, od rodziców za starych na dziecko w jej wieku, co podobno wyjaśniało jej zachowanie. Czuła idealne porozumienie z Dawidem w jego nieszczęśliwym położeniu. Uważała, że jest do niego podobna; też mogła być sierotą, bo prawdopodobnie będzie musiała uciec, ukrywać się, radzić sobie sama, kiedy

prawda wyjdzie na jaw, a przeszłość stanie na drodze do jej przyszłości.

Wszystko zaczęło się, gdy Sabitha w drodze do szkoły powiedziała:

– Musimy zejść na pocztę. Muszę wysłać list do taty.

Codziennie szły razem do szkoły i razem wracały. Czasem z zamkniętymi oczyma, czasem tyłem. Czasami zaczynały cicho paplać w wymyślonym języku, aby wywołać dezorientację przechodniów. Autorką większości dobrych pomysłów była Edith. Jedynym pomysłem Sabithy było wypisywanie imienia jakiegoś chłopca oraz własnego, wykreślanie liter, które się w nich powtarzały, i sumowanie pozostałych. Potem się wyliczało na palcach: „Kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje”, aż do werdyktu co do przyszłej relacji z chłopcem.

– Ale gruby list – stwierdziła Edith. Wszystko zauważała i wszystko zapamiętywała, błyskawicznie uczyła się na pamięć całych stron podręcznika, budząc niepokój w innych dzieciach. – Tyle miałaś do opisania swojemu tacie? – zapytała zdziwiona, bo nie mogła w to uwierzyć, a już na pewno nie w to, że Sabitha przelała tyle myśli na papier.

– Napisałam tylko jedną stronę – odparła Sabitha, macając list.

– A–ha – odpowiedziała Edith. – A. Ha.

– Co „aha”?

– Głowę dam, że coś dołożyła. Johanna.

W rezultacie nie zniosły listu na pocztę, ale zabrały ze sobą i po szkole odkleiły nad parą u Edith. Mogły to zrobić, bo matka Edith cały dzień pracowała w warsztacie.

Szanowny Panie Kenie Boudreau!

Pomyślałam sobie, że napiszę i podziękuję za miłe słowa wypowiedziane o mnie w liście do pańskiej córki. Nie musi się Pan martwić, że odejdę. Mówi Pan, że można mi zaufać. Tak ja to rozumiem i to chyba prawda. Jestem Panu wdzięczna za te słowa, bo niektórzy ludzie myślą, że taka osoba jak ja, której pochodzenia nie znają, to Nieodpowiednia Znajomość. Więc pomyślałam, że trochę Panu o sobie opowiem. Urodziłam się w Glasgow, ale matka musiała mnie oddać, kiedy wyszła za mąż. Gdy miałam pięć lat, wzięto mnie do Sierocińca. Myślałam, że matka po mnie wróci, ale nie przyjechała, więc się przyzwyczaiłam; ludzie nie byli tam dla mnie źli. W wieku jedenastu lat w ramach Planu zostałam przywieziona do Kanady i zamieszkałam u Dixonów; pracowałam w ich Uprawie Roślin. Plan przewidywał szkołę, ale nie za długo do niej chodziłam. W zimie pracowałam w domu u Pani, ale wskutek pewnych okoliczności zaczęłam myśleć o odejściu, a że byłam wysoka i silna jak na swój wiek, przyjęto mnie do pracy w Domu Opieki, gdzie przebywali starsi ludzie. Zajęcie mi odpowiadało, ale żeby zarobić więcej, zatrudniłam się w Fabryce Szczotek. Pan Willets, właściciel, miał matkę staruszkę, która przychodziła zobaczyć, jak się sprawy mają, i jakoś się polubiłyśmy. Atmosfera w fabryce przyprawiała mnie o problemy z oddychaniem, więc pani Willets

zapropnowała, żebym pracowała u niej, i tak zrobiłam. Mieszkałam u niej przez 12 l., nad Jeziorem Żałobnej Gołębicy, na północy. Byłyśmy tylko we dwie, ale umiałam się wszystkim zająć w obejściu i w domu, nawet prowadzić motorówkę i samochód. Nauczyłam się porządnie czytać, bo wzrok się jej psuł i chciała, żebym jej czytała. Zmarła w wieku 96 lat. Mógłby Pan powiedzieć, co to za życie dla młodej osoby, aleja się czułam szczęśliwa. Zawsze jadłyśmy razem, a przez ostatnie półtora roku spałam w jej pokoju. Ale po jej śmierci rodzina dała mi tydzień na spakowanie. Pani Willets zostawiła mi pieniądze i chyba im się to nie spodobało. Chciała, żebym przeznaczyła je na naukę, ale musiałabym chodzić do szkoły z dziećmi. Więc gdy zobaczyłam ogłoszenie pana McCauleya w „Globe and Mail”, przyjechałam się dowiedzieć. Szukałam pracy, żeby móc pokonać tęsknotę za panią Willets. Myślę, że znudziłam pana swoją historią i ucieszy się pan, że dotarłam do teraźniejszości. Dziękuję za dobrą opinię i za zabranie mnie na jarmark. Nie przepadam za jazdą na karuzeli i jedzeniem takich rzeczy, ale z całą pewnością przyjemnie było pójść tam w towarzystwie.

Pańska przyjaciółka

Johanna Parry

Edith czytała list Johanny błagalnym tonem i z bolesciwą miną.

– Urodziłam się w Glasgow, ale matka musiała mnie oddać, kiedy tylko na mnie popatrzyła...

– Przestań – poprosiła Sabitha. – Bo mi niedobrze ze śmiechu.

– Jak udało jej się dołożyć ten list do twojego tak, że niczego nie zauważyłaś?

– Po prostu zabiera list ode mnie, wkłada do koperty i sama adresuje, bo uważa, że mam niezbyt czytelne pismo.

Edith musiała zakleić kopertę taśmą, bo na brzegu nie zostało dość kleju.

– Zakochała się – powiedziała.

– Nie wytrzymam – zawołała Sabitha, trzymając się za brzuch. – Niemożliwe. Stara Johanna.

– A tak w ogóle, to co on o niej mówił?

– Tylko to, że mam ją szanować, że byłoby źle, gdyby odeszła, i że to szczęście, że ją mamy, bo on nie ma dla mnie domu, a dziadek nie może sam wychowywać dziewczynki, i takie tam bla, bla, bla. Powiedział, że ona jest damą, to widać.

– I wtedy ona się za-ko-chu-je.

List pozostał u Edith przez noc, by Johanna nie odkryła, że nie został wysłany i że jest zaklejony taśmą. Zniosły go na pocztę następnego dnia z rana.

– Teraz zobaczymy, co on odpisze. Ciekawostka – powiedziała Edith.

Przez długi czas nie było żadnego listu. A kiedy w końcu przyszedł, rozczarował je. Otworzyły go nad parą u Edith, ale nie było w nim niczego dla Johanny.

Kochana Sabitho!

W to Boże Narodzenie trochę krucho u mnie z pieniędzmi, przepraszam więc, że mogę przysłać ci tylko banknot dwudołarowy. Mam jednak nadzieję, że jesteś w dobrym zdrowiu, że spędzasz wesoło święta i nie zaniedbujesz nauki. Jeśli o mnie chodzi, niezbyt dobrze się czuję, mam bowiem zapalenie oskrzeli, jak bodaj każdej zimy, ale po raz pierwszy wyłądowałem przed świętami w łóżku. Jak możesz stwierdzić po adresie, mieszkam już gdzie indziej. Tamto mieszkanie znajdowało się w bardzo głośnym punkcie i za dużo ludzi wpadało do mnie, żeby się zabawić. Teraz jestem w pensjonacie, co bardzo mi odpowiada, bo nigdy nie byłem dobry w zakupach i gotowaniu.

Wesołych Świąt, całusy

Tata

– Biedna Johanna – skomentowała Edith. – Serrrce jej pęknie.

– Kogo to obchodzi? – odparła Sabitha.

– Chyba że coś zrobimy – zaproponowała Edith. – Co?

– Odpowiemy jej.

Musiały napisać list na maszynie, bo Johanna poznałaby inne pismo. A z maszyną nie było problemu. W domu Edith stała maszyna do pisania – na stoliku karcianym w salonie. Matka Edith kiedyś, przed wyjściem za mąż, pracowała w biurze i czasami dorabiała, pisząc urzędowe listy. Nauczyła Edith podstaw maszynopisania, w nadziei, że córka też zdobędzie kiedyś posadę biurową.

– Kochana Johanno – zaczęła Sabitha – wybac, że nie mogę się w tobie zakochać, ale masz na twarzy pełno obrzydliwych wągrów.

– Zamierzam zabrać się do tego poważnie – przerwała jej Edith. – Więc się zamknij.

Wystukując tekst – „Tak bardzo mnie ucieszył list, który...” –wypowiadała go na głos, i przerywała, aby się zastanowić nad dalszym ciągiem. W miarę pisania jej głos nabierał powagi i ciepła. Sabitha przeciągnęła się na kanapie z chichotem. W pewnym momencie włączyła telewizor, ale Edith zaprotestowała:

– Błagam, jak mam się skupić na swych u-czu-ciach przy takim cholernym jazgocie?

Kiedy Edith i Sabitha były same, używały słów: „cholerny”, „gówno” i „Boże Święty”.

Droga Johanno!

Tak bardzo mnie ucieszył list, który włożyła Pani do listu Sa-bithy i który pozwolił mi dowiedzieć się, jak wyglądało Pani życie. Często musiało być smutne i samotne, choć spotkać kogoś takiego jak pani Willets, to był z pewnością łut szczęścia. Pozostała Pani osobą pracowitą, która na nic się nie skarży, i muszę powiedzieć, że bardzo Panią podziwiam. Sam przeżywałem w życiu wzloty i upadki i nigdy nie zaznałem spokoju. Nie wiem, skąd we mnie ten niepokój i samotność; taki już chyba mój los. Spotykam ludzi, rozmawiam z nimi, ale nieraz zastanawiam się: „Kto z nich jest moim

przyjacielem?”. I wtedy przychodzi list od Pani, zakończony słowami: „Pańska przyjaciółka”. Zastanawiam się więc: „Czy ona naprawdę tak myśli? Jakież byłby to miły prezent bożonarodzeniowy, gdyby Johanna powiedziała mi, że jest moją przyjaciółką”. Może po prostu pomyślała sobie Pani, że to dobre zakończenie listu, lecz w rzeczywistości nie zna mnie Pani dostatecznie. Mimo wszystko: *Wesołych Świąt.*

Pani przyjaciel

Ken Boudreau

List powędrował do Johanny List do Sabithy ostatecznie również został wystukany na maszynie, bo czemu jeden miałby być pisany na maszynie, a drugi nie? Tym razem oszczędniej posłużyły się parą i bardzo ostrożnie otwierały kopertę, by nie uciekać się do budzącej podejrzenia taśmy.

– A może byśmy zaadresowały na maszynie nową kopertę? Czy gdyby on pisał list na maszynie, nie zrobiliby tak? – zapytała Sabitha, pełna nadziei, że wykaże się sprytem.

– Ale na nowej kopercie nie byłoby znaczka, sieroto.

– A jeśli ona odpowie?

– Przeczytamy list.

– Taa, a jeśli odpowie i wyśle list bezpośrednio do niego? Edith nie miała ochoty przyznawać, że o czymś takim nie pomyślała.

– Nie robi tego. Jest przebiegła. A zresztą od razu mu odpiszesz, żeby jej zasugerować, że może dołożyć swój list do twojego.

– Nie cierpię tych głupich listów.

– Nie marudź. Nic ci się nie stanie. Nie chcesz się dowiedzieć, co mu powie?

Drogi Przyjacielu!

Pyta mnie Pan, czy znam go na tyle, by być Pańską przyjaciółką, więc odpowiadam, że tak, W całym moim życiu tylko jedną osobę mogłam nazwać Przyjacielem; była to pani Willets, którą kochałam i która okazywała mi wiele dobroci, ale ona nie żyje. Była ode mnie dużo starsza, a problem ze starszymi przyjaciółmi polega na tym, że umierają i opuszczają nas. Była tak stara, że czasem zwracała się do mnie imieniem kogoś innego. Nie przeszkadzało mi to jednak.

Coś Panu opowiem. Zdjęcie, które zrobił fotograf podczas jarmarku – przedstawiające pana, Sabithę i jej przyjaciółkę Edith – powiększyłam, oprawiłam i postawiłam w salonie. To niezbyt udane zdjęcie i na pewno zapłacił Pan za nie więcej, niż jest warte, ale lepsze takie niż żadne. Więc przedwczoraj wycierałam obok niego kurz i jakbym usłyszała Pana mówiącego do mnie: „Dzień dobry”. Powiedział Pan „Dzień dobry”, a ja popatrzyłam na Pana twarz – na ile widać ją na zdjęciu – i pomyślałam: „No tak, chyba tracę rozum”. Chyba że to znak, że przyjdzie list. Żartuję. Nie wierzę w nic takiego. A jednak wczoraj przyszedł list. Więc widzi Pan, że to nie za wiele: prosić, bym była

Pańską przyjaciółką. Zawsze mogę znaleźć sobie coś do roboty, ale prawdziwy Przyjaciel to jednak coś innego.

Pańska przyjaciółka

Johanna Parry

Oczywiście tego nie można było z powrotem włożyć do koperty. Ojciec Sabithy zwróciłby uwagę na podejrzaną wzmiankę o liście, którego nie napisał. Słowa Johanny należało podrzeć na kawałeczki i spuścić w toalecie u Edith.

List z wiadomością o hotelu przyszedł wiele miesięcy później. Trwało lato. I tylko przypadkiem Sabitha odebrała ten list, nie było jej bowiem przez trzy tygodnie, które spędziła nad jeziorem Simcoe, w domku należącym do jej ciotki Roxanne i wuja Clarka.

Niemal pierwsze, co powiedziała Sabitha, wchodząc do Edith, to było: – Bleeee, jak tu śmierdzi.

„Bleeee” było wyrażeniem, które podłapała od kuzynek.

– Niczego nie czuję – stwierdziła Edith, wciągając powietrze.

– Jak w warsztacie twojego taty, tylko nie tak mocno. Chyba ten zapach przenosi się na ubraniach i takich rzeczach.

Edith zajęła się odłdejaniem nad parą. W drodze z poczty Sabitha kupiła w piekarni dwie czekoladowe ekierki. Leżała teraz na kanapie i jadła swoje ciastko.

– Tylko jeden list. Dla ciebie – oznajmiła Edith. – Biedna stara Johanna. Oczywiście tak naprawdę on nigdy nie dostał listu od niej.

– Czytaj – zrezygnowanym tonem poprosiła Sabitha. – Mam strasznie upačkane ręce.

A więc, Sabitho, znowu odmienił się mój los. Jak widzisz, nie jestem już w Brandon, ale w miejscowości o nazwie Gdynia. Ani nie na usługach moich dawnych szefów. Miałem wyjątkowo ciężką zimę z powodu swoich problemów z oskrzelami, a tamci, to znaczy moi szefowie, uważali, że powinienem być w trasie, nawet jeśli ryzykuję zapalenie płuc. Doszło do awantury i postanowiliśmy się rozstać. Ale dziwnie jest z tym szczęściem – mniej więcej w tamtym czasie wszedłem w posiadanie hotelu. Wszystko to jest bardzo skomplikowane, ale jeśli twój dziadek chce się czegoś dowiedzieć, powiedz mu po prostu, że człowiek, który był mi winien pieniądze, a nie mógł ich spłacić, pozwolił mi w zamian zatrzymać hotel. Oto więc przeprowadziłem się z wynajmowanego pokoju do hotelu o dwunastu pokojach i z dnia na dzień ja, który nie miałem nawet jednego łóżka, stałem się posiadaczem wielu. To cudowne uczucie budzić się rano i wiedzieć, że jest się sobie samemu panem. Czeka mnie mały remont, w zasadzie nie taki mały, ale zabiorę się do tego, jak się ociepli. Będę musiał kogoś wynająć do pomocy, a później zatrudnię dobrą kucharkę, żeby nie tylko mieć bar, ale i restaurację. Interes powinien się rozkręcić, bo w mieście nie ma innej. Mam nadzieję, że u Ciebie

wszystko dobrze, że uczysz się pilnie i nabierasz dobrych manier.

Całuję

Twój Tata

– Masz kawę? – zapytała Sabitha.

– Rozpuszczalną – odpowiedziała Edith. – Bo co?

Sabitha wyjaśniła, że w domku letniskowym pijało się mrożoną kawę i wszyscy ją uwielbiali. Ona też. Wstała i zaczęła myszkować po kuchni, nastawiając wodę, mieszając kawę z mlekiem i kostkami lodu.

– Właściwie to powinny być do tego lody waniliowe – powiedziała. – O Boziu, jakie to dobre. Nie chcesz swojej ekierki?

„O Boziu”.

– Chcę. Calutką – odpowiedziała Edith złośliwie.

Tyle zmian w Sabicie w ciągu zaledwie trzech tygodni, podczas których Edith pracowała w warsztacie, a jej matka dochodziła do siebie po operacji. Skóra Sabithy nabrała apetycznego złotobrazowego odcienia, a krótkie włosy tworzyły wokół twarzy puszystą aureolę. Obcięły je Sabicie kuzynki; one też zrobiły jej trwałą. Dziewczyna ubrana była w coś rodzaju letniego kombinezonu o szortach skrojonych jak spódniczka, zapinanych z przodu na guziki, z motylkami na ramionach, w twarzowym niebieskim kolorze. Zaokrągliła się, a kiedy się pochyliła, by podnieść z podłogi kostkę lodu, ukazał się gładki i błyszczący rowek między jej piersiami.

Piersi. Musiały zacząć jej rosnać, zanim wyjechała, ale Edith tego nie zauważyła. Może są czymś, czego istnienie stwierdzasz po prostu pewnego dnia po przebudzeniu. Albo i nie.

Niezależnie do tego, jak piersi się tam znalazły, zdawały się symbolizować zupełnie niezasłużoną i niesprawiedliwą przewagę.

Sabitha nie przestawała paplać o swoich kuzynkach i życiu w domku letniskowym. Zaczynała:

– Słuchaj, muszę ci o tym opowiedzieć, to świetne... – po czym powtarzała, co ciocia Roxanne wyrzucała wujkowi Clarkowi w kłótni, relacjonowała, jak Mary Jo prowadziła z otwartym dachem, bez prawa jazdy, samochód Staną (kim był Stan?) i zawiozła ich wszystkich do baru drive-in, i jakie to było bombowe – choć sens historii nie wydawał się nigdy do końca jasny.

Ale po jakimś czasie wypłynęły inne rzeczy. Prawdziwe przygody tego lata. Starsze dziewczynki – wśród nich Sabitha – spały na piętrze w hangarze na łódki. Urządzały czasami bitwy połączone z łaskotaniem: dogadywały się wspólnie przeciwko jednej spośród siebie i zaczynały ją łaskotać, dopóki ta nie błagała o litość, pozwalając ściągnąć sobie spodnie od piżamy, by zobaczyły, czy już ma włosy łonowe. Opowiadały sobie o dziewczynach z internatu, które robiły te rzeczy z rączkami od szczotek do włosów, od szczoteczek do zębów. Blee e. Raz dwie kuzynki urządziły show: jedna wlaźła na drugą, udając, że jest chłopcem, opłotyły się nogami, przez cały czas jęcząc i dysząc.

Siostra wujka Clarka przyjechała z mężem w odwiedziny w czasie ich miesiąca miodowego i widziano, jak on wkładał jej rękę za kostium kąpielowy.

– Naprawdę się kochali, robili to dzień i noc – zapewniała Sabitha. Przytuliła poduszkę do piersi. – Kiedy ludzie są tak bardzo zakochani, nic nie mogą na to poradzić.

Jedna z kuzynek zrobiła już to z chłopcem. Był jednym z pracowników sezonowych w ogrodach ośrodka u wylotu drogi. Zabrał ją na przejażdżkę łódką i zagroził, że wyrzuci ją za burtę, jeśli mu na to nie pozwoli. Więc to nie była jej wina.

– Nie umiała pływać? – zapytała Edith. Sabitha wepchnęła sobie poduszkę między nogi.

– Oooch – jęknęła. – To takie przyjemne uczucie.

Edith wiedziała wszystko o cudownych udrękach, jakie przechodziła Sabitha, ale była zbulwersowana afiszowaniem się z nimi. W niej samej budziły one strach. Wiele lat temu bezwiednie zasnęła z kołdrą między nogami: znalazła ją tak matka i opowiedziała jej o pewnej dziewczynce, która bez przerwy robiła takie rzeczy i w końcu musiano ją zoperować.

– Oblewano ją zimną wodą, ale to nie pomogło – opowiadała mama. – Więc trzeba było ją ciąć.

W przeciwnym wypadku doszłoby do przekrwienia narządów i mogłaby umrzeć.

– Przestań – rozkazała Sabicie, ale ta jęknęła wyzywająco i odpowiedziała:

– To nic takiego. Wszystkie tak robiłyśmy. Ty nie masz poduszki?

Edith wstała, poszła do kuchni i nalała sobie wody do szklanki po mrożonej kawie. Kiedy wróciła do pokoju, Sabitha leżała rozwalona na kanapie, śmiejąc się, zaś obok niej, na podłodze, poduszka.

– Myślałaś, że co ja robię? – zapytała. – Nie widziałaś, że żartuję?

– Chciało mi się pić – odpowiedziała Edith.

– Przed chwilą wypijaś pełną szklankę mrożonej kawy.

– Miałam ochotę na wodę.

– Z tobą nie można się powygłupiać – stwierdziła Sabitha, siadając. – Skoro tak bardzo chciało ci się pić, to czemu nie pijesz?

Siedziały naburmuszone, w milczeniu, dopóki Sabitha nie zaproponowała pojednawczym, choć zawiedzionym tonem:

– Nie napiszemy do Johanny nowego listu? Napiszmy jej słodki miłosny liścik.

Edith straciła w znacznej mierze zainteresowanie tymi listami, ale była zadowolona, że Sabitha nie. Powróciło poczucie, że ma nad Sabitha władzę, pomimo jeziora Simcoe i piersi. Wzdychając, jak gdyby z niechęcią, podniosła się i zdjęła pokrowiec z maszyny do pisania.

– „Najsłodsza Johanno...” – zaczęła Sabitha.

– Nie, to za ohydne.

– Ona tak nie pomyśli.

– Pomyśli – odparła Edith.

Zastanawiała się, czy powinna porozmawiać z Sabithą o groźbie przekrwienia narządów. Uznała, że nie. Po pierwsze było to jedno z tych ostrzeżeń, jakie otrzymała od matki i nigdy nie była pewna, czy może im w pełni ufać, czy nie. Nie było co prawda aż tak mało wiarygodne jak przekonanie, że noszenie gumiaków w domu niszczy wzrok, ale nigdy nic nie wiadomo – być może kiedyś mogło się takie okazać.

A poza tym Sabitha po prostu by ją wyśmiała. Kpiła sobie z ostrzeżeń; śmiałyby się nawet, gdyby jej powiedziano, że od czekoladowych ekierok się tyje.

– Pani ostatni list ogromnie mnie uszczęśliwił...

– Pani ostatni list wywołał we mnie rozdarcie... – zaproponowała Sabitha.

– ...ogromnie mnie uszczęśliwił, gdyż uwierzyłem, że naprawdę mam na świecie prawdziwego przyjaciela, to znaczy panią.

– Nie mogłem spać przez całą noc, bo marzyłem o tym, by zmiażdżyć panią w swoich ramionach – Sabitha objęła siebie ramionami, kiwając się w przód i w tył.

– Nie. Wyglądam na człowieka ekstrawertycznego, a jednak często czuję się samotny i nie wiem, co mam zrobić...

– Co to znaczy „ekstrawertyczny”? Nie będzie wiedzieć, co to znaczy.

– Będzie.

To zamknęło Sabicie usta, a może i ją dotknęło. Wreszcie Edith przeczytała na głos:

– „Muszę się jednak pożegnać i nie sposób, żebym nie wyobraził sobie, jak czyta pani ten list i się rumieni...”. Chcesz coś jeszcze dodać?

– „Jak czyta Pani ten list w łóżku, w koszuli nocnej – odpowiedziała Sabitha, którą zawsze łatwo było udobruchać – myśląc o tym, jak ściskam ją w ramionach i ssę jej cycuszki...”.

Moja droga Johanno!

Pani ostatni list ogromnie mnie uszczęśliwił, gdyż uwierzyłem, że naprawdę mam na świecie prawdziwego przyjaciela, to znaczy Panią. Wyglądam na człowieka ekstrawertycznego, a jednak często czuję się samotny i nie wiem, co mam zrobić.

Napisałem Sabicie o tym, że mi się poszczęściło i że zamierzam otworzyć hotel Nie powiedziałem jej, jak bardzo byłem chory minionej zimy, bo nie chciałem jej martwić. Pani również nie chcę martwić, droga Johanno, wspomnę jedynie, że często o Pani myślałem i marzyłem, by zobaczyć Pani drogą, miłą twarz. W gorączce wydawało mi się, że naprawdę widzę, jak Pani się nade mną pochyla i mówi mi, że wkrótce wyzdrowieję, i czułem dotyk Pani dobrych rąk. Przebywałem w pensjonacie, a kiedy gorączka minęła, naśmiewano się ze mnie wokoło, pytając: „Co to za Johanna?”. Ja zaś byłem bardzo smutny, że się ocknąłem i nie znalazłem Pani przy sobie. Naprawdę zastanawiałem się, czy nie mogłaby Pani do mnie dolecieć, wiedziałem jednak, że to niemożliwe. Proszę mi wierzyć, proszę wierzyć: najpiękniejsza gwiazda filmowa nie mogłaby być dla mnie miłszym gościem niż Pani. Nie

wiem, czy powinienem mówić Pani inne rzeczy, które od Pani usłyszałem, gdyż były bardzo serdeczne i bliskie, ale mogłaby się Pani poczuć zmieszana. Nie mam ochoty kończyć tego listu; bo czuję się tak, jakbym otaczał Panią ramionami i mówił do Pani cichutko w ciemnym zaciszu naszego pokoju. Muszę się jednak pożegnać i nie sposób, żebym nie wyobraził sobie, jak czyta Pani ten list i się rumieni. Cudownie by było, gdyby czytała go Pani w łóżku, w koszuli nocnej, myśląc o tym, jak pragnąłbym zmiążyć ją w ramionach.

Ucałowania

Ken Boudreau

O dziwo list ten nie doczekał się odpowiedzi. Kiedy Sabitha zapisała swoje pół strony, Johanna włożyła kartkę do koperty, zaadresowała i tyle.

Gdy Johanna wysiadła z pociągu, na stacji nikt na nią nie czekał. Nie miała zamiaru się tym niepokoić; w końcu jej list mógł nie dotrzeć przed nią. (W rzeczywistości dotarł i leżał na poczcie nieodebrany, gdyż Ken Boudreau, który nie chorował poważnie ostatniej zimy, teraz miał zapalenie oskrzeli i przez kilka dni nie przychodził po pocztę. Tego dnia dołączyła do listu kolejna koperta, z czekiem od pana McCauleya. Wypłata została jednak wstrzymana).

Bardziej ją niepokoiło, że miejscowość niezbyt przypominała miasto. Zabudowana wiata z ławkami wzdłuż ścian i drewnianą żaluzją opuszczaną przed okienkiem kasy stanowiła dworzec.

Był tam również magazyn – przypuszczała, że to magazyn – ale prowadzące do niego przesuwane drzwi nie dawały się otworzyć. Zajrzała przez szczelinę między deskami, odczekała, aż oczy przyzwyczają się do mroku, i zobaczyła pustą, brudną podłogę. Żadnych skrzyń z meblami. Zawołała kilka razy: „Jest tam kto? Jest tam kto?”, nie spodziewając się odpowiedzi.

Stała na peronie, próbując zorientować się w swym położeniu.

Jakiś kilometr dalej widać było lekkie wzniesienie, łatwo zauważalne, gdyż porastała je kępa drzew. Piaszczysty trakt, który, patrząc z pociągu, wzięła za drogę prowadzącą na pole, musiał być ulicą. Dostrzegła teraz pomiędzy drzewami niskie kształty zabudowań, a także wieżę ciśnienia, która z tej odległości wyglądała jak zabawka – ołowiany żołnierz na długich nogach.

Podniosła walizkę – wiedziała, że da sobie radę; przecież niosła ją z Exhibition Road na stację kolejową – i ruszyła.

Wiał wiatr, ale było gorąco, goręcej niż w Ontario, i wiatr także wydawał się gorący. Na nową suknię włożyła stary płaszcz – zajęłby za wiele miejsca w walizce. Z utęsknieniem wyglądała cienia, ale kiedy dotarła do miasta i zobaczyła drzewa, stwierdziła, że były to świerki, zbyt zwarte i wiotkie, by rzucać cień, albo topole o cienkich, postrzępionych listkach, które poruszając się, przepuszczały słońce.

Wszędzie dawał się zauważyć deprymujący brak organizacji lub jakiegokolwiek porządku. Nie

było chodników ani brukowanych ulic, żadnych wysokich budynków z wyjątkiem dużego kościoła przypominającego ceglana stodołę. Malowidło nad wejściem przedstawiało Świętą Rodzinę o twarzach koloru gliny i wytrzeszczonych niebieskich oczach. Kościół był pod wezwaniem świętego, o którym nigdy wcześniej nie słyszała – świętego Wojciecha.

Domy stały rozmieszczone bez jakiegokolwiek koncepcji, różnymi stronami do drogi – czy ulicy. Większość miała chaotycznie rozrzucone, brzydkie małe okna oraz przypominające pudełka zabudowane ganki wokół drzwi. Na podwórkach nie było widać nikogo, a zresztą po co ktoś miałby wychodzić? Nie było tu nic, czego można by doglądać; rosły jedynie kępki brązowej trawy, a w którymś miejscu duża kępa wybujałego rabarbaru.

Przy głównej ulicy, jeśli była to główna ulica, biegł drewniany chodnik i stało kilka byle jak skleconych budynków, spośród których otwarty był tylko sklep spożywczy (wraz z urzędem pocztowym) i warsztat samochodowy. Piętrowy budynek, który wzięła za hotel, okazał się zamkniętym bankiem.

Pierwszym człowiekiem, jakiego ujrzała – choć wcześniej obszczeakały ją dwa psy – był mężczyzna przed warsztatem, zajęty ładowaniem jakichś łańcuchów do furgonetki.

– Hotel? – powtórzył. – Minęła go pani.

Powiedział, że hotel leży przy stacji, po drugiej stronie torów, jest pomalowany na niebiesko i nie sposób go nie zauważyć.

Postawiła walizkę na ziemi, nie dlatego, że poczuła się bliska załamania, ale musiała chwilę odpocząć.

Mężczyzna powiedział, że jeśli poczeka minutę, może ją podwieźć. I chociaż nie miała w zwyczaju akceptować tego typu propozycji, wkrótce siedziała w dusznej, brudnej od smaru szoferce, podskakując na wyboistej szosie, którą właśnie pokonała w przeciwnym kierunku, w piekielnym hałasie postukujących z tyłu łańcuchów.

– No więc... skąd pani przywiozła ten upał? – zagadnął ją. Odpowiedziała „z Ontario” tonem, który nie obiecywał dalszego ciągu.

– Z Ontario – powtórzył ze współczuciem. – Oto pani hotel. Uniósł dłoń znad kierownicy. Furgonetka szarpnęła, kiedy wskazywał piętrowy budynek o płaskim dachu, który bynajmniej nie uszedł jej uwagi, gdy wjeżdżała na stację. Wzięła go za duży, dość zniszczony, może nawet opuszczony dom mieszkalny. Teraz, po tym, jak zobaczyła domy w mieście, zrozumiała, że nie powinna go była tak szybko skreślać. Elewację budynku obito arkuszami blachy cynowej w sposób, który imitował układ cegieł, a całość pomalowano na niebiesko. Nad wejściem widniało słowo HOTEL, uformowane z nieświecących neonowych rurek.

– Ale ze mnie gapa – powiedziała, chcąc wręczyć mężczyźnie dolara za podwiezienie.

– Niech pani to zachowa – zaśmiał się. – Nigdy nie wiadomo, kiedy się przyda.

Przed hotelem stał dość przyzwoicie wyglądający plymouth, bardzo brudny – ale czy przy takich drogach można było coś na to poradzić?

Na drzwiach wisiały reklamy papierosów i piwa. Odczekała, aż furgonetka zawróci, następnie zapukała. Hotel nie sprawiał jednak wrażenia czynnego. Spróbowała otworzyć drzwi i weszła do małego, zakurzonego pomieszczenia ze schodami, a potem do dużego, ciemnego, w którym stał stół bilardowy, unosił się przykry zapach piwa, a podłoga była niezamieciona. W sąsiednim pomieszczeniu zauważyła lustro, puste regały, ladę. Wszędzie żaluzje były opuszczone. Dostrzegła światło sączące się zza dwóch owalnych okienek, jak się okazało, wprawionych w podwójne wahadłowe drzwi. Otworzyła drzwi i znalazła się w kuchni. Dzięki rzędowi wysokich – i brudnych – niezastłoniętych okien na przeciwległej ścianie było tu jaśniej. Dawały się też dostrzec pierwsze oznaki zamieszkiwania: ktoś musiał jeść przy stole i pozostawił brudny talerz z zaschniętym ketchupem, a obok do połowy opróżnioną filiżankę zimnej kawy.

Jedne drzwi – zamknięte – prowadziły na zewnątrz, drugie do spiżarni, w której stało kilka puszek, kolejne – do schowka na miotły, a jeszcze inne na klatkę schodową. Zaczęła wchodzić po stopniach, objając przed sobą walizkę, bo miejsca było mało. Naprzeciwko, na pierwszym piętrze zobaczyła toaletę z otwartą muszlą.

Drzwi do pokoju w końcu korytarza nie były zamknięte. Leżał tam Ken Boudreau.

Zanim go ujrzała, zauważyła jego ubranie: wiszącą na drzwiach marynarkę, spodnie zaczepione o klamkę i sięgające podłogi. Pomyślała od razu, że w ten sposób nie można obchodzić się z porządnym ubraniem, więc pozostawiwszy walizkę w korytarzu, odważnie wkroczyła do pokoju, by je uporządkować.

Leżał w łóżku, przykryty samym prześcieradłem. Kołdra i koszula walały się na podłodze. Oddychał niespokojnie, jakby miał się zaraz obudzić, powiedziała więc:

– Dzień dobry.

Jasne smugi słońca wpadały przez okno, świecąc mu prawie na twarz. Okno było zamknięte, a duchota okropna; przede wszystkim śmierdziała zawartość pełnej popielniczki na służącym za szafkę nocną krześle.

Miał złe nawyki: palił w łóżku.

Nie zbudził się na dźwięk jej głosu, w każdym razie nie do końca. Zaczął kaszleć.

Rozpoznała w tym kaszlu coś niepokojącego – chorobę. Próbował się podnieść, nie otwierając oczu. Podeszła więc do łóżka i pomogła mu. Rozejrzała się w poszukiwaniu chustki do nosa albo pudełka chusteczek higienicznych, ale niczego nie znalazła, sięgnęła więc po jego koszulę, leżącą na podłodze, z myślą, że potem ją wypierze. Chciała się przyjrzeć temu, co wypluwa.

Kiedy odkrztusił już wystarczająco wiele, mruknął coś i opadł na łóżko, dysząc, a na jego twarzy, kiedyś tak pełnej zadziorne-go uroku, malował się niesmak. Dotknęła go i poznała, że ma gorączkę.

Plwocina była żółtozielona, bez ceglastych smug. Zaniósła koszulę do umywalki w toalecie, gdzie, ku swemu zdziwieniu, znalazła kostkę mydła. Wyprała koszulę i powiesiła na wieszaku na drzwiach, po czym starannie umyła ręce. Musiała je wytrzeć o dół swej nowej brązowej sukienki, włożonej zaledwie parę godzin wcześniej w innej maleńkiej toalecie, w pociągu – z napisem „Panie” nad

drzwiami. Zastanawiała się wtedy, czy się nie umalować.

W szafie na korytarzu znalazła rolkę papieru toaletowego, którą zabrała ze sobą do pokoju Kena na wypadek następnego ataku kaszlu. Podniosła z ziemi kołdrę i porządnie go przykryła,

opuściła żaluzję do parapetu i otworzyła na parę centymetrów okno, blokując je opróżnioną uprzednio popielniczką. Następnie przebrała się w korytarzu; zdjęła brązową sukienkę i włożyła swe stare ubranie z walizki. Niewiele pożytku byłoby teraz z ładnej sukienki czy jakiegokolwiek makijażu.

Nie była pewna, na ile poważnie jest chory, ale opiekowała się panią Willets – również zagorzałą palaczką – podczas kilku poważnych bronchitów i uznała, że tymczasem jakoś sobie poradzi bez wzywania lekarza. W tej samej szafie w korytarzu leżał stos czystych, choć zużytych i spranych ręczników, zmoczyła więc jeden z nich i przetarła mu ramiona i nogi, próbując zbić gorączkę. Rozbudziło go to i znowu zaczął kaszleć. Uniosła go do pozycji siedzącej, by mógł odkaslnąć na papier toaletowy; jeszcze raz przyjrzała się plwocinom, wyrzuciła papier do toalety i umyła ręce. Miała już ręcznik do wytarcia rąk. Zeszła na dół i znalazła w kuchni szklanke oraz dużą pustą butelkę po ciemnym piwie, którą napełniła wodą. Spróbowała go napić. Przełknął niewiele, zaprotestował i znów się położył. Po jakichś pięciu minutach spróbowała ponownie. Potem kolejny raz, aż uznała, że wypił, ile mógł, nie zwracając.

Kaszlał raz po raz. Podnosiła go wtedy, podtrzymując jedną ręką, drugą oklepała mu plecy, by ułatwić odkrztuszenie tego, co zalegało w piersi. Parę razy otworzył oczy; zdawał się akceptować jej obecność bez niepokoju czy zdziwienia – zresztą również bez wdzięczności. Jeszcze raz przetarła go zwilżonym ręcznikiem, bacząc, by natychmiast okryć kołdrą ochłodzoną partię ciała.

Zobaczyła, że zaczyna się ściemniać, zeszła więc do kuchni i poszukała kontaktu. Lampy i stara kuchenka elektryczna działały. Otworzyła i podgrzała puszkę zupy z kurczakiem i ryżem, zaniósła ją na górę i pomogła mu usiąść. Przełknął odrobinę zupy z podanej łyżki. Wykorzystała moment, kiedy wydawał się przytomniejszy, by zapytać go, czy nie ma aspiryny. Potwierdził skinieniem głowy, ale nie mógł jej wytłumaczyć, gdzie szukać.

– W śmieciach – powiedział.

– Niemożliwe – odparła. – Nie może być w śmieciach.

– W, w tym...

Usiłował nakreślić jakiś kształt rękami. Oczy nabiegły mu łzami.

– Nieważne – uspokoiła go Johanna. – Nieważne.

Gorączka w każdym razie spadała. Przespał godzinę lub trochę dłużej bez kaszlenia. Potem znowu zrobił się gorący. Do tego czasu znalazła aspirynę – w szufladzie kuchennej razem z takimi rzeczami jak śrubokręt, żarówki i kłębek szpagatu – i udało jej się namówić go do przełknięcia kilku tabletek. Wkrótce znów zaczął kaszleć, ale uznała, że raczej ich nie zwrócił. Kiedy leżał, przyłożyła ucho do jego piersi, by posłuchać świszczącego oddechu. Zdążyła już przetrząsnąć dom w poszukiwaniu ziaren gorczycy, chcąc zrobić mu okład rozgrzewający, chyba jednak ich nie miał. Znów zeszła na dół,

zagrzała trochę wody i przyniosła w miednicy. Próbowwała go namówić, by pochylił się nad miednicą i powdychał parę pod przykryciem z ręcznika. Robił to tylko przez chwilę, ale i tak pomogło: wykrztusił mnóstwo flegmy.

Gorączka znów opadła i spał spokojniej. Przytargała do pokoju fotel znaleziony w innej sypialni i również się przespała, z przerwami, zastanawiając się w momentach przebudzenia, gdzie jest. Potem przypominała sobie, podnosiła się, dotykała go – gorączka już chyba nie rosła – i opatulała kołdrą. Jej samej za przykrycie służył niezniszczalny stary tweedowy płaszcz, który zawdzięczała pani Willets.

Obudził się późnym rankiem.

– Co pani tu robi? – zapytał ochrypłym, słabym głosem.

– Przyjechałam wczoraj – odpowiedziała. – Przywiozłam panu meble. Jeszcze ich tu nie ma, ale są w drodze. Był pan chory, kiedy tu dotarłam, i źle się pan czuł przez całą noc. A teraz?

– Lepiej – odpowiedział i zaczął kaszleć. Nie musiała go podnosić, usiadł sam, ale podeszła do łóżka i poklepała go po plecach.

– Dziękuję – powiedział, kiedy atak minął.

Jego skóra była teraz równie chłodna jak jej. Ciało miał gładkie – żadnych znamion, żadnego tłuszczu. Czuła pod skórą żebra. Był jak wątyły, wycieńczony chłopiec. Pachniał kukurydzą.

– Połknął pan flegmę – zauważyła. – Proszę tego nie robić, to bardzo źle. Tu ma pan papier toaletowy i proszę do niego odpluwać. Jak pan będzie to połykał, może pan mieć kłopoty z nerkami.

– Nie wiedziałem – odparł. – Mogłaby pani poszukać kawy?

Ekspres był czarny w środku. Najstaranniej jak mogła, wypłukała go i nastawiła kawę. Potem umyła się i ogarnęła, myśląc, czym mogłaby go nakarmić. W spizarni znalazła gotową mieszankę do pieczenia herbatników. Z początku sądziła, że będzie musiała wymieszać ją z wodą, ale znalazła również puszkę mleka w proszku. Kiedy kawa była gotowa, w piekarniku piekła się blacha ciastek.

Gdy usłyszał jej krzątanie się w kuchni, wstał i poszedł do toalety. Był słabszy, niż przypuszczał – musiał się schylić i oprzeć na spłucze. Potem znalazł slipy na dnie szafy w korytarzu, w której trzymał czyste ubrania. Wtedy wreszcie zrozumiał, kim była ta kobieta. Powiedziała, że przyjechała z jego meblami, chociaż ani jej, ani nikogo o to nie prosił. W ogóle nie prosił o meble, prosił o pieniądze. Powinien wiedzieć, jak ona ma na imię, ale nie pamiętał. Dlatego otworzył jej torebkę, leżącą obok walizki na podłodze w korytarzu. W środku przyszyta była do podszewki etykieta z imieniem.

Johanna Parry, i adres jego teścia przy Exhibition Road.

Znalazł też inne rzeczy. Sakiewkę z paroma banknotami w środku. Dwadzieścia siedem dolarów. Torebeczkę z bilonem, którego nie chciało mu się liczyć. Jasnoniebieską książeczkę bankową. Otworzył ją odruchowo, nie spodziewając się niczego specjalnego.

Kilka tygodni wcześniej Johanna zdołała przelać cały spadek po pani Willets na swoje konto, dodając go do sumy zaoszczędzonych przez siebie pieniędzy. Wyjaśniła kierownikowi banku, że nie wie, kiedy będzie ich potrzebować.

Suma nie była oszałamiająca, ale robiła wrażenie. Czyniła kobietę kimś ważnym. W oczach Kena Boudreau dodawała imieniu Johanny Parry blasku i sznytu.

– Miała pani na sobie brązową sukienkę? – zapytał, gdy weszła z kawą.

– Tak. Przyjechałam w niej.

– Myślałem, że mi się przyśniło. To była pani.

– Jak w innym pańskim śnie – powiedziała Johanna, a jej piegowate czoło oblało się szkarłatem. Nie wiedział, o co chodzi, ale nie miał siły dociekać. Prawdopodobnie o sen, z którego się przebudził, gdy była tu w nocy i którego nie mógł sobie teraz przypomnieć. Znowu zakaszłał, w bardziej opanowany sposób, a ona wręczyła mu kawałek papieru toaletowego.

– Hm – zastanowiła się – gdzie postawi pan tę kawę? – Przysunęła drewniane krzesło, które wcześniej odstawiła, by mieć do niego łatwiejszy dostęp. – Proszę – powiedziała. Podniosła go, ujmując pod pachy, i włożyła mu poduszkę pod plecy. Brudną poduszkę, bez poszewki; w nocy przykryła ją jednak czystym ręcznikiem.

– Może pani poszukać na dole papierosów?

Pokręciła głową, ale odpowiedziała:

– Zobaczę. Piekę herbatniki.

Ken Boudreau miał zwyczaj zarówno brać od innych pieniądze, jak i samemu je pożyczać. Większość problemów, jakie go spotkały – albo, inaczej to ujmując, w jakie się wplątywał – wynikała właśnie stąd, że nie umiał odmawiać przyjaciołom. Lojalność. Gdy nastał pokój, nie został wyrzucony z lotnictwa, ale zrezygnował ze służby z lojalności wobec przyjaciela, którego zawieszono za obrazę komendanta na przyjęciu w kantynie. Na przyjęciu w kantynie, gdzie wszystko obracano w żart i gdzie nikt nie miał prawa się obrażać; to nie było sprawiedliwe. Z kolei pracę w przedsiębiorstwie nawozów sztucznych stracił dlatego, że firmową ciężarówką pojechał w niedzielę, bez pozwolenia, za amerykańską granicę po kumpla, który wdał się w bójkę i groziło mu, że go złapią i oskarżą.

Nieodłącznym elementem jego lojalności wobec przyjaciół były trudności w kontaktach z przełożonymi. Przyznawał, że ciężko mu było się podporządkować. Słowa „Tak, proszę pana”, „Nie, proszę pana” ledwo przechodziły mu przez gardło. Z firmy ubezpieczeniowej nie został wylany, ale tyle razy omijano go przy awansach, że miał poczucie, iż podpuszczają go, by sam odszedł – co w końcu zrobił.

Trzeba przyznać, że picie też odegrało pewną rolę. Oraz poczucie, że życie powinno być czymś bardziej heroicznym, niż się wydawało w obecnych czasach.

Mawiał chętnie, że wygrał hotel w pokera. Nie był wielkim hazardzistą, ale kobietom to imponowało. Nie przyznał się, że przyjął go w ciemno jako spłatę długu. A nawet po tym, jak go zobaczył, stwierdził, że da się coś z niego zrobić. Miał ochotę urządzić się tam. Nie wyobrażał go sobie jako miejsca, gdzie ludzie mogliby się zatrzymać – może z wyjątkiem myśliwych, jesienią. Widział go raczej jako lokal, w którym można by się napić, i restaurację. Gdyby znalazł dobrą kucharkę. Ale zanim cokolwiek mogło się ruszyć, należało w przedsięwzięcie zainwestować. Było wiele rzeczy do zrobienia – więcej, niż zdołałby zrobić sam, choć nie można było o nim powiedzieć, że miał dwie lewe ręce. Jeśli przeżyłby zimę, naprawiając samemu, co się da, i udowadniając, że ma poważne plany, może dostałby kredyt w banku. Ale aby przeżyć zimę, potrzebował mniejszego kredytu, i w tym właśnie momencie na scenę wkraczał teść. Wolałby móc się zwrócić do kogoś innego, ale nikt tak łatwo by mu nie użyczył pieniędzy.

Pomyślał, że dobrze będzie sformułować prośbę jako propozycję sprzedaży mebli, do czego starszy człowiek nigdy by się nie zabrał. Miał świadomość, choć mętną, że powinien uregulować pożyczki z przeszłości, ale potraktował je jako zasłużoną rekompensatę za to, że znosił Marcelle w okresie jej złego prowadzenia się (gdy on sam jeszcze na taką drogę nie wszedł) i zaakceptował Sabithę jako własne dziecko, choć miał co do tego wątpliwości. Poza tym McCauleyowie byli jedynymi znanymi mu ludźmi będącymi w posiadaniu pieniędzy, jakich nikt z obecnie żyjących osób nie zarobił.

„Przywiozłam panu meble”.

Nie umiał wyobrazić sobie, co obecnie mogło to dla niego oznaczać. Był zbyt zmęczony. Kiedy weszła z herbatnikami (a bez papierosów), bardziej chciało mu się spać niż jeść. Aby ją zadowolić, zjadł połowę jednego. Potem zapadł w nieprzytomny sen. Przebudził się tylko połowicznie, gdy przekręcała go na jeden, potem na drugi bok, wydostając spod niego brudne prześcieradło, a następnie rozścielała pod nim czyste, nie każąc mu wstawać z łóżka i nie budząc go na dobre.

– Znalazłam czyste prześcieradło, tylko że jest strasznie cienkie – powiedziała. – Niezbyt ładnie pachniało, więc powiesiłam je na sznurze.

Zdał sobie potem sprawę, że dźwięk, jaki przez długi czas słyszał we śnie, w rzeczywistości był odgłosem pralki. Zastanawiał się, jak to było możliwe; bojler nie działał. Musiała zagrzać kotły wody na piecu. Jeszcze później usłyszał całkiem wyraźnie odgłos silnika własnego samochodu. Widocznie znalazła kluczyki w kieszeni jego spodni.

Możliwe, że odjeżdżała na dobre jedyną należącą do niego rzeczą, która była coś warta, a on nie mógł nawet zadzwonić na policję, by ją zatrzymano. Choćby zdołał dowlec się do telefonu, linia była odcięta.

Istniała możliwość kradzieży i ucieczki, a mimo to obrócił się na drugi bok w świeżej pościeli pachnącej wiatrem z pól i trawą i ponownie zapadł w sen, pewien, że pojechała tylko kupić mleko, jajka, masło i chleb oraz inne produkty – nawet papierosy – niezbędne do godziwego życia, i że wróci i będzie się krzątać na dole, a odgłos jej obecności będzie rozpiętą pod nim siatką bezpieczeństwa, darem niebios, którego nie ma co kwestionować.

Miał obecnie problem z kobietami. Właściwie z dwiema: młodą i starszą (to znaczy mniej więcej w jego wieku), które o sobie wiedziały i były gotowe wytargać sobie nawzajem włosy z głowy. Wszystko, co od nich otrzymywał ostatnimi czasy, to wrzaski i narzekania, przerywane gniewnymi zapewnieniami, że go kochają.

Może i na ten problem znalazło się rozwiązanie.

Robiąc zakupy w sklepie, Johanna usłyszała pociąg, a w drodze powrotnej do hotelu zobaczyła zaparkowany przed dworcem samochód. Jeszcze zanim zatrzymała samochód Kena Boudreau, dostrzegła piętrzące się na peronie skrzynie z meblami. Podeszła do zawiadowcy stacji – to jego samochód tam stał – którego przybycie tych wszystkich okazałych skrzyń zaskoczyło i poirytowało. Wyciągnęła od niego nazwisko właściciela ciężarówki – czystej ciężarówki, podkreśliła – mieszkającego trzydzieści kilometrów stamtąd i okazjonalnie zajmującego się transportem, zadzwoniła do tego mężczyzny z telefonu na stacji i na poły przekupując go, na poły mu rozkazując, namówiła go, by natychmiast przyjechał. Po czym wymusiła na pracowniku stacji, że zostanie przy skrzyniach do czasu przyjazdu ciężarówki. Zanim nadeszła pora kolacji, ciężarówka przybyła, a jej właściciel wraz z synem wyładowali wszystkie meble i wnieśli do głównego pomieszczenia hotelu.

Nazajutrz rozejrzała się dobrze po całym budynku. Dojrzewała do podjęcia decyzji.

Dzień później, uznawszy, że Ken Boudreau może usiąść i jej wysłuchać, oświadczyła:

– Jeśli chodzi o pieniądze, ten hotel to worek bez dna. Miasto podupada. Trzeba stąd wyciągnąć wszystko, co może przynieść gotówkę, i sprzedać. Nie mam na myśli mebli, które właśnie przyjechały, ale takie rzeczy jak stół bilardowy czy kuchenka. Potem powinniśmy sprzedać budynek komuś, kto zedrze blachę na złom. Zawsze można wycisnąć parę groszy z gratów, które wydają się bez wartości. Poza tym: co zamierzał pan robić, zanim pan dostał ten hotel?

Odpowiedział, że myślał o wyjeździe do Kolumbii Brytyjskiej, do Salmon Arm, miał tam przyjaciela, który kiedyś mówił mu o możliwości pracy w zarządzie sadów. Ale nie mógł pojechać, bo w samochodzie trzeba było zmienić opony i zreperować parę rzeczy przed tak daleką podróżą, on zaś wszystko, co miał, wydawał po prostu na życie. A potem wpadł mu w ręce hotel.

– Jak tona cegieł – skwitowała. – Lepiej było inwestować w opony i naprawę samochodu niż topić gotówkę w czymś takim. Dobrze byłoby tam pojechać przed nadejściem zimy. A meble można znowu nadać pociągiem, żeby były na miejscu, gdy dojedziemy. Mamy wszystko, czego potrzeba, by umeblować dom.

– Może to nie była wiążąca propozycja.

– Wiem – odparła. – Ale wszystko będzie dobrze.

Zrozumiał, że rzeczywiście wie i że wszystko jest, będzie dobrze. Można by powiedzieć, że przypadek taki jak jego to jej specjalność.

Nie żeby był niewdzięczny. Osiągnął punkt, w którym wdzięczność przestaje być brzemieniem – staje się czymś naturalnym, zwłaszcza, gdy się jej nie wymaga.

Zaczynały się w nim rodzić myśli o rozpoczęciu od nowa. *Oto zmiana, jakiej potrzebuję.* Powtarzał już takie słowa w przeszłości, ale tym razem z pewnością miały się okazać prawdą. Łagodne zimy, zapach wiecznie zielonych lasów i dojrzałe jabłka. *Wszystko, czego potrzeba, by stworzyć dom.*

Ma swą dumę, pomyślała. Trzeba będzie o tym pamiętać. Może lepiej byłoby nigdy nie wspominać listów, w których tak się przed nią otworzył. Zniszczyła je przed wyjazdem. W rzeczywistości niszczyła każdy zaraz po tym, jak przeczytała go dość razy, by nauczyć się słów na pamięć, a nie trwało to długo. Za nic w świecie nie chciała, by wpadły w ręce Sabithy albo jej pokrętej przyjaciółki. Zwłaszcza fragment ostatniego listu o koszuli nocnej i leżeniu w łóżku. Nie było w tym nic niestosownego, ale pisanie o tym można było uznać za wulgarne czy nieprzyzwoite, albo ośmieszające.

Wątpiła, by mieli wiele okazji do widywania Sabithy. Ale nigdy by mu nie przeszkodziła, gdyby naprawdę mu na tym zależało.

Właściwie nie było to nowe doświadczenie: to rześkie poczucie ekspansji i odpowiedzialności. Coś podobnego czuła wobec pani Willets – innej obdarzonej miłą powierzchownością lekkomyślną osobą, która wymagała opieki i pokierowania sobą. Przypadek Kena Boudreau wykraczał odrobinę poza to, czego się spodziewała; były też różnice, jakich można oczekiwać w przypadku mężczyzny, ale z pewnością nic takiego, z czym nie mogłaby sobie poradzić.

Po pani Willets serce jej wyschło i uznała wtedy, że tak już będzie zawsze. A teraz takie ciepłe poruszenie, taka gorliwa miłość.

Pan McCauley zmarł dwa lata po wyjeździe Johanny. Jego pogrzeb był ostatnim, jaki odbył się w kościele anglikańskim. Frekwencja dopisała. Sabitha, która przybyła z kuzynką swojej matki, tą kobietą z Toronto, była teraz powściągliwa, ładna i nadspodziewanie szczupła. Przyjechała w czarnym eleganckim kapeluszu i nie odzywała się do nikogo, chyba że ktoś pierwszy ją zagadnął. A i wtedy zdawała się nie pamiętać tej osoby.

Nekrolog w gazecie informował, że pan McCauley zostawił po sobie wnuczkę Sabithę Boudreau i zięcia Kena Boudreau, żonę pana Boudreau, Johannę oraz ich synka Omara z Salmon Arm w prowincji Kolumbia Brytyjska.

Matka Edith odczytała to na głos; Edith nigdy nie zaglądała do lokalnej gazety. Małżeństwo nie było dla nich oczywiście nowiną, tak jak i dla ojca Edith, który w sąsiednim frontowym pokoju oglądał telewizję. Wieść się rozniosła. Jediną nowiną był Omar.

– Ona z n i e m o w l a k i e m – powiedziała matka Edith.

Edith odrabiała przy kuchennym stole ćwiczenie z łaciny. *Tu ne quaesieñs, scire nefas, quem mihi, quem tibi...*

W kościele pilnowała się, by nie odezwać się do Sabithy pierwsza, zanim Sabitha jej nie zagadnie.

Nie bała się już, że zostaną zdemaskowane, choć wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego do tego nie doszło. I w pewnym sensie wydawało jej się słuszne, że jej dawne wybryki nie miały związku z tym, czym była obecnie, a cóż dopiero z jej prawdziwym „ja”, które – spodziewała się – dojdzie do głosu, gdy ona opuści to miasto i tych wszystkich ludzi, przekonanych, że ją znają. Cały ten ciąg skutków wprawiał ją w konsternację; wydawał się niesamowity, ale nudny. A także obraźliwy, jak jakiś dowcip albo nieporadne ostrzeżenie, próbujące ją osaczyć. Gdzie bowiem na liście rzeczy, jakie planowała osiągnąć w życiu, wzmiankowana była jej odpowiedzialność za ziemską egzystencję osoby o imieniu Omar?

Nie zwracając uwagi na matkę, napisała: „Nie pytaj, bo wiedzieć nie trzeba...”.

Przerwała, gryząc ołówek, po czym zakończyła z dreszczem satysfakcji:.....co gotuje nam los, tobie i mnie”.

Wiszący most

Raz go zostawiła. Bezpośredni powód był raczej banalny. Razem z dwójką Młodocianych Przystępców (Młokosów, jak ich nazywał) wrębał cały piernik, który upiekła, żeby podać wieczorem po zakończeniu zebrania. Niezauważona – w każdym razie przez Neala i Młokosów – wyszła z domu i powędrowała do wiaty przystankowej na głównej ulicy, gdzie dwa razy dziennie zatrzymywał się podmiejski autobus. Nigdy wcześniej tam nie była, a do przyjazdu autobusu miała kilka godzin. Siedziała i czytała wszystko, co napisano lub wycięto na drewnianych ścianach. Przeróżne inicjały spletały się w miłosnym uścisku. Laurie G. ciągnęła druta. Dunk Cultis był pedałem. Był nim również pan Garner (od matematyki).

Wal się H.W. Gandzia rządzi. Skejtuj albo giń. Bóg was pokarze. Kevin S. to Ścierwo. Amanda W. jest piękna i dobra i szkoda że wsadzili ją do więzienia bo tęsknię za nią całym sercem. Chcę pieprzyć V.P. Starsze panie muszą tu siedzieć i czytać te wasze świństwa.

Patrząc na ten zalew międzyludzkich sygnałów – i zatrzymując się szczególnie nad uczuciowym, starannie wykaligrafowanym zdaniem na temat Amandy W., Jinny zastanowiła się, czy ludzie są sami, gdy wypisują takie rzeczy. A potem wyobraziła sobie siebie, siedzącą w tym lub podobnym miejscu, czekającą na autobus, samotnie, bo na pewno będzie samotna, jeżeli doprowadzi do końca powzięte zamierzenie. Czy i ona czułaby wtedy przymus pisania po ścianach w miejscach publicznych?

Rozumiała, w tamtym momencie, jak czują się ludzie, gdy muszą pewne rzeczy napisać – powiązana z nimi przez swoją złość, małostkowe oburzenie (czyż nie było małostkowe?), satysfakcję na myśl o tym, co robi Nealowi, że odpłaca mu pięknym za nadobne. Ale w życiu, do którego właśnie wracała, mogło nie być nikogo, na kogo mogłaby się obrażać, kto by cokolwiek jej zawdzięczał, kto w ogóle poczułby się kiedyś nagrodzony czy ukarany, czy w jakikolwiek sposób dotknięty jej postępowaniem. Jej uczucia mogłyby stracić jakiegokolwiek znaczenie dla kogokolwiek poza nią, a przecież nadal będą się w niej gotować, ściskając serce i dławiąc w gardle.

Bądź co bądź, nie była kimś, do kogo ludzie pchają się drzwiami i oknami. A mimo to była wybredna, na swój sposób.

Autobus ciągle nie nadjeżdżał, gdy Jinny wstała i wróciła do domu.

Neala nie było. Odwoził chłopaków do szkoły, a zanim wrócił, już ktoś zdążył przyjść na zebranie. Opowiedziała mu o tym, co zrobiła, gdy miała to już za sobą i mogła obrócić wszystko w żart. W takim też tonie wiele razy opowiadała później tę historię w towarzystwie, opuszczając lub tylko pobieżnie streszczając napisy na ścianach.

– Przyszłoby ci w ogóle do głowy, żeby mnie szukać? – zapytała Neala.

– Oczywiście. O ile znalazłbym czas.

Onkolog zachowywał się jak ksiądz i był nawet podobnie ubrany, w czarną koszulę ze stójką pod białym fartuchem – strój sugerował, że właśnie powrócił z jakiegoś ceremonialnego mieszania i aplikowania. Jego skóra, młodzieńcza i gładka, miała kolor toffi. Na czubku głowy miał króciutką szczecinę czarnych włosów, delikatny meszek, bardzo podobny do tego u Jinny. Tylko że jej był brązowoszary, jak mysie futerko. W pierwszej chwili Jinny pomyślała, że być może też jest pacjentem, oprócz tego że lekarzem. Albo wybrał taką fryzurę, żeby pacjenci czuli się przy nim bardziej swobodnie. Chociaż mógł mieć przeszczepione włosy. A może po prostu takie mu się podobały.

Nie było mowy, żeby go o to zagadnąć. Pochodził z Syrii czy z Jordanii, jednego z krajów, gdzie lekarze nie spoufalają się z pacjentem. Jego uprzejmość była lodowata.

– Proszę pani – powiedział. – Nie chcę, żeby pani mnie źle zrozumiała.

Wyszła z klimatyzowanego budynku wprost na oślepiający żar późnego sierpniowego popołudnia w Ontario. Słońce czasem paliło na wskroś, czasem zasłaniała je cienka warstwa chmur – w jednym i drugim przypadku upał był taki sam. Zaparkowane samochody, chodnik, bryły sąsiednich budynków – wszystko to wydawało się walić prosto na nią, jak nieprzystające do siebie dane stłoczone w jednym absurdalnym zdaniu. Ostatnio źle znosiła zmiany scenerii, wołała, żeby wszystko było znajome i stałe. To samo odnosiło się do nowych wiadomości.

Dostrzegła, że bus zaparkowany przy krawężniku ruszył i podjeżdża w jej kierunku. Był jasnoniebieski, świecący, w odcieniu, od którego mogą rozboleć zęby. Bledszy w miejscach, w których zamalowano plamy rdzy. Ponaklejane nalepki mówiły: „WIEM, ŻE JEŹDŻĘ STARYM GRATEM, ALE POWINNIŚCIE ZOBACZYĆ MÓJ DOM” i „SZANUJ MATKĘ ZIEMIĘ” oraz – ta była od niedawna – „STOSUJ PESTYCYDY, NISZCZ CHWASTY, ROZSIEWAJ RAKA”.

Neal wysiadł, żeby jej pomóc.

– Jest w środku – powiedział.

W jego głosie wychwyciła znajomą nutę ostrzeżenia lub błagalnej prośby. W nim samym wyczuła nadmierne ożywienie, napięcie, które podpowiedziało jej, że to nie jest dobry moment na przekazanie mu najświeższych wiadomości – o ile mogła je tak nazwać. Ilekroć Neal znajdował się w towarzystwie innych osób, nawet jednej osoby poza Jinny, jego zachowanie ulegało zmianie; stawał się bardziej ożywiony i pełen entuzjazmu, usłużny. Jinny już do tego przywykła – byli razem od dwudziestu jeden lat. Ona też się zresztą wtedy zmieniała – na zasadzie reakcji, jak jej się wydawało – przyjmując postawę większej rezerwy i lekkiej ironii. Jakaś forma maskarady była niezbędna, a może zbyt już do niej przywykli, by ją porzucić. Tak jak przedpotopowy wygląd Neala – bandanka na głowie, niedbały kucyk siwych włosów, mały złoty kolczyk w uchu, który błyskał w świetle, podobnie jak krawędzie złotych koronek na zębach, i te jego znoszone ubrania hipisa.

Gdy ona była u lekarza, Neal pojechał odebrać dziewczynę, która miała im pomagać w domu w najbliższym czasie. Neal znał ją z Zakładu Poprawczego dla Młodocianych Przystępców, gdzie był

zatrudniony jako nauczyciel; ona pracowała w kuchni. Zakład Poprawczy znajdował się na obrzeżach miasteczka, w którym mieszkali, jakieś dwadzieścia mil stamtąd. Dziewczyna już parę miesięcy wcześniej odeszła z kuchni i zajmowała się domem na farmie, gdzie zachorowała gospodyni.

Gdzieś niedaleko od tego większego miasta. Na szczęście była już wolna.

– Co się stało z tą kobietą? – spytała Jinny. – Zmarła?

– Poszła do szpitala – odpowiedział Neal.

– Na jedno wychodzi.

Musieli wprowadzić wiele praktycznych zmian, i to niemal z dnia na dzień. Wyrzucić z salonu teczki, gazety i czasopisma z ważnymi artykułami, jeszcze niezapisanymi na płytach, wypełniające półki od podłogi do sufitu. Także oba komputery, stare maszyny do pisania, drukarkę. To wszystko musiało powędrować – tymczasowo, chociaż nikt tego tak nie sformułował – do kogoś innego. Salon miał być przekształcony w pokój dla obłożnie chorej.

Jinny powiedziała Nealowi, żeby zostawił chociaż jeden komputer, w sypialni. Ale nie chciał. Nie powiedział dlaczego, ale pewno nie sądził, że znajdzie na to czas.

Przez wszystkie lata, odkąd się znali, Neal spędzał praktycznie cały wolny czas na organizowaniu i prowadzeniu kampanii. Nie tylko kampanii politycznych (choć tych też), ale i takich, których celem było ratowanie historycznych budynków, mostów i cmentarzy, chronienie przed ścięciem drzew na poboczach dróg w miasteczku i na bezludnych obszarach starych lasów, ochrona rzek przed trującymi ściekami, najlepszej ziemi przed deweloperami, a społeczności lokalnej przed kasynami. Nieustannie powstawały listy i petycje, trwał lobbing w administracji, plakaty były rozlepiane, a protesty organizowane. Ich salon był miejscem, gdzie rozgrywały się sceny gniewu i oburzenia (sprawiały one ludziom sporo satysfakcji, jak zaobserwowała Jinny), toczyły dyskusje nad przeróżnymi propozycjami i gdzie Neal dawał upust swej niespożytej energii. Teraz, gdy pokój został tak nagle ogołocony, Jinny przypomniała sobie dzień, gdy pierwszy raz tutaj weszła, prosto z rodzinnego domu – piętrowego, z lambrekinami na oknach – i pomyślała o półkach pełnych książek, drewnianych okiennicach i pięknych wschodnich dywanikach, których nazwy nigdy nie pamiętała, na wypastowanym parkiecie. Na jedynej pustej ścianie wisiała reprodukcja obrazu Canaletta, którą kupiła do swojego pokoju w college'u. *Lord Mayor's Day on the Thames*. Sama go tutaj powiesiła, a potem zupełnie przestała zauważać.

Pożyczyli szpitalne łóżko – właściwie jeszcze go nie potrzebowali, ale lepiej było zaopatrzyć się w nie zawczasu, ponieważ często ich brakowało. Neal pomyślał o wszystkim. Na oknach powiesił grube zasłony, które kiedyś zdobiły salon znajomych, a teraz były do oddania. Miały wzór w kufle i końskie medale i Jinny uznała je za wyjątkowo brzydkie. Ale teraz już wiedziała, że przychodzi czas, gdy brzydkie i piękne pełni w gruncie rzeczy tę samą rolę, gdy wszystko, na co spojrzysz, stanowi tylko tło dla niekontrolowanych reakcji w twym ciele i dla tego, co pozostało z twego rozbitego umysłu.

Miała czterdzieści dwa lata i jeszcze do niedawna wyglądała na młodszą. Neal był szesnaście lat starszy. Sądziła więc, że zgodnie z naturalnym porządkiem rzeczy to ona kiedyś będzie w sytuacji, w jakiej znalazł się teraz Neal, i czasami martwiła się, jak sobie poradzi. Kiedyś, gdy leżąc w łóżku przed zaśnięciem, trzymała go za rękę, ciepłą i bliską, pomyślała, że ujmie jego dłoń lub jej dotknie przynajmniej raz, kiedy Neal umrze. I że nie będzie mogła w to uwierzyć. W to, że Neal jest martwy i bezsilny. Choćby nie wiem jak długo przygotowywała się na tę sytuację, nie będzie potrafiła dać jej wiary. Uwierzyć, że gdzieś w głębi on może nie wiedzieć już o niczym i o nikim. O niej też. Myśl o nim nieświadomym jej istnienia przyprawiała ją o coś w rodzaju emocjonalnego zawrotu głowy – jakby spadała w próżnię.

A mimo to – ekscytacja. Niewyraźalna ekscytacja, jaką można poczuć, gdy nadciągająca katastrofa niesie ze sobą obietnicę zwolnienia cię z całej odpowiedzialności za twoje własne życie. Potem, z poczucia przyzwyczajenia, musisz wziąć się w garść i zachowywać spokojnie.

– A ty dokąd? – zapytał, gdy wysunęła dłoń z jego dłoni.

– Nigdzie. Tylko przewracam się na drugi bok.

Nie wiedziała, czy Neal czuje coś podobnego, teraz, gdy przytrafiło się to jej. Zapytała go, czy już się przyzwyczaił do tej myśli. Pokręcił głową.

– Ja też nie – powiedziała.

Potem dorzuciła:

– Tylko nie wpuszczaj do domu pocieszycieli z zakładu pogrzebowego. Kto wie, czy już się tutaj nie kręcą. W ramach akcji prewencyjnej.

– Nie dobijaj mnie – odrzekł gniewnie. Rzadko można było usłyszeć gniew w jego głosie.

– Przepraszam.

– Nie na wszystko trzeba patrzeć z przymrużeniem oka.

– Wiem – odparła.

Ale prawda była taka, że przy tym wszystkim, co się działo, i tylu bieżących sprawach absorbujących jej uwagę było jej trudno spojrzeć na to w ogóle jakkolwiek.

– To jest Helen – powiedział Neal. – To właśnie ona będzie się nami od dzisiaj opiekować. Przy niej będziemy chodzić jak w zegarku.

– I bardzo dobrze – odpowiedziała Jinny. Wyciągnęła rękę na przywitanie, kiedy już usiadła. Ale dziewczyna mogła nie dostrzec jej dłoni, w dole, pomiędzy przednimi siedzeniami.

Albo mogła nie wiedzieć, jak się zachować. Neal opowiedział Jinny wcześniej, że Helen miała za sobą jakąś zupełnie nieprawdopodobną historię, że dorastała w całkowicie zdegenerowanej rodzinie. Trudno było uwierzyć, że coś takiego może się dziać w obecnych czasach, w naszym stuleciu. Jakaś farma na uboczu, gdzie po śmierci matki mieszkała opóźniona umysłowo córka, tyraniczny, obłąkany, kazirodczy stary ojciec i dwie małe dziewczynki. Helen, starsza, uciekła, gdy miała

czternaście lat, pobiwszy najpierw starego. Sąsiedzi, którzy ją znaleźli, zadzwonili po policję; policja przyjechała, zabrała młodszą dziewczynkę i umieściła obie w domu dziecka. Mężczyzna i jego córka – to znaczy ich ojciec i matka – zostali umieszczeni w szpitalu psychiatrycznym. Helen i jej siostrę, zdrowe psychicznie i fizycznie, wzięli na wychowanie przybrani rodzice. Posłano je do szkoły, gdzie spędziły kilka niewesołych lat, bo musiały zaczynać od pierwszej klasy. Ale nauczyły się wystarczająco dużo, żeby móc znaleźć pracę.

Kiedy Neal włączył silnik, dziewczyna postanowiła się odezwać.

– Ale upalny dzień sobie wybraliście na jeżdżenie po mieście – powiedziała. Zabrzmiało to trochę tak, jakby nieraz słyszała to zdanie jako formę zagajenia rozmowy. Mówiła twardym, monotonnym tonem, który wyrażał wrogość i nieufność, ale Jinny wiedziała, że nawet tego nie powinna brać do siebie. Niektórzy ludzie – szczególnie pochodzący ze wsi – po prostu mówili w ten sposób w tym zakątku świata.

– Jeśli ci gorąco, włącz klimatyzację – odpowiedział Neal. – Mamy stary model: wszystkie okna w dół.

Przy następnej przecznicy skręcili gdzie indziej, niż Jinny się spodziewała.

– Musimy podjechać do szpitala – powiedział Neal. – Tylko się nie denerwuj. Siostra Helen tam pracuje i Helen musi coś od niej odebrać. Dobrze mówię, Helen?

– Taa. Moje porządne buty.

– Porządne buty Helen. – Neal spojrział na Helen we wstecznym lusterku. – Dobre buty różanej panienci Helenki.

– Nie nazywam się Różana Panienska – odburknęła Helen. Wyglądało na to, że nie mówi tego po raz pierwszy.

– Nazwałem cię tak, bo masz policzki jak różyczki – odrzekł Neal.

– Wcale że nie.

– A właśnie że tak. Prawda, Jinny? Jinny też myśli, że masz policzki jak różyczki. Różana panienska, ma policzki jak różyczki.

Dziewczyna naprawdę miała delikatną różową skórę. Jinny zauważyła też jej prawie białe rzęsy i brwi, jasnoblond włosy, miękkie jak u dziecka, i usta, które wyglądały na dziwnie nagie, nie takie jak wargi po prostu niepociągnięte szminką. Wszystko w niej było świeże, jakby dopiero co wykluła się z jajka i wciąż miała upierzenie pisklaka, jakby brakowało jej jeszcze jednej, grubszej warstwy skóry. Musiała należeć do osób podatnych na wysypki i zakażenia; na takiej skórze widoczne było każde zadrapanie i siniak, pewnie też często miała zajady w kącikach ust i jęczmień między jasnymi rzęsami. A mimo to wcale nie wyglądała na chuchro. Była szeroka w ramionach, szczupła, ale mocno zbudowana. Na głupią też nie wyglądała, chociaż w wyrazie twarzy miała bezpośredniość cielęcia lub sarny. Wszystko docierało do niej wprost, jej uwaga i cała osobowość atakowała cię z niewinną, ale także – dla Jinny – nieprzyjemną siłą.

Jechali długą, wznoszącą się drogą w stronę szpitala – tego, w którym Jinny miała operację

i przeszła pierwszą serię chemioterapii. Naprzeciwko szpitala, po drugiej stronie drogi znajdował się cmentarz. Była to główna droga i ilekroć tędy przejeżdżali – w dawnych czasach, gdy wpadali do miasta tylko na zakupy lub, z rzadka, do kina – Jinny mawiała: „Co za nieprzyjemny widok” lub „Wygoda wygodą, ale to już jest przesada”.

Teraz milczała. Cmentarz już jej nie przeszkadzał. Zdała sobie sprawę, że nie miało to znaczenia.

Neal musiał to wyczuć, bo odezwał się do lusterka:

– Jak myślisz, ilu martwych ludzi jest na cmentarzu?

Helen nie odpowiedziała od razu. Dopiero po chwili – trochę nadąsanym głosem:

– Nie wiem.

– W s z y s c y tam są martwi – oznajmił Neal.

– Mnie też na tym złapał – wtrąciła Jinny. – To żart na poziomie czwartej klasy podstawówki.

Helen nic nie powiedziało. Być może nigdy nie doszła do czwartej klasy.

Podjechali najpierw do głównej bramy szpitala, potem, zgodnie ze wskazówkami Helen, okrążyli budynek i zaparkowali z tyłu. Stali tam pacjenci w szpitalnych szlafrokach ~ niektórzy ciągnący za sobą stojaki z kroplówką – którzy wyszli na papierosa.

– Widzisz tę ławkę? – spytała Jinny. – On, nieważne, już ją minęliśmy. Jest na niej tabliczka „ZAKAZ PALENIA”. Ale przecież ławkę ustawiono z myślą o pacjentach, żeby mogli usiąść, kiedy wyjdą z budynku. A po co wychodzą? Żeby zapalić. A więc nie mogą siedzieć na ławce? Nie pojmuję tego.

– Siostra Helen pracuje w pralni – powiedział Neal. – Jak jej na imię, Helen? Jak ma na imię twoja siostra?

– Lois – odpowiedziała Helen. – Proszę stanąć tutaj. OK, może być.

Zatrzymali się na parkingu za skrzydłem szpitala. Na parterze była tylko brama towarowa, zamknięta na cztery spusty. Drzwi na wyższych piętrach wychodziły na schody ewakuacyjne.

Helen wysiadała.

– Wiesz, jak się dostać do środka? – spytał Neal.

– Łatwizna.

Schody ewakuacyjne kończyły się jakieś półtora metra nad ziemią, ale dziewczyna zdołała złapać się poręczy i podciągnąć – być może wsadzając stopę w dziurę po obluzowanej cegle w ścianie – tak szybko, że Jinny nie zdążyła dostrzec, jak to zrobiła. Neal wybuchnął śmiechem.

– Do ataku, dziewczyno – zawołał.

– Nie było innej drogi? – spytała Jinny.

Helen wbiegła już po schodach i zniknęła na trzecim piętrze.

– Nawet gdyby była, Helen by nią nie poszła – odrzekł Neal.

– Dziewczyna z jajami – powiedziała Jinny z wysiłkiem.

– Inaczej nigdy by się stamtąd nie wyrwała – stwierdził Neal. – Musiała być twarda.

Jinny miała na głowie słomkowy kapelusz z szerokim rondem. Zdjęła go i zaczęła się nim wachlować.

– Przepraszam – powiedział Neal. – Nie mogę tu nigdzie zaparkować w cieniu. Ona zaraz wróci.

– Nie wystraszę nikogo? – spytała Jinny. Ostatnio stale go o to pytała.

– Wyglądasz w porządku. Poza tym i tak nikogo tu nie ma.

– Lekarz, z którym dziś rozmawiałam, to nie był ten co ostatnio. Myślę, że był ważniejszy.

Dziwne, jego głowa wyglądała jak moja. Może to specjalnie? Żeby pacjenci czuli się przy nim swobodnie?

Chciała przejść do drugiej sprawy, do tego, co usłyszała od lekarza, ale Neal powiedział:

– Siostra nie jest tak bystra jak Helen. Helen właściwie nadal się nią opiekuje i wszystkim rządzi. Tak jak teraz z tymi butami – typowe. Czy tamta nie może kupić sobie własnych butów? Nawet nie mieszka sama, tylko z zastępczymi rodzicami, gdzieś za miastem.

Jinny nic nie powiedziała. Wachlowanie się kapeluszem pochłaniało większość jej energii. Neal patrzył na budynek.

– Oby tylko nikt jej nie zatrzymał za wchodzenie nie tędy, co trzeba – powiedział. – Łamanie przepisów. Ona nie jest typem dziewczęcia, które się przejmuje przepisami.

Po kilku minutach zagwizdał.

– No, jest. Nadchodzi. Już wyszła z za zakrętu, już zbliża się do mety. Czy będzie miała... Czy będzie miała dość rozsądku, żeby nie skoczyć w biegu? Spojrzy w dół, nim zeskoczy? Czy spojrzy w dół, zanim...? Ależ skąd. Ależ skąd. No, dobra.

Helen nie miała w rękach butów. Wsiadła do busa, zatrzasnęła z hukiem drzwi i wypaliła:

– Co za kretyni. Wchodzę, a tu jakiś dupek się do mnie przychrzanił. Gdzie masz identyfikator? Musisz mieć identyfikator. Nie wolno wchodzić bez identyfikatora. Widziałem, że weszłaś schodami ewakuacyjnymi, tędy nie wolno. Dobra, dobra, mówię, muszę pogadać z siostrą. Nie możesz z nią pogadać, nie ma teraz przerwy. Wiem, właśnie dlatego weszłam tymi schodami, bo muszę tylko coś od niej odebrać. Nie chcę z nią gadać ani zabierać jej czasu, tylko coś odebrać. Ale nie możesz. Właśnie że mogę. Ale nie możesz. Więc zaczynam wrzeszczeć „Lois, Lois”. Maszyny robią łomot na maksa, gorąco, że można zwariować, wszystkim pot zalewa oczy, ludzie łążą, a ja się drę „Lois, Lois”. Nie wiem, gdzie ona jest, czy mnie słyszy, czy nie. Aż wreszcie wylatuje skądś i na mój widok od razu: „Cholera, kurde, zapomniałam”. Zapomniała wziąć moje buty. Zadzwoiłam do niej wczoraj wieczorem i jej przypomniałam, a ona mi tu, kurde, zapomniała. Mogłam ją walnąć. A teraz wynocha, ten mi na to, wynocha, ale normalnymi schodami. Nie ewakuacyjnymi, bo to niedozwolone. Szczął go pies.

Neal śmiał się przez całą opowieść, kręcąc głową.

– Zapomniała tych butów? Zostawiła je w domu?

– Tak, u June i Matta.

– No to tragedia.

Jinny odezwała się:

– Możemy już ruszyć? Przynajmniej będzie powiew. Wachlowanie niewiele pomaga.

– Jasne – odrzekł Neal. Wycofał bus, zawrócił i znowu przejechali obok wejścia do szpitala, gdzie ci sami lub inni palacze paradowali w ponurych szpitalnych piżamach, ciągnąc za sobą kroplówki na stojakach. – Tylko Helen musi nam teraz powiedzieć, dokąd jedziemy. Helen? – Zawołał w stronę tylnego siedzenia.

– Co?

– W którą stronę teraz, żeby dojechać do ich domu?

– Czyjego?

– Ludzi, u których mieszka twoja siostra. Gdzie są twoje buty. Powiedz nam, jak tam dojechać.

– Nie jedziemy tam, więc panu nie powiem.

Neal zawrócił i pojechał z powrotem w stronę, z której przyjechali.

– Będę jechał tak długo, aż podasz mi wskazówki. Mam wyjechać na autostradę? Czy zawrócić do centrum? Skąd będzie bliżej?

– Znikąd. Nigdzie nie jedziemy.

– Ale to nie jest daleko, prawda? Dlaczego mielibyśmy tam nie pojechać?

– Już mi pan zrobił przysługę i starczy. – Helen przechyliła się do przodu, jak tylko mogła, wtykając głowę między oparcia siedzeń Neala i Jinny. – Podwiózł mnie pan do szpitala, nie wystarczy? Nie musi pan jeździć po całym mieście za moimi sprawami.

Zwolnili i skręcili w boczną uliczkę.

– To bez sensu – powiedział Neal. – Wyjeżdżasz, będziesz trzydzieści kilometrów stąd i kto wie, kiedy znowu tu wrócisz? Możesz potrzebować tych butów.

Żadnej odpowiedzi. Spróbował ponownie.

– A może nie wiesz, jak tam dojechać? Nie wiesz, jak tam stąd dojechać?

– Wiem, ale nie powiem.

– No to sobie pojeździmy. Będziemy tak jeździć w kółko, aż to sobie przemyślisz i nam powiesz.

– Ja tam nie będę o tym myśleć. Więc nie powiem.

– Możemy wrócić i spytać twoją siostrę. Na pewno nam powie. Chyba już niedługo kończy pracę, moglibyśmy ją odwiedzić do domu.

– Pracuje na drugą zmianę, więc nic z tego.

Przejeżdżali teraz przez dzielnicę, w której Jinny nigdy wcześniej nie była. Jechali bardzo wolno i często zakręcali, więc do samochodu nie wpadał prawie żaden powiew powietrza. Wałęca się fabryka, sklepy z przecenionymi towarami, lombardy. „GOTÓWKA GOTÓWKA GOTÓWKA” głosił

migający neon nad zakratowanymi oknami. Były też domy mieszkalne, stare bliźniaki i wolno stojące drewniane domki, jakich wiele wybudowano po drugiej wojnie. Na malutkim podwórku wystawiono mnóstwo rzeczy na sprzedaż – ubrania rozwieszane na sznurze, na stolikach sterty talerzy i różnych narzędzi kuchennych i gospodarczych. Jakiś pies węszył pod stolikiem i mógł go lada chwila przewrócić, ale kobieta, która siedziała na stopniach, paląc i pilnując nieobecnych klientów, wydawała się tym nie przejmować.

Przed narożnym sklepem grupka dzieci lizała lody na patyku. Chłopczyk stojący najbliżej ulicy – nie więcej niż cztero- lub pięcioletni – cisnął lodem w przejeżdżającego busa. Zaskakująco silnie. Trafił w drzwi po stronie Jinny, tuż pod jej łokciem. Wydała cichy okrzyk.

Helen wystawiła głowę przez tylne okno.

– Chcesz mieć rękę w gipsie?

Chłopczyk zaniósł się płaczem. Nie spodziewał się kogoś takiego jak Helen i prawdopodobnie nie spodziewał się też, że jego lód na patyku odjedzie na zawsze.

W busie Helen odezwała się do Neala:

– Tylko traci pan benzynę.

– Na północ od miasta? – spytał Neal. – Na południe? Północ, południe, zachód, wschód, Helen, powiedz, gdzie masz but.

– Już panu powiedziałam. Zrobił mi pan dzisiaj przysługę i drugiej nie będzie.

– A ja ci powiedziałem, że odbierzemy te buty, zanim ruszymy do domu.

Chociaż Neal mówił surowo, nie przestawał się uśmiechać. Na jego twarzy malował się rozmyślny, ale też niemożliwy do opanowania, ośli upór. Znak, że opanowała go kompletna błogość. Całe jego jestestwo wypełniała po brzegi absolutna, ogłupiająca błogość.

– Ale pan uparty – powiedziała Helen.

– Dopiero zobaczysz jak.

– Ja też. Jestem uparta jak pan.

Jinny miała wrażenie, że czuje ciepło bijące od rumieńca na policzku dziewczyny, tak blisko był jej twarzy. I wyraźnie słyszała oddech, chrapliwy i płytki ze zdenerwowania, lekko astmatyczny. Jazda z Helen przypominała trochę podróż z domowym kotem, którego nie powinno się nigdzie wozić, bo jest zbyt nerwowy, żeby usiedzieć spokojnie, i zaczyna skakać pomiędzy siedzeniami.

Słońce znowu przepaliło warstwę chmur. Nadal wisiało wysoko na niebie, rozpalone jak blacha.

Neal skręcił w uliczkę ocienioną szpalerem grubych starych drzew; domy wyglądały na zamożniejsze.

– Lepiej w cieniu? – skierował pytanie w stronę Jinny. Zadał je cichszym, poufnym tonem, jakby rozmowa z dziewczyną mogła zostać na chwilę odłożona na bok, taka tam nieistotna zabawa.

– Podziwiamy piękne widoki – powiedział głośniejszym, znowu w kierunku tylnego siedzenia. – Podziwiamy piękne widoki, dzięki uprzejmości różanej panienki Helenki.

– Może powinniśmy już jechać – powiedziała Jinny. – Może powinniśmy już jechać w stronę domu.

Helen przerwała jej, prawie krzyząc:

– Ja nikomu nie bronię jechać do domu!

– Więc pokaż mi drogę – odparł Neal. Sporo go kosztowało, żeby kontrolować ton głosu, nadać mu zwykłe zdroworoządkowe brzmienie. I ukryć uśmiech, który cały czas wracał mu na twarz, choćby go raz po raz przełykał. – Pojedźmy tam, zabierzmy, co mamy zabrać, i ruszamy do domu.

Pół przecznicy dalej, przejechanej w żółtym tempie, Helen jęknęła.

– Jak mus to mus.

Nie musieli jechać zbyt daleko. Gdy mijali ogrodzony teren pod zabudowę, Neal znowu zwrócił się do Jinny:

– Nie widzę żadnego strumienia. Ani żadnego osiedla.

– Co takiego? – zapytała Jinny.

– „Osiedle Srebrny Strumień”. Mijaliśmy tablice.

Musiała to być przydrożna tablica, której nie dostrzegła.

– Niech pan skręci tutaj – odezwała się Helen.

– W prawo czy w lewo?

– Za złomowiskiem.

Przejechali obok złomowiska; za pociętą metalową siatką widać było karoserie samochodów. Potem drogą pod górę, przez bramę prowadzącą do żwirowej niecki, która wypełniała cały szczyt wzgórza.

– To tutaj. Tam jest ich skrzynka pocztowa – zawołała Helen z poczuciem ważności w głosie, a gdy dojechali do skrzynki, odczytała na głos: – Matt i June Bergson. To tutaj.

Na podjazd wybiegły dwa rozszczekane psy. Jeden duży i czarny, drugi mały i rudobrazowy, wyglądający na szczeniaka. Plątały się blisko kół, więc Neal nacisnął klakson. Wtedy jeszcze jeden pies – ostrożniejszy i poruszający się z większym rozmysłem, z lśniąco sierścią w sinawe plamy – wychynął z wysokiej trawy.

Helen krzyknęła, żeby się zamknęły, leżały, spieprzały.

– Nie ma się co przejmować tymi dwoma, tylko trzeba uważać na Pinto – powiedziała. – Te dwa to zwykłe tchórze.

Zatrzymali się na rozległym, nieogrodzonym placyku, wysypanym warstwą żwiru. Z jednej strony stała szopa lub komórka na narzędzia z blaszanym dachem, a za nią, na skraju pola kukurydzy, opuszczony wiejski dom, który pozbawiono już większości cegieł, tak że odsłoniły się ciemne drewniane ściany. Domem zamieszkałym była przyczepa, do której ładnie dodano werandę i markizę,

i mały kwiatowy ogródek za płotkiem jak z domku dla lalek. Przyczepa i ogródek prezentowały się porządnie i schludnie, ale cały teren wokół nich usiany był mnóstwem różnych przedmiotów, które być może mogły się jeszcze do czegoś przydać albo też leżały tu porzucone na pastwę rdzy i upału.

Helen wyskoczyła z busa i próbowała opanować psy. Te jednak nie zwracały na nią uwagi, szczekając i skacząc na samochód, dopóki z szopy nie wyszedł mężczyzna i ich nie zawołał. Jinny nie zrozumiała połowy z pogroźek pod adresem psów, ani ich imion, ale zwierzęta się uspokoiły.

Jinny włożyła na głowę kapelusz. Przez cały ten czas trzymała go w ręku.

– One się tylko popisują – powiedziała Helen.

Teraz wysiadł Neal i negocjował z psami zdecydowanym głosem. Mężczyzna ruszył w ich stronę. Miał na sobie fioletowy podkoszulek mokry od potu, klejący się do jego piersi i brzucha. Był tak otyły, że wyglądał, jakby miał biust, a jego pępek, wypchnięty na zewnątrz jak u ciężarnej kobiety, sterczał na środku brzucha jak solidna poduszeczka na igły.

Neal wyciągnął do niego rękę na powitanie. Mężczyzna otrzepał dłoń o swoje robocze spodnie, roześmiał się i uścisnął dłoń Neala. Jinny nie usłyszała, co sobie powiedzieli. Z przyczepy wyszła kobieta, otworzyła bramkę płotku wokół ogródka, po czym znowu zamknęła ją za sobą.

– Lois zapomniała zabrać moje buty – zawołała Helen w jej stronę. – Dzwoniłam do niej i w ogóle, a ona i tak zapomniała, więc pan Lockyer mnie podwiózł, żebym je odebrała.

Kobieta też była otyła, ale nie aż tak jak mąż. Miała na sobie różową hawajską sukienkę w azteckie słońca, a jej włosy były przetykane złotymi pasmami. Szła po żwirze, roztaczając wokół siebie atmosferę życzliwości i gościnności. Neal przedstawił się, potem podszedł z nią do busa i przedstawił Jinny.

– Miło mi panią poznać – powiedziała kobieta. – A więc to pani trochę niedomaga?

– Już mi lepiej – odrzekła Jinny.

– Jak już przyjechaliście, to wejdźcie do środka. Nie ma co stać na tym słońcu.

– My tylko na chwileczkę – zaznaczył Neal.

Mężczyzna zbliżył się do busa.

– W przyczepie mamy klimatyzację – powiedział. Przyglądał się busowi z życzliwym politowaniem.

– Przyjechaliśmy tylko odebrać buty – odezwała się Jinny.

– No, ale skoro już tu jesteście, to przecież nie odjedziecie tak od razu – odpowiedziała kobieta, June, ze śmiechem, jakby sam ten pomysł wydał jej się niezłym żartem. – Wejdźcie do środka i odpocznijcie.

– Nie chcielibyśmy przeszkadzać w kolacji – dorzucił Neal.

– Już zjedliśmy – odparł mężczyzna. – Jemy wcześniej.

– Ale zostało nam mnóstwo chili – wtrąciła June. – Musicie wejść i pomóc nam dojeść to chili.

– Dziękujemy, naprawdę – powiedziała Jinny – ale nie sądzę, żebym dała radę cokolwiek

przełknąć. Nie mogę jeść, kiedy jest taki upał.

– W takim razie może czegoś się pani napije – zaproponowała June. – Mamy piwo imbirowe, colę. I nalewkę brzoskwińową.

– I piwo – Matt zwrócił się do Neala. – Lubi pan Blue?

Jinny kiwnęła na Neala, żeby podszedł do jej okna.

– Nie dam rady – powiedziała. – Po prostu powiedz im, że nie mogę.

– Wiesz, że zranisz ich uczucia – odpowiedział Neal szeptem. – Oni tylko próbują być mili.

– Ale ja nie dam rady. Może mógłbyś pójść sam.

Pochylił się bliżej.

– Wiesz, jak to będzie wyglądało, jeśli nie wejdiesz. Jakbyś myślała, że jesteś lepsza od nich.

– Idź sam.

– W środku poczujesz się lepiej. Klimatyzacja naprawdę dobrze ci robi.

Jinny pokręciła głową. Neal się wyprostował.

– Jinny wolałaby tu zostać i odpocząć w cieniu.

– Ale zapraszamy do domu – zaczęła June.

– Chętnie wypiję jedno Blue, jeśli już o tym mowa – Neal wszedł jej w słowo. Odwrócił się plecami do Jinny z wymuszonym uśmiechem. Wydał jej się bezradny i rozgniewany.

– Jesteś pewna, że będzie ci tu dobrze? – skierował pytanie do niej, ale na tyle głośno, by pozostali go usłyszeli. – Na pewno? Nie masz nic przeciwko temu, żebym wszedł na chwilę do środka?

– Nie, oczywiście – odrzekła Jinny.

Neal położył jedną dłoń na ramieniu Helen, drugą June, i z tym gestem zażyłości ruszył z nimi w stronę przyczepy. Matt uśmiechnął się do Jinny z zaciekawieniem i poszedł za tamtymi.

Tym razem, gdy przywoływał psy, Jinny udało się wychwycić ich imiona: Goober, Sally, Pinto.

Bus stał zaparkowany pod rzędem wierzb. Wierzyby były stare i masywne, lecz ich drobne listki dawały tylko półcień. Ale ulgą było zostać samej.

Wcześniej tego dnia, gdy jechali autostradą ze swojego miasteczka, zatrzymali się na poboczu, by kupić wczesne jabłka. Jinny wyjęła teraz jedno z torby leżącej przy jej nogach i ugryzła malutki kawałek – bardziej po to, żeby sprawdzić, czy uda jej się go skosztować, przełknąć i nie zwrócić. Musiała czymś zagłuszyć myśl o chili i imponującym pępku Matta.

Jakoś dała radę. Jabłko było twarde i cierpkie, ale nie aż tak, by nie dało się go zjeść, i gryząc po małym kawałeczku i porządnie przeżuając, zdołała je przełknąć.

Już kilka razy widziała Neala w takim stanie – lub bardzo podobnym. Chodziło zawsze o jakiegoś chłopaka ze szkoły. Imię rzucone od niechcienia lekkim, wręcz lekceważącym tonem. Durnowaty

wyraz twarzy i przepraszający, a mimo to przekorny chichot.

Nigdy jednak powodem nie był ktoś, z kim musiałyby mieszkać pod jednym dachem, i nigdy do niczego nie doszło. Zauroczenie mijało, chłopak kończył szkołę, znikał.

To też minie. Nie powinna się tym przejmować.

Ale nie mogła odpędzić myśli, czy jeszcze wczoraj nie przejęłaby się tym mniej niż dzisiaj.

Wysiadła z busa, zostawiając otwarte drzwi, tak by móc się przytrzymać wewnętrznej klamki. Wszystko na zewnątrz było zbyt gorące, by się tego złapać na dłużej niż moment. Najpierw musiała sprawdzić, czy potrafi się utrzymać na nogach. Potem przeszła się kawałek w cieniu. Liście wierzb już częściowo pożółkły. Niektóre opadły. Stojąc w cieniu, rozejrzała się po zagraconym podwórzu.

Poobijany samochód dostawczy bez przednich reflektorów i z zamalowaną nazwą z boku. Dziecięcy wózek, z którego psy wygryzły siedzenie, stos drzewa na opał, zwalonego na kupę, ale nie ułożonego, sterta ogromnych opon, mnóstwo plastikowych kanistrów, puszki z olejem, połamane deski i pomarańczowe plandeki, zwinięte byle jak i rzucone pod ścianę szopy. W szopie potężna ciężarówka General Motors, mniejsza, mocno zajeżdżona dostawcza mazda i mały ogrodowy traktor, a poza tym przeróżne narzędzia, całe i połamane lub w częściach: koła, rączki, pręty, użyteczne lub nie, w zależności od tego, do czego by się ich użyło. Jak wieloma rzeczami ludzie mogą z biegiem czasu zacząć zawiadywać. Tak jak ona zawiadywała tymi wszystkimi fotografiami, oficjalnymi pismami, stenogramami zebrań, wycinkami z gazet, tym tysiącem kategorii, które wypracowała i katalogowała na płytach. Po czym musiała pójść na chemię i wszystko trzeba było oddać. Być może kiedyś trafi na śmietnik. Jak to wszystko po śmierci Matta.

Pole kukurydzy – tam chciała pójść. Kukurydza była już wyższa od niej, może nawet wyższa od Neala – chciała się znaleźć w jej cieniu. Trzymając się tej myśli, przeszła przez podwórze. Psy, dzięki Bogu, musiały być w przyczepie.

Pole nie miało ogrodzenia, kończyło się tam, gdzie zaczynało się podwórko. Weszła w nie na wprost, wąską ścieżką między dwoma rządkami. Liście uderzały ją po twarzy i po ramionach jak ceratowe wstążki. Musiała zdjąć z głowy kapelusz, żeby go nie strąciły. Na czubku każdej łodygi był już kaczan, jak dziecko w całunie. W powietrzu unosił się silny, prawie mdlący zapach rozwijającej się roślinności, zielonego krochmalu i rozgrzanego soku.

Gdy się już znajdzie na polu, położy się. Położy się w cieniu wielkich szorstkich liści i zostanie tak, aż usłyszy wołanie Neala. A może nawet wtedy się nie ruszy. Ale rządki roślin były zbyt blisko siebie, a ona zbyt pochłonięta pewnym wspomnieniem, by spróbować się położyć. Zbyt wzburzona.

To nie było coś, co się wydarzyło w ostatnim czasie. Przypomniała sobie pewien wieczór: grupa ludzi siedziała w kręgu na podłodze w jej salonie – tam, gdzie odbywały się zebrania – grając w jedną z tych poważnych gier psychologicznych, które w założeniu mają uczynić cię bardziej otwartym i odpornym. Trzeba było powiedzieć pierwsze, co ci przychodziło do głowy na widok każdej z pozostałych osób. I pewna siwowłosa kobieta, Addie Norton, znajoma Neala, wyznała:

– Przykro mi, że to mówię, Jinny, ale ilekroć na ciebie spojrzę, przychodzi mi na myśl tylko jedno:

„panienka z okienka”.

Jinny nie pamiętała, czy w ogóle na to wtedy zareagowała. Może nie było wolno. Ale teraz, w myślach, odpowiedziała: „Dlaczego mówisz, że ci przykro to powiedzieć? Nie zauważyłaś, że kiedy ktoś mówi, że jest mu przykro coś powiedzieć, tak naprawdę sprawia mu to przyjemność? Nie sądzisz, że skoro już jesteśmy ze sobą szczerzy, powinniśmy zacząć od tego?”.

Nie pierwszy raz odpowiedziała tak Addie w myślach. Wyobraziła sobie, że tłumaczy Nealowi, jaką farsą jest ta zabawa. Bo kiedy przyszła kolej na Addie, czy ktoś odważył się powiedzieć jej coś nieprzyjemnego? Nie. „Silna”, mówili, lub: „Szczera jak kubeł zimnej wody”. Wszyscy się jej bali, i tyle.

– Kubeł zimnej wody – powiedziała teraz na głos, szyderczo.

Inni odnieśli się do niej bardziej życzliwie. „Dziecko kwiat”, mówili, lub „Madonna u źródła”. Akurat wiedziała, że ten, kto to powiedział, miał na myśli „Manon u źródła”, ale nikogo nie poprawiała. Była wściekła, że musi siedzieć i wysłuchiwać cudzych opinii na swój temat. Wszyscy byli w błędzie. Nie była nieśmiała, potulna, naturalna ani czysta.

Kiedy już umrzesz, oczywiście, te błędne opinie są wszystkim, co zostaje.

Gdy podobne myśli przelatywały jej przez głowę, zrobiła coś, o co najłatwiej na polu kukurydzy – zabłądziła. Widocznie minęła jeden rząd, potem następny, i prawdopodobnie szła teraz w odwrotną stronę. Spróbowała wrócić tą samą drogą, ale to na pewno nie był dobry kierunek. Chmury zasłaniały słońce, więc nie potrafiła ustalić, gdzie jest zachód. Zresztą nie sprawdziła kierunku, gdy wchodziła na pole, więc i tak nic by to nie dało. Stała nieruchomo, nasłuchując w skupieniu, ale słyszała tylko szelest liści i gdzieś daleko szum przejeżdżających samochodów.

Serce waliło jej w piersi jak każde serce, które ma przed sobą całe lata życia.

Wtedy otworzyły się drzwi, dobiegło ją szczekanie psów i głośne łajanie Matta. Po czym drzwi zamknęły się z hukiem. Zaczęła przedzierać się przez kukurydzę w tamtym kierunku.

I okazało się, że wcale nie odeszła daleko. Przez cały czas kręciła się w kółko w rogu pola.

Matt pomachał do niej i odpędził psy.

– Nie bać się ich, nie bać – zawołał. Zbliżał się do samochodu, tak jak ona, tylko z przeciwnej strony. Kiedy byli niedaleko siebie, odezwał się cichszym, trochę bardziej poufnym tonem:

– Trzeba było przyjść i zastukać w drzwi.

Pomyślał, że poszła na pole za potrzebą.

– Właśnie powiedziałem pani mężowi, że wyjdę i zobaczę, czy u pani wszystko w porządku.

– W porządku, dziękuję – odrzekła Jinny. Wsiadła do busa, zostawiając otwarte drzwiczki. Mógłby się obrazić, gdyby je zatrzasnęła. Poza tym i tak czuła się zbyt słaba.

– Ale miał ochotę na to chili.

O kim on mówił?

O Nealu.

Dygotała, była oblana potem, a w głowie słyszała szum, jakby przez środek czaszki miała rozpięty drut.

– Mogę trochę przynieść, jeśli pani ma ochotę.

Pokręciła przecząco głową, uśmiechając się. Uniósł trzymaną w rękę butelkę piwa, jakby oddawał jej honory.

– Napije się pani?

Znowu pokręciła głową, nie przestając się uśmiechać.

– Nawet wody? Mamy tu dobrą wodę.

– Nie, dziękuję.

Gdyby obróciła głowę i spojrzała na jego fioletowy pępek, żołądek podszedłby jej do gardła.

– Kiedyś pewien gość – zagaił znowu, innym tonem. Niespiesznie, z rozbawieniem. – Pewien gość wyszedł z domu z cebrzykiem pełnym mułu. Więc ojciec go pyta, gdzie niesie ten muł? „A bo przydałby nam się muł”. „Nie zwabisz muła na ten muł”, ojciec na to. Następnego dnia patrzy – a ten wraca z pięknym mułem. No, muł jak się patrzy. Zobacz, tato, jakiego muła przyprowadziłem, zaprowadź go do stajni.

Nie chcę, żeby pani mnie źle zrozumiała. Nie możemy jeszcze sobie pozwolić na nadmierny optymizm. Ale wygląda na to, że otrzymaliśmy dosyć nieoczekiwane wyniki.

Drugiego dnia ojciec patrzy, a ten znów wychodzi. Pod pachą niesie szpitalną kaczkę. A dokąd to z tą kaczką? „Mama powiedziała, że chciałyby kaczkę na obiad”. „Ty idioto, chyba nie sądzisz, że złapiesz prawdziwą kaczkę na szpitalną kaczkę?”. „Poczekaj, to się przekonasz”. Następnego ranka wraca, a pod pachą ma piękną, tłustą kaczkę.

Wygląda na to, że guz znacznie się zmniejszył. Na co liczyliśmy, oczywiście, ale mówiąc szczerze, nie mieliśmy wielkiej nadziei. Nie chcę przez to powiedzieć, że bitwa jest wygrana, tylko że to bardzo dobry znak.

Ojciec nie wie, co o tym myśleć. Pojęcia nie mająk on to robi. Następnego wieczoru widzi, że syn gdzieś wychodzi, niesie pod pachą coś małego i puszystego.

Bardzo dobry znak. Nie wiemy, czy nie będzie kolejnych problemów w przyszłości, ale w tej sytuacji uzasadniony jest ostrożny optymizm.

„Co tam niesiesz?”. „To kociak”. „Dobra, mówi ojciec, poczekaj chwilę. Poczekaj chwilę, idę po kapelusz. Idę po swój kapelusz i wychodzę z tobą!”.

– Tego już za wiele – powiedziała Jinny na głos.

W myślach rozmawiała z lekarzem.

– Czego? – spytał Matt. Gniew i uraza pojawiły się na jego twarzy, mimo że nadal chichotał. – Co się stało?

Jinny kręciła głową, przyciskając dłoń do ust.

– To był tylko dowcip – powiedział Matt. – Nie zamierzałem pani obrazić.

– Nie, nie, to nie... – zaczęła Jinny

– Nieważne, wracam do środka. Nie będę pani zabierał więcej czasu. – Odwrócił się i odszedł, nie zadając sobie nawet trudu, żeby przywołać psy.

Nie powiedziała lekarzowi niczego podobnego. Dlaczego miałyby to zrobić? To nie była jego wina. Ale rzeczywiście tego było już za wiele. To, co usłyszała, tylko wszystko utrudniło. Musiała teraz wrócić do punktu wyjścia i zacząć ten rok od nowa. Pewien minimalny obszar wolności, który dotąd ją otaczał, zniknął. Zniknęła otępiająca, ochronna membrana – której istnienia nawet nie podejrzewała – zostawiając ją bez żadnej ochrony przed bólem.

Sugestia Matta, że poszła na pole za potrzebą, uświadomiła jej, że naprawdę chce jej się siku. Wysiadła z busa, stanęła ostrożnie, a potem lekko rozstawiła nogi, unosząc do góry rąbek szerokiej bawełnianej spódnicy. Tego lata zaczęła nosić szerokie spódnice bez majtek, ponieważ nie kontrolowała już w pełni swojego pęcherza.

Ciemny strumyczek popłynął spod jej nóg po żwirze. Słońce zachodziło, zbliżał się wieczór. Nad głową czyste niebo, zniknęły chmury.

Któryś z psów zaszczekał bez przekonania, sygnalizując, że ktoś nadjeżdża, ale ktoś, kogo znają. Nie podeszły też do niej, gdy wysiadła z busa – już się do niej przyzwyczyły. Wybiegły teraz na powitanie tego kogoś, ale w ich zachowaniu nie było niepokoju ani nerwowego napięcia.

Chłopak, czy młody mężczyzna, podjechał na rowerze. Skręcił w stronę busa i Jinny wyszła mu na spotkanie, opierając dłoń na trochę już chłodniejszej, ale nadal ciepłej karoserii. Jeżeli miałby się do niej odezwać, nie chciała, by rozmawiali nad kałużą jej sików. Częściowo po to, by odwrócić jego uwagę od ziemi, odezwała się pierwsza:

– Dzień dobry. Przyjechałeś z jakąś przesyłką? Roześmiał się, zeskakując z roweru i kładąc go na ziemi jednym płynnym ruchem.

– Mieszkam tu – odrzekł. – Właśnie wracam z pracy.

Przyszło jej na myśl, że powinna wyjaśnić, kim jest, dlaczego tu czeka i od jak dawna. Ale to wszystko było zbyt trudne. Gdy tak stała, trzymając się samochodu, musiała pewnie wyglądać jak ktoś, kto właśnie wydostał się ze zmiążdżonego auta po wypadku.

– Tutaj mieszkam – powiedział – ale pracuję w restauracji w miasteczku. U Sammy'ego.

Kelner. Śnieżnobiała koszula i czarne spodnie były strojem kelnera. Miał też coś z kelnera w sposobie bycia: uważność i cierpliwość.

– Nazywam się Jinny Lockyer – powiedziała. – Helen będzie u nas...

– OK, już wiem – wtrącił. – To u was Helen będzie pracować. Gdzie ona jest?

– W domu.

– Czy nikt pani nie zaprosił do środka?

Mógł być w wieku Helen, pomyślała. Siedemnaście lub osiemnaście lat. Szczupły, zgrabny

i pewny siebie, pełen szczerego entuzjazmu, który prawdopodobnie nie zanieśie go tak wysoko, jak mu się marzy. Widziała już paru takich jak on, którzy skończyli jako Młodociani Przesłępcy

Wydawał się jednak łapać sprawy w lot. Rozumiał chyba, że jest wyczerpana i w jakimś sensie tu utknęła.

– June też tam jest? – zapytał. – June to moja mama.

Miał włosy takie jak June, złote pasma na tle ciemnych – dosyć długie, z przedziałkiem pośrodku, opadające po obu stronach twarzy.

– I Matt? – dodał.

– Tak, i mój mąż.

– O, to nieładnie.

– Nie, nie – wyjaśniła. – Zapraszali mnie, ale powiedziałam, że wolę poczekać tutaj.

Neal przywoził czasem do domu paru Młokosów, żeby pod jego czujnym okiem skosili trawnik, coś pomalowali czy wykonali prostą stolarską robotę. Uważał, że dobrze im zrobi, jeśli zostaną do kogoś zaproszeni. Jinny czasami z nimi flirtowała, w absolutnie niewinny sposób. Łagodny ton głosu, drobne gesty, by zwrócić ich uwagę na miękki materiał jej sukienki czy zapach jabłkowego mydła. Jednak nie dlatego Neal przestał ich przywozić. Powiedziano mu, że to niezgodne z przepisami.

– Więc jak długo już pani czeka?

– Nie wiem – odrzekła Jinny. – Nie mam zegarka.

– Doprawdy? – odpowiedział. – Ja też nie. Ale rzadko spotykam kogoś, kto też nie nosi zegarka. I nigdy pani nie nosiła?

– Nigdy.

– Ja też. Jakoś nigdy nie chciałem. Nie wiem dlaczego. Nigdy nie chciałem. Po co, skoro i tak zawsze wiem, która godzina. Parę minut w tę czy we w tę. Mogłem się pomylić o pięć minut, nie więcej. No i wiem, gdzie są wszystkie zegary. Jadę rowerem do pracy i myślę sobie, sprawdzę, tak dla pewności. Wiem z którego miejsca między budynkami można zobaczyć zegar na gmachu sądu. I nigdy jeszcze nie pomyliłem się więcej niż o trzy, cztery minuty. Czasami któryś z gości mnie zapyta o godzinę, a ja odpowiadam. Nawet nie zauważają, że nie spojrziałem na zegarek. W kuchni jest zegar, więc jak tylko mogę, sprawdzam, ale jeszcze nigdy nie musiałem wrócić i się poprawiać.

– Też mi się to udawało, od czasu do czasu – odpowiedziała Jinny – Myślę, że człowiek, który nie nosi zegarka, rozwija w sobie jakiś specjalny zmysł.

– Tak, na pewno.

– Więc jak sądzisz, która może być teraz?

Roześmiał się. Spojrzał na niebo.

– Zbliża się ósma. Ósma za sześć. Siedem? Ale jest mi łatwiej. Wiem, o której wychodzę z pracy, potem pojechałem po papierosy do całodobowego, jeszcze chwilę pogadałem z kumplami i ruszyłem do domu. Nie mieszka pani w miasteczku, prawda?

– Nie – odpowiedziała Jinny.

– A gdzie?

Wyjaśniła.

– Nie jest pani zmęczona? Chciałaby pani już jechać? Mam pójść i powiedzieć pani mężowi, że chce pani wracać do domu?

– Nie, nie rób tego.

– OK, OK, nie zrobię. June pewnie przepowiada mu teraz przyszłość. Potrafi wróżyć z ręki.

– Naprawdę?

– Przychodzi do restauracji kilka razy w tygodniu. I z fusów. Z fusów też.

Podniósł rower i odprowadził go na bok. Przy okazji zajrzał do busa przez okienko od strony kierowcy.

– Zostawił kluczyki – powiedział. – To co? Mam panią odwieźć do domu? Mogę wsadzić rower do środka. A pani męża i Helen odwiezie Matt, jak skończą rozmawiać. A jeżeli Matt będzie wstawiony, to June ich odwiezie. June to moja mama, ale Matt nie jest moim tatą. Pani chyba nie prowadzi, prawda?

– Nie – odrzekła Jinny Nie prowadziła od miesięcy.

– Tak pomyślałem. To co? Mam panią odwieźć?

– Znam tę drogę. Dojedziemy nią równie szybko jak autostradą. Nie pojechali wzdłuż działek budowlanych, tylko właściwie w przeciwną stronę, drogą, która okrążała zwirowisko. W każdym razie na zachód, w stronę najjaśniejszej części nieba. Ricky – jak się przedstawił – nie włączył jeszcze świateł.

– Nie ma obawy, że kogoś spotkamy – powiedział. – Chyba nigdy nie natknąłem się na inny wóz na tej drodze. Niewielu ludzi w ogóle wie o jej istnieniu. A gdybym włączył światła, niebo zrobiłoby się ciemne, wszędzie zrobiłoby się ciemno i nie widziałyby pani, gdzie jest. Jeszcze chwilę tak pojedźmy, a potem, gdy już będzie widać gwiazdy, włączymy światła.

Niebo wyglądało jak lekko zabarwione szkło – czerwone, żółte, zielone lub niebieskie – zależnie od tego, w którą stronę się spojrzęło.

– Może być?

– Tak – odrzekła Jinny.

Krzewy i drzewa zrobiłyby się czarne, gdyby włączyli światła. Byłyby czarną zbitą masą wzdłuż drogi, napierającą na nich masą, nie zaś, jak teraz – ciągle pojedynczymi i możliwymi do rozróżnienia – świerkiem, cedrem, pierzastym modrzewiem i pomarańczowym niecierpkim z kwiatami jak migoczące płomyczki ognia. Krzew wydawał się rosnać tak blisko, że można go było dotknąć, bo jechali bardzo powoli. Jinny wystawiła rękę.

Nie dosięgła, ale prawie. Droga była niewiele szersza od busa.

Miała wrażenie, że na wprost zamigotała jaśniejsza smuga, rów pełen wody.

– Czy tam gdzieś jest woda? – spytała.

– Tam? – wskazał Ricky. – Owszem, tu i wszędzie wokół. Woda jest po obu stronach drogi i w wielu miejscach pod drogą. Chce pani zobaczyć?

Zwolnił. Zatrzymał samochód.

– Proszę spojrzeć od swojej strony – powiedział. – Proszę otworzyć drzwi i spojrzeć w dół.

Kiedy to zrobiła, zobaczyła, że stoją na mostku. Małym mostku, długości najwyżej trzech metrów, zbudowanym z ułożonych poprzecznie desek. Nie było barierki. A pod spodem widać było nieruchomą wodę.

– Cała ta droga to jeden most za drugim – powiedział. – A gdzie nie ma mostków, są przepusty. Tu ciągle woda przepływa pod drogą. Albo stoi i nigdzie nie płynie.

– Głęboko tu? – spytała.

– Nie, nie o tej porze roku. Dopiero jak dojedziemy do dużej sadzawki; tam jest głębiej. A wiosną cała droga znajduje się pod wodą, nie można tędy przejechać, wtedy jest głęboko. Ta droga ciągnie się kilometrami, prosto od końca do końca. Nie krzyżuje się z żadną inną. To jedyna znana mi droga przez Bagno Borneo.

– Bagno Borneo? – powtórzyła Jinny.

– Tak się podobno nazywa.

– Istnieje wyspa, która nazywa się Borneo – powiedziała – po drugiej stronie kuli ziemskiej.

– Nic o tym nie wiem. Jedyne Borneo, o jakim słyszałem, to Bagno Borneo.

Na środku drogi rósł czarny pas trawy.

– Pora zapalić światła – zauważył Ricky. Włączył je i w jednej chwili znaleźli się w tunelu, otoczeni nocą.

– Kiedyś tak zrobiłem. Włączyłem światła tak jak teraz, a tam był jeżozwierz. Po prostu siedział na środku drogi. Przykucnął na tych tylnich łapach, wyprostowany, i patrzył prosto na mnie. Jak jakiś mały staruszek. Cały zdrętwiały ze strachu, tak że nie mógł się ruszyć. Stąd widziałem, jak mu zęby szczękają.

„A więc to tutaj przywozi swoje dziewczyny”, przemknęło jej przez myśl.

– Więc co miałem robić? Próbowałem go przepłoszyć klaksonem, ale ani drgnął. Nie miałem ochoty wysiadać, żeby go przepędzić. Był przerażony, ale to w końcu jeżozwierz i mógł się wściec. Więc po prostu wyłączyłem silnik. Nie spieszyło mi się. A kiedy znowu włączyłem światła, już go nie było.

Teraz gałęzie znajdowały się tak blisko, że ocierały się o boki samochodu, ale jeżeli były na nich kwiaty, już ich nie widziała.

– Pokażę pani coś – zaproponował. – Założę się, że nigdy pani czegoś takiego nie widziała.

Gdyby to wszystko działo się w jej dawnym, normalnym życiu, całkiem możliwe, że w tym

momencie zaczęłyby się bać. Gdyby była z powrotem w swoim dawnym, normalnym życiu, nie byłoby jej tutaj.

– Chcesz mi pokazać jeżozwierza – powiedziała.

– Nie–e. Coś innego. Coś jeszcze rzadszego niż jeżozwierze. O ile mi wiadomo.

Około pół mili dalej wyłączył światła.

– Widzi pani gwiazdy? – zapytał. – Mówiłem. Gwiazdy.

Zatrzymał busa. Najpierw zapanowała głęboka cisza. Stopniowo jej krawędzie zaczęły się wypełniać delikatnym pomrukiem; mógł to być daleki szum samochodów, a także nieokreślone odgłosy, które cichły, zanim dawało się je wyraźnie usłyszeć, pochodzące być może od nocnych zwierząt, ptaków czy nietoperzy.

– Gdyby przyjechała tu pani wiosną – odezwał się – nie usłyszałyby pani nic oprócz żab. Myślałaby pani, że ogłuchnie od tych żab.

Otworzył drzwiczki od swojej strony.

– Niech pani przejdzie się ze mną kawałek.

Wysiedli. On szła jedną koleiną, on drugą. Niebo na wprost wydawało się jaśniejsze i dobiegał ich jeszcze jeden dźwięk – brzmiał jak spokojna, rytmiczna rozmowa.

Pod stopami, zamiast ubitej ziemi, poczuła deski, a drzewa po obu stronach zniknęły.

– Proszę się nie zatrzymywać – powiedział – tylko iść dalej.

Podszedł i położył dłoń na jej talii, jak gdyby ją prowadził. Potem cofnął rękę; sama weszła na deski, które przypominały pokład statku. Unosiły się i opadały w podobny sposób. Ale to nie ruch fal je unosił; to ich kroki, jego i jej, powodowały to delikatne wznoszenie się i opadanie.

– Już wie pani, gdzie jest?

– Na molo? – spytała.

– Na moście. To jest wiszący most.

Teraz zobaczyła: droga z desek zawieszona była zaledwie paręnaście centymetrów nad nieruchomą powierzchnią wody. Pociągnął ją na skraj mostu i oboje spojrzeli w dół. Na wodzie unosiły się gwiazdy.

– Ciemna ta woda – powiedziała. – To znaczy... ciemna nie tylko dlatego, że jest noc, prawda?

– Jest ciemna o każdej porze – odpowiedział zadowolony. – Bo to bagno. Ma w sobie to samo co herbata, i wygląda jak czarna herbata.

Mogła rozróżnić linię brzegu, pas trzcin. Woda wśród trzcin, chlupot wody w szuwarach – to był ten dźwięk, który wcześniej słyszała.

– Tanina. – Wymówił to słowo z taką dumą, jakby przyholował je z głębi ciemności.

Lekki ruch mostu sprawił, że przez chwilę wyobraziła sobie, że drzewa i trzciny rosną na małych wysepkach, droga jest wstęgą ziemi unoszącą się na wodzie, a wszędzie pod spodem jest woda.

Woda, pozornie nieruchoma, ale w rzeczywistości w ciągłym ruchu, bo gdy tylko patrzyło się przez dłuższą chwilę na odbitą gwiazdę, widać było, jak mruga i zmienia kształt i na chwilę znika z oczu. I wraca – ale może już nie ta sama.

W tym momencie – dopiero teraz – uświadomiła sobie, że nie ma na głowie kapelusza. Nie tylko nie miała go w tej chwili. Nie miała go też w samochodzie. Ani gdy wysiadła, żeby zrobić si-ku, i gdy zaczęła rozmawiać z Rickym. Nie miała go, gdy siedziała w samochodzie z zamkniętymi oczami i głową opartą o zagłówek, a Matt opowiadał jej dowcip. Musiała go upuścić na polu kukurydzy i zapomnieć o nim w panice.

Gdy ona bała się spojrzeć na wystający pępek Matta, oblepiony spoconą koszulą, on nie miał oporów, by patrzeć na jej łysy czerep.

– Szkoda, że księżyc jeszcze nie wzeszedł – powiedział Ricky. – Tu jest naprawdę pięknie, kiedy świeci księżyc.

– Teraz też jest pięknie.

Objął ją, jakby to było najnaturalniejsze w świecie, jakby przez cały ten czas tylko zmierzali do tej chwili. Pocałował ją w usta. Nie potrafiła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek przedtem uczestniczyła w pocałunku, który byłby wydarzeniem samym w sobie. Całą historią, kompletną od początku do końca. Delikatny wstęp, coraz mocniejszy nacisk, zapamiętałe poszukiwanie i odnajdywanie, długie podziękowanie i poczucie spełnienia, gdy się rozłączyli.

– Och – powiedział. – Och.

Odwrócił ją i ruszyli z powrotem w stronę, z której przyszli.

– Pierwszy raz była pani na wiszącym moście? Przytaknęła.

– A teraz przejedzie pani po czymś takim samochodem na drugą stronę.

Ujął jej rękę i zakołysał nią, jakby chciał ją cisnąć w powietrze.

– A to był pierwszy raz, kiedy pocałowałem mężatkę.

– Pewnie nieraz ci się to jeszcze zdarzy – powiedziała. – Zanim sam wpadniesz.

Westchnął.

– No – powiedział. Zaskoczony i otrzeźwiony perspektywą tego, co go jeszcze czeka. – Pewnie tak.

Jinny nagle pomyślała o Nealu, tam, na suchym lądzie. Chwiejny i niepewny, nadstawiał dłoń pod spojrzenie kobiety ze złotymi pasmami we włosach, wróżbitki. Balansował na krawędzi swojej przyszłości.

Nieważne.

Ogarnęło ją beztroskie współczucie, niemal śmiech. Zalew tkliwej wesołości, w którym ginęły wszystkie jej rany i żale, na jakiś czas.

Meble rodzinne

Alfrida. Ojciec nazywał ją Freddie. Byli kuzynami w pierwszej linii i mieszkali na sąsiednich farmach, a potem przez chwilę w tym samym domu. Pewnego dnia wyszli na zaorane pole, bawić się z psem mojego ojca, który wabił się Mack. Tego dnia świeciło słońce, jednak nie stopiło lodu w brzdach. Deptali po nim, ciesząc się, kiedy z chrzęstem pękał im pod nogami.

Mój ojciec powątpiewał, czy mogła pamiętać coś takiego. Doszedł do wniosku, że to zmyśliła.

– Nie zmyśliłam – protestowała.

– Właśnie że tak.

– Właśnie że nie.

Nieoczekiwanie usłyszeli bicie dzwonów, alarm. To bił dzwon miejski i dzwony na wieży kościelnej. Dzwoniły dzwonki alarmowe w fabryce w mieście oddalonym o sześć kilometrów. Świat pękał z radości i Mack popędził na drogę, pewny, że nadchodzi parada. Był to koniec pierwszej wojny światowej.

Trzy razy w tygodniu mieliśmy okazję czytać imię Alfridy w gazecie. Tylko jej imię – Alfrida. Drukowano je czcionką przypominającą odręczny, złożony wiecznym piórem podpis. *W mieście i w okolicy – z Alfrida*. Nie chodziło o najbliższe miasto, lecz o inne, leżące dalej na południu. Mieszkała w nim Alfrida, a moja rodzina odwiedzała je może raz na dwa, trzy lata.

Właśnie nadszedł czas, drogie przyszłe czerwcowe panny młode, aby zacząć składać listę ślubną w Kredensie Porcelany, i muszę powiedzieć, że gdybym była przyszłą oblubienicą – którą niestety nie jestem – chyba oparłabym się wszystkim serwisom we wzorki, tak niewątpliwie kuszącym, a wybrała perłowobiały, supernowoczesny Rosenthala...

Bywają zabiegi kosmetyczne udane, bywają nieudane, ale maseczki, które aplikuje się w salonie kosmetycznym „U Fantine” gwarantują – skoro mowa o pannach młodych – że wasza cera stanie się promienna jak kwiat pomarańczy. Jeśli zaś mama panny młodej, jej ciotki i, czemu nie, jej babcia, mają się poczuć tak, jakby właśnie zanurzyły się w Fontannie Młodości...

Nikt nie spodziewałby się po Alfridzie takiego stylu, znając sposób, w jaki mówiła.

Była również jedną z osób, które pisały pod pseudonimem Flora Simpson w *Rubryce Gospodyń Flory Simpson*. Kobiety z całej okolicy wierzyły, że piszą listy do pulchnej niewiasty o pofalowanych siwych włosach i zniewalającym uśmiechu, przedstawionej u góry strony. Ale prawda – której nie wolno mi było rozgłaszać – była taka, że komentarze pojawiające się pod ich listami wychodziły spod pióra Alfridy oraz mężczyzny nazwanego przez nią Końskim Henrym, który poza tym redagował nekrologi. Kobiety nadawały sobie imiona typu Jutrzenka, Polna Lilia, Ogrodniczka, Mała Annie Rooney lub Królowa Zmywaka. Niektóre były tak popularne, że trzeba było je opatrzyć cyframi: Złotowłosa 1, Złotowłosa 2, Złotowłosa 3.

Droga Jutrzenko, pisała Alfrida lub Koński Henry,

Egzema to dokuczliwe utrapienie, zwłaszcza w taki upał, jaki właśnie panuje, i mam nadzieję, że soda oczyszczona przyniesie Pani jakąś ulgę. Stanowczo należy poważać domowe sposoby leczenia, ale z pewnością nie zaszkodzi zasięgnąć rady lekarza. Cudownie wiedzieć, że Pani małżonek stanął na nogi. To nic miłego musieć w taką pogodę...

We wszystkich małych miasteczkach tej części Ontario gospodynie domowe należące do Klubu Flory Simpson organizowały doroczny letni piknik. Flora Simpson zawsze przesyłała specjalne pozdrowienia, ale tłumaczyła, że organizowano po prostu zbyt wiele imprez, by mogła się pojawić na wszystkich, a nie chciała żadnej wyróżniać. Alfrida wyznała, że rozważano wysłanie Końskiego Henry'ego w peruce i z wypchanym biustem z poduszek, albo jej samej, śliniącej się jak Grzesznica Babilonu (przy stole moich rodziców nawet ona nie potrafiła poprawnie zacytować Biblii i powiedzieć „Nierządnicą”), z fajką przylepioną do uszminek ust. Ale och, mówiła, gazeta by nas zabiła. A poza tym to byłaby zbyt wielka złośliwość.

Zawsze nazywała swe papierosy fajkami. Gdy miałam piętnaście albo szesnaście lat, pochyliła się poprzez stół i zapytała mnie: – Miałabyś też ochotę na fajkę?

Skończyliśmy jeść, a mój młodszy brat i siostry odeszli od stołu. Ojciec kiwał głową. Zaczął skręcać własnego papierosa.

Podziękowałam, Alfrida podała mi ogień i po raz pierwszy zapaliłam w obecności rodziców.

Udawali, że to świetny dowcip.

– Ach, popatrz tylko na własną córkę – zwróciła się matka do ojca. Wywróciła oczami, przycisnęła dłonie do piersi i powiedziała sztucznym, rozwlekłym głosem: – Zaraz zemdleję.

– Muszę wyjąć bacik – stwierdził ojciec, na wpół unosząc się w krześle.

To była niesamowita chwila, jak gdyby Alfrida przeobraziła nas wszystkich w innych ludzi. Matka zawsze powtarzała, że nie podoba jej się, kiedy kobieta pali. Nie mówiła, że to nieprzyzwoite lub niegodne damy; po prostu, że jej się to nie podoba. A kiedy charakterystycznym tonem stwierdzała, że coś jej się nie podoba, sprawiała wrażenie, jakby nie było to irracjonalne wyznanie, lecz sięgnięcie do osobistego źródła mądrości, niepodważalnego i niemal świętego. To właśnie gdy przybierała ten ton, któremu towarzyszył grymas mający wyrażać wsłuchiwanie się w wewnętrzne głosy, najbardziej jej nienawidziłam.

Co do ojca, sprawił mi lanie w tym samym pokoju nie bacikiem, ale własnym paskiem, za złamanie reguł wyznaczonych przez matkę i obrazę jej uczuć oraz za to, że odpowiedziałam. Z dzisiejszej perspektywy takie lanie wydaje się możliwe tylko w jakimś innym świecie.

Moi rodzice, postawieni pod ścianą przez Alfridę, ale również przeze mnie, zareagowali tak brawurowo i z takim wdziękiem, że wszyscy troje – matka, ojciec i ja – zostaliśmy jakby podniesieni na nowy poziom śmiałości i tupetu. W tamtej chwili ujrzałam ich, zwłaszcza matkę, jako zdolnych do szczególnej beztroski, której prawie nigdy nie okazywali.

A wszystko to dzięki Alfridzie.

O Alfridzie zawsze mówiło się jako o ambitnej dziewczynie. Można by z tego wnioskować, że jest młodsza od moich rodziców, choć była mniej więcej w ich wieku. Mówiono o niej również, że jest „miastowa”, a „miasto” w tym kontekście oznaczało miejsce zamieszkania i pracy. I coś jeszcze: nie było po prostu zlepkiem budynków, chodników i linii tramwajowych, albo nawet zbiorowiskiem jednostek, tylko czymś bardziej abstrakcyjnym, co mogłoby się pomnażać bez końca, jak ul z rojem pszczoł – świat niestabilny, a jednak zorganizowany, niekoniecznie bezużyteczny czy zagubiony, ale budzący niepokój i czasem niebezpieczny. Ludzie udawali się do takiego miejsca, tylko gdy musieli, i cieszyli się, opuszczając je. Niektórych jednak ono przyciągało – jak Alfridę wiele lat temu, i jak teraz mnie, gdy paliłam papierosa, starając się utrzymać go w nonszalancki sposób, choć zdawał się rosnąć między moimi palcami do rozmiarów kija baseballowego.

Moja rodzina nie prowadziła intensywnego życia towarzyskiego: nie przychodziło się do nas na obiad, a tym bardziej na przyjęcia. Być może była to kwestia przynależności do określonej klasy. Rodzice chłopca, którego poślubiłam około pięć lat po scenie przy stole, zapraszali do siebie na obiady osoby, które nie były z nimi spokrewnione, i chodzili na popołudniowe przyjęcia bez cienia żenady nazywane koktajlami. Prowadzili życie, o jakim czytałam w magazynach, i wydawało mi się, że plasowało to moich teściów w świecie powieściowych wybrańców.

W mojej rodzinie natomiast dwa lub trzy razy w roku rozkładało się stół jadalny, by przyjąć babcię i ciotki – starsze siostry mojego ojca – oraz ich mężów. Robiliśmy to w Boże Narodzenie lub w Święto Dziękczynienia, gdy przychodziła nasza kolej, i może również gdy jakiś krewny z innej części prowincji przyjeżdżał z wizytą. Taki gość zawsze był osobą w rodzaju ciotek i ich mężów i w żadnym razie nie przypominał Alfridy.

Matka i ja zaczynałyśmy przygotowania do obiadu na parę dni wcześniej. Prasowałyśmy porządną obrus, ciężki jak kołdra, myłyśmy odświętny serwis, który spoczywał w kredensie, gromadząc na sobie kurz, wycierałyśmy nogi krzeseł w pokoju jadalnym i szykowałyśmy galarety, tarty i ciasta, by podać je obok głównego dania złożonego z pieczonego indyka lub pieczonej szynki oraz misy warzyw. Należało przygotować wszystkiego o wiele za dużo, a rozmowy przy stole toczyły się głównie wokół jedzenia; goście mówili, jakie to dobre, by następnie usłyszeć zachętę do dokładki, na co odpowiadali, że już więcej nie mogą, że są napchani, po czym mężowie ciotek ustępowali, dokładając sobie więcej, a ciotki biorąc tylko odrobinę, ze słowami, że nie powinny, bo za chwile pękną.

A wszystko to jeszcze przed deserem.

Praktycznie nie znano pojęcia konwersacji, a właściwie panowało przekonanie, że rozmowa, która wyszłaby poza pewne przyjęte granice, byłby zakłóceniem, popisywaniem się. Pojmowanie tych granic przez moją matkę okazywało się płynne; czasem nie była w stanie przeczekać chwili pauzy albo uszanować czyjejś niechęci do ciągnięcia wątku. Więc gdy ktoś powiedział: „Spotkałem wczoraj Harleya na ulicy”, nie mogła się powstrzymać, by nie zapytać na przykład:

– Myślisz, że taki Harley to zaprzysięgły stary kawaler? Czy po prostu nie znalazł odpowiedniej pary?

Jak gdyby, skoro się wspomniało o spotkaniu pewnej osoby, należało mieć coś jeszcze do dodania, coś interesującego.

Po tym zapadała cisza, nie dlatego, że goście przy stole zamierzali okazać brak wychowania, ale ponieważ czuli się speszeni.

Aż wreszcie mój ojciec odzywał się, zmieszany, z wyrzutem:

– Wygląda, że se dobrze radzi.

Gdyby nie było jego krewnych, prawdopodobnie powiedziałby „sobie”.

Wszyscy zatem kontynuowali krojenie, nabieranie, połykanie, na tle olśniewającej bieli czystego obrusa, w świetle wpadającym przez świeżo umyte okna. Obiady te zawsze odbywały się w środku dnia.

Osoby przy stole były bez wątpienia zdolne do prowadzenia rozmowy. Zmywając i wycierając naczynia w kuchni, ciotki rozmawiały o tym, kto ma raka, zapalenie gardła, przykre czyraki. Opowiadały o pracy własnych jelit, nerek, nerwów. Wspominanie intymnych spraw ciała nigdy nie wydawało się tak niestosowne ani tak podejrzane jak komentowanie czegoś, co się przeczytało w gazecie lub usłyszało w wiadomościach; czymś w pewien sposób niewłaściwym było zwracać uwagę na to, co nie znajdowało się na wyciągnięcie ręki. W tym czasie, odpoczywając na werandzie lub odbywając krótki spacer w celu obejrzenia ogrodu, mężowie ciotek wymieniali się informacjami, że ktoś napytał sobie biedy z bankiem, wciąż był winny pieniądze za drogą maszynę lub zainwestował w byka, który nie sprawdzał się w pracy.

Być może onieśmielał wszystkich formalny nastrój panujący w jadalni, obecność talerzyków na chleb i masło oraz łyżeczek deserowych, podczas gdy – przy innych okazjach – kładło się kawałek tarty prosto na talerz, uprzednio wytarty kawałkiem chleba. (Zaniechanie tak starannego nakrywania stołu uznaliby jednak za zniewagę; sami w podobnych okolicznościach, we własnych domach, wobec swoich gości robili podobne ceregiele). Być może uważali, że jedzenie to jedno, a rozmawianie – drugie.

Co innego, gdy przyjeżdżała Alfrida. Rozkładano porządny obrus i wyjmowano odświętną zastawę. Matka zadawała sobie wiele trudu, by przygotować posiłek, i niepokoiła się o efekt: przeważnie rezygnowała z tradycyjnego menu, czyli nadziewanego indyka z tłuczonymi ziemniakami, by zamiast tego przyrządzić na przykład kurczaka otoczonego pagórkami ryżu z plasterkami papryki, a potem zaserwować deser, którego przygotowanie wymagało żelatyny, piany z białek i bitej śmietany oraz mnóstwa wykańczającego nerwowo czasu, gdyż nie mieliśmy lodówki i całość trzeba było chłodzić na podłodze w piwnicy. Ale skrępowanie, ten zawieszony nad stołem całun, było całkowicie nieobecne. Alfrida nie tylko godziła się na dokładkę, ale sama o nią prosiła. Robiła to jakby mimochodem i w ten sam sposób rzucała pochwały, jak gdyby potrawy, ich spożywanie, stanowiło sprawę uboczną, choć przyjemną, i tak naprawdę przyjechała po to, by rozmawiać i sprowokować innych do rozmowy,

a każdy temat – prawie każdy – był ku temu odpowiedni.

Zawsze odwiedzała nas w lecie, przeważnie ubrana w jakąś jedwabną sukienkę w paski z gołymi plecami. Nie miała ładnych pleców – bo pokrywały je maleńkie czarne pieprzyki, jej ramiona były kościste, a piersi prawie płaskie. Ojciec nigdy nie omieszkał się zdziwić, ile Alfrida może zjeść, a mimo to pozostać szczupłą. Albo odwracał kota ogonem i stwierdzał, że nigdy jeszcze nie była tak wybredna, co nie przeszkadzało jej obrastać w tłuszcz (w naszej rodzinie uwag na temat otyłości czy szczupłości, bladości, zaczerwienienia lub łysienia nie uważano za niestosowne).

Ciemne włosy nosiła ufryzowane w loki nad czołem i po bokach, zgodnie z obowiązującą modą. Cerę miała śniadą, twarz poprzecinaną siateczką cienkich zmarszczek, usta szerokie z dość grubą, prawie obwisłą dolną wargą, hojnie umalowane szminką, która zostawiała ślad na brzegu filizanki herbaty lub szklanki z wodą. Gdy otwierała szeroko usta – a robiła tak prawie zawsze, gdy mówiła lub się śmiała – widać było, że brakuje jej kilku zębów z tyłu. Nie można było nazwać jej ładną – każda kobieta powyżej dwudziestego piątego roku życia straciła w moich oczach wszelką szansę bycia ładną, w każdym razie prawo do tego, a może nawet to pragnienie – ale była energiczna i dziarska. Ojciec zawyrokował po namyśle, że ma ikrę.

Alfrida rozmawiała z moim ojcem o tym, co się dzieje w świecie, o polityce. Ojciec czytał gazety, słuchał radia, miał swoje zdanie o tych sprawach, ale rzadko trafiała mu się okazja o nich pomówić. Mężowie moich ciotek również mieli własne opinie, ale były one zwięzłe i nieodróżnicowane, i wyrażały wieczną nieufność wobec wszystkich osób publicznych, a zwłaszcza wszystkich obcokrajowców, tak więc jedyne, co można było z nich na ogół wydobyć, to pomruki dezaprobaty. Babcia była głucha – nikt nie potrafił stwierdzić, ile wie o jakiejś sprawie albo co o niej sądzi – zaś same ciotki zdawały się czerpać dumę ze swej niewiedzy lub z tego, iloma rzeczami nie musiały zaprzętać sobie głowy. Matka pracowała kiedyś jako nauczycielka i z łatwością potrafiłaby wskazać na mapie poszczególne kraje europejskie, ale jej wizję świata spowijała mgła osobistej oceny: na pierwszym planie wyłaniało się Imperium Brytyjskie z rodziną królewską, zaś cała reszta plasowała się gdzieś dalej, na beładnej stercie zjawisk, obok których matka łatwo przechodziła do porządku dziennego.

Poglądy Alfridy w rzeczywistości nie odbiegały specjalnie od opinii wujów. Na to w każdym razie wyglądało. Tyle że zamiast burczeć i lekceważyć temat, Alfrida wybuchała gromkim śmiechem i opowiadała historie o premierach, amerykańskim prezydencie, o Johnie L. Lewisie i o burmistrzu Montrealu –ukazując ich w nie najlepszym świetle. Opowiadała również anegdoty o rodzinie królewskiej, czyniąc rozróżnienie między postaciami dobrymi, jak król i królowa oraz piękna księżna Kentu, a złymi, jak Windsorowie i stary król Eddy, który – zapewniała – cierpiał na pewną przypadłość i zostawił ślad na szyi swojej żony, próbując ją udusić; to dlatego cały czas nosiła perły. Rozróżnienie to zgadzało się z wyobrażeniem, jakie miała na ich temat matka, choć rzadko o tym wspominała. Toteż nie sprzeciwiała się Alfridzie, choć krzywiła się na wzmiankę o syfilisie.

Co do mnie, uśmiechałam się porozumiewawczo z wyzywającym opanowaniem.

Alfrida nadawała Rosjanom śmieszne imiona. Mikojanski. Wujek Joeski. Twierdziła, że

wszystkim mydłą oczy, że Organizacja Narodów Zjednoczonych to farsa, która nigdy się nie sprawdzi, Japonia zaś ponownie podniesie głowę i należało ją wykończyć, gdy była ku temu okazja. Quebecowi również nie dowierzała. Ani papieżowi. Miała problem z senatorem McCarthym: chętnie by go popierała, ale fakt, że był katolikiem, stanowił poważną przeszkodę. Na papieża mówiła łupież. Z upodobaniem myślała o wszystkich łotrach i szubrawcach, od jakich roiło się w świecie.

Czasami odnosiło się wrażenie, że odgrywa spektakl, przedstawienie, żeby zakpić sobie z mojego ojca. By go wkurzyć, jak sam by to określił, zagrać mu na nerwach. Ale nie dlatego, że go nie lubiła lub chciała speszyć. Wręcz przeciwnie. Bardzo możliwe, że dręczyła go tak, jak młode dziewczyny dręczą chłopców w szkole: kłótnie sprawiają wtedy przedziwną przyjemność obu stronom, a zniewagi przyjmowane są jako pochlebstwa. Ojciec dyskutował z nią niezmiennie łagodnym i spokojnym tonem, lecz było jasne, że chce ją zirytować. Czasem robił zwrot i ogłaszał, że być może ona ma rację, że pracując w gazecie, ma dostęp do informacji, których on nie zna.

– Oświeciłaś mnie – mówił. – Gdybym miał trochę rozumu, byłbym ci wdzięczny.

Na co ona odpowiadała:

– Nie wciskaj mi takich głodnych kawałków.

– Ach wy dwoje! – mówiła matka z udawaną rezygnacją i, być może, autentycznym zmęczeniem w głosie, więc Alfrida nakazywała jej pójść się położyć, zapewniając, że zasłużyła sobie na to po tak wykwinnym obiedzie i że ona i ja wspólnie zajmiemy się zmywaniem. Matka skarżyła się na drzenie prawej ręki i sztywnienie palców – jej zdaniem z przemęczenia.

Podczas gdy byłyśmy zajęte w kuchni, Alfrida opowiadała o sławnych ludziach: aktorach czy nawet pomniejszych gwiazdach filmowych, które wystąpiły na scenie w jej mieście. Ściszym głosem, wciąż przerywanym dziko niepoprawnym śmiechem, powtarzała plotki o ich złym prowadzeniu się, o skandalach w życiu prywatnym, które nie przedostały się do prasy. Wspominała o pedałach, sztucznych piersiach i trójkątach małżeńskich – o wszystkim, co moje lektury tylko sugerowały, a co poznawane nawet z trzeciej czy czwartej ręki w realnym życiu przyprawiało mnie o zawrót głowy.

Moją uwagę zawsze przykuwały zęby Alfridy, tak że nawet podczas słuchania tych poufnych narracji zdarzało mi się tracić wątek. Zęby, które jej pozostały, znajdowały się z przodu – każdy w innym odcieniu, jeden niepodobny do drugiego. Niektóre, o dość mocnym szklowie, miały odcień zbliżony do ciemnej kości słoniowej, inne, opalizujące z nutą lila, mieniły się srebrem jak ryby w wodzie, rzucając czasem złote błyski. W tamtych latach zęby rzadko prezentowały się tak solidnie i nienagannie jak dzisiaj, chyba że były sztuczne. Ale zęby Alfridy były niezwykle ze względu na swą niepowtarzalność, wyraźne przerwy i okazały rozmiar. Gdy Alfrida zaczynała kpić w wyjątkowy, świadomie szokujący sposób, jej zęby zdawały się wybiegać do przodu jak gwardia pałacowa, jak różni włóczęnicy.

– To prawda, że zawsze miała problemy z zębami – mówiły ciotki. – Pamiętacie, jak raz zrobił jej się taki ropień, że trucizna rozeszła jej się po całym ciele?

Jakie to do nich podobne, myślałam sobie: odrzucić dowcip i styl Alfridy, a zęby uczynić przykrym problemem.

– Czemu wszystkich nie wyrwie, i po krzyku? – zastanawiały się.

– Pewnie nie może sobie na to pozwolić – sugerowała babcia, nieoczekiwanie udowadniając, że cały czas śledziła rozmowę, czym zaskoczyła wszystkich, jak jej się to czasem zdarzało.

I ukazując życie Alfridy w nowym, zaskakującym dla mnie, przyziemnym świetle. Byłam przekonana, że Alfrida jest bogata, przynajmniej w porównaniu z resztą rodziny. Miała mieszkanie – nigdy go nie widziałam, ale dla mnie fakt ten krył w sobie wizję co najmniej cywilizowanego życia – i nosiła ubrania, które nie były szyte w domu, zaś na nogach nie sznurowane trzewiki, jak praktycznie każda znana mi dorosła kobieta – ale jaskrawe, plastikowe sandały. Trudno było odgadnąć, czy babcia żyła dawnymi czasami, w których sprawienie sobie sztucznej szczęki było poważnym wydatkiem, ukoronowaniem życia, czy może wiedziała o Alfridzie coś, czego ja nigdy bym się nie domyśliła.

Przy okazji obiadów u nas Alfrida praktycznie nie spotykała reszty rodziny. Odwiedzała jednak moją babcię, która była jej ciotką, siostrą jej matki. Babcia nie mieszkała już w swym własnym domu, ale pomieszkiwała na zmianę u jednej lub drugiej ciotki, Alfrida jechała zatem do domu, w którym akurat mieszkała babcia, ale już nie do tego drugiego, gdzie mogłaby spotkać się z drugą ciotką, jej kuzynką równie bliską, jak mój ojciec. Nie jadała również u żadnej z nich. Zwykle najpierw przyjeżdżała do nas i chwilę z nami siedziała, po czym, jakby wbrew sobie, zaczynała się zbierać, by złożyć tę drugą wizytę. Gdy później wracała i zasiadaliśmy do stołu, nie padały żadne otwarcie krytyczne uwagi pod adresem moich ciotek czy ich mężów, a już na pewno nie babci. W rzeczywistości to właśnie ton, jakim Alfrida mówiła o mojej babci – z nagłą powagą i troską w głosie, nawet odcieniem niepokoju (jak z jej ciśnieniem?, była ostatnio u lekarza?, i co powiedział?) – uświadomił mi, jak inaczej, chłodno, a nawet z wrogą rezerwą, pytała o innych. W takich razach matka odpowiadała z podobną rezerwą, a ojciec ze szczególną powagą, można by powiedzieć: karykaturą powagi, i widać było, że wszyscy są zgodni co do pewnej kwestii, której nie mogą wyjawić.

Tego dnia, gdy wypaliłam papierosa, Alfrida postanowiła posunąć się trochę dalej i zapytała uroczyście:

– No a Asa? Nadal nie daje nikomu dojść do słowa?

Ojciec pokiwał smutno głową, jak gdyby pamięć o gadatliwości tego wujka ciążyła nam wszystkim.

– Tak – westchnął – bez zmian.

Wtedy wykorzystałam okazję.

– Wygląda na to, że prosiaki złapały glizdy – powiedziałam. – Ot co.

Z wyjątkiem „ot co” dokładnie takich słów użył wujek; wypowiedział je przy tym stole, powodowany nietypową dla siebie chęcią przerwania ciszy lub zakomunikowania czegoś ważnego, co

właśnie przyszło mu do głowy. Powtórzyłam to dokładnie takim samym statecznym pomrukiem, z tym samym niewinnym dostojeństwem.

Alfrida wybuchnęła głośnym śmiechem aprobaty, odsłaniając swe paradne zęby:

– Tak jest, oddała go co do joty.

Ojciec pochylił się nad talerzem, jakby chcąc ukryć, że też się śmieje, ale oczywiście nie ukrywając tego wcale, a matka, przygryzając wargi, pokręciła głową z uśmiechem na twarzy. Wypełniło mnie intensywne poczucie triumfu. Nie powiedziano nic, by mnie usadzić, nie zarzucono mi, że jestem złośliwa, „sprytna”. Słowo „sprytna” używane w rodzinie pod moim adresem mogło oznaczać „inteligentna” – ale wtedy nacechowane było raczej niechęcią: „Och, jaka ona sprytna” – albo sugerowało, że jestem nachalna, bezczelna, chcę zwrócić na siebie uwagę. „Nie bądź taka sprytna”.

Czasami matka mówiła ze smutkiem:

– Masz niewyparzony język.

Czasami – a było to o wiele gorsze – budziłam w ojcu niesmak.

– Kto ci powiedział, że masz prawo traktować innych z góry? Tego dnia nic takiego się nie wydarzyło; wydawało się, że mogę być tak swobodna, jak jakiś gość przy stole, niemal równie nieskrępowana co Alfrida, i błyszczeć pod sztandarem własnej osobowości.

Ale wkrótce miała otworzyć się przepaść i bardzo możliwe, że był to ostatni, najostatniejszy raz, kiedy Alfrida siedziała przy naszym stole. Nadal wymieniano kartki bożonarodzeniowe, ewentualnie listy – dopóki matce udawało się utrzymać pióro w dłoni – nadal czytaliśmy imię Alfridy w gazecie, ale nie przypominam sobie żadnych odwiedzin podczas ostatnich paru lat, kiedy mieszkałam jeszcze w domu.

Być może było tak, że kiedy Alfrida zapytała, czy może przyprowadzić przyjaciela, odpowiedziano jej, że nie. Powodem mógł być fakt, że już z nim mieszkała, a jeśli to był jej późniejszy mężczyzna – również to, że był żonaty. Moi rodzice wykazywali się w takich sprawach jednomyślnością. W matce budziły zgrozę nieformalne lub zbyt jawne relacje seksualne – a właściwie wszelkie relacje seksualne, bo stosowny ich wariant, czyli małżeński, był traktowany tak, jakby nie istniał – zaś ojciec w tamtym okresie swego życia również oceniał te sprawy bardzo surowo. Miał też prawdopodobnie szczególne obiekcje wobec mężczyzny, któremu udało się zdobyć Alfridę.

W ich oczach stała się łatwa. Potrafię sobie wyobrazić, jak jedno z nich to mówi. „Nie musiała się robić taka łatwa”.

Ale być może wcale nie pytała; może wiedziała, że nie warto. Być może w czasach tych wcześniejszych, ożywionych wizyt nie było w jej życiu mężczyzny, a kiedy się pojawił, całkowicie pochłonął jej uwagę. Mogła stać się wtedy zupełnie inną osobą, jaką z pewnością stała się później.

Odstępowała ją też zapewne specyficzna atmosfera domu, w którym ktoś jest chory, a jego stan będzie się tylko pogarszał i nigdy nie ulegnie poprawie. Był to przypadek mojej matki, jej różne

dolegliwości połączyły się i nasiliły, sprawiając, że to, co miało być troską i niedogodnością, stało się jej całym przeznaczeniem.

– Biedaczka – mówiły ciotki.

I w miarę jak obecność matki w domu zmieniała się w obecność osoby umierającej, inne kobiety w rodzinie, kiedyś tak pozbawione inicjatywy, zdawały się zyskiwać na żywotności i zaradności. Babcia sprawiła sobie aparat słuchowy, czego nikt by jej nie zasugerował. Kiedy jeden z mężów ciotek – nie Asa, ale wujek o imieniu Irvine – zmarł, jego żona zrobiła prawo jazdy, zatrudniła się w pracowni poprawek krawieckich i przestała nosić siatkę na włosach.

Przychodziły odwiedzić matkę i widziały niezmiennie to samo: ta najładniejsza z nich, która nigdy nie pozwoliła im zapomnieć, że pracowała kiedyś jako nauczycielka, z miesiąca na miesiąc stawała się coraz powolniejsza, kończyny jej sztywniały, mówiła z coraz większym trudem i nic nie można było na to poradzić.

Nakazywały mi, bym się nią dobrze opiekowała.

– Jest twoją matką – przypominały.

– Biedaczka.

Alfrida nie byłaby zdolna mówić takich rzeczy i pewnie nie wiedziałyby, co powiedzieć zamiast tego.

Byłam zadowolona, że nas nie odwiedza. Nie chciałam, by ludzie do nas przychodzili. Nie miałam dla nich czasu, stałam się gorliwą gospodynią domową pastującą parkiety i prasującą nawet ściereczki kuchenne, a wszystko po to, by utrzymać na dystans swego rodzaju hańbę (pogorszenie się stanu matki zdawało się wyjątkową hańbą, kładącą się cieniem na nas wszystkich). Robiłam to, by wywołać wrażenie, że żyjemy z rodzicami, bratem i siostrą w normalnej rodzinie, w zwykłym domu, ale z chwilą, gdy ktoś przestępował nasz próg i dostrzegał matkę, pojmował, że tak nie jest, i współczuł nam. Nie mogłam tego znieść.

Otrzymałam stypendium. Nie zostałam w domu, by zajmować się matką czy czymkolwiek. Wyjechałam na studia. College znajdował się w mieście, w którym mieszkała Alfrida. Po paru miesiącach zaprosiła mnie na kolację, ale nie mogłam do niej pójść, bo we wszystkie wieczory oprócz niedzielnych pracowałam w bibliotece miejskiej, w śródmieściu, oraz w bibliotece college'u, otwartych do dziewiątej. Jakiś czas potem, zimą, Alfrida zaprosiła mnie ponownie, tym razem na niedzielę. Powiedziałam jej, że nie mogę przyjść, bo idę na koncert.

– Oh... randka? – zapytała, a ja odpowiedziałam, że tak, choć akurat wtedy nie było to prawdą. Chodziłam na darmowe niedzielne koncerty w audytorium college'u z koleżanką lub kilkoma, dla zabicia czasu i w nikłej nadziei spotkania jakichś chłopców.

– Cóż, będziesz musiała go kiedyś przyprowadzić – powiedziała Alfrida. – Umieram z ciekawości, jaki on jest.

Nim upłynął rok, miałam już kogo przyprowadzić i rzeczywiście poznałam tego chłopaka na koncercie. W każdym razie on zobaczył mnie na koncercie i zadzwonił, żeby się ze mną umówić. Ale nigdy nie przedstawiłabym go Alfridzie. Nie przyprowadziłabym do niej żadnego z moich przyjaciół. Moi nowi znajomi byli ludźmi, którzy pytali: „Czytałaś *Spójrz ku domowi, aniele!* Och, koniecznie musisz przeczytać. Czytałaś *Buddenbrooków!*”. To z nimi obejrzałam *Zakazane zabawy* i *Komediantów* na seansach w klubie filmowym.

Chłopak, z którym chodziłam, a później się zaręczyłam, zabrał mnie do Ogniska Muzycznego, gdzie można było słuchać płyt w czasie przerwy na lunch. Dzięki niemu poznałam Gounoda, przez Gounoda pokochałam operę, a przez operę Mozarta.

Gdy Alfrida zostawiła wiadomość u mnie w akademiku, z prośbą bym oddzwoniła, nie zrobiłam tego. Potem już więcej nie telefonowała.

Nadal pisała do gazety; od czasu do czasu czytywałam jedną z jej rapsodii na temat figurek z porcelany Royal Doulton, importowanych herbatników imbirowych czy negliżów na noc poślubną. Najprawdopodobniej wciąż odpowiadała na listy od gospodyń Flory Simpson i wciąż się z nich śmiała. Teraz, gdy sama mieszkałam w mieście, rzadko zaglądałam do gazety, którą kiedyś uważałam za centrum miejskiego życia, a nawet, w pewnym sensie, centrum życia naszego oddalonego o dziewięćdziesiąt kilometrów domu. Dowcipy i obowiązkowy brak szczerości osób takich jak Alfrida czy Koński Henry, odczuwałam obecnie jako w złym guście i nudne.

Nie obawiałam się, że spotkam ją przypadkiem, nawet w tym nie tak znowu dużym mieście. Nigdy nie odwiedzałam sklepów, które wspominała w swoich felietonach. Nie miałam powodów, by przechodzić obok budynku redakcji gazety, a Alfrida mieszkała daleko od mojego akademika, gdzieś w południowej części miasta.

Nie wydawało mi się również, by Alfrida należała do osób, które bywają w bibliotece. Na sam dźwięk słowa „biblioteka” prawdopodobnie wykrzywiłaby swe szerokie usta w udanej konsternacji, jak czyniła na widok książek w biblioteczce moich rodziców – książek, które nie zostały kupione w moich czasach, a niektóre z nich stanowiły nagrody szkolne rodziców (widniało w nich panieńskie nazwisko mojej matki wypisane jej pięknym, utraconym charakterem pisma), i które dla mnie wcale nie były po prostu przedmiotami nabytymi w księgarni, ale reprezentowały stałą obecność w naszym domu, podobnie jak drzewa za oknem nie były roślinami, ale obecnością zakorzenioną w ziemi. *Młyn nad Flossą*, *Zew krwi*, *Więzienie w Edynburgu*.

– Kupa bajeranckich lekturek – mówiła Alfrida. – Założę się, że nieczęsto je sobie serwujecie.

A ojciec tym samym kumplowskim tonem dezaprobaty, a nawet pogardy, przyznawał, że owszem, nieczęsto, w pewnym sensie kłamiąc, gdyż zaglądał do nich od czasu do czasu w wolnej chwili.

Miałam nadzieję, że nigdy więcej nie będę musiała wypowiadać tego rodzaju kłamstw, okazywać tego rodzaju pogardy wobec rzeczy, które się dla mnie liczyły. I aby nie musieć tego robić, należało trzymać się z dala od ludzi, których wcześniej znałam.

Pod koniec drugiego roku przerwałam studia; przyznano mi stypendium tylko na dwa lata. Nie miało to znaczenia – i tak planowałam zostać pisarką. I wychodziłam za męża.

Alfrida dowiedziała się o tym i znowu się ze mną skontaktowała.

– Musiałaś być chyba bardzo zajęta, skoro nie zadzwoniłaś, a może nie dostałaś mojej wiadomości – powiedziała.

Odparłam, że może tak było.

Tym razem przyjąłem jej zaproszenie. Wizyta nie zobowiązywała mnie do niczego, gdyż nie miałam mieszkać w tym mieście w przyszłości. Wybrałam niedzielę, po ostatnim egzaminie, kiedy mój narzeczony pojechał do Ottawy na rozmowę o pracy. Dzień był jasny i słoneczny – początek maja. Postanowiłam pójść na piechotę. Właściwie nigdy dotąd nie byłam na południe od ulicy Dundas ani na wschód od Adelaide i niektóre dzielnice były dla mnie zupełnie obce. Drzewa oceniające ulice na północy miasta dopiero okrywały się liśćmi, bzy, ozdobne dzikie jabłonie, tulipany na klombach kwitły, a trawniki wyglądały jak świeże dywany. Ale po przejściu kawałka drogi zdałam sobie sprawę, że przy ulicach tych nie rosną już drzewa, domy stoją na wyciągnięcie ręki od chodnika, rosnące tam bzy (bez rośliny byle gdzie) są blade, jak gdyby wypłowiałe, a ich zapach nie unosi się w powietrzu. Oprócz domków jednorodzinnych widziałam wąskie bloki, jedno- lub dwupiętrowe; niektóre miały pas cegieł wokół drzwi, a w podniesionych oknach zwisały nad parapetami smętne firanki.

Alfrida mieszkała w domku, nie w bloku. Zajmowała piętro. Parter, w każdym razie część frontowa, zamieniony był w sklep, w niedzielę zamknięty. Był to sklep z używanymi rzeczami; przez brudne szyby witryny dostrzegłam mnóstwo trudnych do nazwania sprzętów, a wszędzie dookoła stały stare serwisy i naczynia. Zwróciłam uwagę na pojemnik po miodzie, dokładnie taki jak ten, w którym nosiłam do szkoły drugie śniadanie, gdy miałam sześć czy siedem lat: z niebieskimi obłoczkami i złotym ułem. Pamiętam, że czytałam wypisane z boku słowa: „Tylko naturalny miód ulega krystalizacji”.

Nie miałam wtedy pojęcia, co oznacza słowo „krystalizacja”, ale podobało mi się jego brzmienie. Sugerowało coś wytwornego i smakowitego.

Dojście na miejsce zajęło mi więcej czasu, niż sądziłam, i bardzo się zgrzałam. Nie przypuszczałam, że Alfrida, zapraszając mnie na lunch, przygotuje posiłek przypominający nasze niedzielne domowe obiady, ale gdy wchodziłam po schodach, wyczułam zapach duszonego mięsa i warzyw.

– Myślałam, że się zgubiłaś – wykrzyknęła nade mną. – Miałam już zwoływać ekipę ratowniczą.

Zamiast w letnią sukienkę ubrana była w różową bluzkę z luźno zawiązaną kokardą i brązową plisowaną spódnicę. Włosy nie układały się jej w gładkie loki, ale były krótko ścięte i ufryzowane, a ich ciemny brąz połyskiwał teraz wyraźnie rudym odcieniem. Twarz zaś, którą zapamiętałam jako szczupłą i opaloną, stała się pełniejsza i jakby nabrzmiała. W świetle południa makijaż Alfridy lśnił niczym różowopomarańczowy malunek.

Przede wszystkim jednak wstawiła sobie zęby o jednolitym odcieniu, jakby trochę za duże na jej usta, nadające jej dawnej zadziorności pewien niepokojący rys.

– No, ale nabrałaś ciała – stwierdziła. – Kiedyś była z ciebie taka chudzina.

Było to prawdą, lecz nie było mi miło to słyszeć. Podobnie jak inne dziewczyny na stacji żywiłam się tanio: jadłam kopiaste porcje gotowych obiadów do odgrzewania i ciastka nadziewane konfiturą. Mój narzeczony, tak wytrwale i zaborczo wszystko we mnie aprobujący, powtarzał, że podobają mu się pełne kobiety i że przypominam mu Jane Russell. Pozwalałam mu tak mówić, ale czułam się obrażona, gdy ktoś komentował mój wygląd. Zwłaszcza ktoś taki jak Alfrida – kto całkowicie przestał się liczyć w moim życiu. Uważałam, że tego typu osoby nie miały prawa mi się przyglądać ani wyrabiać sobie opinii na mój temat, a już zwłaszcza ich wypowiadać.

Dom był wąski od frontu, ale przestronny w głąb. Miał salon z pochyłym po obu stronach sufitem i oknami wychodzącymi na ulicę, ślepa jadalnię przypominającą korytarz, z której wchodziło się do bocznych sypialni o mansardowych oknach, kuchnię, łazienkę – również bez okien – oświetloną światłem dziennym wpadającym przez półprzeźroczystą szybę w drzwiach, oraz przeszkloną werandę na całej szerokości tyłu domu.

Ukośne stropy nadawały pokojom charakter prowizorki, jak gdyby pomieszczenia te były przeznaczone na coś innego niż sypialnie. Stały w nich ciężkie meble: stół jadalny z kompletem krzeseł, stół kuchenny z krzesłami, kanapa w pokoju dziennym i rozkładany fotel – nadające się bardziej do obszernych pokoi z prawdziwego zdarzenia. Serwetki na stolikach, obrębiane białe narzuty chroniące oparcia i boki kanapy i foteli, firanki w oknach i ciężkie kwieciste zasłony odsunięte na boki – wszystko to przypominało domy ciotek bardziej, niż mogłabym się spodziewać. Na ścianie jadalni – nie łazienki czy sypialni, ale jadalni – wisiał obrazek przedstawiający dziewczynkę w rozkloszowanej spódnicy, wykonany z różowej atłasowej wstążeczki.

Przez podłogę w jadalni, w przejściu między kuchnią a pokojem dziennym, biegł pas grubego linoleum.

Alfrida zdawała się zgadywać moje myśli.

– Wiem, że mam tu za dużo rzeczy – powiedziała. – Ale to moich rodziców. To meble rodzinne i nie mogłabym się ich pozbyć.

Nigdy nie myślałam o niej jako o osobie, która miała rodziców. Wcześniej straciła matkę i wychowała ją moja babcia, a jej ciotka.

– Mojego taty i mamy – dodała. – Gdy tata odszedł, twoja babcia je przechowała, bo mówiła, że gdy dorosnę, powinny trafić do mnie, no i dlatego tu są. Nie mogłam odmówić ich przyjęcia, skoro zadała sobie tyle trudu.

Stanęła teraz przede mną ta część życia Alfridy, o której zapomniałam. Jej ojciec ponownie się ożenił. Opuścił farmę i dostał pracę na kolei. Urodziły mu się inne dzieci, rodzina przeprowadzała się z miasta do miasta i czasami Alfrida wspominała o niej z kpiną, a to z powodu liczby dzieci, tego, jak szybko się pojawiały i jak często rodzina musiała się przeprowadzać.

– Chodź, poznasz Billa – zaproponowała.

Bili siedział na zabudowanej werandzie, na niskiej kanapie czy tapczanie przykrytym brązowym kraciastym kocem, jakby czekał tylko na wezwanie. Koc był wygnieciony – Bili musiał przed chwilą na nim leżeć – a żaluzje opuszczone do parapetów. Światło w pomieszczeniu – gorące światło słoneczne wpadające przez żółte, zniszczone od deszczu żaluzje – pognieciony, szorstki koc i wyblakła, wymięta poduszka, nawet zapach koca i męskich kapci, starych, wytartych kapci, które straciły kształt i wzór, przypomniały mi – tak jak serwetki i ciężkie polerowane meble w pokojach oraz dziewczynka z tasiemki na ścianie – domy moich ciotek. U nich również można było trafić na niechlujną męską kryjówkę z jej ulotnymi, a jednak natrętnymi woniami i wstydliwą, ale nieustępliwą atmosferą wyzwania rzucanego władztwu kobiet.

Jednak Bili wstał i uściśnął moją dłoń, czego wujkowie nigdy by nie zrobili, witając się z nieznaną dziewczyną. Ani w ogóle z jakąkolwiek dziewczyną. Nie dlatego, że byli jakoś szczególnie nieuprzejmi, ale z obawy, by nie wypadło to sztucznie.

Był wysokim mężczyzną o kręconych, połyskujących siwych włosach i gładkiej, choć niemłodej twarzy. Przystojnym mężczyzną, którego uroda utraciła blask – czy to na skutek nietęgiego zdrowia, niepowodzeń, czy też gnuśności. Wciąż jednak miał w sobie tę znużoną kurtuazję, ten sposób pochylania się nad kobietą, który sugerował, że spotkanie będzie przyjemnością, tak dla niej, jak i dla niego.

Alfrida skierowała nas do jadalni bez okien, w której w środku słonecznego dnia paliło się światło. Odniosłam wrażenie, że posiłek był już od jakiegoś czasu gotowy, a moje spóźnione nadejście wstrzymało ich rutynowy rozkład zajęć. Bili serwował pieczonego kurczaka i sos, Alfrida nakładała warzywa.

– Kochanie, co twoim zdaniem leży obok talerza? – zwróciła się do Billa, który dopiero wtedy przypomniał sobie, by wziąć serwetkę.

Nie miał wiele do powiedzenia. Podawał sos, dopytywał się, czy chcę musztardy, soli albo pieprzu, śledził rozmowę, obracając głowę to w stronę Alfridy, to w moją. Od czasu do czasu spomiędzy jego przednich zębów wydobywało się jakby ciche gwizdnięcie, budzące dreszcz. Przypuszczalnie miało stanowić wyraz serdeczności i uznania. Z początku wzięłam je za zapowiedź komentarza. Ale żaden nie padł, a Alfrida ani na chwilę nie dopuściła go do głosu. W późniejszym czasie widywałam niepijących alkoholików, którzy zachowywali się podobnie – dorzucali uprzejmie swoje trzy grosze, ale bezradnie przejęci, nie byli zdolni wydusić z siebie niczego więcej. Nie wiem, czy odnosiło się to do Billa, ale rzeczywiście zdawał się dźwigać na swoich barkach historię porażek, przeżytych kłopotów i odebranych nauczek. Roztaczał wokół siebie aurę dzielnego godzenia się z wyborami, które okazały się niewłaściwe, lub możliwościami, które nie zostały wykorzystane.

Alfrida oznajmiła, że groszek z marchewką jest mrożony. Mrożonki z warzyw były w tamtych czasach raczej nowością.

– Jest o wiele lepszy niż z puszki – dodała. – Praktycznie tak dobry jak świeży.

I tu Bili wygłosił kompletną frazę. Powiedział, że mrożony groszek jest lepszy niż świeży. Kolor, zapach, wszystko było w nim lepsze niż w świeżym. Dodał, że to niezwykle, co obecnie da się zrobić i co w przyszłości będzie można osiągnąć dzięki zamrażaniu produktów.

Alfrida pochyliła się nad stołem z uśmiechem. Zdawało się, że niemal wstrzymała oddech, jak gdyby Bili był jej dzieckiem, które stawia pierwsze kroki bez asekuracji lub samodzielnie podejmuje chybliwą próbę jazdy na rowerze.

Istniała metoda wstrzykiwania czegoś kurczakom, poinformował nas. Dzięki tej nowej technologii wszystkie kurczaki miały wyrastać takie same: pulchne i smaczne. Nie będzie już ryzyka, że wykluje się jakieś kurczę gorszej jakości.

– Bili zajmuje się chemią – wyjaśniła Alfrida.

Ponieważ nie miałam nic do powiedzenia na ten temat, dodała:

– Pracował dla Gooderhama. Nadal nie reagowałam.

– W destylatorni – uściśliła. – Whisky Gooderham.

Nie miałam nic do powiedzenia nie z powodu arogancji czy braku zainteresowania (a w każdym razie nie okazywałam większej arogancji niż zwykle w tym czasie, ani większego braku zainteresowania, niż mogłam się po sobie spodziewać). Po prostu nie dotarło do mnie, że powinnam zadać jakieś pytanie –jakiegokolwiek, byle wciągnąć nieśmiałego samca do rozmowy,

potrząsnąć nim i wybić go z jego roztargnienia, nadać mu pewną rangę, czyli pozycję pana domu. Nie rozumiałam, dlaczego Alfrida spoglądała na niego z tak zachęcającym uśmiechem. Całe doświadczenie kobiety z mężczyznami, kobiety słuchającej swojego mężczyzny z niezłomną nadzieją, że ten osiągnie status kogoś, z kogo ona będzie w miarę dumna – miałam dopiero zdobyć. Jedyne obserwacje zamężnych par, jakie do tej pory poczyniłam, dotyczyły małżeństw ciotek i wujków oraz matki i ojca, a tych mężów i te żony zdawały się łączyć więzi odległe i konwencjonalne, pozbawione oczywistej wzajemnej zależności.

Bili jadł spokojnie, jak gdyby nie słyszał uwagi o swym zawodzie i pracodawcy, a Alfrida zaczęła wypytywać mnie o moje wykłady. Nadal się uśmiechała, ale inaczej. W uśmiechu tym znać było lekkie zniecierpliwienie i niechęć, jakby czekała, aż dojdę do końca wyjaśnień, by móc powiedzieć – co rzeczywiście zrobiła:

– Za żadne skarby nie zmusiałabyś mnie do czytania wszystkich tych rzeczy.

– Życie jest za krótkie – dodała. – Wiesz, u nas w gazecie trafia się czasem ktoś, kto przez to wszystko przeszedł. Celujący z angielskiego, celujący z filozofii. Nie wiadomo, co z takim zrobić. Nie potrafi skleić trzech zdań. Mówiłam ci już, prawda? – zwróciła się do Billa, a Bili podniósł wzrok i odwzajemnił się jej uległym uśmiechem.

Odczekała chwilę.

– No a co robisz dla przyjemności? – zapytała.

W tamtym okresie w teatrze w Toronto wystawiano *Tramwaj zwany pożądaniem* i opowiedziałam

jej, że wybrałam się z paroma przyjaciółmi pociągiem, by zobaczyć przedstawienie.

– Takie plugastwo – naskoczyła na mnie, z twarzą naznaczoną odrazą. Potem mówiła spokojniej, ale ciągle wyraźnie zde gustowana.

– Pojechałaś aż do Toronto, żeby zobaczyć takie plugastwo.

Skończyliśmy deser i Bili wykorzystał to, by poprosić o pozwolenie odejścia od stołu. Zwrócił się do Alfridy, a następnie – z nieznacznym skinieniem głowy – do mnie. Wrócił na werandę i wkrótce poczułyśmy zapach fajki. Odprowadzając go wzrokiem, Alfrida jakby nie pamiętała o mnie i o przedstawieniu. Na jej twarzy malował się wyraz tak napiętej czułości, że kiedy wstała, pomyślałam, że pójdzie za nim. Ale poszła tylko po swoje papierosy.

Wyciągnęła paczkę w moją stronę, a gdy wzięłam jednego, z wymuszoną wesołością powiedziała:

– Widzę, że zachowałaś złe nawyki, w które cię wpakowałam.

Być może zreflektowała się, że nie jestem już dzieckiem, nie muszę do niej przychodzić i nie ma sensu widzieć we mnie wroga. A ja nie zamierzałam podejmować dyskusji; nie obchodziło mnie, co Alfrida myśli o Tennessee Williamsie. Ani o czymkolwiek innym.

– W sumie to twoja sprawa – zawyrokowała. – Możesz chodzić, gdzie chcesz. – I dodała: – Ostatecznie niedługo będziesz mężatką.

Ton jej głosu sugerował: „Nie pozostaje mi nic innego jak uznać, że jesteś teraz dorosła” lub: „Nawet się nie obejrzysz, a będziesz musiała chodzić jak w zegarku”.

Podniosłyśmy się i zaczęłyśmy zbierać naczynia. Kręcąc się blisko siebie na małej przestrzeni między stołem kuchennym a blatem i lodówką, w naturalny sposób szybko przyjęłyśmy pewien porządek i harmonie: zrzucić resztki z talerzy, ułożyć naczynia w stosy, schować pozostałe jedzenie do pojemników, napełnić zlew ciepłą wodą z płynem, wyłuskać sztućce, których nie użyto, i wkładać je do wyłożonej zielonym sukniem szuflady w komodzie jadalni. Przyniosłyśmy do kuchni popielniczkę i od czasu do czasu zatrzymywałyśmy się, by zaciągnąć się pokrzepiająco i metodycznie. Są sprawy, co do których kobiety zgadzają się lub nie, gdy w ten sposób razem pracują, na przykład, czy wolno palić, czy lepiej nie, żeby jakiś ulotny popiół nie posypał się na umyte naczynie, albo czy każdą z rzeczy, jaka była na stole, trzeba umyć, nawet jeśli się jej nie użyło, i okazało się, że Alfrida i ja zgadzamy się w tych kwestiach. Również świadomość, że po umyciu naczyń będę mogła sobie pójść, sprawiła, że byłam bardziej zrelaksowana i wyrozumiała. Oznajmiłam już, że po południu jestem umówiona.

– Ładny serwis – powiedziałam. Był koloru kremowego, lekko żółtawy, z deseniem w niebieskie kwiatuszki na brzegach.

– Tak, to ślubny serwis mojej matki – powiedziała Alfrida. – Twoja babcia zrobiła dla mnie jeszcze jedną dobrą rzecz. Zapakowała cały serwis mojej matki i przechowała go do czasu, aż mogłam go użyć. Jeanie nigdy się nie dowiedziała, że w ogóle istniał. Przy takiej bandzie długo by się nie uchował.

Jeanie. Banda. Jej macocha, przyrodni bracia i przyrodnie siostry.

– Słyszałaś tę historię, prawda? – zapytała Alfrida. – Słyszałaś, co stało się mojej matce?

Oczywiście, że słyszałam. Matka Alfridy zginęła, gdy w dłoniach wybuchła jej lampa olejowa, to znaczy zmarła od poparzeń, jakich doznała, gdy w dłoniach wybuchła jej lampa, a moje ciotki i matka w kółko do tego wracały. Niewiele dało się powiedzieć o matce Alfridy lub o jej ojcu – a najmniej o samej Alfridzie – bez przywoływania okoliczności tej śmierci i doczepiania jej do tematu. To dlatego ojciec Alfridy opuścił farmę (podejmując nieco kontrowersyjny krok z moralnego, jeśli nie finansowego punktu widzenia). Z tej również przyczyny należało szalenie ostrożnie obchodzić się z olejem opałowym oraz cieszyć się z elektryczności, nieważne, jak drogiej. I – niezależnie od wszystkiego – było to przerażające doświadczenie dla dziecka w wieku Alfridy (to znaczy niezależnie od tego, co z niej od tamtej pory wyrosło).

„Gdyby nie ta burza z piorunami, nie zapalałyby lampy po południu”.

„Żyła przez całą noc, następny dzień i następną noc, a najlepiej by dla niej było, gdyby od razu umarła”.

„A dokładnie rok później obok nich poprowadzono linię elektryczną i lampy stały się zbyteczne”.

Moje ciotki i matka rzadko były zgodne w jakiegokolwiek sprawie, jednak w tym wypadku wszystkie czuły to samo. Pobrzmiewało to w ich głosach, kiedy wypowiadały imię matki Alfridy. Cała historia wydawała się ich przerażającym skarbem, czymś, do czego tylko nasza rodzina – i nikt inny – mogła sobie rościć prawo; stanowiła wyróżnienie, którym nie sposób było pogardzić. Przysłuchując się im, odnosiłam wrażenie, że jest to rodzaj obscenicznego podglądania, chciwego grzebania w tym, co straszne lub katastrofalne. Ich głosy były niczym rojące się w brzuchu robaki.

Wedle mojego doświadczenia mężczyźni tacy nie byli. Kiedy tylko mogli, odwracali wzrok od przerażających wydarzeń i zachowywali się tak, jak gdyby nie było sensu – skoro już się wydarzyły – wspominać ich lub wracać do nich myślami. Nie chcieli jątrzyć – samych siebie, ani innych.

Jeśli więc Alfrida zamierzała o tym rozmawiać, dobrze, że nie przyszedł ze mną mój narzeczony. Że, dowiedziawszy się o stanie mojej matki i relatywnym, czy może całkiem znacznym ubóstwie moich krewnych, nie musiał na dodatek usłyszeć o matce Alfridy. Podziwiał operę i Laurence'a Oliviera w *Hamlecie*, ale nie miał czasu na tragedie – na nędzę tragedii – w zwykłym życiu. Jego rodzice byli zdrowi, przystojni i dobrze sytuowani (choć jego zdaniem oczywiście nudni), a on sam chyba nie poznał nigdy nikogo, kto nie żyłby w równie cieplarnianych warunkach. Niepowodzenia w życiu – w szczęściu, zdrowiu i finansach – osiągały go jak potknięcia, zaś jego zdecydowana aprobata wobec mnie nie obejmowała mojego kłopotliwego zaplecza rodzinnego.

– Nie pozwolono mi wejść do szpitala, żeby ją zobaczyć – zaczęła Alfrida, ale przynajmniej mówiła to normalnym głosem, nie otwierając furki jakiemuś szczególnemu rozczuleniu czy niezdrowemu podnieceniu. – Cóż, na ich miejscu pewnie sama też bym nie pozwoliła sobie wejść. Nie mam pojęcia, jak wyglądała. Pewnie była całkowicie zabandażowana, jak mumia. Przynajmniej tak myślę. Nie było mnie, gdy do tego doszło, byłam w szkole. Zrobiło się bardzo ciemno, nauczycielka zapaliła światła – w szkole mieliśmy prąd – i musieliśmy zostać do końca burzy. Potem ciocia Lily –

znaczy twoja babcia – przyszła po mnie i zabrała mnie do siebie. I nigdy więcej nie zobaczyłam mamy.

Sądziłam, że to wszystko, co zamierzała powiedzieć, ale po chwili podjęła wątek nieznacznie ożywionym głosem, jakby zamierzała się roześmiać.

– Darłam się jak opętana, że chcę ją zobaczyć. Wrzeszczałam, aż w końcu, gdy już nie mogli mnie uspokoić, twoja babcia powiedziała do mnie: „Lepiej, że jej nie widzisz. Nie chciałabyś jej widzieć, gdybyś wiedziała, jak wygląda. Nie chciałabyś jej taką zapamiętać”. A wiesz, co ja odpowiedziałam? Pamiętam jeszcze. Powiedziałam: „Ale ona chciałaby zobaczyć mnie. Ona chciałaby zobaczyć mnie”.

Po tym naprawdę się roześmiała albo wydała rodzaj chrząknięcia, niejednoznacznego i wzdargliwego.

– Chyba musiałam się uważać za nie wiadomo co, prawda? „Ona chciałaby zobaczyć mnie”.

Tej części historii nigdy nie słyszałam.

I w chwili, gdy ją poznałam, coś się dokonało. Jakby zatrzasnęła się jakaś zapadnia, by zatrzymać te słowa w mojej głowie. Nie wiedziałam, do czego mi będą potrzebne. Czułam jedynie, że mną wstrząsnęły i uwolniły mnie, bym odetchnęła innym, sobie tylko dostępnym rodzajem powietrza.

„Ona chciałaby zobaczyć mnie”.

Opowiadanie, w którym to wykorzystałam, miało powstać dopiero wiele lat później, gdy całkowicie przestało być dla mnie ważne, kto podsunął mi ten pomysł.

Podziękowałam Alfridzie i powiedziałam, że muszę już iść. Alfrida poszła po Billa, by się ze mną pożegnał, ale wróciła z wiadomością, że zasnął.

– Będzie zły na siebie, kiedy się obudzi – powiedziała. – Miło mu było ciebie poznać.

Zdjęła fartuch i zeszła ze mną po schodach. Dalej żwirowa alejka prowadziła do chodnika. Żwir chrzęścił pod naszymi stopami, a Alfrida zachwiała się w swoich kapciach na cienkiej podeszwie.

– Auu! – krzyknęła i oparła się na moim ramieniu. – A jak się miewa twój tata?

– W porządku.

– Za dużo pracuje.

– Musi.

– Och, wiem. A jak tam twoja mama?

– Bez zmian.

Obróciła się w stronę okna wystawowego.

– Kto kupi takie rupiecie? Spójrz na ten pojemnik po miodzie. Twój tata i ja nosiliśmy w takim drugie śniadanie do szkoły.

– Ja też – odparłam.

– Naprawdę? – Uścisnęła mnie. – Powiedz swoim rodzicom, że o nich myślę, dobrze?

Alfrida nie przyjechała na pogrzeb mojego ojca. Zastanawiałam się, czy nie dlatego, że nie chciała mnie spotkać. O ile wiem, nigdy nie ujawniła, co miała mi do zarzucenia; nikt tego nie wiedział. Prócz mego ojca. Gdy przyjechałam do niego i okazało się, że Alfrida mieszka niedaleko – w domu mojej babci, który w końcu odziedziczyła – zaproponowałam, żebyśmy ją odwiedzili. Działo się to w okresie zawirowania między moimi dwoma małżeństwami, kiedy byłam nastawiona ekspansywnie, zachłyśnięta odzyskaną wolnością i gotowa nawiązywać kontakt z kimkolwiek, kogo wybiorę.

– Wiesz – zaczął mój ojciec – Alfrida poczuła się trochę dotknięta.

Nazywał ją teraz Alfridą. Od kiedy?

Z początku nie miałam pojęcia, co mogło dotknąć Alfridę. Ojciec musiał mi przypomnieć opublikowane kilka lat wcześniej opowiadanie i poczułam się zdziwiona, a nawet zirytowana i trochę zła, że Alfrida ma obiekcje wobec czegoś, co teraz zdawało się nie bardzo jej dotyczyć.

– To wcale nie była Alfrida – przekonywałam ojca. – Zmieniłam tę historię; nawet nie myślałam o Alfridzie. To była bohaterka opowiadania. Nietrudno było się zorientować.

Ale, prawdę mówiąc, w tekście pojawiała się lampa, matka w śmiertelnym całunie, kochające, osierocone dziecko.

– No cóż – odparł ojciec. W zasadzie był zadowolony, że zostałam pisarką, ale miał zastrzeżenia do tego, co można by nazwać moich charakterem. Do tego, że zakończyłam swoje małżeństwo z osobistych – a więc absolutnie nieuzasadnionych – powodów oraz że rozповідаłam o tym wszystkim dookoła, usprawiedliwiając się lub, jak to ujął, mydląc innym oczy. Niemniej powstrzymał się od komentarzy; w końcu nie była to już jego sprawa.

Zapytałam go, skąd wiedział, że Alfrida tak zareagowała.

– Z listu – odparł.

Z listu, choć mieszkali niedaleko od siebie. Naprawdę zrobiło mi się przykro, że musiał znosić konsekwencje tego, co można było uznać za moją lekkomyślność, a nawet nadużycie. I że stosunki między Alfridą a nim wyraźnie się ochłodziły. Zastanawiałam się, co przemilczał. Czy naprawdę czuł się zobowiązany bronić mnie przed Alfridą, jak musiał bronić mojej twórczości przed innymi? Zrobiłby tak, choć nigdy nie było to dla niego proste. W swej niełatwej obronie mógł powiedzieć coś okrutnego.

Przeze mnie znalazł się w dziwnym położeniu.

Ilekróć trafiałam na grunt rodzinny, pojawiała się niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo, że spojrzę na własne życie innymi oczyma niż własne. Że ujrzę je jako narastający ciąg słów, niczym pogmatwany, budzący konsternację, krępujący drut kolczasty, w zestawieniu z całą bogatą produkcją – potraw, kwiatów, wydzierganych ubrań – domowego świata innych kobiet. Trudniej było wtedy twierdzić, że wszystko to jest warte zachodu.

Mojego? Możliwe. Ale czy innych?

Ojciec powiedział, że Alfrida mieszka teraz sama. Zapytałam go, co z Billem. Odpowiedział, że nie jemu o tym sądzić. Jego zdaniem Bili został odbity.

- Bill? Jak to? Przez kogo?
- Cóż, o ile wiem, był żonaty.
- Poznałam go u Alfridy. Był bardzo miły
- Wszyscy tak uważali. Wszystkie.

Niewykluczone, że zerwanie nie miało nic wspólnego ze mną. Moja macocha narzuciła ojcu nowy styl życia. Chadzali na kręgle i curling i regularnie spotykali się z innymi parami na kawie i pączkach w kawiarni Tima Hortona. Zanim wyszła za mojego ojca, przez dłuższy czas była wdową i miała wielu przyjaciół z tego okresu, którzy stali się również jego przyjaciółmi. To, co wydarzyło się między nim i Alfridą, mogło być po prostu jedną z wielu zmian, osłabieniem starych więzów, czymś, co w pełni rozumiałam w odniesieniu do mojego życia, a czego nie spodziewałam się dostrzec w życiu starszych ludzi, szczególnie, powiedziałabym, w życiu krewnych.

Moja macocha zmarła niedługo przed ojcem. Po swym krótkim, szczęśliwym małżeństwie oboje powędrowali na oddzielne cmentarze, by spocząć u boku swych pierwszych, zdecydowanie bardziej kłopotliwych partnerów. Przed śmiercią obojga Alfrida zamieszkała z powrotem w mieście. Nie sprzedała domu, po prostu wyjechała i zostawiła go. Ojciec napisał do mnie: „Dziwne podejście”.

Na pogrzeb ojca przybyło wiele osób; wielu nie znałam. Jakaś kobieta przeszła przez trawnik cmentarza, aby ze mną porozmawiać; z początku pomyślałam, że to przyjaciółka macochy. Potem zorientowałam się, że była ledwie parę lat starsza ode mnie. Przysadzista sylwetka, korona siwoblonde włosów i żakiet w kwiaty sprawiały, że wyglądała na starszą.

- Poznaję panią ze zdjęcia – zaczęła. – Alfrida dawniej nie mogła się pani nachwalić.
- Alfrida żyje? – zdziwiłam się.
- Och, tak – odparła kobieta. I poinformowała mnie, że Alfrida znajduje się w domu opieki w mieście na północ od Toronto.
- Przeniosłam ją tam, by móc się nią opiekować.

Teraz łatwo było poznać – nawet po głosie – że należała do mojego pokolenia, i uświadomiłam sobie, że musi być kimś z drugiej rodziny, przyrodnią siostrą Alfridy, która przyszła na świat, gdy Alfrida była prawie dorosła.

Przedstawiła mi się; naturalnie nosiła inne nazwisko niż Alfrida – musiała być mężatką. A ja nie mogłam sobie przypomnieć, by Alfrida kiedykolwiek wymieniała imiona członków swojej przyrodniej rodziny.

Zapytałam, jak się miewa Alfrida. Tak jej osłabł wzrok, że była praktycznie niewidoma, mówiła kobieta. Miała też poważne problemy z nerkami, tak że dwa razy w tygodniu była dializowana.

- A cóż poza tym...? – dodała i roześmiała się. Pomyślałam: „Tak, to musi być siostra”, gdyż usłyszałam coś z Alfridy w tej beztroskiej salwie śmiechu.

– No więc, nie za dobrze znosi podróż. Inaczej bym ją przywiozła. Wciąż dostaje stąd gazetę i czasem jej czytam. To z gazety dowiedziałam się o pani ojcu.

Odruchowo zapytałam, czy nie można by jej odwiedzić. Emocje pogrzebowe – wszystkie te ciepłe uczucia, niosące ulgę i pojednanie, wywołane we mnie przez śmierć ojca w słusznym wieku – popchnęły mnie do tego. Trudno byłoby zrealizować ten plan. Mój mąż – mój drugi mąż – i ja mieliśmy za dwa dni lecieć do Europy na i tak już spóźniony urlop.

– Nie wiem, czy się pani nie rozczaruje – odpowiedziała kobieta. – Alfrida miewa dobre dni. Ale potem przychodzą złe. Nie da się tego przewidzieć. Czasami mam wrażenie, że ona udaje. Na przykład siedzi cały dzień i cokolwiek się do niej powie, odpowiada niezmiennie: „Do zakochania jeden krok”. Przez cały dzień. „Do-zakochania-jeden-krok”. Szału można dostać. Kiedy indziej rozmawia normalnie.

I znowu jej głos i śmiech – tym razem przytłumiony – przypomniały mi Alfridę, więc powiedziałam:

– Wie pani, musiałam kiedyś panią poznać, pamiętam, że raz odwiedziła nas macocha Alfridy i jej ojciec, a może tylko jej ojciec z którymś z dzieci...

– Och, ale to nie ja – odpowiedziała. – Myślała pani, że jestem siostrą Alfridy? O, matko. Muszę staro wyglądać.

Zaczęłam się tłumaczyć, że widzę ją niezbyt wyraźnie, i było to prawdą. W październikowe popołudnie słońce było już nisko i świeciło mi prosto w oczy. Ta kobieta stała pod słońce, więc nie widziałam dokładnie jej rysów.

Wzruszyła nerwowo, znacząco ramionami.

– Alfrida to moja biologiczna mama. Mamuś. Matka.

A potem, nie wchodząc zbyt w szczegóły, opowiedziała mi swoją historię. Musiała być powtarzana często, gdyż chodziło o ważny moment w jej życiu oraz przygodę, w którą wkroczyła samotnie. Została adoptowana przez rodzinę ze wschodniego Ontario – jedyną, jaką kiedykolwiek znała („i serdecznie ich kochałam”), wyszła za mąż i miała dzieci, które dorosły, zanim odczuła potrzebę dowiedzenia się, kim była jej własna matka. Nie było to proste ze względu na sposób przechowywania dokumentów oraz tajność sprawy („To, że mnie urodziła, trzymano w absolutnej tajemnicy”). Parę lat temu udało jej się dotrzeć do Alfridy.

– W samą porę – powiedziała. – Był już najwyższy czas, żeby się nią zaopiekować. Na ile potrafię.

– Nie wiedziałam o tym – przyznałam.

– W tamtych czasach niewielu wiedziało. Ostrzegają cię, kiedy rozpoczynasz takie poszukiwania, że może to wywołać szok.

Dla starszych ludzi to ciężkie przeżycie. Ona jednak nie miała chyba nic przeciwko temu. Może wcześniej byłoby inaczej.

Z kobiety biło swego rodzaju poczucie triumfu, co nietrudno zrozumieć. Gdy ma się do

powiedzenia coś, co wprawi innych w osłupienie, i gdy faktycznie efekt ten zostanie osiągnięty, musi nastąpić słodka chwila smakowania władzy. W tym przypadku była to władza tak pełna, że kobieta odczuła potrzebę usprawiedliwienia.

– Przepraszam, że ciągle mówię o sobie, a nie powiedziałam, jak bardzo mi przykro z powodu śmierci pani taty.

Podziękowałam jej.

– Wie pani, Alfrida opowiedziała mi, że kiedyś wracała z pani tatą na piechotę ze szkoły, kiedy byli w liceum. Nie mogli iść całej drogi razem, bo, wie pani, w tamtych czasach chłopiec i dziewczyna razem – mogli się strasznie ośmieszyć. Więc gdy on wychodził ze szkoły pierwszy, czekał po prostu w miejscu, gdzie ich ścieżka odchodziła od głównej drogi, za miastem; jeśli ona wychodziła pierwsza, tak samo – czekała na niego. I pewnego dnia szli razem i usłyszeli, jak zaczynają bić wszystkie dzwony. I wie pani, co to było? Koniec pierwszej wojny światowej.

Powiedziałam jej, że również słyszałam tę historię.

– Ale myślałam, że byli jeszcze dziećmi.

– Jak mogli wracać z liceum, skoro byli jeszcze dziećmi? Sądziłam, że bawili się na polach.

– Mieli ze sobą psa mojego taty – dodałam. – Wabił się Mack.

– Może i mieli. Może wybiegł im na spotkanie. Nie wydaje mi się, żeby się pomyliła w opowiadaniu. Dobrze pamiętała wszystko, co dotyczyło pani taty.

Wtedy uzmysłowiłam sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, że mój ojciec urodził się w 1902 roku i że Alfrida była mniej więcej w jego wieku. Więc bardziej prawdopodobne wydawało się, że wracali z liceum, niż że bawili się na polu; dziwne, że wcześniej o tym nie pomyślałam. Może powiedzieli, że byli na polu, to znaczy wracali polami do domu. Może nigdy nie powiedzieli, że się „bawili”.

Poza tym żal, serdeczność, życzliwość, które wcześniej wyczuwałam w tej kobiecie, teraz zniknęły.

– Wszystko wokół się zmienia – powiedziałam.

– To prawda – odparła kobieta. – Ludzie wszystko zmieniają. Chce pani wiedzieć, co Alfrida mówiła o pani?

No tak. Wiedziałam, że teraz to nastąpi.

– Co takiego?

– Mówiła, że pani jest sprytna, ale nie aż tak, jak się pani zdaje.

Zatrzymałam wzrok na ciemnej twarzy, patrząc pod słońce.

Sprytna, zbyt sprytna, nie dość sprytna.

– To wszystko? – zapytałam.

– Mówiła, że jest pani typem zimnej ryby. Ona tak mówiła, nie ja. Ja do pani nic nie mam.

Tamtej niedzieli, po obiedzie u Alfridy, ruszyłam na piechotę do siebie, na stację. Obliczyłam, że w obie strony przejdę około szesnastu kilometrów, co powinno zrównoważyć zjedzony obiad. Czułam się przesycona, nie tylko potrawami, ale wszystkim, co dostrzegłam i wyczułam w mieszkaniu. Staromodnymi meblami. Milczeniem Billa. Miłością Alfridy – upartą, niestosowną i beznadziejną – o ile mogłam zauważyć – już choćby ze względu na różnicę wieku.

Po pewnym czasie żołądek przestał mi ciążyć. Postanowiłam nie jeść niczego przez następne dwadzieścia cztery godziny. Szłam stale na północ i na zachód, przecinającymi się pod kątem prostym ulicami małego miasta. W niedzielne popołudnie tylko na głównych ulicach panował ruch. Czasem przez kilka przecznic moja trasa pokrywała się z trasą autobusu. W mijającym mnie autobusie siedziało dwoje czy troje pasażerów. Ludzi, których nie znałam i którzy mnie nie znali. Na szczęście.

Skłamałam Alfridzie; z nikim nie miałam się spotkać. Moi znajomi w większości pojechali do domów. Narzeczony miał wrócić dopiero nazajutrz – w drodze powrotnej z Ottawy zamierzał odwiedzić rodziców w Cobourgu. Na stacji nie czekał nikt, z kim byłabym zmuszona rozmawiać lub kogo musiałabym słuchać. Nie miałam nic do roboty.

Po przeszło godzinnym marszu zobaczyłam otwarty sklep z barem. Wstąpiłam tam na kawę. Kawa była odgrzewana, czarna i gorzka, i miała smak lekarstwa; dokładnie takiej potrzebowałam. Zdążyłam już poczuć ulgę, a teraz byłam szczęśliwa. Jak dobrze być samej. Widzieć na chodnikach na zewnątrz gorące światło późnego popołudnia, gałęzie drzew z młodymi listkami, rzucające skąpy cień. Słyszeć z zaplecza sklepu dźwięki meczu, którego transmisji radiowej słuchał obsługujący mnie mężczyzna. Nie myślałam o opowiadaniu o Alfridzie, które miałam później napisać – nie o nim w szczególności – ale o pracy, jaką chciałam wykonywać, przypominającej bardziej chwytanie czegoś w powietrzu niż budowanie historii. Krzyki tłumów dochodziły do mnie jak potężne, pełne smutku uderzenia serca. Cudowne, podniosłe brzmiące fale, ze swą odległą, prawie nieludzką aprobatą i skargą.

Właśnie tego chciałam, właśnie to uznawałam za godne uwagi, właśnie tak chciałam, by wyglądało moje życie.

Pociecha

Późnym popołudniem Nina grała w tenisa na szkolnych kortach. Przez jakiś czas po odejściu Lewisa ze szkoły bojkotowała korty, ale od tamtej pory minął już prawie rok, a jej koleżanka, Margaret – która też była emerytowaną nauczycielką, tyle że rozstała się z pracą w przyjęty, ceremonialny sposób, nie tak jak Lewis – przekonała ją, żeby nadal tam przychodziła.

„Rozerwij się, póki jeszcze możesz”.

Margaret była już na emeryturze, kiedy zaczęły się problemy Lewisa. Napisała ze Szkocji list w jego obronie. Ale była osobą o tak wielkim sercu, tak otwartą, tolerancyjną i pozytywnie nastawioną do wszystkich bez wyjątku, że jej list prawdopodobnie nie miał większej wagi. Świadczył raczej o dobroci Margaret.

– Jak Lewis? – spytała, gdy Nina odwoziła ją tego dnia do domu.

– Coraz prędej.

Zachodzące słońce dotykało już prawie krawędzi jeziora. Nieliczne drzewa, które jeszcze zachowały liście, wyglądały jak snopy światła, ale w popołudniowym powietrzu nie czuło się już ciepła lata. Krzewy przez domem Margaret były owinięte w worki jak mumie.

Ta pora dnia przypominała Ninie o spacerach, na które kiedyś chodzili z Lewisem po szkole, przed kolacją, po leśnych ścieżkach i starych nasypach kolejowych, spacerach z konieczności coraz krótszych – w miarę jak coraz wcześniej zapadał zmierzch – wypełnionych tą specyficzną gamą informacji, wyrażonych w słowach lub bez słów, jaką otrzymywała lub przejmowała od Lewisa. Robaki, pędraki, ślimaki, mech, trzciny w rowie i czernidłaki w trawie, tropy zwierząt, żurawina, borówki – cała ta różnorodność wymieszana trochę inaczej każdego dnia. I każdego dnia coraz bliżej zimy, coraz mniej wszystkiego, kolejne etapy wędnięcia.

Dom, w którym mieszkała z Lewisem, postawiony został, zgodnie z modą lat czterdziestych dziewiętnastego wieku, tuż przy chodniku. W gościnnym pokoju czy w jadalni słyszało się nie tylko kroki, ale też rozmowy z zewnątrz. Nina spodziewała się, że Lewis usłyszy trzask zamykanych drzwiczek samochodu.

Weszła, pogwizdując – najlepiej, jak umiała. Patrzcie, nadchodzi zwycięzca.

– Wygrałam. Wygrałam. Słyszysz?

Ale w czasie gdy jej nie było, Lewis umierał. Ściślej mówiąc, zabijał się. Na stoliku nocnym leżały cztery niewielkie plastikowe listki zafoliowanych tabletek. Każdy zawierał po dwa silne środki przeciwbólne. Dwa dodatkowe listki leżały obok, nienaruszone; białe wypukłości świadczyły, że tabletki nadal są w środku. Kiedy Nina później wzięła listki do ręki, zobaczyła na jednym z nich ślad na folii, jakby Lewis nacisnął paznokciem, ale potem zrezygnował z otwierania, może uznawszy, że połknął ich już wystarczająco dużo, a może właśnie wtedy stracił przytomność.

Szklanka z wodą, która stała przy jego łóżku, była niemal pusta. Nie rozlał ani kropli. '

Rozmawiali o tym. Plan został zaakceptowany, ale zawsze jako coś, co może nastąpić – co nastąpi – w przyszłości. Nina sądziła, że będzie przy tym i że będzie to uroczysta chwila. Muzyka. Wysoko ułożone poduszki, jej krzesło przysunięte tak blisko, by mogła trzymać go za rękę. Nie wzięła pod uwagę dwóch rzeczy – awersji Lewisa do wszelkich ceremonii, a także problemów, jakie wynikłyby dla niej w razie jej uczestnictwa. Pojawiłyby się pytania i komentarze, ryzyko oskarżenia o współudział.

Realizując plan w taki sposób, Lewis pozostawiał jej jak najmniej śladów, które musiała zatrzeć.

Rozejrzała się za listem. Co spodziewała się tam przeczytać? Nie potrzebowała wskazówek. Na pewno nie potrzebowała wyjaśnień, a tym bardziej przeprosin. W liście nie mogło być niczego, co nie byłoby jej wiadome. Nawet odpowiedź na pytanie „Dlaczego tak prędko?” należała do tych, do których mogła dojść samodzielnie. Rozmawiali – a raczej on mówił – o granicy, za którą zaczyna się nieznośna bezradność lub ból, lub obrzydzenie do samego siebie, i jak ważne jest, żeby rozpoznać ten próg, zanim niepostrzeżenie się go przekroczy. Lepiej za wcześnie niż za późno.

Niemniej uznała za niemożliwe, żeby mimo wszystko nie miał jej czegoś do powiedzenia. Najpierw popatrzyła na podłogę, bo być może zrzucił kartkę ze stolika rękawem piżamy, gdy po raz ostatni odstawiał szklankę. A może właśnie dopilnował, żeby tak się nie stało – zajrzała pod podstawkę lampki nocnej. Potem do szuflady stolika. Potem pod jego kapcie i do każdego z nich. Wzięła do ręki książkę, którą ostatnio czytał, i przetrząsnęła, trzymając grzbietem do góry – była to publikacja z dziedziny paleontologii, traktująca o czymś, co, o ile pamiętała, nazywało się kambryjską eksplozją organizmów wielokomórkowych.

Tu też nic.

Zaczęła przeszukiwać pościel. Najpierw odsunęła kapę, potem wierzchnie prześcieradło. Leżał w ciemnoniebieskiej jedwabnej piżamie, którą kupiła mu kilka tygodni temu. Kiedyś poskarżył się, że jest mu zimno – on, który nigdy wcześniej nie marzył w łóżku – więc poszła do sklepu i kupiła najdroższą piżamę, jaką znalazła. Wybrała tę, ponieważ jedwab jest zarówno lekki, jak i ciepły, i ponieważ wszystkie inne piżamy, jakie oglądała – pasiaste, z zabawnymi lub dwuznacznymi napisami – kojarzyły jej się ze starymi ludźmi albo mężami z satyrycznych rysunków, przegranymi pantoflarzami. Piżama miała prawie ten sam kolor co pościel, więc Nina widziała tylko odsłonięte części ciała. Stopy, kostki, golenie. Dłonie, nadgarstki, szyję, głowę. Leżał na boku, odwrócony do niej plecami. Myśląc wciąż o liście, pociągnęła za poduszkę, wysuwając mu ją spod głowy.

Nie. Nie.

Opadając z poduszki na materac, głowa stuknęła głucho; dźwięk był głośniejszy, niż Nina się spodziewała. I właśnie to, jak również pusta przestrzeń prześcieradła, uświadomiło jej, że poszukiwania są daremne.

Tabletki musiały go uspić, wyłączając niepostrzeżenie wszystkie funkcje życiowe, więc nie miał otwartych, nieruchomych oczu czy grymasu na twarzy. Jego usta były lekko uchylone, ale suche. Parę

ostatnich miesięcy bardzo go zmieniło – dopiero teraz naprawdę dostrzegła, jak bardzo. Kiedy miał otwarte oczy, a nawet gdy spał, jakimś wysiłkiem potrafił podtrzymywać iluzję, że jego stan jest przejściowy – że pod fałdami sinawej skóry, pokrywającej skutki niewzruszonego działania choroby, zachowała się twarz energicznego, porywczego sześćdziesięciodwulatka. To nawet nie rysy nadawały jego twarzy ten ostry i pełen życia wyraz, lecz błyszczące, głęboko osadzone oczy, skrzywienie ust, ekspresywna mimika – pojawiające się szybko i równie szybko znikające zmarszczki, odpowiedzialne za repertuar min oddających kpinę, niedowierzanie, ironiczną cierpliwość, bolesny niesmak. Repertuar nauczycielski – nie zawsze jednak ograniczony do klasy.

Nigdy więcej, nigdy więcej. Zaledwie kilka godzin po śmierci (bo na pewno zabrał się do dzieła od razu po jej wyjściu, żeby spokojnie zdążyć się ze wszystkim uwinąć do jej powrotu), było już jasne, że uwiąd i rozpad zwyciężył. Twarz miał zapadniętą. Zamkniętą, odległą, zestarzałą i infantylną – trochę jak twarz dziecka, które urodziło się martwe.

Choroba atakowała na jeden z trzech sposobów. Mogło być tak, że najpierw słabły ramiona i dłonie. Palce drętwiały i przestawały być posłuszne, trzymanie w nich czegoś okazywało się coraz trudniejsze, wreszcie niemożliwe. Albo najpierw słabły nogi, zdarzały się potknięcia, potem nie można już było unieść stopy na schodach, a nawet pokonać krawędzi dywanu. Trzeci i prawdopodobnie najgorszy atak wymierzony był w gardło i język. Przełykanie przychodziło z coraz większym trudem, napawało lękiem, zawsze groziło zakrztuszeniem, a mowa zmieniała się w zbity ciąg powtarzających się sylab. Choroba atakowała zawsze mięśnie podległe woli – i w pierwszej chwili naprawdę wydawało się to mniejszym złem. Żadnych niedoczynności serca czy mózgu, żadnych zaburzeń w odbiorze rzeczywistości, żadnych złośliwych zmian osobowości. Wzrok, słuch, smak i dotyk, a przede wszystkim intelekt, pozostawały aktywne i sprawne jak zawsze. Mózg intensywnie pracował, monitorując kolejne wyłączenia w dalekich partiach ciała, księgując kolejne braki odzewu i zamieranie kolejnych mięśni. Czy tak nie było lepiej?

Oczywiście, stwierdził Lewis. Ale tylko dlatego, że daje ci to możliwość wzięcia sprawy w swoje ręce.

W jego przypadku problemy zaczęły się od mięśni nóg. Zapisał się na aerobik dla seniorów (choć sam pomysł go odrzucał), by się przekonać, czy forsowne ćwiczenia nie przywrócą im siły. Trochę może pomogło, na tydzień czy dwa. Ale potem stopy zrobiły się jak z ołowiu, przy chodzeniu szurał i potykał się, a niedługo później usłyszeli diagnozę. Gdy tylko się dowiedzieli, rozmawiali o tym, co zrobią, kiedy nadejdzie ten moment. Na początku lata Lewis chodził, wspierając się na dwóch laskach. Lato jeszcze się nie skończyło, a już w ogóle przestał chodzić. Ale dłonie dawały jeszcze radę przewracać kartki w książce i – z większym trudem – utrzymać widelec lub łyżkę. Jego wymowa wydawała się Ninie prawie niezmienną, ale odwiedzający ich goście mieli problemy ze zrozumieniem go. Zdecydował, że w takim razie koniec z wizytami. Zmodyfikowali dietę, by przełykanie stało się łatwiejsze, i czasami przez kilka dni nie było żadnych problemów z jedzeniem.

Nina zaczęła się rozglądać za wózkiem inwalidzkim. Lewis nie oponował. W rozmowach nie wracali już do tego, co nazwali Końcówką. Nawet zaczęła się zastanawiać, czy oboje – a może tylko

on – nie wkraczają właśnie w etap, o którym czytała, przemiany obserwowanej nieraz u ludzi podczas nieuleczalnej choroby. Zaczynają oni przejawiać optymizm, nie dlatego, że taka reakcja jest wpisana w psychikę, ale dlatego, że całe to doświadczenie przestaje być abstrakcją i staje się faktem, a sposoby radzenia sobie z nim – codzienną rutyną, a nie uciążliwością.

To jeszcze nie koniec. Ciesz się chwilą. Chwytaj dzień.

Tego rodzaju przemiana wydawała się zupełnie nie pasować do Lewisa. Nina знаła go na tyle, żeby wiedzieć, że nie był zdolny do oszukiwania samego siebie, choćby było to dla niego najbardziej korzystne. Ale też nie mogła go sobie nigdy wyobrazić fizycznie pokonanego przez chorobę. I teraz, gdy już zdarzyła się ta jedna nieprawdopodobna rzecz, czy nie była możliwa druga? Czy nie mogło być tak, że przemiana, dokonująca się w innych, nastąpiła również w nim? Ukryta nadzieja, lawirowanie, przewrotne negocjacje?

Nie.

Otworzyła książkę telefoniczną i zaczęła szukać pod „Grabarze”, ale tego słowa oczywiście nie było. „Przedsiębiorcy pogrzebowi”. Irytacją taką jak ta, którą teraz poczuła, dzieliła się zwykle z Lewisem. Grabarze, na litość boską, co jest złego w grabarzach? Odwróciła się do niego i spostrzegła, w jakim stanie go zostawiła, zupełnie odkrytego. Zanim zadzwoniła, przykryła go z powrotem.

Młody człowiek po drugiej stronie słuchawki zapytał, czy jest tam lekarz, czy przyszedł już lekarz?

– Nie potrzebował lekarza. Kiedy wróciłam, już nie żył.

– A kiedy to się stało?

– Trudno powiedzieć... Ze dwadzieścia minut temu.

– Zastała go pani martwego? A kto jest państwa lekarzem? Zadzwonię i poproszę, żeby tam przyszedł.

W trakcie swoich rzeczowych rozmów na temat samobójstwa Nina i Lewis nigdy, o ile pamiętała, nie ustalili, czy sprawa ma pozostać w tajemnicy, czy nie. Z jednej strony na pewno Lewis wołałby ten fakt ujawnić. Chciałby, żeby ludzie wiedzieli, że był to jego pomysł na honorowe i rozsądne wyjście z sytuacji, w jakiej się znalazł. Ale z innych względów Lewis mógłby sobie nie życzyć rozgłaszania tej wiadomości. Nie chciałby, żeby ktoś pomyślał, że powodem była utrata pracy, jego przegrana w szkole. Ludzie mogliby uznać, że się załamał z powodu tamtej porażki – sama myśl o tym doprowadziłaby go do białej gorączki.

Zgarnęła z nocnego stolika opakowania po tabletkach, te pełne i te puste, i wyrzuciła do ubikacji.

Rosłe miejscowe chłopaki z przedsiębiorstwa pogrzebowego, ich dawni uczniowie, byli trochę bardziej zmieszani, niż chcieliby okazać. Lekarza, też młodego, nie znała; stały lekarz Lewisa był na urlopie w Grecji.

– Prawdziwe błogosławieństwo – powiedział lekarz, gdy Nina przedstawiła mu sytuację. Była

trochę zaskoczona tym, jak otwarcie się wyraził, pomyślała też, że gdyby słyszał go Lewis, pewnie wychwyciłby niepożądany zapaszek religii. Mniej zdziwiły ją kolejne słowa lekarza.

– Czy nie chciałaby pani z kimś porozmawiać? Są u nas ludzie, którzy mogliby, rozumie pani, pomóc pani uporać się z emocjami.

– Nie, nie, dziękuję. Nie trzeba.

– Mieszka tu pani od dawna? Ma pani przyjaciół, do których może pani zadzwonić?

– Tak, tak.

– Czy teraz zadzwoni pani do kogoś?

– Tak – odrzekła. Kłamała. Jak tylko wyszedł lekarz i pracownicy zakładu pogrzebowego niosący Lewisa, a także Lewis – wyniesiony jak mebel owinięty w materiał dla zabezpieczenia przed obtłuczeniami – podjęła na nowo poszukiwania. Uświadomiła sobie, że była głupia, rozglądając się za listem tylko w pobliżu łóżka. Zaczęła grzebać w kieszeniach swojego szlafroka, który wisiał na drzwiach sypialni. Doskonałe miejsce, bo przecież wkładała go każdego ranka, idąc pospiesznie do kuchni, żeby nastawić kawę, i zawsze sięgała do kieszeni po chusteczkę czy szminkę. Tylko że Lewis musiałby podnieść się z łóżka i przejść przez pokój – a przecież już od kilku tygodni nie mógł zrobić kroku bez jej pomocy.

Ale dlaczego list miałby zostać napisany i podłożony gdzieś dopiero wczoraj? Czy nie było bardziej prawdopodobne, że napisał go i schował wiele tygodni temu, szczególnie że przecież nie mógł przewidzieć tempa, w jakim będzie się pogarszała jego zdolność pisania? A skoro tak, to list mógł być wszędzie. W szufladach jej biurka – gdzie teraz szperała. A może pod butelką szampana, który kupiła na jego urodziny i postawiła na toaletce, by przypominał mu o tym dniu przypadającym za dwa tygodnie, lub między stronami jednej z książek, które ostatnio miała w ręku. Nawet zapytał ją, nie tak dawno, co czyta, to znaczy dla siebie – poza książką, którą czytała mu na głos, *Fryderykiem Wielkim* Nancy Mitford. To był jej pomysł, żeby czytać mu zajmujące książki historyczne – nie zniósłby żadnej powieści – pozostawiając naukowe do samodzielnej lektury. „Japońskie opowiadania” – odpowiedziała wtedy, pokazując okładkę. Teraz przekładała inne książki, żeby znaleźć tamtą, odwrócić ją grzbietem do góry i potrząsnąć. Potem zrobiła to samo z każdą, którą wcześniej odsunęła. Zrzuciła poduszki z krzesła, na którym zwykle siadała, by zobaczyć, czy czegoś pod nimi nie ma. W końcu wszystkie poduszki z sofy jedna po drugiej wylądowały na podłodze. Wysypała z puszki kawę w ziarnach, na wypadek gdyby (pod wpływem impulsu?) wsunął list pożegnalny właśnie tam.

Nie chciała, żeby ktoś przy niej był, obserwował te poszukiwania – choć prowadziła je przy zapalonych światłach i rozsuniętych zasłonach. Nie chciała, żeby ktoś jej powtarzał, że powinna wziąć się w garść. Ściemniło się i zdała sobie sprawę, że powinna coś zjeść. Mogłaby zadzwonić do Margaret. Jednak nie zrobiła nic. Wstała, żeby zaciągnąć zasłony, ale zamiast tego pogasiła światła.

Nina miała trochę ponad metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Jeszcze kiedy była nastolatką,

nauczyciele wuefu, pedagodzy szkolni, troskliwi przyjaciele jej rodziców – wszyscy powtarzali jej w kółko, żeby przestała się garbić. Robiła, co mogła, ale nawet teraz, kiedy patrzyła na siebie na zdjęciach, załamywały ją te pozy – skulone ramiona, głowa przechylona na bok, stale ta sama postawa uśmiechniętej osoby z personelu. W młodości przyzwyczajona była do aranżowanych przez przyjaciół spotkań, podczas których miała poznawać różnych wysokich mężczyzn. Tak jakby nic innego nie miało w ich przypadku znaczenia – jeśli miał ponad metr osiemdziesiąt pięć, to znaczy, że na pewno by do siebie pasowali. Niejednokrotnie przedstawiany jej kandydat nie krył rozdrażnienia – bądź co bądź wysoki mężczyzna może przebierać i wybierać – a Ninę, jak zwykle zgarbioną i uśmiechniętą, zalewała fala zażenowania.

Przynajmniej rodzice nie wtrącali się w jej życie. Oboje byli lekarzami, mieszkali w małym miasteczku w Michigan. Nina mieszkała z nimi po ukończeniu studiów. Uczyła łaciny w miejscowym liceum. Na wakacje wyjechała do Europy z grupką znajomych z college'u, którzy nie wpadli jeszcze w tryby ślubów i rozwodów – i raczej im to nie groziło. W Cairngorms zakolegowali się z paczką Australijczyków i Nowozelandczyków, chwilowo hippisów, którym, jak się wydawało, przewodził Lewis. Był kilka lat starszy, nie tyle hippis, ile raczej doświadczony podróżnik, do którego wszyscy nieodmiennie się zwracali w razie trudności czy niesnasek. Był niezbyt wysoki – niższy od Niny o jakieś dziesięć centymetrów. Niemniej jednak spędzał z nią wiele czasu i namówił do zmiany trasy podróży, by dalej ruszyła już tylko w jego towarzystwie. Sam bez większego żalu pozostawił dawną paczkę własnemu losowi.

Okazało się, że włóczęga mu się przejadła, co więcej, że ma zupełnie przyzwoity stopień naukowy z biologii i przygotowanie pedagogiczne zdobyte w Nowej Zelandii. Nina opowiedziała mu o miasteczku na wschodnim wybrzeżu jeziora Huron, w Kanadzie, do którego w dzieciństwie jeździła w odwiedziny do krewnych. Opisała wysokie szpalery drzew ocieniające ulice, proste stare domy, zachody słońca nad jeziorem; było to wspaniałe miejsce, gdzie mogliby razem zamieszkać, a Lewis, jako pochodzący z obszaru Wspólnoty Brytyjskiej, mógłby znaleźć pracę. Rzeczywiście oboje dostali tam pracę w liceum. Wprawdzie Nina uczyła tylko przez kilka lat, dopóki łacina nie została wyłączona z programu. Mogła pójść na jakieś studia podyplomowe, przekwalifikować się i uczyć czegoś innego, ale w głębi serca była zadowolona, że nie pracuje już w tym samym miejscu i w tym samym zawodzie co Lewis. Siła jego osobowości i kontrowersyjny styl prowadzenia lekcji przysparzały mu nie tylko przyjaciół, ale i wrogów, i to, że nie była już w samym środku tego wszystkiego, przynosiło jej ulgę.

Trochę za długo zwlekali z zostaniem rodzicami. Nina podejrzewała też, że oboje byli na to odrobinę zbyt próżni – żadne z nich nie marzyło o przywdzianiu lekko komicznego i ograniczającego kostiumu Mamy i Taty. Oboje – a już szczególnie Lewis – cieszyli się sympatią i podziwem uczniów właśnie z tej racji, że byli inni niż większość dorosłych. Bardziej dynamiczni umysłowo i fizycznie, bardziej skomplikowani i wyraziści, zdolni cieszyć się dobrymi stronami życia.

Nina zapisała się do chóru. Wiele koncertów odbywało się w kościołach i dopiero przy tej okazji dowiedziała się, jak bardzo Lewis nie znosi tych miejsc. Tłumaczyła, że często po prostu nie ma

innego dostatecznie dużego pomieszczenia, i że to wcale nie znaczy, że repertuar jest religijny (choć ten argument trudno było obronić, gdy śpiewali *Mesjasza*). Powiedziała mu, że jest staroświecki, bo jakie prawdziwe szkody może w dzisiejszych czasach wyrządzić religia. Doprowadziło to do potężnej kłótni.

Musieli w pośpiechu zamykać okna, żeby w ten ciepły letni wieczór ich podniesionych głosów nie było słyhać z chodnika.

Taka scysja była dla obojga szokiem; nie tylko ujawniła, jak bardzo Lewis był skłonny do wynajdywania sobie wrogów, ale też pokazała, że i Nina nie potrafiła ustąpić, gdy kłótnia przeradzała się w dziką awanturę. Żadne z nich nie szło na kompromis, zaciekle obstając przy swoim.

Czy nie możesz zaakceptować faktu, że nie wszyscy są tacy jak ty? Dlaczego to jest takie ważne?

Jeżeli to nie jest ważne, nic nie jest.

Powietrze wydawało się gęstnieć od wzajemnej wrogości. A wszystko z powodu czegoś, co nigdy nie mogło zostać rozstrzygnięte. Poszli spać, nie odzywając się do siebie, następnego ranka rozstali się bez słowa, ale w ciągu dnia dopadł ich strach – ona zaczęła się bać, że on już nie wróci do domu, on, że kiedy wróci, jej już nie będzie. Jednak szczęście ich nie opuściło. Spotkali się późnym popołudniem, bladzi ze skruchy, drżący z miłości, jak dwoje ludzi, którzy cudem ocaleli z trzęsienia ziemi i odszukali się po długim błędzeniu po pustkowiu.

To nie była ich ostatnia kłótnia. Nina, której od dziecka wpajano ugodowość, zastanawiała się, czy tak musi być. Nie mogła rozmawiać o tym z nim – ich pojednania były zbyt piękne: pełne wdzięczności, czułości i wygłupów. On mówił do niej: Nina—drabina, a ona do niego: Lewis podróżnik.

Kilka lat wcześniej na poboczach dróg zaczęły się pojawiać nowe tablice. Już od dawna stały tam tablice wzywające do nawrócenia, a także inne – z wielkimi różowymi sercami i zanikającym elektrokardiogramem – których celem było zniechęcenie do aborcji. Teraz pojawiły się cytaty z Księgi Rodzaju.

Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię.

I rzekł Bóg: Niech się stanie światłość. I stała się światłość.

I stworzył Bóg człowieka na obraz swój. Na obraz Boga stworzył go. Jako mężczyznę i niewiastę stworzył ich.

Obok cytatu zazwyczaj widniała tęcza lub róża, albo jakiś inny symbol rajskiej szczęśliwości.

– O co w tym wszystkim chodzi? – spytała Nina. – Przynajmniej jakaś odmiana. Coś innego niż „Bóg tak umiłował świat”.

– To kreacjonizm – odrzekł Lewis.

– Zdążyłam się zorientować. Chodzi mi o to, dlaczego to jest na tablicach przy każdej drodze?

Lewis stwierdził, że to wyraz silnej tendencji do przywrócenia wiary w historię biblijną odczytaną dosłownie.

– Adam i Ewa. Znowu te same bzdury.

Nie wydawał się tym jakoś szczególnie zirytowany – nie bardziej, niż byłby na widok szopki ustawionej w każde Boże Narodzenie nie przed kościołem, ale przed ratuszem w miasteczku. Na terenie kościoła to jedno, powiedział, a na terenie miasta – co innego. W kwakerskim wychowaniu Niny nie poświęcono wiele miejsca Adamowi i Ewie, więc po powrocie do domu zdjęła z półki Biblię Króla Jakuba i przeczytała całą historię od początku do końca. Poczowała się oczarowana majestatycznym rytmem, w jakim następowało po sobie pierwszych sześć dni – oddzielenie wód, umieszczenie światła na sklepieniu niebios, stworzenie istot, od których zaroily się wody, i ptactwa skrzydlatego według rodzajów jego i tak dalej.

– To piękne – stwierdziła. – Wspaniała poezja. Ludzie powinni to przeczytać.

Lewis odparł, że nie jest to ani lepsze, ani gorsze od innych mitów o stworzeniu świata, które pojawiły się na czterech krańcach ziemi, i że rzygać mu się chce, gdy słyszy, jakie to piękne i że to poezja.

– Zwykła ścierna – skwitował. – Oni mają w dupie poezję.

Nina roześmiała się.

– Cztery krańce ziemi – powiedziała z rozbawieniem. – I tak się wyraża naukowiec? Założę się, że to z Biblii.

Zdarzało jej się ryzykować, od czasu do czasu, i droczyć z nim na ten temat. Ale musiała uważać, żeby nie posunąć się za daleko. W porę rozpoznać granicę, za którą mógłby poczuć się śmiertelnie zagrożony, dotknięty na honorze.

Od czasu do czasu znajdowała w skrzynce ulotkę. Nie czytała ich nigdy zbyt dokładnie, uznając, że pewnie wszyscy dostają takie rzeczy razem z pocztą, między ulotkami reklamującymi egzotyczne wakacje i inne kiczowate widoczki. Później dowiedziała się, że Lewis znajduje te same ulotki w pracy – „kreacjonistyczną propagandę”, jak je określił – na biurku lub wepchnięte do swojej przegródki w pokoju nauczycielskim.

– Dzieciaki mają dostęp do mojego biurka, ale kto, u diabła, zapycha mi przegródkę? – zapytał dyrektora.

Dyrektor odpowiedział, że nie ma bladego pojęcia, ale też je dostaje. Lewis wymienił kilka nazwisk innych nauczycieli ze szkoły – kryptochrześcijan, jak ich nazwał – ale dyrektor odparł, że naprawdę nie warto się tym przejmować; ulotki zawsze można wyrzucić do śmieci.

Na lekcjach padały pytania. Oczywiście, zawsze tak było. Masz to jak w banku, mówił Lewis. Jakaś wymoczkowata świętoszka albo inny śmierzący spryciarz dowolnej płci próbujący wetknąć

małpę w szprychy koła ewolucji. Lewis miał stare i sprawdzone metody radzenia sobie z takimi sytuacjami. Uczniom przerywającym lekcję mówił, że jeśli szukają religijnej interpretacji historii świata, to w sąsiednim miasteczku jest chrześcijańskie liceum i że na pewno będą tam mile widziani. Gdy pytania stały się częstsze, dodawał, że jest tam dobry dojazd, kilka autobusów, i że jeśli mają ochotę, mogą zabrać swoje książki i wyjść choćby natychmiast.

– I niech was... – dorzucił. Później wybuchł spór o to, czy faktycznie powiedział „wszyscy diabli” albo „szlag trafi”, czy też w ogóle nie dokończył zdania. Ale nawet jeśli to ostatnie było prawdą, niewątpliwie użył tego zwrotu w obraźliwym sensie, ponieważ każdy mógł sobie łatwo dopowiedzieć resztę.

Uczniowie zaczęli stosować nowy manewr.

– Nie chodzi o to, że koniecznie chcemy poglądów zgodnych z religią, proszę pana. Tylko się zastanawiamy, dlaczego nie może ich pan potraktować równorzędnie.

Lewis dał się wciągnąć w dyskusję.

– Bo jestem tu po to, żeby was uczyć biologii, a nie religii.

Rzekomo tak właśnie się wyraził. Ale niektórzy złożyli na niego skargę za to, że powiedział: „Bo nie jestem tu po to, żeby was uczyć bzdur”. I faktycznie, faktycznie, przyznał Lewis, po jakiejś czwartej czy piątej próbie przerywania mu lekcji poprzez zadawanie tego samego pytania, tylko sformułowanego za każdym razem trochę inaczej („Czy pan uważa, że usłyszenie drugiej wersji tej historii nam zaszkodzi?”, „Jeśli uczymy się w szkołach ateizmu, czy to nie jest trochę tak, jakby uczono nas jakiegoś rodzaju religii?”), podobne słowo mogło mu się wyrwać i w sytuacji takiej prowokacji nie zamierzał nikogo przeproszać.

– Tak się składa, że ja tu jestem szefem i ja decyduję o tym, czego będę uczyć na swoich lekcjach.

– Wydaje mi się, że to Bóg jest szefem, proszę pana.

Zdarzało mu się wyrzucić kogoś za drzwi. Rodzice przyjeżdżali na skargę do dyrektora. Być może zamierzali porozmawiać z Lewisem, ale dyrektor pilnował, aby do spotkania nie doszło. Lewis dowiadywał się o tych wizytach po fakcie, z mniej lub bardziej żartobliwych uwag rzuconych w pokoju nauczycielskim.

– Nie ma się czym przejmować – powiedział mu dyrektor. Nazywał się Paul Gibbings i był kilka lat młodszy od Lewisa. – Oni po prostu chcą mieć poczucie, że zostali wysłuchani. Trzeba ich trochę udobruchać.

– Już ja bym ich udobruchał – zapewnił Lewis.

– Nie wątpię, ale nie o takie udobruchanie mi chodziło.

– Na drzwiach powinna wisieć tabliczka: zakaz wstępu z psami i z rodzicami.

– Coś w tym jest – stwierdził Paul Gibbings, wzdychając dobrodusznie. – Ale podejrzewam, że oni też mają swoje racje.

W miejscowej gazecie zaczęły się ukazywać listy. Co kilka tygodni, z podpisem „Zaniepokojony

rodzic”, „Wierzący podatnik” lub z nagłówkiem „Dokąd zmierzamy?”. Były dobrze zredagowane, podzielone na akapity, ze sprawnie przeprowadzoną argumentacją; można było niemal pomyśleć, że wszystkie wyszły spod jednej oddelegowanej do tego ręki. Ich główną tezą było, że nie wszystkich rodziców stać na czesne w prywatnych szkołach chrześcijańskich, a jednak wszyscy rodzice płacą podatki. Tak więc zasługują na to, żeby ich dzieci kształciły się w szkołach publicznych w sposób, który nie obraża ani celowo nie niszczy ich wiary. Posługując się naukowym językiem, autorzy niektórych listów wyjaśniali, jak doszło do tego, że przekaz religijny został źle zrozumiany, i w jaki sposób odkrycia pozornie dowodzące ewolucji faktycznie potwierdzały wersję biblijną. Po tym następowały cytaty z Biblii, w których znajdowała się zapowiedź współczesnego fałszywego nauczania, a w konsekwencji porzucenia wszystkich reguł przyzwoitości.

Z czasem ton listów się zmienił; stał się gniewny. Wysłannicy Antychrysta u władzy w rządzie i w szkole. Szatańskie szpony wyciągają się po dusze naszych dzieci, dosłownie zmuszanych, podczas egzaminów, do recytowania doktryny, za którą grozi im wieczne potępienie.

– Jaka jest różnica między Antychrystem a Szatanem? Czy to to samo? – spytała Nina. – Kwakrzy trochę zaniedbali moją edukację w tej kwestii.

Lewis odrzekł, że byłby wdzięczny, gdyby przestała traktować temat jak żart.

– Przepraszam – odpowiedziała na serio. – Jak myślisz, kto naprawdę pisze te listy? Jakiś pastor?

Pokręcił głową przecząco, nie, to było na pewno lepiej zorganizowane. Odgórna kampania, sztab przygotowujący listy,

wysłane następnie z miejscowych adresów. Nie sądził, żeby powodem było coś, co mówił na lekcjach. Wszystko zostało zaplanowane, wybrano szkoły w okolicach, w których można było liczyć na jakiś społeczny oddźwięk.

– Więc to nic osobistego?

– To żadne pocieszenie.

– Nie? Myślałam, że jednak.

Ktoś napisał „Ogień piekielny” na samochodzie Lewisa. Nie farbą w sprayu – zwyczajnie, palcem na kurzu.

Grupka uczniów zaczęła bojkotować lekcje biologii w ostatniej Masie. Siadali na podłodze pod salą, uzbrojeni w usprawiedliwienia od rodziców. Gdy Lewis zaczynał lekcję, zaczęli śpiewać:

Wszystko, co jasne i piękne,

Stworzenia duże i małe,

Wszystko, co mądre, wspaniałe,

Wszystko to stworzył Bóg.

Dyrektor powołał się na przepis zabraniający siedzenia na podłodze w korytarzu, ale nie kazał im wracać do klasy. Musieli się przenieść do szatni przy sali gimnastycznej, gdzie dalej śpiewali pieśni religijne; mieli przygotowany cały repertuar. Ich głosy nakładały się na zachrypnięte pokrzykiwania

wuefisty i głuchy łomot stóp na podłodze sali, tworząc rozstrajającą mieszankę.

W poniedziałek rano na biurku dyrektora pojawiła się petycja; jednocześnie jej kopia została doręczona do biura lokalnej gazety. Podpisy pod nią pochodziły nie tylko od rodziców uczniów opuszczających lekcje Lewisa, ale też od członków różnych ugrupowań kościelnych w miasteczku. Większość tych ludzi należała do fundamentalistycznych Kościołów, ale były też osoby z Kościoła zjednoczonego, anglikańskiego i prezbiteriańskiego.

Nie było wzmianki o ogniu piekielnym. Ani słowa o Szatanie czy Antychryście. Petycja zawierała wyłącznie prośbę o to, aby biblijna wersja stworzenia świata została potraktowana z szacunkiem, jako alternatywna, i aby na jej przedstawienie poświęcano tyle samo czasu.

„My, niżej podpisani, uważamy, że Bóg był już zbyt długo pomijany”.

– Nonsens – skwitował pismo Lewis. – Oni nie wierzą w równy wymiar czasu, nie wierzą w możliwość wyboru. To są absolutyści, ot co. Faszyści.

Paul Gibbings odwiedził Lewisa i Ninę w domu. Nie chciał omawiać sprawy tam, gdzie mogliby podsłuchiwać szpiedzy. (Jedna z sekretarek należała do Zgromadzenia Biblijnego). Nie miał wielkich złudzeń, że uda mu się przekonać Lewisa do czegokolwiek, ale musiał spróbować.

– Cholera jasna, przyłożyli mi nóż do gardła – powiedział.

– Wylej mnie – odrzekł Lewis. – Zatrudnij jakiegoś popieprzonego kreacjonistę.

„Ten skurwysyn dobrze się bawi”, pomyślał Paul. Ale się opanował. Miał wrażenie, że ostatnio nie robi nic innego, tylko się opanowuje.

– Nie przyszedłem tu, żeby o tym rozmawiać. Chodzi mi o to, że wiele osób stwierdzi, że tamci przedstawili racjonalne żądania. Włączając ludzi z zarządu.

– Daj im to, czego chcą. Wywal mnie. Niech wprowadzą Adama i Ewę.

Nina przyniosła kawę. Paul podziękował i próbował nawiązać z nią kontakt wzrokowy, żeby wyczytać z jej twarzy, co ona o tym myśli. Bez rezultatu.

– Akurat – powiedział. – Nie mógłbym tego zrobić, nawet gdybym chciał. A nie chcę. Związek zawodowy dobrałby mi się do dupy. To się może rozszerzyć na całą prowincję, doprowadzić do strajków; musimy myśleć o dzieciakach.

Wydawało się, że może to dotrzeć do Lewisa – pomyśl o dzieciakach. Ale on już się nakręcił, jak zwykle.

– Niech wprowadzą Adama i Ewę. Z listkami figowymi lub bez.

– Jedyne, o co cię proszę, to parę zdań wyjaśniających, że jest to odmienna interpretacja i że jedni ludzie wierzą, że było tak, a inni, że inaczej. Sprowadź historię z Księgi Rodzaju do piętnastu czy dwudziestu minut. Odczytaj ją na głos. Tylko z szacunkiem, pamiętaj. Przecież wiesz, o co w tym wszystkim chodzi, prawda? Ludzie czują się lekceważeni. Nikt nie lubi czuć się lekceważony.

Lewis milczał wystarczająco długo, by pojawiła się iskierka nadziei – u Paula, a może też u Niny,

kto wie? Ale tak długa pauza okazała się tylko manewrem, zastosowanym po to, by oczywista perfidia tej propozycji w pełni do nich dotarła.

– Co ty na to? – spytał ostrożnie Paul.

– Odczytam na głos całą Księgę Rodzaju, jeśli sobie życzysz, a następnie oświadczę, że to jest mieszmasz plemiennej pychy i pojęć teologicznych zapożyczonych w większości z innych, lepszych kultur...

– Mitów – wtrąciła Nina. – Mit w gruncie rzeczy nie jest przeciwieństwem prawdy, jest tylko...

Paul nie widział większego sensu w wysłuchaniu tego, co Nina ma do powiedzenia. Lewis nie zwracał na nią uwagi.

Lewis wysłał do gazety list. Początek był wyważony i merytoryczny – dryfowanie kontynentów, tworzenie się mórz, źle rokujące początki życia. Pradawne mikroby, oceany bez ryb i niebo bez ptaków. Rozkwitanie i ginięcie, panowanie płazów, gadów, dinozaurów; zmiany klimatu, pierwsze małe prymitywne ssaki. Próby i błędy, w końcu na scenie pojawiają się naczelne, choć nie zapowiadają się dobrze, wreszcie człekokształtne stają na tylnych nogach i zaczynają posługiwać się ogniem, ostrzyć kamienie, zaznaczać swoje terytorium, by, w ostatniej fazie rozwoju, budować statki, piramidy i bomby, wymyślać języki i bogów oraz składać sobie nawzajem w ofierze i mordować. Toczyć wojny o to, czy Bóg naprawdę nazywa się Jehowa, czy Kriszna (w tym miejscu ton listu stawał się ostrzejszy) albo czy można jeść wieprzowinę, padać na kolana i zanosić głośne modły do jakiegoś Starego Dziadygi w niebie, który bardzo się przejmuje tym, kto wygrywa wojny i mecze piłki nożnej. Wreszcie, o dziwo, ludzie dochodzą do paru rzeczy i powoli zaczynają dowiadywać się czegoś o sobie i o wszechświecie, w którym się znaleźli, tylko po to, żeby stwierdzić, że będzie lepiej, jeśli odrzucą tę całą ciężko zdobytą wiedzę, sprowadzą z powrotem Starego Dziadygę i znowu zmuszą wszystkich do klękania, słuchania i wierzenia w te stare banialuki. Może jeszcze oznajmią, że Ziemia jest płaska, skoro już są przy głosie?

Z wyrazami głębokiego szacunku, Lewis Spiers.

Naczelny gazety nie pochodził z miasteczka i niedawno ukończył wydział dziennikarstwa. Na rękę był mu szum, jaki wywołał list, toteż zamieszczał kolejne odpowiedzi (tekst *Z Boga się nie kpi*, podpisany przez wszystkich członków Zgromadzenia Biblijnego, albo *Autor obniża poziom dysputy*, wysłany przez tolerancyjnego, ale zasmuconego pastora Kościoła zjednoczonego, który poczuł się urażony banialukami i Starym Dziadygą), aż wreszcie wydawca, właściciel gazety, dał mu do zrozumienia, że tego rodzaju wrzawa jest nie na miejscu w dzisiejszych czasach i zniechęca reklamodawców. Kazał wyciszyć sprawę.

Lewis napisał następny list, tym razem informujący o rezygnacji ze stanowiska. Została ona przyjęta z żalem, oznajmił Paul Gibbings, również na łamach gazety; powodem rezygnacji miał być zły stan zdrowia.

Była to prawda, chociaż powód ten nie należał do spraw, które sam Lewis chętnie podałby do

publicznej wiadomości. Od kilku miesięcy męczyła go dziwna słabość w nogach. Dokładnie w tym okresie, gdy było to dla niego niesłychanie ważne, by móc stać przed klasą lub przechadzać się tam i z powrotem pod tablicą, czuł, że drżą mu nogi, że musi usiąść. Nigdy tego nie zrobił, ale czasami nie miał innego wyjścia jak uchwycić się oparcia krzesła, jakby dla podkreślenia swoich słów. A od czasu do czasu łapał się na tym, że zupełnie tracił czucie w stopach. Gdyby na podłodze leżał dywan, mógłby się potknąć o najmniejszą fałdę, a nawet w klasie, gdzie nie było dywanu, kawałek leżącej na podłodze kredy czy ołówek mógł spowodować katastrofę.

Był wściekły z powodu tej słabości. Sądził, że to psychosomatyczne. Nigdy nie miał tremy, stając przed klasą ani przed żadną grupą ludzi. Później wyznał Ninie, że gdy usłyszał prawdziwą diagnozę, w gabinecie neurologa, w pierwszej chwili poczuł absurdalną ulgę.

– Bałem się, że jestem neurotykiem – powiedział i oboje zaczęli się śmiać.

– Myślałem, że jestem neurotykiem, a mam tylko stwardnienie boczne zanikowe. – Zataczali się ze śmiechu, idąc pustym korytarzem wyłożonym elegancką wykładziną, a gdy wsiedli do windy, wszyscy spojrzeli na nich ze zdumieniem; nieczęsto słyszało się śmiech w tym miejscu.

Dom Pogrzebowy LakeShore był rozległym, nowoczesnym budynkiem ze żłocistej cegły i powstał na tyle niedawno, że otaczający go grunt nie został jeszcze zmieniony w trawnik z ozdobnymi krzewami. Gdyby nie tabliczka na drzwiach, można by go wziąć za przychodnię lekarską lub urząd. Nazwa LakeShore sugerowała, że stoi nad brzegiem jeziora, co nie było zgodne z prawdą; po prostu sprytnie wykorzystano nazwisko właściciela – Bruce'a Shore. Niektórzy uznali to za niesmaczne. Gdy zakład mieścił się w jednym z dużych wiktoriańskich domów w miasteczku i prowadził go jeszcze ojciec Bruce'a, nazywał się po prostu Dom Pogrzebowy Shore. I był to faktycznie dom, z dużą powierzchnią mieszkalną na drugim i trzecim piętrze dla Eda i Kitty Shore oraz ich pięciorga dzieci.

W nowym budynku nikt nie mieszkał, ale była tam sypialnia z kuchenką i prysznicem. Na wypadek, gdyby Bruce musiał zostać na noc, zamiast jechać dwadzieścia parę kilometrów do domu za miastem, gdzie z żoną hodowali konie.

Wczorajsza noc należała właśnie do takich z powodu wypadku, który wydarzył się na północ od miasteczka. Samochód wiozący grupę nastolatków uderzył w filar mostu. Do tego rodzaju zdarzeń – kierowca, który niedawno dostał prawo jazdy albo w ogóle go jeszcze nie dostał, wszyscy pijani w sztok – dochodziło zwykle wiosną w okolicach matur lub w ogólnym rozgorączkowaniu pierwszych tygodni szkoły we wrześniu. Teraz można się było raczej spodziewać śmiertelnych wypadków wśród nowo przybyłych – takich jak te pielęgniarki, które ostatniego roku przyjechały z Filipin – zaskoczonych pierwszym, całkowicie im nieznanym śniegiem.

A jednak w piękną jasną noc, na suchej drodze, zginęło dwóch siedemnastolatków z miasteczka. A tuż przed nimi przywieziono Lewisa Spiersa. Bruce miał pełne ręce roboty – doprowadzenie dwójki dzieciaków do stanu, w którym można ich było pokazać rodzinie, przeciągnęło się do późna w nocy. Zadzwoił po ojca. Ed i Kitty wciąż przyjeżdżali na lato do tamtego domu w miasteczku i nie

wyjechali jeszcze na Florydę, więc Ed mógł przyjść, żeby zająć się Lewisem.

Wcześniej tego ranka Bruce poszedł pobiegać i trochę odetchnąć. Nie zdążył jeszcze zjeść śniadania i był ciągle w stroju do joggingu, kiedy zobaczył, że pod budynek podjeżdża pani Spiers swoją starą hondą accord. Poszedł szybko do poczekalni, otworzyć jej drzwi.

Była wysoką, szczupłą kobietą, siwowłosą, ale młodzieńczą w ruchach. Nie wyglądała na zdruzgotaną, chociaż zauważył, że zapomniała wziąć płaszcz.

– Przepraszam, przepraszam. Właśnie wróciłem z krótkiego joggingu – powiedział. – Shirley chyba jeszcze nie przyszła. Jest nam niezmiernie przykro z powodu śmierci pani męża.

– Dziękuję.

– Pan Spiers uczył mnie biologii w dwóch ostatnich Masach liceum i był nauczycielem, którego się nie zapomina. Może pani usiądzie? Wiem, że musiała się pani z tym liczyć, ale na takie doświadczenie człowiek nigdy nie jest w pełni przygotowany. Czy chciałaby pani przejrzeć umowę, czy najpierw zobaczyć męża?

– Chcieliśmy tylko kremacji – odpowiedziała.

Skinął głową.

– Tak, później będzie kremacja.

– Nie, miał być spalony od razu. Tego sobie życzył. Myślałam, że przyjadę odebrać urnę.

– Nikt nas o tym nie powiadomił – powiedział Bruce z przekonaniem. – Przygotowaliśmy ciało do pokazania rodzinie. Prawdę mówiąc, wygląda bardzo dobrze. Myślę, że będzie pani zadowolona.

Stała i patrzyła na niego.

– Może pani usiądzie? – zaproponował. – Na pewno chciałaby pani zorganizować pożegnanie przy trumnie, przed kremacją, prawda? Jakąś krótką uroczystość. Wielu ludzi będzie chciało przyjść i pożegnać pana Spiersa. Mieliśmy tu już uroczystości pożegnalne całkowicie pozbawione religijnego charakteru. Po prostu zamiast modlitwy wygłasza się mowę pożegnalną na cześć zmarłego. A jeśli to też brzmi zbyt formalnie, można po prostu zaprosić ludzi i każdy powie coś od siebie. Może pani zdecydować, czy zostawić trumnę otwartą, czy zamkniętą. Ale ludzie raczej wolą, żeby była otwarta. Jeżeli decyduje się pani na kremację, wybór trumien jest oczywiście dużo mniejszy. Mamy trumny, które wyglądają bardzo elegancko, a kosztują naprawdę grosze.

Stała i patrzyła.

Problem polegał na tym, że praca została wykonana, ponieważ nie było informacji, żeby się od niej powstrzymać. Praca jak każda inna – zrobiona, więc należy się za nią zapłata. Już nie wspominając o kosztach materiałów.

– Mam na myśli to, czego, jak sądzę, pani by sobie życzyła, gdyby miała czas sprawę w spokoju przemyśleć. Oczywiście dostosujemy się w pełni do pani życzeń...

Być może mówiąc to, posunął się trochę za daleko.

– ...Ale zrobiliśmy to wszystko, ponieważ nie było żadnych instrukcji co do innego trybu

postępowania.

Na zewnątrz podjechał samochód, trzasnęły drzwiczki i do holu wszedł Ed Shore. Bruce poczuł wielką ulgę. Musiał się jeszcze wiele nauczyć w tej branży. Głównie tego, jak radzić sobie z tymi, którzy pozostali po tej stronie.

– Witaj, Nino – powiedział Ed. – Zobaczyłem twój samochód i pomyślałem, że się przywitam i złożę ci wyrazy współczucia.

Nina przesiedziała całą noc w salonie. Może nawet zasnęła, ale snem tak płytkim, że była nieustannie świadoma tego, gdzie jest: w domu, i gdzie jest Lewis: w domu pogrzebowym.

Kiedy teraz próbowała się odezwać, zęby zaczęły jej dzwonić. Była tym całkowicie zaskoczona.

– Chciałam, żeby został skremowany od razu – starała się powiedzieć, i nawet zaczęła mówić, przekonana, że jej głos brzmi normalnie. Dopiero wtedy usłyszała, lub wyczuła, że z trudem łapie powietrze i że się jąka.

– Chciałam... Chciałam... Chciał...

Ed Shore ujął ją za łokieć, a drugą ręką objął jej ramiona. Bruce też uniósł ręce, ale jej nie dotknął.

– Powinienem był zaprowadzić ją do fotela ~ wyznał przepraszającym tonem.

– Już dobrze – powiedział Ed. – Nie poszłabyś ze mną do mojego samochodu, Nino? Wyjdźmy na świeże powietrze.

Pojechali, z opuszczonymi szybami, do starej części miasteczka i dalej ulicą, która prowadziła nad jezioro i tam się kończyła. Ludzie przyjeżdżali tu w ciągu dnia ze względu na widok – czasami żeby zjeść lunch na świeżym powietrzu – ale wieczorami było to miejsce dla zakochanych par. Być może przemknęło mu to przez myśl, jak przemknęło jej, gdy zaparkował.

– Tyle świeżego powietrza wystarczy? – zagaił. – Nie chcę, żebyś się przeziębila bez płaszcza.

– Już jest cieplej. Jak wczoraj – powiedziała ostrożnie. Nigdy nie siedzieli razem w zaparkowanym samochodzie, ani po ciemku, ani za dnia, nigdy nie szukali miejsca, by pobyć ze sobą sam na sam.

Ta myśl wydała się jej w tym momencie nie na miejscu.

– Przepraszam – powiedziała. – Rozkleiłam się. Chciałam tylko powiedzieć, że Lewis..., że my.”, że on...

I znowu się zaczęło. Od nowa – dreszcze, dzwonienie zębami, zacinanie się. Żałosne, przerażająco żałosne. I nawet nie oddawało to jej stanu. Wcześniej, gdy rozmawiała z Bruce'em – a raczej go słuchała – czuła złość i frustrację. Teraz była – a przynajmniej wydawało jej się, że jest – spokojna i opanowana.

Ale tym razem, być może dlatego, że byli sam na sam, nie objął jej ramieniem. Po prostu zaczął mówić. Nie martw się o to. Wszystkim się zajmę. Niezwłocznie. Wszystkiego dopilnuję. Rozumiem. Kremacja.

– Oddychaj spokojnie – powiedział. – Wdech, zatrzymaj chwilę powietrze, a teraz wydech.

– Nic mi nie jest.

– Na pewno?

– Nie wiem, co mi się stało.

– Szok – stwierdził spokojnie.

– To nie w moim stylu.

– Popatrz na horyzont. To też pomaga.

Sięgnął po coś do kieszeni. Po chusteczkę? Ale nie potrzebowała chusteczki, nie płakała. Po prostu się trzęsa. Był to ciasno złożony zwitek papieru.

– Schowałem, żeby ci oddać – powiedział. – Miał to w kieszeni pizamy.

Włożyła papiera do torebki, uważnie i bez emocji, jakby chowała receptę. Potem dotarło do niej, co Ed właściwie powiedział.

– Byłeś tam, gdy go przywieziono.

– Zająłem się nim. Bruce po mnie zadzwonił. Wcześniej zdarzył się wypadek samochodowy i miał za dużo roboty jak na jedną osobę.

Nawet nie spytała „Jaki wypadek?”. Nie obchodziło jej to. Chciała już tylko zostać sama, żeby przeczytać kartkę.

Kieszon pizamy. Jedyne miejsce, do którego nie zajrzała. Nie dotknęła jego ciała.

Wróciła do domu własnym samochodem, do którego odwiózł ją Ed. Gdy tylko zniknął z jej pola widzenia, zatrzymała się na poboczu. Jeszcze jadąc, wolną ręką przetrząsała torebkę w poszukiwaniu kartki. Przeczytała ją przy niewyłączonym silniku, potem ruszyła dalej.

Na chodniku przed domem znalazła kolejną wiadomość.

„Wola boska”.

Nabazgrołone w pośpiechu, kredą. Łatwo będzie zmazać.

To, co Lewis napisał i jej zostawił, to był wierszyk. Dwie zwrotki kąśliwej rymowanki. Tytuł brzmiał: *Bitwa biblistów z synami Darwina o duszę pokolenia mięczaków*

*Była raz sobie świątynia nauki
nad brzegiem jeziora Huron,
gdzie tępe durnie waliły tłumnie
słuchać przeróżnych Nudziarzy.*

*A Król tych Nudziarzy – prawy równy gość –
miał uśmiech od ucha do ucha
i jedną odpowiedź na wszystko:*

mów to, czego tamci chcą słuchać!

Pewnej zimy Margaret wpadła na pomysł, żeby urządzić serię spotkań towarzyskich, podczas których ludzie mogliby porozmawiać – i pokrótce opowiedzieć – o czymś, co najlepiej znają i najbardziej lubią. Wymyśliła to dla nauczycieli („Nauczyciele zawsze stoją przed słuchającą ich widownią – powiedziała – dobrze im zrobi, jeśli raz na jakiś czas usiądą i posłuchają tego, co opowiada ktoś inny”), ale później doszła do wniosku, że będzie ciekawiej, jeżeli pojawią się też inne profesje. Poda się wino i coś do jedzenia, a pierwsze spotkanie odbędzie się u Margeret.

I tak oto, w pewną jasną zimną noc, Nina znalazła się przed kuchennymi drzwiami Margaret, w ciemnym przedsionku zapchanym płaszczami, szkolnymi torbami i kijami do hokeja – synowie Margaret mieszkali jeszcze z rodzicami. W salonie, z którego nie dobiegał do Niny żaden dźwięk, Kitty Shore rozwodziła się na swój ulubiony temat, to jest na temat świętych. Kitty i Ed Shore należeli do „prawdziwych ludzi” zaproszonych na te spotkania – i byli sąsiadami Margaret. Wcześniej Ed opowiadał o wspinaczkach górskich. Sam kiedyś uprawiał ten sport, w Górach Skalistych. Przede wszystkim opowiadał jednak o trudnych i tragicznych wyprawach, o których chętnie czytał, (Po spotkaniu Margaret powiedziała do Niny przy kawie: „Trochę się bałam, że będzie mówił o balsamowaniu zwłok”, a Nina zachichotała i odparła: „Przecież to nie jest jego hobby. To nie jest coś, co robi amatorko. Nie sądzę, żeby było wielu balsamistów hobbistów”).

Ed i Kitty tworzyli ładną parę. Margaret i Nina zgodziły się, w zaufaniu, co do tego, że Ed nie mógłby się pewnie opędzić od kobiet, gdyby nie jego fach. Wyszorowana bladość jego długich, zręcznych dłoni zapadała w pamięć i kazała snuć domysły: Gdzież te ręce nie były? O pulchnej Kitty często mówiło się „droga Kitty”; była niska, biuściastą brunetką z ciepłym błyskiem w oczach i egzaltacją w głosie. Egzaltacją dotyczącą jej małżeństwa, dzieci, pór roku, miasteczka, a szczególnie jej religii. W Kościele anglikańskim, do którego należała, entuzjaści jej pokroju należeli do rzadkości i chodziły słuchy, że bywała męcząca, ze swoją surowością, kapryсами i rozmiłowaniem w ezoterycznych ceremoniach takich jak wywód kobiety po rozwiązaniu. Nina i Margaret też z trudem ją znosiły, a Lewis uważał ją za zarazę. Ale większość ludzi była kompletnie podbita.

Tego wieczoru miała na sobie ciemnoczerwoną wełnianą sukienkę i kolczyki, które jedno z jej dzieci zrobiło dla niej na Gwiazdkę. Siedziała na podkulonych nogach w rogu kanapy. Dopóki trzymała się historycznego i geograficznego tła, na którym pojawiali się święci, nie było tak źle – to znaczy, z punktu widzenia Niny, która miała nadzieję, że być może Lewis nie uzna za konieczne przypuścić szturm.

Kitty zaznaczyła, że jest zmuszona pominąć postacie świętych z Europy Wschodniej i skoncentrować się na świętych z Wysp Brytyjskich, szczególnie tych z Kornwalii, Walii i Irlandii, celtyckich świętych o niezwykłych imionach, których lubiła najbardziej. Kiedy przeszła do cudownych uzdrowień, a jej głos stał się jeszcze bardziej radosny i poufały, Ninę ogarnęły złe przecucia.

– Wiem, że ludzie mogą uznać to za niepoważne – wyznała Kitty – że zwracam się do świętego, bo obiad mi się przypalił, ale moim zdaniem właśnie po to są święci. Nie są tak odlegli i wyniośli, by miały ich nie obchodzić codzienne troski i kłopoty, których nie mielibyśmy śmiałości przedstawiać samemu

Najwyższemu. Dzięki świętym można pozostać częściowo w świecie dzieciństwa, nie tracąc tej dziecięcej nadziei na czyjąś pomoc i pocieszenie. „Jeśli nie staniecie się jak dzieci...” I przecież to właśnie te małe cuda mają nas przygotować na przyjęcie wielkich, prawda?

Dziękuję. Czy są pytania?

Ktoś zapytał o status świętych w Kościele anglikańskim. Protestanckim.

– No więc ściśle mówiąc, nie uważam, żeby Kościół anglikański był Kościołem protestanckim – odrzekła Kitty. – Ale nie chcę się teraz w to zagłębiać. Kiedy mówimy w Credo: „Wierzę w jeden, święty, powszechny i apostołski Kościół”, dla mnie oznacza to po prostu cały Kościół chrześcijański. A potem mówimy: „Wierzę w świętych obcowanie”. Oczywiście nie mamy w kościołach figur, chociaż osobiście uważam, że byłoby cudnie, gdybyśmy mieli.

– Kawy? – zapytała Margaret, dając sygnał, że oficjalna część spotkania dobiegła końca. Ale Lewis przysunął krzesło bliżej Kitty i zapytał, niemal jowialnie:

– Tak? Czy mamy przez to rozumieć, że wierzysz w te cuda?

– Całkowicie. Nie mogłabym żyć, gdybym nie wierzyła w cuda – roześmiała się Kitty.

Nina wiedziała, co teraz nastąpi. Lewis nie popuści, spokojnie i bezlitośnie naciskając Kitty, która będzie odparowywać ciosy z pogodną wiarą w słuszność swoich racji i czymś wyglądającym, jej zdaniem, na uroczą i kobiecą niekonsekwencję. W tym na pewno pokładała nadzieję: we własnym uroku osobistym. Ale nie uda jej się oczarować Lewisa. Lewis będzie chciał wiedzieć, w jakiej postaci święci istnieją w chwili obecnej? A w niebie, czy zamieszkują to samo miejsce co zwykli zmarli, czcigodni przodkowie? W jaki sposób są wybierani? Czy nie na podstawie poświadczonych cudów, udowodnionych cudów? A jak udowodnić cuda dokonane przez kogoś, kto żył tysiąc pięćset lat temu? Jak w ogóle można udowodnić cud? W przypadku chlebów i ryb można policzyć. Ale czy to jest prawdziwe liczenie, czy kwestia percepcji? Wiara? Jasne. Więc wszystko sprowadza się do wiary. W codziennych sprawach, przez całe swoje życie, Kitty kieruje się wiarą?

O tak.

Nie polega w żaden sposób na nauce? Najwyraźniej nie. Kiedy jej dzieci chorują, nie daje im lekarstw. Nie tankuje benzyny, po co, przecież ma wiarę...

Wokół nich zaczęły się toczyć inne rozmowy, jednak z powodu jej intensywności i drażliwego tonu – głos Kitty był teraz nierówny jak lot ptaka, który przysiada na drutach i znowu się zrywa, można było wychwycić: „Nie wygłupiaj się” i: „Naprawdę uważasz, że jestem kompletną oszołomką?”, docinki Lewisa zrobiły się jeszcze bardziej pogardliwe, kpina jeszcze bardziej jadowita – tej rozmowy nie dało się zagłuszyć. Było ją słychać przez cały czas, z każdego kąta pokoju.

Nina czuje gorzki smak w ustach. Wychodzi do kuchni, żeby pomóc Margaret. Mijają się,

Margaret właśnie wnosi kawę. Nina wychodzi przez kuchnię do przedsiionka. Przez szybkę w tylnych drzwiach wpatruje się w bezksiężycową noc, zasypane śniegiem wzdłuż ulic, gwiazdy. Opiera gorący policzek o szkło.

Prostuje się od razu, gdy drzwi od kuchni się otwierają. Odwraca się z uśmiechem i już ma powiedzieć „Wysłałam tylko, żeby zobaczyć, jaka pogoda”. Ale gdy dostrzega twarz Eda Shore, oświetloną przez krótką chwilę, zanim ten zamknie za sobą drzwi, wie, że nie musi nic mówić. Witają się krótkim, życzliwym, trochę przeprasającym, trochę zrezygnowanym śmiechem, który wydaje się przekazywać i tłumaczyć wiele rzeczy.

Porzucają ich. Porzucają Kitty i Lewisa. Tylko na chwilę – Kit–ty i Lewis nie zauważą. Lewis nigdy się nie zmęczy, a Kitty jakoś mu się wywinie. Znajdzie sposób, by nie zostać pożartą żywcem – na przykład zacznie mu współczuć. Kitty i Lewis nigdy się sobie nie sprzykrzą.

Czy to właśnie czują Nina i Ed? Mają dość tamtych, a w każdym razie ich kłótni i przekonań. Są zmęczeni tym, że żadna z tych dwóch ścierających się osobowości nigdy nie ustąpi.

Nie ujęli by tego dokładnie w ten sposób. Powiedzieliby tylko, że są zmęczeni.

Ed Shore obejmuje Ninę ramieniem. Całuje ją: nie w usta, nie w policzek, ale w szyję. W to miejsce na szyi, gdzie pewnie bije teraz przyspieszony puls.

Musi się schylić, żeby to zrobić. Dla wielu mężczyzn szyja byłaby dogodnym miejscem, gdzie można pocałować stojącą Ninę. Ale on jest tak wysoki, że musi się schylić, żeby pocałować ją właśnie w to odsłonięte i wrażliwe miejsce.

– Przeziębisz się – mówi.

– Wiem, właśnie wracałam.

Nina nigdy nie uprawiała seksu z innym mężczyzną niż Lewis. Nie przyszło jej to do głowy.

Uprawiała seks. Uprawiać seks. Przez długi czas nie umiała tego powiedzieć. Mówiła: „kochać się”. Lewis nie nazywał tego w żaden sposób. Był silnym i pomysłowym partnerem, świadomym jej potrzeb, w sensie fizycznym. Nie był nieczuły. Ale unikał jak ognia wszystkiego, co trąciło sentymentalizmem, a z jego punktu widzenia było tego wiele. Z czasem bardzo się uwrażliwiła na ten jego niesmak, niemal zaczęła go podzielać.

Jednak wspomnienie pocałunku, jaki Ed Shore złożył na jej szyi za kuchennymi drzwiami, przechowywała jak skarb. Gdy Ed śpiewał solową partię tenora w *Mesjaszu* podczas dorocznego występu Towarzystwa Śpiewaczego z okazji Bożego Narodzenia, ten moment zawsze do niej wracał. „Pocieszcie, pocieszcie mój lud!” przeszywało jej gardło roziskrzonymi igłami. Tak jakby wszystko w niej zostało w tej chwili rozpoznane, docenione i rozświetlone.

Paul Gibbings nie spodziewał się żadnych problemów ze strony Niny. Zawsze uważał, że przy całej swojej rezerwie miała w sobie dużo ciepła. Nie była tak ostra jak Lewis. Ale inteligentna.

– Nie – odparła. – On by sobie tego nie życzył.

– Nino, uczenie było całym jego życiem. On tak wiele z siebie dawał. Tylu ludzi, nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę ilu, pamięta: siedzieli na jego lekcjach jak zaczarowani. Pewnie niczego i nikogo tak nie pamiętają z całej szkoły średniej jak Lewisa. On miał charyzmę, Nina. Albo się to ma, albo nie. Lewis miał tego na kopy.

– Tu się zgadzamy.

– Więc teraz ci wszyscy ludzie będą chcieli się pożegnać. Wszyscy pragniemy się z nim pożegnać. Wyrazić naszą wdzięczność i szacunek dla niego. Wiesz, co mam na myśli? Po tym wszystkim, co się stało. Zamknięcie.

– Rozumiem. Z a m k n i ę c i e .

Usłyszał coś nieprzyjemnego w jej głosie. Zignorował to.

– To nie musi mieć nic wspólnego z jakąkolwiek uroczystością religijną. Żadnych modlitw. O tym nie ma mowy. Wiem równie dobrze jak ty, jak bardzo byłby temu przeciwny.

– Byłby.

– Wiem. Mógłbym wziąć na siebie rolę mistrza ceremonii, jeśli można to tak nazwać. Mam dosyć dobre rozeznanie co do tego, kogo można poprosić o wygłoszenie paru słów nad trumną. Kilka przemówień, i na zakończenie dwa słowa ode mnie. Mowy pogrzebowe, tak się to chyba nazywa, ale dla mnie lepiej brzmi „pochwalne”...

– Lewis by wolał, żeby nie mówiono niczego.

– A ty możesz w tym uczestniczyć w takim stopniu, w jakim sobie zażyczysz...

– Paul, posłuchaj. Posłuchaj mnie przez chwilę.

– Słucham. Oczywiście, że cię słucham.

– Jeśli zorganizujesz coś takiego, wezmę w tym udział.

– Świetnie.

– Gdy Lewis umarł, zostawił... wierszyk. Jeśli urządzisz tę uroczystość, ja go tam przeczytam.

– Tak?

– To znaczy przeczytam go na tej uroczystości. Na głos. Przeczytam ci teraz kawałek.

– Słucham.

*Była raz sobie świątynia nauki
nad brzegiem jeziora Huron,
gdzie tępe durnie waliły tłumnie
słuchać przeróżnych Nudziarzy.*

– Tak, to w stylu Lewisa.

*A Król tych Nudziarzy – prawy równy gość –
miał uśmiech od ucha do ucha...*

– Nino, wszystko jasne. Rozumiem. Czyli tego właśnie chcesz? Harper Valley R T. A.¹?

– Jeszcze nie skończyłam.

– Domyślam się. Myślę, że jesteś naprawdę przybita. Nie sądzę, żebyś zachowywała się w ten sposób, gdybyś nie była. A kiedy poczujesz się lepiej, będziesz tego żałować.

– Nie.

– Myślę, że będziesz tego żałować. A teraz muszę kończyć. Widzę, że jestem zmuszony się rozłączyć.

– No, nieźle – powiedziała Margaret. – I jak to przyjął?

– Powiedział, że czuje się zmuszony rozłączyć.

– Chcesz, żebym przyszła? Dotrzymała ci towarzystwa?

– Nie, dzięki.

– Nie potrzebujesz nikogo?

– Chyba nie. Nie teraz.

– Jesteś pewna? Wszystko w porządku?

– W porządku.

Prawdę mówiąc, nie czuła się zbyt dobrze po tym, co zaserwowała Paulowi przez telefon. Lewis jej powiedział:

– Jeśli będą chcieli się tu wchrzanić z jakąś uroczystością ku czci, wybij im to z głowy. Po tym dupku można się tego spodziewać.

Więc musiała jakoś powstrzymać Paula, ale sposób, w jaki to zrobiła, wydał jej się toporny i teatralny. To Lewis był dobry w zrażaniu do siebie ludzi; odwet był jego specjalnością. Ją było stać jedynie na to, by go zacytować.

Nie mogła sobie wyobrazić, jak będzie dalej żyć, mając tylko swoje stare pacyfistyczne nawyki. Zimna i zgaszona, odarta z niego.

Jakiś czas po zapadnięciu zmroku Ed Shore zapukał do kuchennych drzwi. W rękach miał pudełko z popiołem i bukiet białych róż.

Najpierw podał jej pudełko.

– Och – powiedziała – to już.

Przez warstwę grubego kartonu poczuła ciepło. Nie dotarło do niej od razu, tylko stopniowo, jak

ciepło krwi promieniujące przez skórę.

Gdzie miała postawić pudełko? Nie na kuchennym stole, obok swojej spóźnionej, prawie nietkniętej kolacji. Jajecznica i sos salsa, połączenie, które rezerwowała sobie na wieczory, gdy Lewisa coś zatrzymało do późna i jadł kolację z innymi nauczycielami w restauracji Toma Nortona lub w pubie. To nie był dobry wybór na dzisiejszy wieczór.

Na kuchennym blacie także nie. Wyglądałoby tam jak karton z zakupami z warzywniaka. I nie na podłodze, gdzie może mniej by się rzucało w oczy, ale zostałyby w jakiś sposób poniżone, sprowadzone do poziomu czegoś, co nie powinno stać w bliskim sąsiedztwie talerzy i żywności – jak pudło ze żwirkiem dla kota lub nawozem do ogrodu.

Właściwie chciała zanieść je do drugiego pokoju, postawić gdzieś w nieoświetlonej części domu od frontu. Najlepiej na półce w szafie. Ale chyba było jeszcze za wcześnie na taką banicję. A ponieważ patrzył na nią Ed Shore, mogłoby to wyglądać na szybką i brutalną zmianę dekoracji, wulgarne zaproszenie.

W końcu położyła pudełko na stoliku obok telefonu.

– Przepraszam, nie zaprosiłam cię do środka – powiedziała. – Usiądź, proszę.

– Przeszkodziłem ci w kolacji.

– I tak bym chyba nie skończyła.

Ciągle trzymał bukiet róż.

– To dla mnie? – spytała.

Uświadomiła sobie, że widok Eda z bukietem, z pudełkiem popiołu i bukietem róż, gdy otworzyła drzwi, był groteskowy, straszliwie zabawny. Pewnie dostałaby ataku histerycznego śmiechu, gdyby to komuś opowiadała. Na przykład Margaret. Miała nadzieję, że tego nie zrobi.

– To dla mnie?

Równie dobrze mogłyby być dla zmarłego. Kwiaty z domu pogrzebowego. Zaczęła szukać wazonu, potem naląła wody do czajnika, mówiąc: „Miałam właśnie zrobić herbatę”, znowu zaczęła poszukiwania wazonu; tym razem go znalazła, napełniła wodą, rozejrzała się za nożyczkami do przycięcia łądyg i dopiero wtedy wzięła od niego kwiaty. Po czym zorientowała się, że nie zapaliła gazu pod czajnikiem. Nie bardzo wiedziała, co robi. Czuła, że niewiele brakowało, a cisnęłaby róże na podłogę, rozbiła wazon, zgmiotła w palcach zakrzepłą masę leżącą na talerzu. Ale dlaczego? Nie była zdenerwowana. Po prostu było strasznym wysiłkiem robić te wszystkie rzeczy jedną po drugiej. Teraz powinna ogrzać dzbanek, potem musi odmierzyć herbatę.

– Przeczytałeś kartkę, którą wyjąłeś z kieszeni piżamy Lewisa? – spytała.

Pokręcił głową, nie patrząc na nią. Wiedziała, że kłamie. Kłamał, był poruszony; jak daleko był gotów wejść w jej życie? A jeśli ona się rozklei i powie mu, jakie zdumienie poczuła – zdumienie to mało powiedziane: jak jej się ścisnęło serce – gdy zobaczyła, co napisał Lewis? Kiedy zobaczyła, że to było wszystko, co napisał.

– Nieważne – powiedziała. – To był tylko taki wierszyk.

Ich dwojga nie dzielił żaden bufor bezpieczeństwa, nic pośredniego między formalną uprzejmością a wszechogarniającą bliskością. To, co czuli do siebie przez te wszystkie lata, pozostawało w zawieszeniu dzięki obu małżeństwom. Małżeństwa wypełniały im życie; jej małżeństwo z Lewisem było czasami ciężką i kłopotliwą, ale jednak najważniejszą częścią jej życia. To, co ich łączyło, było też od tych małżeństw zależne, stąd ta słodczy, ta pocieszająca obietnica. To raczej nie było coś, co mogłoby zaistnieć i trwać samo z siebie, nawet gdyby oboje byli wolni. A jednak nie było to nic. Niebezpieczeństwo polegało na pokusie, żeby spróbować, a potem zobaczyć, jak to coś rozwiewa się bez śladu, i wtedy pomyśleć, że to nie było nic takiego.

Zapaliła już gaz pod czajnikiem i przygotowała dzbanek do herbaty.

– Byłeś dla mnie taki dobry, a ja ci nawet nie podziękowałam. Musisz zostać na herbacie.

– Chętnie – odrzekł.

Gdy już siedzieli przy stole, herbata była nalana, cukier i mleko podane – właśnie wtedy, gdy mogłaby poczuć panikę – przyszło jej do głowy coś dziwnego.

– Co ty właściwie robisz? – spytała.

– Jak to, co robię?

– Chodzi mi o to... Co właściwie z nim zrobiłeś wczoraj wieczorem? A może zwykle nikt cię o to nie pyta?

– No, w sumie to nie.

– Nie chcesz odpowiadać? Nie musisz, jeśli nie chcesz.

– Mogę odpowiedzieć. Po prostu jestem zaskoczony.

– Też jestem zaskoczona, że zapytałam.

– No więc – zaczął, odstawiając filiżankę na spodek – głównie chodzi o to, żeby opróżnić naczynia krwionośne i jamy ciała z krwi, i tu mogą się pojawić problemy z zakrzepami i tym podobne, więc jakoś trzeba sobie z tym poradzić. W większości przypadków można wykorzystać tętnicę szyjną, ale czasami trzeba wejść do sercowej. Drenujesz krew z jamy brzusznej specjalnym narzędziem, które nazywa się trokar – to taka długa igła połączona z gumową rurką. Oczywiście procedura jest inna, jeśli odbyła się sekcja i zostały wyjęte organy wewnętrzne. Wtedy trzeba wypełnić ciało, żeby przywrócić mu naturalny kształt...

Przez cały czas, gdy to mówił, nie spuszczał z niej wzroku i podawał kolejne informacje ostrożnie. Ale było w porządku; poczuła jedynie, że budzi się w niej chłodna i ogromna ciekawość.

– Czy o to ci chodziło?

– Tak – odpowiedziała spokojnie.

Widział, że jej nie zraził. Poczował ulgę. Ulgę, a może nawet wdzięczność. Musiał być przyzwyczajony do tego, że ludzie albo nie chcą nawet słyszeć o tym, czym się zajmuje, albo stroją sobie z tego żarty.

– A potem wstrzykuje się specjalny płyn, będący mieszanką formaldehydu, fenolu i alkoholu, i często dodaje jeszcze barwnik do twarzy i dłoni. Twarz to coś bardzo ważnego i zawsze jest masa roboty przy powiekach i przy dziąsłach, które się zabezpiecza drucikiem. I jeszcze trzeba zrobić masaż, zająć się rzęsami i nałożyć specjalny makijaż. Ale ludzie zwracają prawie taką samą uwagę na dłonie, chcą, żeby były miękkie i wyglądały naturalnie, palce niepomarszczone na końcach...

– I ty to wszystko zrobiłeś.

– Nie szkodzi. Nie chciałaś tego. Robimy właściwie tylko rzeczy kosmetyczne. To dla nas teraz ważniejsze niż zachowanie ciała w dobrym stanie przez dłuższy czas. Nawet do starego Lenina, wiesz, muszą się ciągle na nowo dobierać i wypełniać go płynami, żeby się nie zesechł ani nie stracił koloru – chociaż nie wiem, czy jeszcze to robią.

Pewna ekspansywność, albo swoboda, z jaką mówił, w połączeniu z powagą w głosie przypomniały jej Lewisa. Wieczorem dwa dni temu Lewis opowiadał jej słabym głosem, w którym jednak pobrzmiwała satysfakcja, o jednokomórkowcach – bez jądra, żadnych par chromosomów, czego one jeszcze nie miały? – będących jedyną formą życia na Ziemi przez prawie dwie trzecie jego historii.

– Na przykład w starożytnym Egipcie – ciągnął Ed – wierzono, że dusza człowieka wyrusza na wędrówkę, która trwa trzy tysiące lat, a później, po jej zakończeniu, wraca z powrotem do ciała, więc powinno ono być w możliwie dobrym stanie. Dlatego główną troską była konserwacja ciała; my, z naszymi metodami, nawet nie możemy się z nimi równać...

Nie miały chloroplastów i nie miały... mitochondriów.

– Trzy tysiące lat – powtórzyła. – A potem się wraca.

– No, tak wierzono – odrzekł. Odstawił pustą filiżankę i napomknął, że już na niego czas.

– Dziękuję – powiedziała. Po czym dodała pośpiesznie: – Wierzysz w coś takiego jak dusza?

Stał z rękami opartymi na blacie kuchennego stołu. Westchnął, pokręcił głową i powiedział:

–Tak.

Wkrótce po jego wyjściu wzięła pudełko z popiołem, zniosła do samochodu i położyła na siedzeniu obok kierowcy. Wróciła jeszcze do domu po kluczyki i płaszcz. Wyjechała jakąś milę za granice miasteczka, na rozstaje dróg, zatrzymała samochód, wysiadła i poszła kawałek boczną drogą, niosąc pudełko. Noc była chłodna i nieruchoma, księżyc stał już wysoko na niebie.

Droga prowadziła początkowo przez teren bagienny; rosły tam pałki, teraz już wyschnięte, wysokie i kruche. I trojeść; jej puste strąki lśniły jak muszle. Wszystko odcinało się bardzo wyraźnie w świetle księżyca. Poczula zapach koni. Tak, dwa stały w pobliżu – duże czarne kształty za linią szuwarów i płotu. Patrzyły na nią, ocierając się o siebie bokami.

Otworzyła pudełko i włożyła rękę w stygnący popiół, a potem rzuciła czy raczej upuściła garść – były w nim malutkie, zwęglone okruchy ciała – między te przydrożne rośliny. Czowała się tak, jakby wchodziła, a potem rzucała się do jeziora na pierwszą lodowato zimną kąpiel w czerwcu. Najpierw

porażający wstrząs, potem zdziwienie, że nadal się poruszasz, niesiona prądem najgłębszego oddania – spokojnie się unosisz nad powierzchnią swojego życia, i wytrzymujesz, chociaż ból płynący z zimna nie przestaje przenikać w głąb ciała.

Pokrzywy

Latem 1979 roku weszłam do kuchni w domu mojej przyjaciółki Sunny niedaleko Uxbridge, w prowincji Ontario, i zobaczyłam mężczyznę, który stał przy szafkach i robił sobie kanapkę z ketchupem.

Jeździliśmy z mężem wśród wzgórz położonych na północny wschód od Toronto – z moim drugim mężem, a nie z tym, którego zostawiłam tamtego lata – i z daremnym uporem szukałam tego domu. Próbowałam znaleźć drogę, przy której stał, ale mi się nie udało. Prawdopodobnie go rozebrano. Sunny i jej mąż sprzedali go parę lat po mojej wizycie. Położony był zbyt daleko od Ottawy, gdzie mieszkali, by mógł służyć za wygodny domek letniskowy. Dzieci, dorastając, buntowały się przeciwko jeżdżeniu do niego. Utrzymanie domu wymagało też zbyt wiele wysiłku od Johnstona, męża Sunny, który w weekendy lubił grać w golfa.

Odnalazłam pole golfowe – chyba właśnie to, choć krzaki po bokach wycięto i stanął na nim bardziej elegancki klub.

Na wsi, gdzie mieszkałam jako dziecko, w lecie wysychały studnie. Działo się tak raz na pięć czy sześć lat, gdy nie spadło wystarczająco dużo deszczu. Studnie te były dołami wykopanymi w ziemi. Nasza studnia była głębsza niż większość okolicznych, ale potrzebowaliśmy sporo wody dla zwierząt w gospodarstwie – ojciec hodował srebrne lisy i norki – więc pewnego dnia przybył wiertacz z imponującą maszyną i tak długo pogłębiał otwór,

tak głęboko wiercił, aż dotarł do wody w skale. Od tego momentu mogliśmy pompować krystaliczną, zimną wodę o każdej porze roku i niezależnie od tego, czy było sucho. Był to dla nas nie lada powód do dumy. Na pompie wisiał mały blaszany kubek i kiedy piłam z niego w upalny dzień, myślałam o czarnych skałach, z których biła lśniąca jak diamenty woda.

Wiertaczem – czasem nazywano go kopaczem studni, jak gdyby nikomu nie zależało na precyzyjnym nazwaniu tego zajęcia i dla wygody używano dawniejszej nazwy – był mężczyzna o nazwisku Mike McCallum. Mieszkał w miasteczku położonym blisko naszego gospodarstwa, ale nie miał tam domu. Wynajmował pokój w hotelu Clark, do którego przyjechał wiosną, by pozostać tam, dopóki będzie miał pracę w tej części kraju, a potem ruszyć gdzie indziej.

Mike McCallum był młodszy od mojego ojca, ale miał syna, który był rok i dwa miesiące starszy ode mnie. Chłopiec pomieszkiwał z ojcem w pokojach hotelowych lub pensjonatach – tam, gdzie ojciec właśnie pracował, i chodził do najbliższej szkoły w danej okolicy. Również nazywał się Mike McCallum.

Znam jego dokładny wiek, gdyż dzieci ustalają go natychmiast; to jedna z podstawowych spraw rozstrzygających o ich ewentualnej przyjaźni. On miał dziewięć lat, a ja osiem. Jego urodziny wypadały w kwietniu, moje w czerwcu. Kiedy przyjechał do naszego domu z ojcem, wakacje trwały

już na dobre.

Jego ojciec jeździł ciemnoczerwoną, wiecznie ubłoconą lub zakurzoną furgonetką. Gdy padało, Mike i ja włączyliśmy do szoferki. Nie pamiętam, czyjego tata wchodził wtedy do naszej kuchni na papierosa lub filiżankę herbaty, czy stał pod drzewem albo może kontynuował pracę. Deszcz zmywał okna szoferki i hałasował, jakby kamienie uderzały o dach. Przesiąknięta była zapachem mężczyzn – ich roboczych ubrań, narzędzi, tytoniu, ubłoconych kaloszy oraz śmierdzących jak ser skarpetek. A także wilgotnej sierści długowłosego psa, bo wpuszczaliśmy Rangera. Ranger mnie nie odstępował. Wszędzie za mną chodził i czasem bez powodu kazałam mu siedzieć w domu, uciekać do szopy, zostawić mnie w spokoju. Ale Mike go lubił, zawsze wołał, zabierał z nami i na niego czekał, gdy ten wyruszał na swoją psią eskapadę w pogoni za świstakiem lub królikiem. Przy takim życiu, jakie prowadził jego ojciec, Mike nigdy nie mógł mieć własnego psa.

Pewnego razu, będąc z nami, Ranger złowił skunksa, a ten odwrócił się i spryskał go swoją wydzieliną. Mnie i Mike'a uznano za winnych. Moja matka musiała rzucić wszystko i pojechać do miasta po kilka wielkich puszek soku pomidorowego. Mike nakłonił Rangera do wejścia do cebra, wylaliśmy na niego sok pomidorowy i wtarliśmy mu go w sierść. Wyglądało, jakbyśmy kąpali go we krwi. Z ilu ludzi wylałaby się taka ilość krwi? –zastanawialiśmy się. Z ilu koni? Słoni?

Byłam bardziej niż Mike obeznana z krwią i zabijaniem zwierząt. Zabrałam go w pewne miejsce w rogu pastwiska blisko bramy, gdzie ojciec zabijał i szlachtował konie, którymi karmił lisy i norki. Ziemia była w tym miejscu wydeptana i zryta, głęboko naznaczona plamami krwi, rdzawą czerwienią. Potem zaprowadziłam go do wędzarni na pastwisku, gdzie wisiały końskie szkielety, zanim zmielono je na paszę. Wędzarnia była po prostu szopą o ścianach z drucianej siatki, a ściany te były czarne od much pijanych zapachem padliny.

Nasze gospodarstwo było małe; liczyło cztery i pół hektara. Mogłam więc poznać każdy jego zakątek; każdy miał inny charakter, trudny do określenia słowami. Łatwo zrozumieć, co było szczególnego w szopie z drucianej siatki, w której na grubych hakach wisiały długie, blade końskie szkielety, lub w zdeptanym, przesiąkniętym krwią klepisku, gdzie żywe zwierzęta zmieniały się w porcje mięsa. Ale były i inne miejsca, takie jak kamienie przy wjeździe do stodoły, przemawiające do mnie równie mocno, choć nic godnego uwagi się przy nich nie wydarzyło. Z jednej strony leżał duży, gładki, białawy kamień, który wystawał ponad resztę. Ta strona drogi prezentowała się w moich oczach dumnie i okazale i zawsze wołałam nią chodzić, a nie drugą, gdzie kamienie były ciemniejsze i ułożone bardziej nieporządknie. Również każde z drzew miało swój odrębny charakter i wygląd – wiąz był pogodny, a dąb – groźny, klony – przyjazne i powszednie, zaś głóg – stary i opryskliwy. Nawet doły na grzędzawiskach rzeki, z których ojciec przed laty wydobywał żwir na sprzedaż, miały swoją specyfikę, być może najłatwiejszą do uchwycenia w okresie ustępowania wiosennych powodzi, gdy wypełniała je woda. Jeden był niewielki, okrągły, głęboki, idealny, inny rozciągnięty jak ogon, jeszcze inny szeroki i o nieokreślonym kształcie, tak płytki, że chlupotała w nim woda.

Mike postrzegał to wszystko inaczej. Tak jak i ja, od kiedy z nim przebywałam. Ja widziałam te

rzeczy na swój i na jego sposób, a że mój sposób był z natury nie do przekazania, musiał pozostać tajemnicą. On szukał w każdej rzeczy bezpośredniej korzyści. Szeroki błądy kamień przy podejździe służył do tego, by z niego skakać: brało się krótki rozbieg, następnie wyskakiwało w powietrze, ponad mniejszymi kamieniami na pochyłości poniżej, i lądowało na górze ziemi przy drzwiach stodoły. Wszystkie drzewa służyły do wspinaczki, ale w szczególności klon przy domu, po którego konarach można było przejść na dach werandy. A doły żwirowe służyły po prostu do tego, by w nie skakać, z okrzykiem zwierzęcia rzucającego się na ofiarę po dzikiej gonitwie przez wysokie trawy. Gdyby była wcześniejsza pora roku, mówił Mike, gdy w dołach było więcej wody, moglibyśmy zbudować sobie tratwę.

Projekt ten został rozważony w odniesieniu do rzeki. Ale rzeka w sierpniu bardziej przypominała kamienistą szosę niż strumień płynącej wody i zamiast próbować unosić się z prądem albo po prostu pływać, zdjęliśmy buty i brodziliśmy – przeskakując z jednej skały, nagiej, białej jak kość, na drugą, ślizgając się na omszałych kamieniach tuż pod powierzchnią wody, przedzierając przez łodygi lilii wodnych o płaskich liściach oraz przez inne rośliny, których nazw nie pamiętam lub nigdy nie znałam (pasternak? szalej?). Rosły one tak gęsto, że wydawały się tkwić na wyspach, na suchym łądzie, gdy tymczasem wystawały z rzeczno torfu, chwytając nas za nogi zawężłonymi korzeniami.

Była to ta sama rzeka, która przepływała przez miasto. Idąc w jej górę, dochodziło się do miejsca, skąd widać było most o dwóch przęsłach. Spacerując sama lub tylko z Rang erem, nigdy nie zapuszczałam się tak daleko, gdyż przeważnie kręcili się tam ludzie z miasta. Przychodzili łowić ryby, a gdy woda była dostatecznie głęboka, chłopcy skakali z barierok. Teraz by tego nie robili, ale z pewnością chlupaliby się na dole – pyskaci i wrogo nastawieni, jak zawsze dzieci z miasta.

Można też było spotkać włóczęgów. Ale nie wspomniałam o tym Mike'owi; szedł przede mną, jak gdyby most stanowił zupełnie zwyczajny cel i nie wiązało się z tym nic nieprzyjemnego czy zakazanego. Doszły nas głosy i jak się spodziewałam, to wrzeszczeli chłopcy; jakby most należał tylko do nich. Ranger do tej pory bez entuzjazmu podążał naszym śladem, ale teraz skierował się w stronę brzegu. Był już starym psem, a nigdy nie darzył dzieci bezwarunkową miłością.

Jakiś człowiek łowił ryby, nie z mostu, ale z brzegu, i słysząc hałas, jaki zrobił Ranger, wychodząc z wody, zaklął. Zapytał, czy nie mogliśmy zostawić swojego cholernego psa w domu. Mike poszedł dalej, jak gdyby mężczyzna tylko na nas gwizdnął, po czym znaleźliśmy się w cieniu mostu, gdzie nigdy w życiu nie byłam.

Most był naszym dachem; między deskami prześwitywały smugi światła słonecznego. Teraz przejechał po nim samochód, wydając odgłos grzmotu i zasłaniając światło. Dla tego momentu staliśmy cicho, patrząc w górę. Przestrzeń pod mostem była wyjątkowym miejscem, czymś więcej niż tylko krótkim odcinkiem rzeki. Gdy przejechał samochód i przez szczeliny znowu przedarło się słońce, jego odbicie w wodzie rzuciło fale światła, przedziwne świetliste bańki wysoko na betonowe filary. Mike krzyknął, by sprawdzić, czy jest echo, ja zrobiłam to samo, ale ciszej, ponieważ nieznanymi chłopcy na brzegu po drugiej stronie mostu przerażali mnie bardziej niż jakikolwiek włóczęga.

Chodziłam do wiejskiej szkoły położonej za naszym gospodarstwem. Zapisywało się do niej coraz mniej dzieci, tak że w rezultacie byłam jedynym dzieckiem w moim roczniku. Mike chodził od wiosny do szkoły w mieście, więc znał tych chłopców. Pewnie bawiłby się z nimi, a nie ze mną, gdyby jego ojciec nie zabierał go ze sobą, wyjeżdżając na zlecenia, by mieć na niego oko.

Chłopcy z miasta i Mike musieli wymienić między sobą jakieś powitanie.

– Hej. Czego tu szukasz?

– Niczego. A wy?

– Niczego. Kto to?

– Nikt. Taka jedna.

– Taa, akurat. Taka jedna.

Trwała właśnie zabawa, która całkowicie wszystkich zaabsorbowała. Trochę dalej na brzegu widać było także zaaferowane czymś dziewczynki, choć wyrosliśmy już z wieku, w którym chłopcy i dziewczynki w naturalny sposób bawią się razem. Być może przyszły tu z miasta za chłopcami, udając, że za nimi nie podążają, albo to chłopcy je śledzili, knując jakąś zaczepkę, jednak gdy wszyscy znaleźli się w jednym miejscu, rozpoczęła się zabawa. Każdy okazał się w niej potrzebny i w ten sposób zniknęły pierwotne uprzedzenia. A im więcej osób w niej uczestniczyło, tym lepiej, więc Mike włączył się bez trudu i wciągnął mnie.

Bawiliśmy się w wojnę. Chłopcy podzielili się na dwie armie, które walczyły przeciwko sobie zza barykad skleconych z gałęzi drzew, kryjąc się wśród wyższych od nas szorstkich, ostrych traw i szuwarów. Główną broń stanowiły gliniane kule z błota, wielkości mniej więcej piłek baseballowych. Okazało się, że glinę wybierano ze specjalnego miejsca, a była nią zarośnięta zielskiem niecka wyżłobiona nieopodal rzeki (być może to jej odkrycie zrodziło pomysł zabawy). To właśnie przy niej krzątały się dziewczynki, przygotowując amunicję. Zagniatały kleistą glinę w możliwie najtwardsze kulki; w środku mogło się znaleźć trochę żwiru, trawy, liści, zagarniętych gałązek, ale nie celowo dodane kamienie. Kul potrzebowano mnóstwo, gdyż każda służyła jako pocisk tylko raz. Nie wolno było podnieść kuli, która chybiła celu, zagnieść na nowo i rzucić raz jeszcze.

Zasady były proste. Ten, kogo pocisk – nazywany kulą armatnią – trafił w twarz, głowę lub w tułów, padał martwy. Otrzymawszy cios w rękę lub nogę, należało się przewrócić, gdyż było się rannym. Wtedy dziewczynki miały do wykonania kolejne zadanie: podczołgać się i przeciągnąć rannych na wydeptane miejsce, które było szpitalem. Do ran przykładano liście, a sami delikwenci zobowiązani byli leżeć, póki nie doliczą do stu. Po tym wolno im było wstać i wrócić do walki. Polegli żołnierze nie mieli prawa wstawać aż do wygaśnięcia wojny – która kończyła się wraz ze śmiercią całej armii jednej ze stron.

Dziewczynki, tak jak chłopcy, podzielone były na dwa obozy, ale ponieważ nie było nas tyle co chłopców, nie mogłyśmy obsługiwać, przy produkcji amunicji i jako sanitariuszki, tylko jednego żołnierza. Niemniej tworzyły się sojusze. Każda dziewczynka miała własny stos kul i pracowała dla

określonych żołnierzy, a gdy któryś z nich padał zraniony, wołał ją, by jak najszybciej go odciągnęła i opatrzyła mu ranę. Ja produkowałam broń dla Mike'a i to mnie Mike wołał. Panował taki rwetes – słychać było bez przerwy okrzyki „Nie żyjesz”, wyrażające czy to triumf, czy oburzenie (gdyż oczywiście martwi zawsze usiłowali powrócić chyłkiem do gry), i ujadanie psa (nie Rangera), który nie wiedzieć jak znalazł się na polu walki – że trzeba było czujnie nasłuchiwać, czy twój żołnierz cię nie woła. Na ten dźwięk ogarniała nas wielka mobilizacja, jakby prąd przenikał całe ciało; byliśmy gotowe do prawdziwego poświęcenia. (W każdym razie ja to tak odbierałam, gdyż w odróżnieniu od innych dziewczynek służyłam tylko jednemu żołnierzowi).

Nie wydaje mi się również, bym kiedykolwiek przedtem uczestniczyła w takiej zabawie. Udział w wielkim, niebezpiecznym przedsięwzięciu i wyróżnienie, jakim była służba jednemu żołnierzowi, sprawiały mi niesamowitą radość. Gdy Mike był ranny, nie otwierał oczu, leżał bezwładnie i spokojnie, ja zaś przyciskałam duże śliskie liście do jego czoła, szyi i – wyciągnąwszy mu koszulę ze spodni – do jasnego, delikatnego brzucha o rozczulająco bezbronny pępek.

Nikt nie zwyciężył. Po dłuższym czasie zabawa przeobraziła się w sprzeczki i masowe bunty. W drodze do domu próbowaliśmy usunąć z siebie część gliny, kładąc się w wodzie. Szorty i koszulki mieliśmy brudne i przemoczone.

Było późne popołudnie. Ojciec Mike'a szykował się do odjazdu.

– Na miłość boską – wykrzyknął na nasz widok.

Mieliśmy pracownika sezonowego, którego mój ojciec najmował do pomocy przy szlachtowaniu lub do dodatkowych prac. W jego wyglądzie było coś podstarzałego, a zarazem chłopięcego; oddychając, świszczał jak astmatyk. Miał w zwyczaju łapać mnie i tak mocno łaskotać, aż byłam bliska uduszenia. Nikt nie protestował. Mamie się to nie podobało, ale ojciec uspokajał ją, że to tylko dla zabawy.

Akurat pomagał tacie Mike'a na podwórku.

– Tarzaliście się w błocie – stwierdził. – Ani się obejrzyjecie, jak będziecie się musieli pobrać.

Matka usłyszała to zza siatkowych drzwi kuchni. (Gdyby mężczyźni wiedzieli, że tam jest, żaden z nich nie odezwałby się w ten sposób). Wyszła z kuchni, nie komentując naszego wyglądu, i zwróciła się do pracownika cichym, karcącym głosem.

Dosłyszałam część tego, co powiedziała.

„Jak brat z siostrą”.

Robotnik popatrzył na swoje gumiaki i uśmiechnął się bezradnie.

Myliła się. Pracownik był bliższy prawdy. Nie byliśmy jak brat z siostrą, w każdym razie nie jak brat z siostrą, jakich znałam. Mój jedyny brat ledwie wyrósł z wieku niemowlęcego, więc nie miałam w tej kwestii własnych doświadczeń. Nie przypominaliśmy również żadnych znanych mi zamężnych par, w których żony i mężowie byli przede wszystkim starzy, a poza tym funkcjonowali w tak odległych światach, że zdawali się ledwie siebie poznawać. Byliśmy jak solidna, sprawdzona para zakochanych, którzy nie muszą dawać temu zewnętrznego wyrazu. I, przynajmniej dla mnie, było to

ważne i ekscytujące.

Wiedziałam, że pracownik mówił o seksie, choć nie wydaje mi się, bym znała to słowo. I nienawidziłam go za to jeszcze bardziej. Zwłaszcza, że się mylił. Nie posunęliśmy się do rozbierania się, dotykania czy jakiegokolwiek wstydlivej bliskości; nie było żadnego szukania miejsc, gdzie można by się schować, żadnej przyjemności i frustracji obmacywania, a po nim naturalnego wstydu. Takie sytuacje przeżyłam z kuzynem i parą niewiele starszych ode mnie dziewczynek: sióstr, które chodziły do mojej szkoły. Czułam do nich niechęć, zanim do tego doszło, a także potem, i starałam się wyprzeć wszystkiego, nawet we własnych myślach. Nie wyobrażałam sobie podobnych zachowań z kimś, kogo darzyłam sympatią lub szacunkiem, a jedynie z osobami, którymi się brzydziłam, ta odrażająca namiętna gorączka budziła bowiem we mnie wstręt do samej siebie.

W moich uczuciach do Mike'a okiełznany demon przekształcił się we wszechogarniającą ekscytację i czułość tętniące pod skórą, w satysfakcję dla oczu i uszu oraz pulsującą radość z obecności drugiej osoby. Budziłam się co rano złakniona widoku Mike'a, stukotu łomoczącej na drodze furgonetki wiertacza. Nie okazując tego, wielbiłam jego kark i kształt głowy, sposób, w jaki marszczył brwi, jego długie, nagie palce i brudne łokcie, donośny, zuchwały głos, zapach. Chętnie, a nawet gorliwie przyjmowałam role, które w ogóle nie musiały być między nami ustalane: miałam go wspierać i podziwiać, on zaś miał decydować i w razie potrzeby mnie bronić.

Aż pewnego ranka furgonetka nie przyjechała. Kiedyś praca musiała dobiec końca, studnia została przykryta, pompa zainstalowana, popłynęła świeża woda. W porze południowego posiłku przy stole stały dwa krzesła mniej. Zarówno starszy, jak i młodszy Mike jadali razem z nami. Mike syn i ja nie odzywaliśmy się do siebie i prawie nie patrzyliśmy w swoją stronę. Mike lubił smarować sobie chleb ketchupem. Jego ojciec rozmawiał z moim przeważnie o studniach, wypadkach, poziomach wody. Poważny człowiek. Zajęty tylko pracą, mówił ojciec. A mimo to ojciec Mike'a kończył niemal każdą wypowiedź śmiechem. W tym jego śmiechu pobrzmiewała nutka osamotnienia, jak gdyby wciąż znajdował się na dnie studni.

Nie przyjechali. Praca została ukończona, po co mieliby wracać. I było to ostatnie zlecenie, jakie wiertacz otrzymał w tej części kraju. Miał umówione kolejne prace i chciał się jak najszybciej do nich zabrać, póki była jeszcze ładna pogoda. Jako że mieszkał w hotelu, mógł po prostu spakować się i wyjechać. I tak właśnie zrobił.

Dlaczego nie odgadłam, co się dzieje? Czy kiedy Mike ostatniego popołudnia wsiadał do furgonetki, nie było żadnego „do widzenia”, żadnej świadomości, że to wyjazd na zawsze? Żadnego machania na pożegnanie, obróconej – lub nieobróconej – w moją stronę głowy, gdy furgonetka, obciążona całym sprzętem, po raz ostatni potoczyła się prowadzącą do nas drogą? Dlaczego wtedy, gdy trysnęła woda – pamiętam ten moment; wszyscy podeszli, żeby się napić – nie pojęłam, jak wiele się dla mnie skończyło? Zastanawiam się teraz, czy może specjalnie nie dopuszczono do celebrowania tej chwili i pominięto pożegnanie, by nie zrodziło się we mnie – w nas – rozżalenie czy bunt.

Nie sędę, by w tamtych czasach tak bardzo przejmowano się odczuciami dzieci. Sami mieliśmy sobie poradzić z cierpieniem albo stłumić je w sobie.

Nie okazałam buntu. Gdy minął pierwszy szok, nie dałam nic po sobie poznać. Nasz pracownik dokuczał mi, kiedy tylko się na mnie natknął („Czy twój chłopak od ciebie uciekł?”), ale nie zwracałam na niego uwagi.

Musiałam wiedzieć, że Mike odjedzie. Tak jak wiedziałam, że Ranger jest stary i wkrótce zdechnie. Godziłam się na przyszłą nieobecność; tyle że dopóki Mike nie zniknął, nie miałam pojęcia, jak ona może wyglądać. Że odmieni to całą moją życiową przestrzeń, jak gdyby grunt osunął mi się pod nogami i pozbawił sensu wszystko poza świadomością utraty Mike'a. Od tej pory nie potrafiłam już patrzeć na biały głaz przy wjeździe, nie myśląc o Mike'u aż nabrałam do tego kamienia odrazy. Tak samo do konara klonu, a gdy ojciec go odciął, bo rozrósł się zbyt blisko domu, do śladu, jaki po nim został.

Pewnego dnia, wiele tygodni później, gdy nosiłam już jesienny płaszcz, stałam w progu sklepu obuwniczego, w którym matka przymierała buty, i usłyszałam, jak jakaś kobieta woła: „Mike”. Biegła wzdłuż sklepu, wołając „Mike”. Nagle poczułam pewność, że musi być matką Mike'a (wiedziałam, choć nie od niego, że nie umarła, lecz była w separacji z jego ojcem) i że z jakiegoś powodu wrócili do miasta. Nie zastanawiałam się, czy wrócili na pewien czas, czy na stałe. Myślałam tylko o tym – wybiegając ze sklepu – że za chwilę zobaczę Mike'a.

Kobieta złapała pięcioletniego może chłopca, który właśnie sięgał po jabłko do skrzynki stojącej na chodniku przed sąsiednim sklepem spożywczym.

Stanęłam i gapiłam się na dziecko z niedowierzaniem, jak gdyby na moich oczach dokonały się oburzające, niesprawiedliwe czary–mary.

Pospolite imię. Głupie dziecko o płaskiej twarzy i brudnych blond włosach.

Serce waliło mi jak oszalałe, jak gdyby w mojej piersi coś wyło.

Sunny wyszła po mnie na autobus w Uxbridge. Była mocno zbudowaną kobietą o pogodnej twarzy i srebrzystobrązowych kręconych włosach upiętych po obu stronach twarzy grzebieniami nie do pary. Nawet gdy przybrała na wadze – a przybrała – nie przypominała matrony, ale wyglądała majestatycznie dziewczęco.

Jak zwykle natychmiast wciągnęła mnie w swoje życie, oznajmiając, że o mało się nie spóźniła, bo tego ranka Claire wpadło coś do ucha i trzeba było pojechać do szpitala, by jej to wypłukać, potem pies zwymiotował na progu kuchni, prawdopodobnie dlatego, że źle znosił jazdę samochodem, dom i wieś, i gdy ona, Sunny, wyjeżdżała po mnie, Johnston kazał właśnie chłopcom posprzątać, bo to oni chcieli psa, zaś Claire skarżyła się, że ciągle słyszy w uchu jakieś bzz–bzz.

– Co więc powiesz na to, żebyśmy znalazły sobie jakiś cichy i przyjemny kącik, upiły się i wcale nie wracały do domu? – zaproponowała. – Chociaż musimy. Johnston zaprosił na weekend znajomego, którego żona z dziećmi wyjechała do Irlandii; chcą razem zagrać w golfa.

Sunny i ja byłyśmy przyjaciółkami w Vancouver. Nasze cięższe wypadły jedna po drugiej, więc mogłyśmy wykorzystać te same ubrania ciążowe. Mniej więcej raz na tydzień, w jej lub mojej kuchni, przy dzieciach odwracających naszą uwagę, czasem chwiejąc się z niewyspania, doładowywałyśmy akumulatory mocną kawą i papierosami i wpadałyśmy w ciągi gadania:

O małżeństwach, kłótniach, własnych słabościach, ważnych i niegodnych impulsach, porzuconych ambicjach. Obie czytałyśmy Junga i usiłowałyśmy zapamiętać swoje sny. W okresie życia, który powinien być naznaczony amokiem reprodukcji, kiedy myśli kobiety całkowicie przepełnione są sokami macierzyństwa, nie mogłyśmy się powstrzymać przed dyskusjami o Simone de Beauvoir i Arturze Koestlerze oraz o *Cocktail Party*.

Nasi mężowie w najmniejszym stopniu nie podzielali tych fascynacji. Gdy usiłowałyśmy rozmawiać z nimi o tego rodzaju sprawach, ucinali:

– Och, to tylko literatura. – Albo: –Jakbym słyszał wykład filozofii na pierwszym roku.

Żadna z nas nie mieszka już w Vancouver. Z tym że Sunny wyjechała z mężem, dziećmi i meblami, w normalny sposób i ze zwykłych powodów – jej mąż zmienił pracę. Ja zaś wyprowadziłam się z nowomodnej przyczyny, akceptowanej chętnie, lecz przelotnie i wyłącznie w niektórych kręgach: porzucając męża i dom oraz wszystkie rzeczy nabyte w trakcie małżeństwa (z wyjątkiem oczywiście dzieci, które miały zostać rozparcelowane) w nadziei na życie bez hipokryzji, wyrzeczeń czy wstydu.

Mieszkałam teraz na pierwszym piętrze pewnego domu w Toronto. Właściciele budynku, zajmujący parter, przybyli jakieś dwanaście lat wcześniej z Trynidadu. Na całej długości ulicy stały stare ceglane kamienice z werandami i wysokimi, wąskimi oknami – dawne domy metodystów i prezbiterian, wśród których powtarzały się nazwiska typu Henderson, Grisham czy McAllister. Zamieszkiwali je ludzie o oliwkowej lub brązowej skórze, którzy mówili po angielsku –jeśli w ogóle mówili w tym języku – w nieznanym mi sposób i o każdej porze dnia i nocy wypełniali powietrze zapachami swoich słodko–pikantnych potraw. Było mi z tym dobrze; czułam, iż dokonałam prawdziwej zmiany, że odbyłam długą, konieczną podróż z małżeńskiego domu. Jednak przesadą byłoby oczekiwać, że moje córki, z których jedna miała dziesięć, druga dwanaście lat, będą podzielać te uczucia. Opuściłam Vancouver wiosną, a one miały przyjechać do mnie na początku letnich wakacji i zostać na całe dwa miesiące. Zapach ulicy wydawał im się obrzydliwy, zaś hałas przerażający. Było gorąco i mimo że kupiłam wentylator, nie mogły spać. Musiałyśmy zostawiać okno otwarte, a zabawy na podwórkach przeciągały się czasem do czwartej nad ranem.

Wyprawy do Science Centre i do wieżowca Canadian National, do muzeum czy do zoo, obiady w klimatyzowanych restauracjach galerii handlowych czy rejs statkiem na wyspę Toronto nie mogły wynagrodzić im nieobecności przyjaciółek lub pomóc pogodzić się z parodią domu, jaką im oferowałam. Tęskniły za swoimi kotami. Potrzebowały własnych pokoiów, swobody poruszania się po okolicy, którą znały, beztroskiego siedzenia w domu.

Przez jakiś czas nie skarżyły się. Usłyszałam, jak starsza mówiła do młodszej:

– Niech mama myśli, że nam tu dobrze. Bo inaczej będzie jej przykro.

Na koniec nastąpił wybuch. Oskarżenia, żale (nawet przesadzone, wymyślone, jak sądzę, na tę okazję). Skarga młodszej:

– Dlaczego nie możesz po prostu mieszkać w domu? – I gorzkie wyjaśnienie starszej:

– Bo ona nienawidzi taty.

Zatelefonowałam do męża – który zadał mi niemal takie samo pytanie i udzielił na nie niemal takiej samej odpowiedzi. Przebukowałam bilety, pomogłam się dzieciom spakować i odwiozłam je na lotnisko. Przez całą drogę grałyśmy w idiotyczną grę zaproponowaną przez starszą córkę. Należało wybrać jakąś liczbę, na przykład 27 czy 45, a następnie wyglądać przez okno i liczyć mężczyzn, których się zobaczyło; ten dwudziesty siódmy czy czterdziesty piąty miał być przyszłym mężem. Gdy wróciłam do domu, zebrałam to, co po nich zostało – rysunki młodszej, magazyn „Glamour” kupiony przez starszą, różne ozdoby i ubrania, jakie mogły nosić w Toronto, ale nie w domu – i wypchałam nimi worek na śmieci. I ilekroć dzieci pojawiały się w moich myślach, robiłam właśnie to: zatrząskiwałam swój umysł. Niektóre niedole, na przykład te związane z mężczyznami, potrafiłam jeszcze wytrzymać, jednak te związane z dziećmi były nie do zniesienia.

Powróciłam do życia, jakie prowadziłam przed ich przyjazdem. Przestałam robić sobie śniadania i wychodziłam co rano na kawę i ciepłe bułeczki do włoskich delikatesów. Zachwycało mnie, że jestem tak absolutnie wolna od domowych zobowiązań. Ale zauważałam teraz coś, czego nie widziałam wcześniej: wyraz twarzy ludzi siedzących co rano pod oknem lub przy stolikach na zewnątrz, ludzi, dla których taki tryb życia nie stanowił w żadnym razie czegoś cudownego i interesującego, ale był zleżałym nawykiem samotników.

Po powrocie do domu siadałam i pisałam godzinami przy drewnianym stole pod oknem, na dawnej werandzie, która pełniła funkcję prowizorycznej kuchni. Miałam nadzieję, że uda mi się zarobić na życie pisaniem. Słońce niebawem nagrzewało niewielkie pomieszczenie, aż nogi – nosiłam szorty – przyklejały mi się do krzesła. Czułam charakterystyczny słodkawo–chemiczny zapach plastikowych sandałów, w których pociły mi się stopy. Lubiłam go – była to woń mojej pracy i, miałam taką nadzieję, sukcesu. To, co pisałam, nie było wcale lepsze od tego, co udało mi się stworzyć w uprzednim życiu, gdy obok gotowały się ziemniaki, a w pralce kręciło się pranie. Pisałam po prostu więcej i nie było to gorsze, i tyle.

Później, w ciągu dnia, brałam kąpiel i zwykle spotykałam się z tą czy inną przyjaciółką. Piłyśmy wino przy stolikach przed maleńkimi restauracjami na Queen Street, Baldwin Street lub Brunswick Street i rozmawiałyśmy o życiu: głównie o kochankach, choć samo słowo „kochanek” przyprawiało nas o mdłości; mówiłyśmy raczej o „mężczyznach, z którymi byłyśmy związane”. No i czasem spotykałam się z mężczyzną, z którym byłam związana. Przestałam się z nim widywać, kiedy były u mnie dzieci, choć złamałam tę zasadę dwa razy, zostawiając córki w lodowatym kinie.

Poznałam tego człowieka, zanim odeszłam od męża, i był on bezpośrednią przyczyną mojego

odejścia, choć przed nim oraz przed wszystkimi innymi udawałam, że było inaczej. Kiedy się spotykaliśmy, zachowywałam się beztrosko i demonstrowałam niezależność myślenia. Wymienialiśmy się nowinkami – dokładałam starań, by mieć coś do opowiedzenia – i śmialiśmy się, spacerowaliśmy po wąwozach, jednak przede wszystkim usiłowałam nakłonić go do seksu, gdyż sądziłam, że intensywne przeżycia seksualne najlepiej łączą ludzi. Byłam głupiutka w tych kwestiach – w sposób bardzo ryzykowny, zwłaszcza dla kobiety w moim wieku. Zdarzały się chwile, gdy czułam się po naszych spotkaniach ogromnie szczęśliwa – oszołomiona i bezpieczna – czasem jednak leżałam ciężka jak kamień, targana wątpliwościami. Po jego wyjściu zaczynały mi płynąć łzy i orientowałam się, że płaczę. A to dlatego, że dostrzegłam w nim jakiś cień lub pewną nonszalancję, albo wyczułam z jego strony zawołane ostrzeżenie. Gdy za oknami zapadała noc, na podwórkach rozpoczynała się zabawa, z muzyką, krzykami i kłótniami – czasem przechodzącymi w bójki – a mnie ogarniał strach, nie przed jakąś wrogością, ale przed swego rodzaju niebytem.

Pewnego razu, będąc w podobnym nastroju, zadzwoniłam do Sunny i zostałam zaproszona na weekend na wsi.

– Ładnie tutaj – powiedziałam.

Okolica, którą mijaliśmy, nic jednak dla mnie nie znaczyła. Wzgórza przypominały zielone garby; gdzieś pasły się krowy. Nad porośniętymi chwastem potokami przerzucone były niskie betonowe mostki. Siano zbierano w nowy sposób, zwijając w bele, które zostawiano na polu.

– Poczekaj, aż zobaczysz dom – odparła Sunny. – Jest zapuszczony. W rurach siedziała mysz. Zdechła. Bez przerwy znajdowaliśmy sierść w kąpielni. Już ją usunęliśmy, ale nigdy nie wiadomo, co się znowu wydarzy

Nie zapytała mnie – czy to przez delikatność, czy aby dać wyraz swej dezaprobacji – o moje nowe życie. Może po prostu nie wiedziała, jak zacząć; nie mogła tego sobie wyobrazić. I tak bym jej odpowiedziała kłamstwem lub półprawdami. „Ciężko było się wyrwać, jednak musiałam to zrobić. Okropnie tęsknię za dziećmi, ale zawsze trzeba zapłacić jakąś cenę. Uczę się pozostawiać mężczyźnie swobodę i samej ją zachować. Uczę się traktować seks beztrosko, co nie przychodzi mi łatwo, bo to nie w moim stylu i nie jestem młoda – ale uczę się”.

Weekend, pomyślałam. Jak to długo.

Na ceglanej ścianie domu widać było ślad po wyburzonej werandzie. Synowie Sunny dokazywali w ogrodzie.

– Mark zgubił piłkę – krzyczał starszy, Gregory.

Sunny kazała im przywitać się ze mną.

– Dzień dobry. Mark rzucił piłkę za szopę i teraz nie możemy jej znaleźć.

Trzyletnia dziewczynka, która przyszła na świat już po tym, jak ostatni raz widziałam Sunny, wybiegła z drzwi prowadzących do kuchni i zatrzymała się, zdziwiona widokiem nieznanego osoby. Zaraz się jednak otrząsnęła i poinformowała mnie:

– Jakiś robak wlaźł mi do ucha.

Sunny wzięła ją na ręce, ja sięgnęłam po swoją torbę podróżną i weszliśmy do kuchni, w której Mike McCallum rozsmarowywał właśnie ketchup na kromce chleba.

– To ty – powiedzieliśmy prawie w tej samej sekundzie. Roześmialiśmy się, zrobiłam krok w jego stronę, on w moją. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Myślałam, że to twój ojciec – powiedziałam.

Nie wiem, czy rzeczywiście przypomniął mi się wiertacz. Pomyślałam: kim jest ten znajomo wyglądający mężczyzna? Poruszał się z lekkością; schodzenie w głąb studni nie stanowiłoby dla niego problemu. Krótko przystrzyżone siwiejące włosy i głęboko osadzone, jasne oczy. Pociągła twarz, przyjazna, choć surowa. Chłodna, lecz bynajmniej nie przykra rezerwa w zachowaniu.

– Niemożliwe – odparł. – Ojciec nie żyje.

Johnston wszedł do kuchni z torbami do golfa, przywitał się ze mną i kazał się Mike'owi pospieszyć, na co Sunny oznajmiła:

– Oni się znają, skarbie. Oni się znali. Coś podobnego.

– W dzieciństwie – wyjaśnił Mike.

– Naprawdę? – zdziwił się Johnston. – To niebywałe.

I wszyscy jednocześnie powiedzieliśmy coś, co najwyraźniej zamierzał powiedzieć Mike:

– Jaki ten świat jest mały.

Mike i ja wciąż patrzyliśmy na siebie, uśmiechając się, jakbyśmy dawali sobie do zrozumienia, że to, co Sunny i Johnston uznali za niesamowity zbieg okoliczności, dla nas oznaczało zabawnie oszałamiający dar losu.

Przez całe popołudnie, gdy panowie byli na golfie, przepełniała mnie energia szczęścia. Upiekłam placek z brzoskwiniami na kolację, przeczytałam Claire bajkę przed jej popołudniową drzemką, kiedy Sunny zabrała chłopców nad potok na ryby – skąd wrócili z pustymi rękami. Potem ona i ja usiadłyśmy na podłodze w salonie z butelką wina i na nowo się zaprzyjaźniłyśmy, rozmawiając o książkach zamiast o życiu.

Mike zapamiętał inne rzeczy niż ja. Pamiętał, jak chodziliśmy po wąskim cementowym fundamencie, udając się, że to najwyższe piętro budynku i że jeśli ktoś się potknie, spadnie i się zabije. Powiedziałam, że musiało to być gdzie indziej, potem przypominałam sobie wylane fundamenty garażu, który nigdy nie powstał, w miejscu, gdzie nasza droga zbiegała się z szosą. Czy po nich chodziliśmy?

Tak.

Ja zapamiętałam, że miałam ochotę krzyknąć głośno pod mostem, ale powstrzymał mnie strach przed dziećmi. Mike nie pamiętał żadnego mostu.

Oboje pamiętaliśmy gliniane kule armatnie i wojnę.

Poszliśmy razem pozmywać, by móc spokojnie porozmawiać o wszystkim, nie okazując lekceważenia domownikom.

Powiedział mi, w jakich okolicznościach zmarł jego ojciec. Zginął w wypadku samochodowym, wracając z jakiegoś zlecenia pod Bancroft.

– Twoi rodzice jeszcze żyją?

Odpowiedziałam, że matka zmarła, a ojciec ponownie się ożenił.

W pewnym momencie przyznałam się, że zostawiłam męża i mieszkam w Toronto. Że moje dzieci przez jakiś czas były ze mną, ale teraz są na wakacjach z ojcem.

Opowiedział mi, że mieszka w Kingston, ale od niedawna. Że Johnstona poznał w pracy. Był tak samo jak on inżynierem budowlanym. Jego żona była Irlandką, urodziła się w Irlandii, ale kiedy się poznali, pracowała w Kanadzie. Jako pielęgniarka. Teraz wyjechała do Irlandii, do County Clare, odwiedzić rodzinę. Zabrała ze sobą dzieci.

– Ile?

– Trójkę.

Po zmywaniu przeszliśmy do salonu i zaproponowaliśmy, że zagramy z chłopcami w scrabble, żeby Sunny i Johnston mogli się przejść. Jedną partyjkę, a potem chłopcy mieli pójść do łóżek. Namówili nas jednak na kolejną i gdy rodzice wrócili, wciąż graliśmy.

– Co ja powiedziałem? – zapytał Johnston.

– To ciągle ta sama partia – przekonywał Gregory. – Powiedziałaś, że możemy skończyć partię, a to ciągle ta sama.

– Już to widzę – odezwała się Sunny.

Dodała, że wieczór jest cudowny i że rozpieszczamy ich tym baby-sittingiem.

– Wczoraj wieczorem Mike został z dziećmi, a my byliśmy w kinie. Na starym filmie. *Most nad rzeką Kwai*.

– *Na rzece* – poprawił Johnston. – *Most na rzece Kwai*. Mike zapewnił, że już widział ten film.

– Przed laty.

– Nawet był niezły – ciągnęła Sunny. – Tylko nie zgadzam się z zakończeniem. Moim zdaniem jest złe. Pamiętajcie, jak Alec Guinness rano zauważył w wodzie kabel i uświadamia sobie, że ktoś chce wysadzić most? I traci głowę, a potem wszystko się komplikuje, wszyscy muszą zginąć, i tak dalej. Według mnie powinien zobaczyć kabel i zrozumieć, co się święci, zostać na moście i dać się wysadzić. Uważam, że bohater tak powinien się zachować, i byłoby to bardziej dramatyczne zakończenie.

– Nie, nieprawda – sprzeciwił się Johnston tonem kogoś, kto już zaliczył tę dyskusję. – A gdzie suspens?

– Zgadzam się z Sunny – wtrąciłam. – Pamiętam, że uznałam zakończenie za zbyt wydumane.

– A ty, Mike? – zagadnął Johnston.

– Moim zdaniem było niezłe – odparł Mike. – Właśnie takie, jakie było.

– Faceci kontra babki – skwitował Johnston. – Faceci wygrywają.

Po tym kazał chłopcom poskładać scrabble, ci posłuchali. Gregory wpadł jednak na pomysł, by pooglądać gwiazdy.

– To jedyne miejsce, gdzie można je zobaczyć – prosił. – W domu widać tylko światła uliczne i gówno więcej.

– Może bez takich słów – ostrzegł go ojciec. Ale zgodził się, na pięć minut, i wszyscy wyszliśmy na dwór popatrzeć w niebo. Szukaliśmy Gwiazdy Polarnej, tuż obok drugiej gwiazdy w ogonie Małej Niedźwiedzicy. Ten, kto potrafi ją dostrzec, mówił Johnston, ma wystarczająco dobry wzrok, by dostać się do Air Force, w każdym razie tak było podczas drugiej wojny światowej.

Sunny powiedziała:

– Ja ją widzę, ale wiedziałam wcześniej, że tam jest. Mike przyznał, że on tak samo.

– Ja też widzę – odezwał się Gregory pogardliwie. – Zobaczyłem ją; nieważne, czy wiedziałem, że tam jest, czy nie.

– Ja też – powtórzył za nim Mark.

Mike stał w niewielkiej odległości przede mną, trochę z boku, właściwie bliżej Sunny niż mnie. Za nami nie było nikogo i miałam ochotę musnąć go – leciutko, przypadkiem, dotknąć jego ręki lub ramienia. A jeśli się nie poruszy – z grzeczności, biorąc ten gest za przypadkowy – położyć palec na jego nagim karku.

Czy zrobiłby to, gdyby sam stał za mną? Czy zamiast oglądać gwiazdy właśnie na tym by się skoncentrował?

Coś mi jednak mówiło, że był człowiekiem uczciwym, że by się pohamował.

I oczywiście z tego powodu nie przyszedł tej nocy do mojego łóżka. Zresztą było to tak ryzykowne, że niemal niemożliwe. Na piętrze znajdowały się trzy sypialnie: zarówno pokój gościnny, jak i pokój rodziców wychodziły na większy, w którym spały dzieci. Każdy, kto wychodził z mniejszych sypialni, musiał przejść przez pokój dzieci. Mike, który spał zeszłej nocy w pokoju gościnnym, został przeniesiony na parter, na rozkładaną kanapę w salonie. Zamiast zdjąć pościel w łóżku, które mi odstąpił, Sunny jemu dała świeżą pościel.

– Jest raczej czysty – powiedziała. – Poza tym to twój stary przyjaciel.

Spanie w tej samej pościeli nie zapewniło mi spokojnej nocy. W moim śnie – bo nie w rzeczywistości – pachniała ona roślinami wodnymi, mułem rzeczonym i szuwarami w słońcu.

Wiedziałam, że choćby ryzyko było minimalne, nie przyszedłby do mnie. Byłoby to coś niestosownego w domu jego przyjaciół, którzy mogli zostać – jeśli jeszcze nie byli – także przyjaciółmi jego żony. Zresztą skąd mógł być pewien, że tego właśnie chciałam? Lub że sam tego chciał? Nawet ja nie byłam pewna. Do tej pory uważałam się za kobietę wierną mężczyźnie, z którym w danym okresie sypiałam.

Źle spałam, całą noc męczyły mnie nieprzyzwoite sny z denerwującymi, przykrymi wątkami pobocznymi. Momentami Mike był gotów się do mnie zbliżyć, ale napotykał trudności. Czasem zajmował się czymś innym, jak wtedy, gdy powiedział, że miał dla mnie prezent, ale gdzieś go zapomniał i koniecznie musi go znaleźć. Mówiłam, żeby się tym nie przejmował, że prezenty mnie nie interesują, bo on sam jest dla mnie prezentem, kimś, kogo Kocham i zawsze kochałam. On jednak się zamartwiał. I czasem robił mi wyrzuty.

Całą noc – w każdym razie kiedy się budziłam, a budziłam się często – za oknem grały świerszcze. Z początku wzięłam je za ptaki, za chór niestrudzonych nocnych ptaków. Tak długo mieszkałam w mieście, że zapomniałam, jaką idealną kaskadę dźwięków potrafią stworzyć.

Muszę też przyznać, że chwilami, budząc się, czułam się zagubiona. Ogarniała mnie niewygodna jasność umysłu. Co tak naprawdę wiesz o tym człowieku? Albo on o tobie? Jaką muzykę lubi, jakie ma poglądy polityczne? Jakie oczekiwania wobec kobiet?

– Dobrze spaliście? – zapytała Sunny.

– Ja jak suseł – powiedział Mike.

– Nieźle – odparłam.

Tego dnia byliśmy zaproszeni na lunch do sąsiadów, którzy mieli dom z basenem. Mike stwierdził, że wolałby pójść na golfa, jeśli to nie problem.

– Skądże – odpowiedziała Sunny i spojrzała na mnie.

– Sama nie wiem, czy... – zaczęłam.

– Nie grasz w golfa, prawda? – wtrącił się Mike. –Nie.

– Mogłabyś pójść i nosić mi kije.

– Ja chcę nosić kije – zaofiarował się Gregory. Wolał przyłączyć się do nas, cokolwiek byśmy robili, pewien, że okażemy się bardziej liberalni i zabawniejsi niż jego rodzice.

Sunny się nie zgodziła.

– Pójdiesz z nami. Nie masz ochoty popływać?

– Wszystkie dzieciaki sikają do tego basenu. Chyba o tym wiesz.

Zanim wyszliśmy, Johnston ostrzegł nas, że zapowiadano deszcz. Mike stwierdził, że zaryzykujemy. Spodobało mi się, że użył formy „my”, podobało mi się, że jadę obok niego, na siedzeniu żony. Miło mi było myśleć o nas jako parze; sprawiło mi to beztroską przyjemność, jaką odczuwają nastolatki. Idea bycia żoną pociągała mnie, jak gdybym nigdy nią nie była. Nigdy nie czułam czegoś takiego przy mężczyźnie, który obecnie był moim kochankiem. Czy naprawdę umiałabym znaleźć swoje miejsce u boku prawdziwej miłości, jakoś pozbyć się tych rzeczy we mnie, które się do tego nie nadawały, i być szczęśliwa?

Teraz, gdy zostaliśmy sami, pojawiło się pewne skrępowanie.

– Pięknie tu, prawda? – zagadnęłam. Dziś naprawdę tak uważałam. Pod zachmurzonym białym niebem wzgórza wyglądały łagodniej niż wczoraj, w bezwstydnym świetle słońca. Pod koniec lata korony drzew były mniej gęste, liście zaczynały rdza–wiec na brzegach, niektóre zrobiły się już wręcz brązowe lub czerwone. Rozpoznawałam różne gatunki.

– To dęby – dodałam.

– Gleba jest tu piaszczysta – powiedział Mike. – W całej tej okolicy. Nazywają ją Dębowymi Szczytami.

Powiedziałam, że Irlandia jest pewnie piękna.

– Niektóre jej zakątki są zupełnie dzikie. Nagie skały.

– Twoja żona tam się wychowała? Ma ten uroczy akcent?

– Gdybyś ją usłyszała, pewnie uznałabyś, że tak. Ale gdy tam wraca, mówią jej, że straciła akcent. Że mówi jak Amerykanka. Zawsze mówią „Amerykanka”; nie zwracają sobie głowy Kanadą.

– A twoje dzieci? Chyba w ogóle nie mają irlandzkiego akcentu?

– Nie.

– A tak w ogóle kogo masz: chłopców czy dziewczynki?

– Dwóch chłopców i dziewczynkę.

Poczułam nagłą potrzebę opowiedzenia mu o sprzecznościach, smutkach i niedostatkach mojego życia.

– Tęsknię za dziećmi – powiedziałam.

Nie odezwał się. Żadnego słowa współczucia, żadnej pociechy. Być może uważał, że w obecnej sytuacji nie wypada rozmawiać o naszych partnerach czy dzieciach.

Wkrótce potem zaparkowaliśmy przed klubem golfowym. Jak gdyby chcąc wynagrodzić mi swój chłód, Mike powiedział beztrosko:

– Wygląda na to, że strach przed deszczem zatrzymał niedzielnych golfistów w domu. – Na parkingu stał tylko jeden samochód.

Wysiadł i wszedł do klubu, by wykupić wejściówki.

Nigdy nie byłam na polu golfowym; raz czy dwa przypadkowo widziałam grę w golfa w telewizji. Wiedziałam, że niektóre kije nazywa się „żelazami”, jeden z nich, zwany „niblick”, służy do wybijania piłeczki z piasku, a przystrzyżony obszar wokół dołka to „green”.

– Może cię to strasznie znudzić – wspomniał Mike, gdy mu o tym powiedziałam.

– To pójdę na spacer.

Chyba mu się to spodobało. Położył swoją ciężką, ciepłą dłoń na moim ramieniu i skwitował:

– Pójdziesz.

Nieważne, że nie znałam się na golfie – oczywiście nie musiałam nosić kijów; nie nudziłam się. Jedyne, co miałam do roboty, to chodzić za nim i patrzeć na niego. Nawet niekoniecznie na niego.

Mogłam patrzeć na drzewa wokół pola; wysokie, o pierzastych wierzchołkach i cienkich pniach – nie wiem nawet, jak się nazywały – akacje? – poruszane podmuchami wiatru, których tu, na dole, w ogóle nie czuliśmy. Zauważyłam też stada ptaków, kosów czy szpaków, podrywających się we wspólnym zaaferowaniu, ale wyłącznie z jednego wierzchołka drzewa na drugi. Przypomniało mi się teraz, że ptaki właśnie tak się zachowują: w sierpniu, a nawet pod koniec lipca rozpoczynają masowe, hałaśliwe zgromadzenia, przygotowując się do odlotu na południe.

Mike czasem się odzywał, ale jakby nie do mnie. Nie musiałam odpowiadać, a zresztą nawet bym nie mogła. Odzywał się chyba jednak częściej, niż gdyby grał w samotności. O coś sobie robił wyrzuty, czegoś powściągliwie gratulował, przed czymś siebie samego ostrzegał – o ile w ogóle wypowiadał jakieś słowa; prędeż wydawał dźwięki – takie, które mają coś komunikować, i rzeczywiście komunikują, w wytrwałej intymności przeżywanego wspólnie życia.

A zatem właśnie to miałam robić – pozwolić mu poczuć samego siebie w spotęgowany, rozszerzony sposób; można by powiedzieć: w wygodniejszy sposób, dzięki krzepiącemu wrażeniu ludzkiej krzątania wokół jego samotności. Nie oczekiwałyby tego w dokładnie takiej formie, ani nie poprosił o to z taką naturalnością czy łatwością, gdybym była mężczyzną. Albo kobietą, z którą nie czułby się w pewien sposób związany.

Nie zastanawiałam się nad tym. Wszystko to było częścią radości, jaką sprawiało mi spacerowanie po polu. Tak dotkliwie nocą pożądanie teraz zostało okiełznane i stłumione do rozmiarów małego dyżurnego płomyczka: czujnego, na miarę żony. Szłam za nim, gdy się ustawiał, przymierzał, namyślał, oceniał, brał zamach; śledziłam lot piłki – dla mnie zawsze triumfalny, dla niego zwykle problematyczny – do miejsca naszego kolejnego wyzwania, naszej najbliższej przyszłości.

Przemierzając się po polu, niemal nie rozmawialiśmy. Będzie padać? – pytaliśmy siebie nawzajem. Poczujesz kroplę? Chyba tak. Może nie. Nie była to konwencjonalna rozmowa o pogodzie; stanowiła element gry w golfa. Uda nam się skończyć rozgrywkę, czy nie?

Okazało się, że nie. Najpierw spadła jedna kropla, absolutnie pewna, potem kolejna, następne. Mike spojrział w drugą stronę, gdzie chmury zmieniły kolor z białych na granatowe, i stwierdził bez specjalnego niepokoju czy rozczarowania:

– Oto, jaka nas czeka pogoda.

Po czym zaczął spokojnie pakować kije i zapinać torbę.

Znajdowaliśmy się wtedy w punkcie najbardziej oddalonym od klubu. Ptaki, już podenerwowane, jeszcze wzmogły swoje bezładne kołowanie. Wierzchołki drzew falowały i dał się słyszeć jakiś dźwięk – jakby nad nami – przypominający niosącą kamienie falę, która rozbija się o brzeg.

– No dobra. Lepiej się skryjmy – powiedział Mike, chwycił mnie za rękę i pobiegliśmy przez trawnik w stronę krzaków i wysokich zarośli między polem golfowym a rzeką.

Krzewy na granicy pola miały ciemne liście i wyglądały jak posadzone, jakby miały stanowić żywopłot. Rosły jednak bezładnie, dziczejac. Sprawiały wrażenie gąszczu nie do przebycia, ale z bliska dało się zauważyć niewielkie prześwity, wąskie ścieżki, wydeptane przez zwierzęta lub ludzi

szukających zagubionych piłek. Teren nieznacznie opadał, a gdy przeszło się przez ścianę zarośli, można było zobaczyć rzekę – tę, od której klub wziął nazwę i którą miał w szyldzie nad bramą: Riverside Golf Club. Woda była stalowoszara i zamiast pnieć się, jak woda w stawie przy takim zwrocie pogody, zdawała się marszczyć w fałdy. Pomiędzy nią a nami rozciągała się łąka kwitnących chwastów. Niecierpek, nawłóć ze swoimi czerwonymi i żółtymi dzwoneczkami, coś, co uznałam za kwitnące pokrzywy o różowofioletowych kwiatach, oraz dzikie astry. Rosła tam też winorośl – czepiająca się wszystkiego, czego zdołała sięgnąć, i płacząca się pod stopami. Ziemia była miękka, niezbyt błotnista. Nawet najdelikatniejsze z wyglądu rośliny o najbardziej wiotkich łodygach wyrastały na wysokość naszych głów lub wyżej. Stanęliśmy i spojrzeliśmy poprzez nie w górę; niedaleko od nas drzewa kołysały się jak bukiety. Coś nadciągało od strony tych ciemnych chmur. Był to prawdziwy deszcz, zbliżający się do nas w ślad za tą jego namiastką, która już tu dotarła. A właściwie coś więcej niż deszcz. Jak gdyby kawałek nieba oderwał się i sunął w dół z impetem i stanowczością, przyjmując trudny do określenia, a jednak ożywiony kształt. Pchał on przed sobą zasłony deszczu – nie woale, lecz naprawdę grube i wściekle bijące kotary. Widzieliśmy je wyraźnie, choć wciąż czuliśmy jedynie lekkie, leniwe krople. Prawie jakbyśmy oglądali wszystko przez szybę, nie do końca wierząc, że może ona pęknąć, aż w końcu się to stało i uderzył w nas deszcz z wiatrem, a moje włosy uniosły się i utworzyły wokół głowy wachlarz. Czułam, że skóra może zrobić to samo.

Spróbowałam się odwrócić – kierowana nagłym impulsem, by uciec z zarośli i biec w stronę klubu. Ale nie mogłam się ruszyć. Samo stanie było wystarczająco trudne; na otwartej przestrzeni wiatr natychmiast by mnie przewrócił.

Zgięty w pół, bodąc głową zielsko pod wiatr, Mike wyszedł przede mnie, nie puszczając mojego ramienia. Zwrócił się twarzą w moją stronę, ustawiając się między mną a burzą. Zapałka okazałaby się równie skuteczną osłoną. Coś powiedział, ale nic nie usłyszałam. Krzyczał, ale nie docierało do mnie żadne słowo. Chwycił mnie za ramiona, przesunął ręce w dół aż do moich nadgarstków i ścisnął je. Pociągnął mnie w dół – przy każdej zmianie pozycji zaczynaliśmy się chwiać – byśmy przykucnęli przy ziemi. Tak blisko siebie, że nie mogliśmy patrzeć sobie w twarz, jedynie pod nogi, na miniaturowe strumyki rozcinające już ziemię wokół naszych stóp, podeptane rośliny i nasze przemoczone buty. A i nawet na to trzeba było patrzeć poprzez zalewający twarze wodospad.

Mike puścił moje nadgarstki i położył mi ręce na ramionach. Jego dotyk miał raczej utrzymać mnie w miejscu, niż dodać mi otuchy.

Pozostaliśmy tak, póki nie ucichł wiatr. Wszystko razem nie mogło trwać dłużej niż pięć minut, może tylko dwie albo trzy. Wciąż padało, ale teraz był to zwyczajny ulewny deszcz. Mike zabrał ręce i podnieśliśmy się, drżąc. Koszule i spodnie oblepiały nam ciała. Mnie włosy spadały na twarz jak czarownicy, jemu krótkie ciemne kosmyki przyklejały się do czoła. Próbowaliśmy się uśmiechać, ale nie bardzo mieliśmy siłę. Potem pocałowaliśmy się i na chwilę objęliśmy. Bardziej w rytualnym geście potwierdzenia, że przeżyliśmy, niż ulegając skłonności ciał. Nasze wargi prześlizgnęły się po sobie, gładkie i chłodne, a uścisk wywołał w nas lekki dreszcz, gdy z ubrań wyciekła zimna woda.

Deszcz słabł z każdą minutą. Chwiejąc się lekko, torowaliśmy sobie drogę przez przygięte do

ziemi zarośla i gęste, ociekające wodą krzewy. Na całym polu golfowym walały się grube gałęzie drzew. Dopiero później zdałam sobie sprawę, że jedna z nich mogła nas zabić.

Szliśmy po otwartej przestrzeni, omijając zwalone konary. Deszcz prawie ustał, a niebo się wypogodziło. Szłam pochylona, aby woda ściekała mi z włosów na ziemię, a nie lała się po twarzy, i poczułam ciepło słońca muskające moje ramiona, jeszcze zanim podniosłam wzrok ku jego promiennemu światłu.

Zatrzymałam się, odetchnęłam głęboko i odrzuciłam włosy z twarzy. Byliśmy przemoczeni, bezpieczni, zwrócenii twarzami w stronę blasku. W tej właśnie chwili coś musiało zostać powiedziane.

– O czymś ci nie mówiłem.

Jego głos mnie zaskoczył, tak jak słońce. Ale w odwrotny sposób. Był w nim ciężar, ostrzeżenie, determinacja granicząca z poczuciem winy.

– O naszym najmłodszym synu – ciągnął. – Nasz najmłodszy zginął zeszłego lata.

Ach.

– Został przejechany – powiedział. – Ja go przejechałem, wycofując z garażu.

Znowu się zatrzymałam. On również. Oboje spoglądaliśmy przed siebie.

– Brian. Miał trzy latka. Myślałem, że jest na górze, w łóżku. Starsze dzieci były jeszcze na nogach, ale jego już położyliśmy. Tyle że znowu wstał.

– Ale i tak powinienem był uważać. Powinienem był się rozejrzeć.

Wyobraziłam sobie chwilę, kiedy wysiadł z samochodu. Jego krzyk. Matka wybiegająca z domu. *To nie on, jego tu nie ma, to się nie stało.*

Na górze, w łóżku.

Ruszył przed siebie i wszedł na parking. Szłam tuż za nim. Nic nie powiedziałam – ani jednego miłego, pospolitego, bezradnego słowa. Nie podjęliśmy tematu.

Nie powiedział: „To była moja wina i nigdy się od tego nie uwolnię. Nigdy sobie nie wybaczę. Choć jakoś sobie radzę”.

Albo: „Żona mi wybaczyła, ale też nigdy się po tym nie pozbiera”.

Wiedziałam to wszystko. Wiedziałam, że był kimś, kto dotknął dna. Kimś, kto dokładnie wiedział, jak wygląda dno, podczas gdy ja nie wiedziałam, ani się nawet o tę wiedzę nie otarłam. On i jego żona wiedzieli i to ich związało, gdyż takie doświadczenie albo rozbija, albo wiąże – na całe życie. Co nie znaczy, że mieli na tym dnie pozostać. Posiedli jednak wiedzę o nim; tej chłodnej, pustej, zamkniętej i centralnej przestrzeni.

Mogło się to zdarzyć każdemu.

Tak. Ale wyglądało na to, że nie tak to działa. Że zdarza się tej, a nie innej osobie, wybranej właśnie w tym, a nie innym miejscu; jednej osobie.

– To niesprawiedliwe – powiedziałam. Miałam na myśli rozdzielanie tych kar, złośliwych

i destrukcyjnych ciosów. Gorszych chyba w tej formie, niż gdyby były wymierzane pośród ogólnego kataklizmu, wojny lub katastrof naturalnych. A już najgorszych, gdy dotyczą osobę, która zrobiła coś – często coś dla niej nietypowego – co czyni ją wyłącznie i stale odpowiedzialną.

To właśnie miałam na myśli. Ale chciałam też powiedzieć: „To niesprawiedliwe; jaki to ma związek z nami?”.

Protest tak okrutny, że niemal niewinny, pochodzący z pierwotnego rdzenia psychiki. Niewinny, pod warunkiem że jest tylko twój i że nie został ujawniony.

– Cóż – odparł łagodnie. Sprawiedliwość nie miała tu nic do rzeczy. – Sunny i Johnston nic o tym nie wiedzą – rzekł. – Nie wie nikt spośród osób poznanych po przeprowadzce. Sądziliśmy, że tak będzie lepiej. Nawet pozostałe dzieci rzadko o nim wspominają. Nie wypowiadają jego imienia.

Nie należałam do osób poznanych po przeprowadzce. Ani tych, pośród których mieli budować nowe, ciężkie, normalne życie. Byłam kimś, kto wiedział – i tyle. Kto wiedział i kogo on miał dla siebie.

– Dziwne – zauważył, rozglądając się dokoła, zanim otworzył bagażnik, by schować sprzęt. – Co się stało z facetem, który tu wcześniej stał? Widziałaś przecież zaparkowany samochód, gdy tu przyjechaliśmy, prawda? Ale nie zauważyłem nikogo na polu. Dopiero teraz sobie to uświadomiłem. A ty?

Odpowiedziałam, że też nikogo nie widziałam.

– Zagadka – powiedział. Po czym dodał: – A zresztą...

W dzieciństwie często słyszałam to wyrażenie wypowiedziane podobnym tonem. Stanowiło pomost między jednym tematem a drugim, podsumowanie albo próbę oddania tego, czego nie dało się pełniej wyrazić lub pomyśleć.

– Z resztą to jest dzielenie – brzmiała żartobliwa odpowiedź.

Burza położyła kres przyjęciu nad basenem. Było za dużo ludzi, żeby wszyscy zmieścili się w środku, i ci z dziećmi przeważnie wrócili do siebie.

W drodze powrotnej oboje z Mikiem poczuliśmy, że swędzą nas i pieką ramiona, dłonie i łydki – miejsca, których nie chroniło ubranie, gdy kucaliśmy pośród chwastów. Przypomniało mi się, że rosły tam pokrzywy.

Siedząc w wiejskiej kuchni u Sunny, przebrani w suche ubrania, opowiadaliśmy o naszej przygodzie i pokazywaliśmy poparzenia.

Sunny wiedziała, jak nam pomóc. Wczorajsza wizyta z Claire w izbie przyjęć lokalnego szpitala nie była pierwszą. W jeden z wcześniejszych weekendów chłopcy poszli na porośnięte chwastami błotniste pole za szopą i wrócili cali w bąblach. Lekarz stwierdził, że to pewnie pokrzywy. Musieli się w nich wytarzać, orzekł. Zapisał im zimne okłady, środek przeciwhistaminowy w płynie i tabletki. Nie zużyli całego płynu; zostały też tabletki, bo Mike i Gregory szybko wrócili do formy.

Odmówiliśmy zażycia tabletek; nasz przypadek nie wyglądał na zbyt poważny.

Sunny powiedziała, że rozmawiała z pewną kobietą, u której tankowała paliwo przy szosie, i ta kobieta twierdziła, że istnieje roślina, z której liści robi się najlepsze okłady na poparzenie pokrzywami. Nie potrzeba żadnych tabletek ani innego świństwa, zapewniała kobieta. Roślina nazywała się „cielęca nóżka”, czy jakoś tak. Jagnięca nóżka? Można ją było znaleźć przy pewnej drodze koło mostu.

Sunny miała wielką ochotę przygotować nam taki okład. Przemawiała do niej idea medycyny ludowej. Musieliśmy jej przypomnieć, że był przecież płyn, który kupiła.

Zaaplikowała nam go z przyjemnością. Nasze tarapaty wprawiły całą rodzinę w dobry humor, poprawiły nastroje po tym, jak deszcz pokrzyżował wszystkim plany. Fakt, że zdecydowaliśmy się na wspólne wyjście i przytrafiła nam się ta przygoda – która zostawiła ślady na naszych ciałach – zdawał się wywoływać w Sunny i Johnstonie swego rodzaju kpiarskie podniecenie. On posyłał nam komiczne spojrzenia, ona okazywała ożywioną gorliwość. Gdybyśmy nosili na sobie dowody prawdziwie złego prowadzenia się – bąble na pośladkach, wysypkę na udach i brzuchu – z pewnością nie byłiby nastawieni tak żartobliwie i współczująco.

Dzieci uznały, że stanowimy zabawny widok, siedząc z nogami w miednicach, z ramionami i dłońmi zawiniętymi w grube, niezgrabne okłady. Zwłaszcza Claire była zachwycona naszymi nagimi, głupawo wyglądającymi, dorosłymi stopami. Mike specjalnie dla niej poruszał paluchami, a ona wybuchwała salwami szalonego śmiechu.

A zresztą. Gdybyśmy kiedykolwiek znowu się spotkali, byłoby tak samo. Albo gdybyśmy się nie spotkali. Miłość nie do wykorzystania, znająca swoje miejsce. (Ktoś powiedziałaby, że nieprawdziwa, bo nigdy nie zaryzykowałyby skręcenia karku, obrócenia w głupi żart lub smutnego wypalenia). Niczego nie ryzykując, pozostała żywa jak miły strumyczek, podziemne źródło. Tyle że obarczona tym nowym milczeniem, niczym pieczęcią.

Przez wszystkie lata naszej rozluźniającej się przyjaźni nigdy nie zapytałam Sunny o wieści od niego, ani ona o nim nie wspomniała.

Tamte rośliny o okazałych różowofioletowych kwiatach to nie pokrzywy. Dowiedziałam się, że ich nazwa brzmi „sadziec purpurowy”. Parzące pokrzywy, w które musieliśmy wejść, są bardziej niepozorne, mają bledsze, różowawe kwiaty i łodyżki złośliwie wyposażone w cienkie, zjadliwe, przebijające skórę i parzące włoski. One również, niezauważone, musiały rosnąć w kwitnącym bogactwie dzikiej łąki.

Pion i poziom

Lionel opowiedział im, jak umarła jego matka.

Poprosiła o przybory do makijażu. Lionel trzymał lusterko.

– To potrwa jakąś godzinę – powiedziała.

Podkład, puder, kredka do brwi, tusz do rzęs, konturówka, szminka, róż. Szło jej opornie i ręka trochę jej się trzęsła, ale efekt końcowy nie był zły.

– Nie zajęło ci to godziny – powiedział Lionel. Odpowiedziała, że nie to miała na myśli. Miała na myśli umieranie.

Zapytał, czy ma zawołać ojca. Swojego ojca, jej męża, jej pastora.

Odpowiedziała: „Po co”.

Pomyliła się nie więcej niż o pięć minut.

Siedzieli za domem – za domem Łomy i Brendana – na małym tarasie, z którego rozciągał się widok na wejście do Zatoki Burrarda i światła Point Grey. Brendan wstał, żeby przestawić zraszacz na inny kawałek trawnika.

Lorna poznała matkę Lionela zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Siwowłosa, drobna, ładna kobieta obdarzona wielkim urokiem osobistym, która przyjechała do Vancouver z miasteczka w Górach Skalistych specjalnie na gościnne przedstawienie Comedie Francaise. Lionel zapytał Lornę, czy nie poszłaby z nimi. Po przedstawieniu, gdy przytrzymał matce niebieski aksamitny płaszcz, ta powiedziała do Lorny:

– Ogromnie się cieszę, że mogłam poznać *belle amie* mojego syna.

– Nie przesadzajmy z tą francuszczyzną – skomentował Lionel.

Lorna nie była nawet pewna, co to znaczy. *Belle amie*. Piękna przyjaciółka? Kochanka?

Lionel spojrzał na Lornę ponad głową matki, unosząc brwi. Jakby chciał powiedzieć: „Nie biorę odpowiedzialności za nic, co sobie wymyśliła”.

Lionel był kiedyś studentem Brendana. Cudowne dziecko, szesnastolatek na uniwersytecie. Najpiękniejszy matematyczny umysł, jaki Brendan kiedykolwiek spotkał. Lorna zastanawiała się, z perspektywy czasu, czy Brendan, tak niesłychanie życzliwy wobec utalentowanych studentów, trochę nie koloryzował – również z powodu takiego, a nie innego rozwoju wydarzeń. Brendan zostawił za sobą cały ten irlandzki kram – rodzinę, Kościół, sentymentalne piosenki – ale miał słabość do tragicznych historii. I faktycznie, wkrótce po olśniewającym starciu Lionel przeszedł coś w rodzaju załamania nerwowego, musiał pójść do szpitala i zniknął Brendanowi z oczu. Aż do chwili, gdy Brendan spotkał go w supermarkecie; okazało się, że chłopak mieszka jakieś półtora kilometra od ich domu, tu, w Północnym Vancouver. Na dobre porzucił matematykę i pracował w wydawnictwie

Kościół anglikański.

– Wpadnij do nas – zaproponował Brendan. Lionel wydał mu się zabiedzony i samotny. – Poznasz moją żonę.

Był zadowolony, że ma teraz dom, do którego może kogoś zaprosić.

– Więc nie wiedziałem, czego się spodziewać – opowiadał później Lionel Łomie. – Uznałem, że możesz być okropna.

– Ale dlaczego? – zapytała.

– A bo ja wiem? Takie są żony.

Odwiedzał ich wieczorami, gdy dzieci były już w łóżkach. Drobne zakłócenia stanowiące część rodzinnego życia – płacz dziecka dobiegający z otwartego okna, narzekanie Brendana, że na trawniku walają się zabawki, które Lorna powinna była zebrać i zanieść do piaskownicy, dopytywanie się z kuchni, czy nie zapomniała kupić limonek do dżinu z tonikiem – każda z tych rzeczy powodowała u Lionela lekki dreszcz. Jego wysoka, szczupła sylwetka zastygała w napięciu, a na twarzy pojawiał się czujny, nieufny wyraz. Potrzebowali wówczas chwili milczenia, żeby powrócić do poziomu wartościowego międzyludzkiego kontaktu. Raz zanucił pod nosem „Małżeństwo, ach, małżeństwo, ach” na melodię *O Tannenbaum*. Uśmiechnął się przy tym w półmroku, a może tak się tylko Łomie wydawało. Takim samym uśmiechem, jaki widywała na twarzy swojej czteroletniej córki, Elizabeth, gdy ta, w miejscu publicznym, szeptem dzieliła się z nią swoim dziecięcym oburzeniem z jakiegoś powodu. Ukradkowym uśmieszkiem, w którym była satysfakcja, ale i lęk.

Lionel przyjeżdżał do nich na wzgórze na dużym, starym rowerze – w czasach, kiedy na rowerach jeździły praktycznie tylko dzieci. Przyjeżdżał w tym samym ubraniu, w którym chodził do pracy. Ciemne spodnie, biała koszula przybrudzona na mankietach i kołnierzyku, bezosobowy krawat. Kiedy wybrali się na spektakl *Comedie Francaise*, dodał do tego tweedową marynarkę, zbyt szeroką w ramionach i z za krótkimi rękawami. Być może nie miał innych ubrań.

– Haruję za grosze – rzucił kiedyś. – I to nawet nie w winnicach Pana, tylko w diecezji arcybiskupa.

A przy innej okazji:

– Czasami mam wrażenie, że jestem postacią z Dickensa. A najdziwniejsze jest to, że ja nawet nie lubię Dickensa.

Mówiąc, zwykle przechylał głowę na bok i wpatrywał się w jakiś punkt tuż nad głową Lorny. Jego głos, cichy i płynny, chwilami pod wpływem zdenerwowania robił się wyższy. Wszystko wypowiadał lekko zdziwionym tonem. Opowiadał o biurze, w którym pracował, w budynku za katedrą. Wysokie, wąskie gotyckie okna, lakierowane drewno (żeby zachować kościelną atmosferę), wieszak na kapelusze, stojak na parasole (który z niewiadomych przyczyn napełniał go głęboką melancholią), sekretarka, Janinę, i redaktorka kościelnej gazetki, pani Penfound. Roztargniony arcybiskup, pojawiający się z rzadka i tylko na chwilę, jak duch. Niekończąca się batalia o herbatę w torebkach między Janinę, jej zwolenniczką, a panią Penfound, przeciwniczką. Każdy coś nieustannie podjadał

i nigdy się nie dzielił. W przypadku Janinę były to karmelki; sam Lionel wolał migdały w cukrze. Czym osładzała sobie życie pani Penfound, nie udało im się odkryć, ponieważ pani Penfound nie wyrzucała papierków do kubła na śmieci. Ale ona także ciągle coś ukradkiem żuła.

Wspominał też o szpitalu, w którym spędził trochę czasu; że jeśli chodzi o ukradkowe podjadanie, przypominał mu biuro. Tam też wszyscy się ze wszystkim kryli. Różnica polegała na tym, że w szpitalu co pewien czas przychodzili jacyś ludzie, związywali go i wsadzali, jak to ujął, do kontaktu.

– To nawet było interesujące. Właściwie potwornie bolesne. Ale nie umiem tego opisać. To jest w tym wszystkim najdziwniejsze. Pamiętam, ale nie umiem opisać.

Przez te przygody w szpitalu, powiedział, ubyło mu sporo wspomnień. Ubyło szczegółów. Lubił, jak Lorna dzieliła się z nim swoimi historiami.

Opowiadała mu o swoim życiu przed małżeństwem z Brenda–nem. O dwóch identycznych domach, stojących obok siebie w miasteczku, w którym dorastała. Biegł przed nimi głęboki rów, nazywany Strumieniem Farby, ponieważ woda, która nim płynęła, była zabarwiona pigmentami z przędzalni. Za domami ciągnęły się pola, gdzie dziewczynkom nie wolno było chodzić. W jednym domu mieszkała Lorna z ojcem, w drugim jej babcia, ciocia Beatrice i Polly, kuzynka.

Polly nie miała ojca. Tak jej powiedziano i Lorna przyjęła to bez zastrzeżeń. Polly nie miała ojca tak jak kot Manx nie miał ogona.

W pokoju gościnnym u babci wisiała mapa Ziemi Świętej, utkana z różnokolorowej wełny; były na niej zaznaczone miejsca wspomniane w Biblii. Babcia zapisała ją w testamencie szkółce niedzielnej Kościoła zjednoczonego. W życiu prywatnym cioci Beatrice nie było żadnych mężczyzn od czasu jej nigdy nie wspomnianego upadku; ciocia była tak wyczulona, tak przejęta swoim prowadzeniem się, że naprawdę można było uwierzyć w niepokalane poczucie Polly. Jedyne, czego Lorna kiedykolwiek dowiedziała się od cioci Beatrice, to to, że trzeba zawsze prasować szew z boku, a nie od przodu, inaczej będzie widać ślad żelazka, i że pod przezroczystą bluzką zawsze lepiej nosić halkę, żeby nie było widać ramiączek stanika.

– A, tak. Tak – powiedział Lionel, wyciągając przed siebie nogi z zadowoleniem, jakby smakował tę opowieść po koniuszki palców. – A teraz opowiedz mi o Polly z takiego zacofanego domu, jaka ona jest?

Polly była w porządku, odpowiedziała Lorna. Energiczna, towarzyska, serdeczna, pewna siebie.

– Aha – powiedział Lionel. – To opisz mi jeszcze raz kuchnię.

– Którą?

– Tę bez kanarka.

– Naszą.

Mówiła, jak polerowała kuchenne szafki woskowanym papierem od chleba, żeby nadać im piękny połysk. Opisała poczerniałe półki, na których stały patelnie, zlew i niewielkie lustro nad zlewem, z trójkątnym odpryskiem w rogu, i blaszaną miseczkę pod lustrem – zrobioną przez jej ojca –

w której zawsze leżały grzebień, ucho od kubka i malutki wysuszony róż do policzków, należący pewnie kiedyś do jej matki.

Opowiedziała mu swoje jedyne zachowane wspomnienie o matce. Były razem w mieście w zimowy dzień. Między chodnikiem a ulicą leżał śnieg. Dopiero od niedawna znała się na zegarku i gdy spojrzała na zegar na budynku poczty, zorientowała się, że w radiu właśnie zaczyna się słuchowisko w odcinkach, którego codziennie z mamą słuchały. Poczula bolesny niepokój, ale nie z powodu opuszczonego odcinka; martwiła się, co się stanie z ludźmi z tej historii, jeżeli radio nie zostanie włączone, a ona z mamą nie będą słuchać. To było coś więcej niż niepokój, to było przerażenie na myśl, że coś może zostać utracone, nigdy się nie wydarzyć, z powodu zwykłej nieobecności lub przypadku.

Ale nawet w tym wspomnieniu matka była tylko biodrem i ramieniem w zimowym płaszczu.

Lionel powiedział, że ma równie mglisty obraz ojca, chociaż jego ojciec ciągle żył. Szelest komży? Zakładali się z matką, ile dni może upłynąć, zanim ojciec znowu się do nich odezwie. Raz Lionel zapytał matkę, czy wie, co mogło ojca tak zdenerwować; odparła, że naprawdę nie ma pojęcia.

– Może po prostu nie lubi swojej pracy – dodała.

– Dlaczego nie poszuka sobie innej?

– Może żadna mu nie odpowiada.

Wtedy Lionel przypomniał sobie, że gdy raz zabrała go do muzeum, bardzo przestraszył się mumii, a ona powiedziała mu, że mumie tak naprawdę nie są martwe, lecz mogą wychodzić ze swoich gablot po zamknięciu muzeum. Więc zapytał:

– A może mógłby być mumią?

Jego matka mylnie zrozumiała pytanie² i później powtarzała to jako żart, a Lionel czuł się po prostu zbyt zniechęcony, by wyprowadzić ją z błędu. Zbyt zniechęcony, już jako małe dziecko, do całej tej wielkiej, trudnej sprawy zwanej komunikacją.

To było jedno z nielicznych wspomnień, które mu się zachowały.

Brendan się roześmiał; historyjka ubawiła go dużo bardziej niż Lornę czy Lionela. Z reguły przysiadł się do nich na chwilę, pytając: „O czym tak rozprawiacie?”, ale zaraz potem wtrącał, że ma jeszcze coś do zrobienia, i z ulgą znikał we wnętrzu domu, jakby uczestnictwo w ich rozmowach było grzecznościowym obowiązkiem. Jakby cieszyła go ich zażyłość – w pewnym sensie przez niego przewidziana, zainicjowana – ale nie mógł przy nich długo usiedzieć.

– Dobrze mu robi, że tu przyjeżdża i może być przez chwilę normalny, zamiast tylko siedzieć w swoim pokoju – powiedział do Lorny. – I oczywiście leci na ciebie, biedny frajer.

Brendan lubił powtarzać, że mężczyźni lecą na Lornę, szczególnie po tym, jak na przyjęciu na wydziale okazało się, że Lorna jest najmłodsza z żon. Poczulaby się na pewno zakłopotana, gdyby ktoś usłyszał te jego słowa; jeszcze by to potraktował jako głupią przechwałkę i zachętę. Jednak czasami, szczególnie gdy była lekko wstawiona, podniecała ją – Brendana też – świadomość, że może się każdemu wydawać pociągająca. W przypadku Lionela była jednak prawie pewna, że tak nie jest,

i miała gorącą nadzieję, że Brendan nigdy nie wypali z czymś podobnym w jego obecności. Pamiętała spojrzenie, jakie Lionel posłał jej ponad głową matki. Jakby umywał ręce, delikatnie ostrzegał.

Nie powiedziała Brendanowi o wierszach. Mniej więcej raz w tygodniu przychodził pocztą wiersz, w zwyczajnej, zaadresowanej do niej kopercie. Wiersze nie były anonimowe; Lionel je podpisywał. Jego podpis był tylko zygzakiem, dosyć trudnym do odcyfrowania – ale podobnie było z każdym słowem każdego wiersza. Na szczęście tych słów nigdy nie było wiele; czasami kilkanaście, nigdy nie więcej niż dwadzieścia parę. Tworzyły na stronie dziwny trop, jak niewyraźne ślady ptaka. W pierwszej chwili Lorna nigdy nie potrafiła niczego odczytać. Odkryła, że najlepiej nie starać się za bardzo, tylko trzymać kartkę przed oczami i patrzeć na nią długo i spokojnie, jak w transie. Wtedy zwykle ukazywały się słowa. Nie wszystkie – w każdym wierszu były dwa lub trzy, których nigdy nie odgadła – ale nie miało to większego znaczenia. Brakowało znaków interpunkcyjnych poza myślnikami. Większość słów stanowiły rzeczowniki. Lorna nie należała do osób zupełnie nieobeznanych z poezją ani takich, które łatwo się poddają w obliczu czegoś, co w pierwszej chwili trudno zrozumieć. Ale o wierszach Lionela myślała w podobny sposób, w jaki myślała, dajmy na to, o buddyzmie – że są źródłem, z którego być może będzie umiała zaczerpnąć w przyszłości, ale na razie nie potrafi.

Po pierwszym wierszu przeżywała katusze, zastanawiając się, co powinna powiedzieć. Coś pochlebnego, ale nie głupiego. Jedyne, na co się zdobyła, to „Dziękuję ci za wiersz”, gdy Brendan był na tyle daleko, że na pewno nie mógł usłyszeć. Powstrzymała się przed dodaniem: „Podobał mi się”. Lionel kiwnął nerwowo głową i odchrząknął, zamykając temat. Listy z wierszami dalej przychodziły, ale już o nich nie wspominali. Zaczęła nawet myśleć, że powinna traktować je jako podarunki, a nie komunikaty. Ale nie podarunki od zakochanego – jak ktoś, na przykład Brendan, mógłby pomyśleć. Nie było w nich nic na temat uczuć, jakie Lionel do niej żywił, w ogóle nic osobistego. Przypominały jej ledwo widoczne ślady, jakie czasami można dostrzec wiosną na chodniku – zarysy mokrych liści, które leżały tu od zeszłego roku.

Była też inna sprawa, o wiele pilniejsza, o której nie wspomniała Brendanowi. Ani Lionelowi. Nie powiedziała, że przyjeżdża Polly. Polly, jej kuzynka, przyjeżdżała do nich w gości.

Polly była pięć lat starsza od Lorny i od czasu skończenia szkoły średniej pracowała w lokalnym oddziale banku. Już raz uzbierała prawie całą sumę pieniędzy potrzebną na taką wyprawę, ale postanowiła je wydać na zainstalowanie w piwnicy pompy odprowadzającej wodę gruntową. Tym razem była już w drodze, w autokarze. Wydawało jej się to czymś zupełnie naturalnym i właściwym: odwiedzić kuzynkę, męża kuzynki i całą ich rodzinę. Ale Brendan mógł uznać jej wizytę za narzucanie się, za coś, czego nie powinno się robić bez zaproszenia. Nie miał awersji do gości – wystarczy przypomnieć Lionela – ale chciał ich wybierać sam. Codziennie Lorna zastanawiała się, jak mu o tym powiedzieć. Codziennie to odkładała.

Nie mogła porozmawiać o tym z Lionelem. Z nim nie można było porozmawiać o niczym, co na serio traktowało się jako problem. Mówić o problemach oznaczało szukać rozwiązania, mieć nadzieję, że uda się je znaleźć. A to nie było ciekawe, nie świadczyło o interesującym stosunku do

życia. Raczej o płytkim i nużącym optymizmie. Lionel nie lubił słuchać o zwykłych troskach i nieskomplikowanych emocjach – wolał rzeczy, które zupełnie nie mieściły się w głowie. Takie, które były zupełnie nie do zniesienia, a jednak ktoś je znosił, z ironią, nawet z uśmiechem.

Raz zaryzykowała i opowiedziała mu o tym, jak płakała w dniu ślubu, a nawet w trakcie samej ceremonii. Ale mogła przedstawić to jako coś zabawnego: bo gdy próbowała wyrwać rękę z uścisku Brendana, żeby wyjąć chusteczkę do nosa, on jej nie puścił, więc przez całą uroczystość pociągała nosem. I przecież wcale nie płakała dlatego, że nie chciała wyjść za mąż, czy dlatego, że nie kochała Brendana. Płakała, bo wszystko w rodzinnym domu wydało jej się nagle takie drogie – mimo że zawsze zamierzała wyjechać – a ludzie, którzy tam pozostali, bliżsi niż ktokolwiek, nawet jeśli ukrywała przed nimi wszystkie swoje najbardziej osobiste myśli. Płakała, ponieważ poprzedniego dnia śmiały się z Poiły, sprzątając szafki kuchenne i szorując linoleum, a ona udawała, że gra w sentymentalnej sztuce i żegna się – żegnaj, stare linoleum, żegnaj, pęknięty czajnik, żegnaj, miejsce, gdzie przyklejałam gumę pod stołem, żegnajcie.

Dlaczego nie powiesz mu, że nic z tego, pytała Polly. Ale oczywiście wcale tak nie myślała, była dumna, Lorna też była dumna; miała osiemnaście lat i nigdy nawet nie chodziła z nikim na poważnie, a tu, proszę, wychodzi za przystojnego trzydziestolatka, wykładowcę akademickiego.

Mimo to płakała wtedy i płakała jeszcze w pierwszych dniach małżeństwa, gdy czytała listy z domu. Brendan przyłapał ją na tym i powiedział:

– Kochasz swoją rodzinę, prawda?

Wydawało jej się, że w jego słowach słyszy współczucie.

– Tak, odpowiedziała.

Westchnął:

– Myślę, że kochasz ich bardziej niż mnie.

Odpowiedziała, że to nieprawda, tylko czasem jest jej żal rodziny. Było im ciężko. Babcia uczyła w szkole podstawowej, chociaż miała już tak słaby wzrok, że ledwo widziała, co pisze na tablicy, ciocia Beatrice była zbyt znerwicowana, żeby w ogóle gdziekolwiek pracować, a jej ojciec – ojciec Lorny – pracował w sklepie żelaznym, którego nawet nie był właścicielem.

– Im? Ciężko? – skwitował to Brendan. – A byli w obozie koncentracyjnym?

Potem dodał, że ludzie muszą być twardzi i obrotni, bo taki już jest ten świat. A Lorna rzuciła się na małżeńskie łóżko w napadzie wściekłości i histerycznego płaczu, jaki czasami jej się zdarzał, choć teraz wolałaby o tym nie pamiętać. Brendan podszedł i zaczął ją uspokajać, ale i tak był przekonany, że rozpłakała się, tak jak zawsze robią kobiety, gdy nie mogą zwyciężyć w dyskusji w inny sposób.

Lorna zapomniała już trochę, jak wygląda Polly. Że jest bardzo wysoka, ma długą szyję i wąską talię i jest prawie zupełnie płaska. Zatarł się jej w pamięci lekko sterczący okrągły podbródek i krzywe usta. Jasna skóra, jasnobrązowe, krótko obcięte włosy, delikatne jak puch. Polly wydawała się jednocześnie krucha i wytrzymała, jak stokrotka na długiej łodydze. Była ubrana w falbaniastą,

wyszywaną dżinsową spódnicę.

Brendan wiedział o jej przyjeździe od czterdziestu ośmiu godzin. Zadzwoiła z Calgary, na koszt rozmówcy, a on akurat odebrał telefon. Potem zadał Łomie trzy pytania. Głosem chłodnym, ale spokojnym.

Na jak długo przyjeżdża?

Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Dlaczego zadzwoniła na koszt rozmówcy?

– Nie wiem – odpowiedziała Lorna.

Przygotowując obiad, Lorna starała się usłyszeć z kuchni, o czym mogą teraz rozmawiać. Brendan właśnie przyszedł. Nie usłyszała, co powiedział na powitanie, ale głos Polly był donośny i pełen nerwowej wesołości.

– Ale walnęłam gafę na powitanie, Brendan, zaczekaj, aż usłyszysz, co powiedziałam. Szłyśmy z Lorną z przystanku, a ja jej mówię, o kurczę, mieszkasz w całkiem eleganckiej dzielnicy, Lorna, a potem mówię do niej tak: hej, spójrz na ten dom, co on tutaj robi? Wygląda jak stodoła.

Gorzej nie mogła zacząć. Dom był dumą Brendana. Nowoczesny, zbudowany w stylu Post and Beam³, charakterystycznym dla zachodniego wybrzeża. Tego typu domów nie malowano; zgodnie z zamierzeniem architektonicznym miały harmonijnie wtapiać się w miejscowe lasy. Dom na zewnątrz był więc prosty i funkcjonalny, z płaskim dachem wystającym poza ściany. Drewniana konstrukcja wewnętrzna pozostawała odsłonięta. Kominiek znajdował się w kamiennym przewodzie kominowym sięgającym do sufitu, a wysokie, wąskie okna nie miały zasłon. „Architektura jest na pierwszym miejscu”, oznajmił im budowniczy, a Brendan zawsze to powtarzał, podobnie jak słowo „współczesny”, ilekroć oprowadzał kogoś przy okazji pierwszej wizyty.

Nie zadał sobie trudu, żeby powiedzieć to Polly ani żeby wyciągnąć czasopismo, w którym był artykuł na temat tego stylu, ze zdjęciami, chociaż akurat nie ich domu.

Polly przywiozła z domu nawyk rozpoczynania zdań od imienia osoby, do której się akurat zwracała. „Lorna...” mówiła, lub „Brendan...”. Lorna odwykła już od takiego sposobu mówienia; teraz wydał jej się wręcz apodyktyczny i nieuprzejmy. Większość zdań wypowiedzianych przez Polly przy obiedzie zaczynała się od „Lorna...” i dotyczyła ludzi, których znały tylko one. Lorna wiedziała, że Polly nie jest rozmyślnie nieuprzejma, i że wkłada wielki wysiłek w to, by sprawiać wrażenie zrelaksowanej. Na początku próbowała włączyć do rozmowy Brendana. Obie próbowały, wyjaśniając – specjalnie ze względu na niego – kim jest ten, o kim właśnie rozmawiają. Jednak bez powodzenia. Brendan odzywał się tylko, by poprosić Lornę o przyniesienie czegoś z kuchni lub zwrócić jej uwagę, że Daniel zachlapał zupką podłogę wokół wysokiego krzeselka.

Polly nadal mówiła, gdy razem z Lorną sprzątała ze stołu po kolacji i gdy zmywały naczynia. Lorna zwykle kąpała dzieci i kładła je spać przed myciem naczyń, ale tego wieczoru była zbyt

wytracona z równowagi – czuła, że Polly jest bliska płaczu – by zachować utrwalony porządek wieczornej krzątaniny. Pozwoliła Danielowi raczkować po podłodze, podczas gdy Elizabeth, tak zawsze zainteresowana wizytami gości, szczególnie nowych, kręciła się w pobliżu, przysłuchując rozmowie. Ta trwała, dopóki Daniel nie przewrócił swojego wysokiego krzeselka – na szczęście nie na siebie, ale i tak rozryczał się ze strachu – i Brendan przyszedł z salonu.

– Chyba pora pójścia spać została przesunięta – powiedział, zabierając synka od Lorny – Elizabeth, szykuj się do kąpieli.

Polly przeszła z opowiadania o znajomych z miasteczka do tego, jak się rzeczy miały w domu. Nie było dobrze. Właściciel sklepu żelaznego – o którym ojciec Łomy zawsze mówił bardziej jak o koledze niż o pracodawcy – sprzedał sklep komu innemu, nie wspominając o swoich planach, aż było po fakcie. Nowy właściciel chciał rozszerzyć ofertę, a tymczasem cały rynek przejmowała Canadian Tire; nie było dnia, żeby nie sprowokował ojca Łomy do kłótni. Ojciec Łomy wracał ze sklepu tak wykończony, że przez resztę dnia tylko leżał na tapczanie. Nie czytał gazet, nie oglądał wiadomości. Pił sodę, ale nie chciał rozmawiać o bólach żołądka.

Lorna wspomniała, że w swoim liście ojciec opisywał te wszystkie kłopoty jako nic poważnego.

– Pewnie, a co miał niby powiedzieć – odrzekła Polly. – Tobie.

Utrzymanie obu domów, ciągnęła Polly, to był jeden wielki koszmar. Wszyscy powinni się wprowadzić do jednego i sprzedać drugi ale babcia, teraz, gdy przeszła na emeryturę, bez przerwy czepiała się o wszystko matki Polly, a ojciec Łomy nie mógł znieść myśli o mieszkaniu z nimi dwiema pod jednym dachem. Polly już nie raz chciała się wynieść i więcej nie wrócić, ale co oni by bez niej zrobili?

– Powinnaś żyć własnym życiem – powiedziała Lorna. Dziwnie się czuła, udzielając rad Polly.

– No jasne – odrzekła Polly. – Powinam się była wyprowadzić, gdy wszystko jakoś się układało, tak, powinam. Ale kiedy był taki moment? Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek było jakoś szczególnie dobrze. No i przecież musiałam zostać i opiekować się tobą, dopóki nie skończyłaś szkoły.

Lorna nadała swojemu głosowi ton współczucia i życzliwości, ale nie przerwała krzątaniny, by poświęcić słowom Polly należną uwagę. Przyjmowała je tak jakby dotyczyły ludzi, których znała i lubiła, ale za których nie była odpowiedzialna. Pomyślała o swoim ojcu leżącym wieczorami na tapczanie i łykającym proszki na bóle żołądka, do których nie chciał się przyznać, i o cioci Beatrice w sąsiednim domu, zamartwiającej się tym, co ludzie o niej opowiadają, że śmieją się z niej za jej plecami i wypisują coś o niej na ścianach. Płaczącej, bo w kościele wystawał jej rąbek halki. Myślenie o domu sprawiało Lornie ból, ale nie mogła się pozbyć wrażenia, że Polly się do niej dobija, próbuje wymusić na niej coś na kształt kapitulacji, uwikłać ją w swoje prywatne nieszczęście. I zaparła się, że nie ulegnie.

Spójrz na siebie. Spójrz na swoje życie. Na swój zlew z nierdzewnej stali. Na swój dom, w którym architektura jest na pierwszym miejscu.

– Gdybym teraz się wyprowadziła, chyba czułabym się winna – powiedziała Polly. – Nie zniosłabym tego. Miałabym poczucie winy, że tak ich zostawiam.

Oczywiście niektórzy ludzie nigdy nie czują się winni. Niekórzy ludzie nigdy niczego nie czują.

– No i co, niezły łańcuch nieszczęść – odezwał się Brendan, gdy leżeli obok siebie po ciemku.

– Gryzie się tym wszystkim – powiedziała Lorna.

– Tylko pamiętaj: nie jesteśmy milionerami.

Lorna była zszokowana.

– Ona nie chce pieniędzy.

– Czyżby?

– To nie dlatego mi o tym opowiada.

– Nie bądź taka pewna.

Leżała nieruchomo, nic nie mówiąc. Potem przypomniało jej się coś, co mogło mu poprawić nastrój.

– Przyjechała tylko na dwa tygodnie.

Tym razem on nic nie odpowiedział.

– Nie sądzisz, że jest ładna?

–Nie.

Chciała mu właśnie opowiedzieć, że to Polly przygotowała jej ślubną sukienkę. Lorna zamierzała włożyć na tę okoliczność granatowy kostium, ale parę dni przed ślubem Polly powiedziała: „To się nie nadaje”. I wyciągnęła z szafy swoją sukienkę balową ze szkoły średniej (Polly zawsze miała większe powodzenie niż Lorna, chodziła na tańce). Wstawiła klipy z białej koronki i do-szyła białe koronkowe rękawy. Bo panna młoda, powiedziała, nie może mieć sukienki bez rękawów.

Ale czy to go w ogóle obchodzi?

Lionel wyjechał na kilka dni. Jego ojciec przeszedł na emeryturę i Lionel pomagał mu w przeprowadzce z miasteczka w Górach Skalistych na wyspę Vancouver. Dzień po przyjeździe Polly Lorna dostała od niego list. Nie wiersz, tylko prawdziwy list, co prawda bardzo krótki.

Śniło mi się, że jedziesz ze mną na rowerze. Jechaliśmy dosyć szybko. Nie wyglądałaś na przestraszoną, chociaż być może powinnaś. Nie wolno nam ulec pokusie interpretacji.

Brendan wyszedł wcześniej rano. Prowadził zajęcia na kursach wakacyjnych i powiedział, że zje śniadanie w kafeterii. Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Polly wynurzyła się ze swojego pokoju. Zamiast falbaniastej spódnicy miała dzisiaj luźne spodnie i przez cały czas się uśmiechała, jakby

sama do siebie. Pochylała lekko głowę, starając się unikać wzroku Łomy.

– Lepiej pójdę obejrzeć sobie Vancouver – powiedziała – bo raczej się nie zapowiada, żebym miała tu jeszcze kiedyś przyjechać.

Lorna zaznaczyła jej kilka miejsc na planie, wytłumaczyła, jak tam dotrzeć, i przeprosiła, że się z nią nie wybierze, ale przy dwójce małych dzieci byłoby z tym więcej kłopotu niż pożytku.

– No co ty, wcale tego nie oczekiwałam. Nie przyjechałam tutaj, żeby ci bez przerwy głowę zawracać.

Elizabeth wyczuła wiszące w powietrzu napięcie, bo zapytała:

– Dlaczego jest z nami kłopot?

Lorna położyła Daniela spać przed południem trochę wcześniej niż zwykle, a gdy się zbudził, posadziła go do wózka i powiedziała Elizabeth, że idą na plac zabaw. Wybrała jednak inny, nie ten w parku obok, ale w pobliżu ulicy, przy której mieszkał Lionel; musieli zejść ze wzgórza, żeby tam dotrzeć. Lorna знаła jego adres, chociaż nigdy nie widziała tego domu. Wiedziała, że mieszkał w domku jednorodzinny, a nie w bloku. Zajmował pokój na piętrze.

To nie było daleko od nich – chociaż na pewno powrót zajmie jej więcej czasu, bo będzie musiała pchać wózek pod górkę. Znajdowała się już w starszej części Vancouver, gdzie mniejsze domy tłoczyły się na węższych parcelach. Dom, w którym mieszkał Lionel, miał dwie tabliczki z nazwiskami obok dzwonek. Na jednej widniało nazwisko Lionela, na drugiej: B. Hutchinson. Wiedziała, że pani Hutchinson jest właścicielką. Nacisnęła dzwonek.

– Wiem, że Lionel wyjechał, i przepraszam, że sprawiam kłopot – powiedziała. – Ale pożyczyłam mu książkę, z biblioteki, a właśnie minął termin oddania. Może mogłabym zajrzeć na moment do jego pokoju i zobaczyć, czy nie leży gdzieś na wierzchu?

– Aha – burknęła właścicielka. Była to stara kobieta z rozległymi plamami wątrobianymi na twarzy. Czoło miała przewiązane bandanką.

– Mój mąż i ja jesteśmy znajomymi Lionela. Mąż był jego wykładowcą na uniwersytecie.

Słowo „wykładowca” zawsze pomagało. Lorna dostała klucz. Zaprowadziła wózek do cienia pod domem i kazała Elizabeth zostać i pilnować Daniela.

– To nie jest plac zabaw – powiedziała dziewczynka.

– Muszę tylko po coś pójść i zaraz wrócę. Tylko na minutkę, dobrze?

W pokoju Lionela w małej wnęce znajdowała się kuchenka gazowa z dwoma palnikami i kuchenna szafka. Nie było lodówki ani zlewu, tylko umywalka w ubikacji. Poza tym roleta spuszczone do połowy okna i kwadrat linoleum, którego wzór zamalowano brązową farbą. W powietrzu unosił się słaby zapach gazu z kuchenki, niewietrzonych zimowych ubrań, potu, i jakichś sosnowych tabletek na kaszel, których woń, skądinąd przyjemna, kojarzyła jej się z zapachem, jakim pachniał z bliska Lionel.

Poza tym nie było niczego, co mogło by stanowić jakąkolwiek wskazówkę. Nie przyszła tu

oczywiście po żadną książkę z biblioteki, ale by pobyć przez chwilę w przestrzeni, którą zamieszkiwał, odetchnąć jego powietrzem, wyjrzeć przez jego okno. Wychodziło na inne domy na zalesionym stoku Grouse, pewnie tak jak ten podzielone na małe mieszkania. Nagość i anonimowość tego pokoju były poważnym wyzwaniem. Łóżko, biurko, stół i krzesło. Tylko te meble, które właścicielka musiała zapewnić, by pokój mógł zostać określony w ogłoszeniu jako umeblowany. Nawet jasnobrązowa szenilowa narzuta musiała już tu być, gdy się wprowadzał. Żadnego obrazu, nawet kalendarza ze zdjęciami, i – co najdziwniejsze – żadnych książek.

Jego rzeczy musiały być gdzieś schowane. W szufladach biurka? Nie mogła tam zajrzeć. Nie tylko dlatego, że nie było na to czasu – słyszała, że Elizabeth woła ją z podwórka – ale dlatego, że ten całkowity brak czegokolwiek osobistego jeszcze bardziej potęgował poczucie obecności Lionela. Stała jej przed oczami nie tylko jego ascetyczna surowość i skrytość, ale też jego czujność – jakby zastawił pułapkę i teraz czekał, jaki będzie jej następny krok.

Tak naprawdę nie chciała już niczego więcej sprawdzać, tylko po prostu usiąść na podłodze na tym linoleum. I siedzieć tak całymi godzinami, nie tyle patrząc na ten pokój, ile wtapiając się w niego. Zostać w tym pokoju, gdzie nie było nikogo, kto by ją znał czy chciał od niej czegokolwiek. Zostać tak przez długi, długi czas, czując, jak robi się coraz wyraźniejsza i coraz jaśniejsza, lekka jak igła.

W sobotę rano Lorna, Brendan i dzieci mieli jechać do Penticton. Dawny student Brendana zaprosił ich na wesele. Mieli przenocować tam z soboty na niedzielę, zostać całą niedzielę i wrócić do domu w poniedziałek rano.

– Powiedziałaś jej? – spytał Brendan.

– Nie denerwuj się. Ona nie oczekuje, że pojedzie z nami.

– Ale czy jej powiedziałaś?

Czwartek spędziły na plaży Ambleside. Pojechały tam z dziećmi autobusem, przesiadając się dwa razy, obładowane ręcznikami, zabawkami plażowymi, pieluchami, kanapkami i nadmuchiwym delfinem dla Elizabeth. Uciążliwość tej podróży, irytacja i dezaprobaty malujące się na twarzach innych pasażerów na widok ich grupki wywołały w nich typowo kobiecą reakcję: niemal szampański nastrój. Zmiana otoczenia – wyjście z domu, w którym Lorna była obsadzona w roli żony – też przyniosła pozytywny skutek. Wmaszerowały na plażę w triumfalnym nastroju i hałaśliwym nieładzie, i rozbiły obozowisko, które na zmianę opuszczały – idąc do wody, popilnować dzieci, po napoje, lody na patyku, frytki.

Lorna była lekko opalona, Polly wcale. Przyłożyła nogę do nogi Lorny i powiedziała:

– Widzisz? Biała jak kreda.

Przy całej robocie w obu domach i pracy w banku, powiedziała, nie ma nawet kwadransa, żeby posiedzieć na słońcu. Ale mówiła o tym spokojnie, rzeczowo, bez podtekstu umęczonego bohaterstwa czy narzekania. Pewne zgorzknienie, które wcześniej roztaczała wokół siebie jak zapach stęchlizny, zdążyło już trochę wywietrzeć. Nie zabłądziła, zwiedzając na własną rękę Vancouver – pierwsze tak

duże miasto, które poznawała w ten sposób. Rozmawiała z nieznajomymi na przystankach autobusowych, pytając, co warto obejrzeć, i za czyjąś radą wybrała się wyciągiem krzeselkowym na szczyt Grouse.

Gdy tak leżały na piasku, Lorna zaczęła jej tłumaczyć.

– To po prostu nie jest dobry moment dla Brendana. Przez te letnie kursy naprawdę można mieć zszargane nerwy; tyle przerobić w tak krótkim czasie.

– Mówisz? Czyli to nie przeze mnie? – upewniła się Polly.

– Nie wygłupiaj się. Oczywiście, że nie.

– Co za ulga. Już myślałam, że naprawdę mnie nienawidzi.

Potem opowiedziała jej o mężczyźnie z miasteczka, który chciał się z nią umówić.

– Jest strasznie poważny. Szuka żony. Brendan chyba też szukał żony, ale ty chyba byłaś w nim zakochana.

– Byłam i jestem – odrzekła Lorna.

– No widzisz, bo ja chyba nie – mówiła Polly z ręką pod głową i twarzą wtulona w łokieć. – Ale myślę, że i tak może coś z tego wyjść, jeśli ktoś ci się podoba, spotykasz się z nim i podejmujesz decyzję, żeby szukać plusów.

– Więc jakie są jego plusy? – Lorna podniosła się, żeby widzieć Elizabeth pływającą na delfinie.

– Niech się zastanowię – odpowiedziała Polly, chichocząc. – Nie. Ma ich dużo. Jestem podła.

Kiedy zbierały z piasku zabawki i ręczniki, stwierdziła:

– Wiesz, naprawdę nie miałabym nic przeciwko temu, żebyśmy wróciły tu jutro.

– Ja też nie – odrzekła Lorna. – Ale muszę się zacząć przygotowywać do wyjazdu do Okanagan. Zaproszono nas na jakieś wesele. – Powiedziała to tak, jakby to był obowiązek, coś, o czym wcześniej nawet nie chciała wspominać, jako zbyt nieprzyjemnym i nudnym.

– Aha. To w takim razie może przyjadę tu sama – odrzekła Polly.

– Jasne. Przyjedź.

– Gdzie jest Okanagan?

Wieczorem następnego dnia, gdy dzieci już spały, Lorna weszła do pokoju, w którym nocowała Polly. Musiała wziąć walizkę z szafy i sądziła, że w pokoju nikogo nie ma – że Polly jest ciągle w łazience i moczy świeżą opaleniznę w letniej wodzie z sodą.

Ale Polly leżała w łóżku, owinięta prześcieradłem jak całunem.

– O, już wyszłaś z wanny – zagadnęła Lorna, jakby nie widziała w zachowaniu Polly niczego dziwnego. – I jak poparzenia?

– W porządku – odpowiedziała Polly stłumionym głosem. Lorna od razu się zorientowała, że Polly płakała i pewnie nadal płacze. Stała w nogach łóżka, nie mogąc się ruszyć z miejsca. Poczowała

rozczarowanie, napływające jak mdłości, jak fala obrzydzenia. Polly wcale nie zamierzała ukrywać, że płacze; przewróciła się na plecy i spojrzała na Lornę; jej twarz była skrzywiona w grymasie rozpacz, czerwona od słońca i płaczu. Nowe łzy napłynęły jej do oczu. Wyglądała jak kupka nieszczęścia, była jednym wielkim oskarżeniem.

– Co się stało? – spytała Lorna. Udała zdziwienie, udała współczucie.

– Nie chcesz mnie tu.

Przez cały ten czas Polly nie spuszczała z Lorny oczu, w których były nie tylko łzy, gorycz i oskarżenie o zdradę, ale też bezczelne żądanie, by Lorna ją przytuliła, ukołysała, pocieszyła.

Lorna prędzej by ją uderzyła. „Jakim prawem?” – chciała zapytać. „Jak śmiesz się do mnie przysysać jak pijawka? Jakim prawem?”

Rodzina. Więzy rodzinne dają Polly prawo. Uzbierała pieniądze i zaplanowała swoją ucieczkę, zakładając, że Lorna przyjmie ją pod swój dach. Czy tak właśnie było? Czy marzyła, żeby zostać tutaj i nie wracać? Żeby dzielić z Lorną jej szczęście, jej nowe wspaniałe życie?

– A jak myślisz, co ja mogę? – rzuciła Lorna opryskliwie, ku swemu własnemu zdziwieniu. – Myślisz, że mam tu coś do powiedzenia? On nawet nie daje mi nigdy więcej niż dwadzieścia dolarów.

Wyszła, taszcząc walizkę.

To było tak fałszywe i obrzydliwe: wywlekać swoje własne żale tylko po to, by umniejszyć problemy Polly. O co chodziło z tymi dwudziestoma dolarami? Co to miało do rzeczy? Przecież miała kartę kredytową, a on nigdy jej nie odmawiał, gdy poprosiła.

Nie mogła zasnąć, w myślach nie zostawiając na Polly suchej nitki.

Upał panujący w Okanagan sprawił, że lato wydawało się tam prawdziwsze niż na wybrzeżu. Wzgórza porośnięte słowiała trawą i rzadki cień sosen stanowiły właściwe tło dla tak radosnego wesela z niekończącym się zapasem szampana i dobrego nastroju, tańcami i flirtami, i błyskawicznie zawiązywanymi przyjaźniami. Lorna szybko się upiła i była zdumiona łatwością, z jaką alkohol uwolnił ją od ciężaru na duszy. Ponury nastrój ulotnił się bez śladu. Poszła spać pijana, podniecona, z korzyścią dla Brendana. Nawet kac, który dopadł ją następnego dnia, był raczej łagodny, bardziej oczyszczający niż zasądzony jako kara. Trochę słaba, ale wolna od wyrzutów sumienia, leżała na brzegu jeziora i patrzyła, jak Brendan pomaga Elizabeth budować zamek z piasku.

– Wiesz, że tata i ja poznaliśmy się na weselu? – zapytała.

– Ale zupełnie innym niż to – powiedział Brendan. Wesele jego znajomego, który żenił się z panną McQuaig (McQuaigów uważano za najbogatszą rodzinę w miasteczku Lorny), było oficjalnie bezalkoholowe. Przyjęcie odbywało się w refektarzu Kościoła zjednoczonego – Lorna wraz z innymi dziewczętami podawała kanapki – a picie odbywało się w pośpiechu, na parkingu. Lorna nie była przyzwyczajona do zapachu whisky, więc pomyślała, że Brendan użył zbyt dużo dziwnie pachnącego żelu do włosów. Ale i tak patrzyła z zachwytem na jego szerokie bary, mocny kark, roześmiane

i rozkazujące złotobrzęde oczy. Kiedy dowiedziała się, że uczy matematyki, zakochała się też w tym, co miał w głowie. Imponowała jej każda dziedzina wiedzy, którą mężczyzna mógłby znać, a która jej samej była całkowicie obca. Znajomość mechaniki samochodowej odniosłaby taki sam efekt.

To, że ona też mu wpadła w oko, zakrawało na cud. Później dowiedziała się, że rozglądał się wtedy za żoną; był już w odpowiednim wieku; najwyższy czas się ożenić. Szukał młodej dziewczyny. Nie koleżanki i nie studentki, nawet nie dziewczyny, którą rodzice chcieliby posłać na studia. Chciał dziewczynę niezepsutą. Inteligentną, ale niezepsutą. Kwiatek polny, jak mówił w tych gorących pierwszych dniach ich znajomości, a czasami nawet i teraz.

Wracając, zostawili za sobą gorącą złocistą krainę gdzieś pomiędzy Keremeos i Princeton. Ale słońce nadal świeciło, a Lornie przeszkadzał tylko jakiś drobiazg, który pojawiał się w jej myślach jak włos w polu widzenia, coś, co można łatwo odgarnąć lub co samo odleci.

Ale wracało. Coraz bardziej złowróźbne i nachalne, aż wreszcie uderzyło ją z całą siłą i już wiedziała, co to jest.

To była obawa – niemal pewność – że gdy oni byli w Okanagan, Polly popełniła samobójstwo w kuchni w ich domu w Północnym Vancouver.

W kuchni. Lorna widziała to z całkowitą jasnością. Wyraźnie widziała, w jaki sposób Polly mogła to zrobić. Mogła powiesić się tuż za tylnymi drzwiami. Kiedy wrócą i będą chcieli wejść od strony garażu, zastaną drzwi zamknięte. Przekręcą klucz w zamku, próbując je otworzyć, ale im się nie uda, z powodu napierającego ciała Polly. Więc pospieszą do frontowego wejścia, wejdą do kuchni z drugiej strony i zobaczą martwą Polly w całej okazałości. Ubraną w falbaniastą dzinsową spódnicę i białą sznurowaną bluzkę – ten sam piękny strój, w którym do nich przybyła, by zdać się na ich gościnność. Jej długie blade nogi będą się lekko kołysać, głowa będzie na zawsze śmiertelnie zwieszona na delikatnej szyi. Na podłodze przed nią zobaczą przewrócone krzesło, na którym stanęła i z którego zeszła, lub zeskoczyła, by sprawdzić, jak może się zakończyć jej niedola.

Sama u ludzi, którzy jej nie chcieli, w domu, w którym nawet ściany, okna i kubek od kawy wydawały się nią gardzić.

Lorna przypomniała sobie, jak na jeden dzień została pod opieką Polly w domu babci. Może ojciec był wtedy w sklepie. Ale nie, on chyba też wtedy wyjechał – cała trójka dorosłych dokądś wyjechała. Musiał być ważny powód, bo nigdy nie wyjeżdżali razem na zakupy, a już na pewno nie na wycieczki. Pogrzeb: prawie na pewno był to jakiś pogrzeb. W sobotę, gdy nie było szkoły. Zresztą Lorna jeszcze nie chodziła do szkoły. Włosy miała za krótkie, żeby dały się spiąć w dwa kucyki. Kosmyki fruwały jej wokół buzi, tak jak teraz Polly.

Polly była wówczas na etapie zabaw w gotowanie; bez przerwy pichciła różne przysmaki i słodkie desery z książki kucharskiej babci. Czekoladowe ciasteczka, kokosanki, krówki. Tego dnia właśnie coś mieszała, gdy zorientowała się, że brakuje jej pewnego składnika. Postanowiła pojechać na rowerze do

sklepu w centrum. Było wietrznie i zimno, żadnej zieleni – musiała być późna jesień albo wczesna wiosna. Zanim odjechała, zamknęła drzwiczki od piecyka. Ale wciąż miała w głowie wszystkie historie o dzieciach, które zginęły w pożarze, gdy ich matki pobiegły tylko po coś do sklepu. Więc kazała Lornie włożyć płaszcz i wyprowadziła ją na zewnątrz, na osłonięty od wiatru trawnik między ścianą kuchni a główną częścią domu. Drugi dom musiał być zamknięty, bo inaczej tam by ją odprowadziła. Kazała jej się nie ruszać z miejsca, a sama wsiadła na rower i pojechała do sklepu. „Zostań tutaj, nigdzie nie odchodź, o nic się nie martw”, tak powiedziała i na pożegnanie pocałowała Lornę w ucho. Lorna posłuchała jej we wszystkim. Przez dziesięć minut, może piętnaście, siedziała w kucki za krzakiem białego bzu, studiując kształty kamieni, ciemnych i jasnych, w podmurówce domu. Aż Polly wróciła, pędząc przez podwórko, rzucając na ziemię rower i w biegu wołając jej imię. „Lorna, Lorna”, cisnęła torebkę brązowego cukru czy orzechów włoskich i zaczęła całować Lornę po głowie, gdzie popadnie. Bo przyszło jej na myśl, że gdy Lorna będzie siedzieć w kąci, dostrzegając zaczajeni porywacze – źli mężczyźni, z powodu których dziewczynkom nie wolno było chodzić na pole za domami. Przez całą powrotną drogę modliła się, żeby tak się nie stało. I tak się nie stało. Kazała Lornie szybko wejść do środka, żeby ogrzała gołe kolana i rękę.

„Och, moje małe rączunie”, powiedziała. „Och, przestraszyłaś się?” Lorna była zachwycona tym wylewem czułości i nadstawiała główkę do głaskania, jak mały kucyk.

Sosny ustąpiły miejsca gęściejszym lasom iglastym, a obłe bryły brązowych wzgórz strzelistym błękitno-zielonym górom. Daniel zaczął popłakiwać, więc Lorna wyjęła butelkę z sokiem. Kawałek dalej poprosiła Brendana, żeby się zatrzymał; chciała położyć dziecko na przednim siedzeniu i zmienić pieluszkę. Gdy to robiła, Brendan spacerował nieopodal, paląc papierosa. Ceremonie pieluszkowe zawsze go trochę raziły.

Przy okazji Lorna wyciągnęła jedną z książek z obrazkami należących do Elizabeth i gdy znowu ruszyli, zaczęła czytać dzieciom. To była książka Dr. Seussa. Elizabeth знаła cały wierszowany tekst na pamięć i nawet Daniel orientował się z grubsza, w których miejscach może wtrącić swoje gaworzenie.

Polly nie była już tą, która ogrzewała małe rączki Lorny w swoich, która wiedziała wszystko, czego Lorna nie wiedziała, i której można było oddać Lornę pod opiekę. Teraz wszystko się odwróciło, jakby przez te lata od kiedy Lorna wyszła za mąż, Polly stała w miejscu. Lorna ją wyprzedziła. To Lorna miała teraz na tylnym siedzeniu samochodu dzieci, którymi musiała się zajmować i które kochała, i nie wypadało, żeby osoba w wieku Polly rywalizowała z nimi o jej miłość i czas.

Mogła sobie myśleć, co chciała; na próżno. Ledwo sformułowała ten argument, znowu poczuła ciężar ciała obijającego się o drzwi, które będą próbowali otworzyć. Przygniatający ciężar martwego ciała. Ciało Polly, która nie dostała nic. Ani miejsca w odnalezionej rodzinie, ani nadziei na życiową zmianę, o której z pewnością marzyła.

– Teraz przeczytaj mi *Madeleine* – poprosiła Elizabeth.

– Chyba nie wzięłam – odrzekła Lorna. – Nie, nie mam jej ze sobą. Nieważne, przecież i tak znasz ją na pamięć.

I zaczęły recytować razem:

W starym domu w Paryżu z bluszczem za oknami

Mieszkały dziewczynki chodzące parami.

W równych rzędkach dwunastka siadała do stołu

Jadła, myła ząbki i spała pospołu...

To jest szaleństwo, melodramat, poczucie winy. To się nie zdarzyło.

Ale takie rzeczy się zdarzają. Czasami ludzie tracą grunt pod nogami, pomoc nie przychodzi na czas. Nie przychodzi w ogóle. Ktoś zostaje wtrącony w ciemność.

Gdy już noc zapadła i wszyscy zasnęli

Panna Clavel zerwała się z ciepłej pościeli.

Coś się złego zdarzyło...⁴

– Mamusiu – powiedziała Elizabeth – Dlaczego przerwałaś?

– Musiałam, na chwilę. Zaschło mi w gardle.

Zatrzymali się w Hope, żeby kupić hamburgery i koktajle mleczne. Potem jechali przez Frazer Valley; dzieci spały na tylnym siedzeniu. Było jeszcze trochę drogi. Aż dojechali do Chiliwack, dojechali do Abbotsford, zobaczyli przed sobą wzgórza New Westminister, a dalej następne wzgórza z domami, początek miasta. Były jeszcze mosty, przez które musieli przejechać, zakręty, na których musieli zwolnić, ulice, które musieli pokonać, przecznice, które musieli minąć. Wszystko to w czasie przed. Gdy następnym razem zobaczy każde z tych miejsc, będzie już po.

Kiedy wjechali do Stanley Park, przyszło jej na myśl, żeby się pomodlić. To była bezwstydną myśl – oportunistyczna modlitwa niewierzącej. Bezsensowne powtarzanie: spraw-żeby-to-się-nie—stało, spraw-żeby-to-się-nie—stało. *Spraw, żeby to się odstało.*

Dzień był nadal bezchmurny. Przejeżdżając przez most Uon's Gate, patrzyli na cieśninę Georgia.

– Widać dziś wyspę Vancouver? – spytał Brendan. – Popatrz, ja nie mogę.

Lorna spojrzała ponad jego głową.

– Daleko – powiedziała. – Niewyraźna, ale jest.

I patrząc na ten błękitny, wtapiający się w horyzont kopiec ziemi o rozmazanych konturach, który wyglądał, jakby unosił się na powierzchni morza, pomyślała o jedynej rzeczy, jaką jeszcze mogła zrobić. Zaoferować coś w zamian. Uwierzyć, że to jeszcze możliwe, że aż do ostatniej minuty można jeszcze dokonać wymiany.

Musiało to być coś poważnego, jakaś nieodwołalna i trudna do dotrzymania obietnica czy oferta. Zabierz to. Obiecuję, że... Jeśli tamto okaże się nieprawdą, jeśli można odwrócić to, co się stało.

Tylko nie dzieci. Chwyciła się myśli o dzieciach tak gwałtownie, jakby wyciągała je z płomieni. I nie Brendan, z odwrotnych powodów. Nie kochała go wystarczająco mocno. Powiedziałyby, że go kocha, i do pewnego stopnia byłoby to prawdą, i chciała być przez niego kochana, ale na miłości, którą do niego czuła, prawie przez cały czas utrzymywał się leciutki nalot nienawiści. Więc to byłoby nieuczciwe – a także bezcelowe – próbować wynegocjować coś w zamian za niego.

Siebie? Urodę? Zdrowie?

Pomyślała, że chyba idzie niewłaściwą drogą. W takiej sytuacji wybór raczej nie należy do niej. To nie ona ustala warunki. Poznasz je w swoim czasie. Musisz przysiąc z góry, że je spełnisz. Przysięgam.

Tylko nic związanego z dziećmi.

Wjechali już w ulicę Capilano, do swojej dzielnicy i swojego zakątka świata, gdzie ich życie miało jakieś znaczenie, a ich czyny – konsekwencje. Widziała już surową fasadę domu, prześwitującą spomiędzy drzew.

– Frontowymi drzwiami będzie łatwiej – powiedziała Lor-na. – Nie będziemy musieli wchodzić po schodach.

– Co za problem, wejść te kilka stopni – odrzekł Brendan.

– Nie widziałam mostu! – rozpląkała się Elizabeth, nagle kompletnie rozbudzona, pełna zawodu. – Dlaczego mnie nie obudziliście, żebym zobaczyła most?

Nikt jej nie odpowiedział.

– A Daniel ma rękę całą spaloną od słońca – dodała, ale bez większej satysfakcji.

Lorna usłyszała głosy, ale pomyślała, że dobiegają z ogrodu sąsiadów. Ruszyła za Brendanem ścieżką naokoło domu. Daniel ciążył jej na ramieniu, pogrążony w głębokim śnie. Niosła torbę z pieluchami i drugą, z książkami dla dzieci; Brendan dźwigał walizkę.

Zobaczyła, że ludzie, których głosy wcześniej usłyszała, siedzą na tyłach jej domu. Polly i Lionel. Przystawili krzesła ogrodowe, żeby usiąść w cieniu. Byli odwróceny plecami do rozciągającej się stąd panoramy.

Lionel. Zupełnie o nim zapomniała.

Zerwał się z miejsca i podbiegł przytrzymać drzwi.

– Widzę, że ekspedycja powróciła w komplecie – przywitał ich tonem, jakiego Lorna z pewnością

nigdy wcześniej u niego nie słyszała. W jego głosie była niewymuszona serdeczność, swobodna i naturalna pewność siebie. Głos przyjaciela rodziny. Gdy przytrzymał drzwi, spojrzał jej prosto w twarz – czego wcześniej właściwie nigdy nie zrobił – i posłał jej uśmiech, z którego zniknęły cała subtelność, tajemniczość, ironiczne poczucie współnictwa i niezgłębione oddanie. Wszystkie splątane emocje, wszystkie osobiste sygnały zniknęły bez śladu.

Odpowiedziała mu tym samym tonem.

– A ty? Kiedy przyjechałeś?

– W sobotę – odparł. – Zapomniałem, że mieliście wyjechać. Wtarabaniłem się na rowerze na górę, żeby się z wami zobaczyć, a was nie było, ale była Polly i oczywiście jak mi powiedziała, to sobie przypominałem.

– Co ci Polly powiedziała? – zapytała Polly, podchodząc do nich. Nie było to pytanie. Raczej na wpół żartobliwa uwaga, wypowiedziana przez kobietę, która wie, że praktycznie wszystko, co powie, zostanie dobrze przyjęte.

Miejsca na czole i karku, które spiekła na słońcu, przybrały już odcień złocistej opalenizny, choć ciągle jeszcze świeżej, z odrobiną różu.

– Daj – powiedziała, biorąc od Łomy obie torby, które tamta niosła na ramieniu, i wyjmując jej z ręki pustą butelkę po soku. – Wezmę wszystko poza dzieckiem.

Miękkie włosy Lionela zrobiły się bardziej brązowoczarne niż czarne – ale Lorna po raz pierwszy widziała go w pełnym słońcu – i też był lekko opalony; czoło nie świeciło mu już bladością. Miał na sobie zwykle ciemne spodnie, ale koszulę widziała pierwszy raz. Żółta, z krótkimi rękawami, z jakiegoś niemiłosiernie spłowiałego, wyświeconego, taniego materiału, za szeroka w ramionach, może z kościelnej zbiórki dobroczynnej.

Lorna zniosła Daniela do pokoju na górze. Położyła go w łóżeczku i stała nad nim, łagodnie szepcząc i głaszcząc go po plecach.

Pomyślała, że Lionel pewnie chce ją ukarać za przewinienie Jakie popełniła, wchodząc do jego pokoju. Właścicielka na pewno już mu o tym powiedziała. Lorna mogła to przewidzieć, gdyby się zastanowiła. Nie zastanowiła się, ponieważ chyba wydawało jej się, że to nic ważnego. Może nawet myślała, że sama mu o tym opowie.

„Przechodziłam obok twojego domu po drodze na plac zabaw i pomyślałam sobie, że wejdę na chwilę i posiedzę na środku twojej podłogi. Nie umiem tego wyjaśnić. Wydawało mi się, że jeśli pobędę w twoim pokoju i posiedzę na twojej podłodze, na chwilę się wyciszę”.

Myślała – po ostatnim liście? – że jest między nimi jakaś więź, nie taka, żeby o niej mówić, ale na której można polegać. Tu się pomyliła, wystraszyła go. Założyła za dużo. Odwrócił się od niej, a tam była Polly. Lorna go zraziła, więc zbliżył się do Polly.

A zresztą, kto wie. Może po prostu się zmienił. Przypomniała jej się niezwykła pustka jego pokoju; na ścianach tylko światło. Z czegoś takiego mogły się zrodzić zupełnie odmienne wersje osobowości,

bez wysiłku, w mgnieniu oka. Jako reakcja na trochę zły obrót spraw, albo w wyniku uświadomienia sobie, że coś go przerasta. Lub nawet niejako reakcja na cokolwiek – po prostu w mgnieniu oka.

Kiedy Daniel zasnął mocnym snem, zeszła na dół. W łazience zobaczyła, że Polly wypłukała pieluszki jak trzeba, włożyła do miski i zalała błękitnym płynem dezynfekującym. Lorna wzięła walizkę, która stała na środku kuchni, zaniósła na górę i położyła na dużym łóżku, żeby podzielić rzeczy na te, które muszą pójść do prania, i te, które trzeba odwiesić do szafy.

Okno pokoju wychodziło na tył domu. Dobięły ją głosy: wysoki, chwilami piskliwy głosik Elizabeth – podeksycytowanej powrotem do domu i być może koniecznością zwrócenia na siebie uwagi liczniejszej niż zwykle publiczności – i zdecydowany, ale uprzejmy głos Brendana, opowiadającego o tym, jak przebiegła podróż.

Podeszła do okna i popatrzyła w dół. Zobaczyła, że Brendan idzie do komórki, otwiera drzwi i wyciąga nadmuchiwany brodzik. Drzwi komórki zaczęły się zamykać, więc Polly podbiegła, żeby je przytrzymać.

Lionel wstał i poszedł rozwinąć wąż ogrodowy. Nigdy by nie pomyślała, że Lionel może wiedzieć, gdzie przechowują wąż.

Brendan powiedział coś do Polly. Podziękował jej? Można by pomyśleć, że są w świetnej komitywie.

Jak to się stało?

Być może Polly wreszcie zasłużyła na zainteresowanie, gdy stała się kimś, kogo wybrał Lionel, a nie kimś, kogo narzuciła Lorna.

A może Brendan był po prostu w lepszym nastroju, bo wyrwali się na kilka dni. Mógł zrzucić z siebie ciężar ciągłej pieczy nad domem. Może wreszcie dostrzegł, i słusznie, że ta nowa Polly nie jest żadnym zagrożeniem.

Zwyczajna i zdumiewająca scenka rodzajowa, przywołana jak za sprawą magii. Wszyscy zadowoleni.

Brendan zaczął nadmuchiwać brodzik. Elizabeth rozebrała się do majtek i tańcowała wokół niego niecierpliwie. Brendan nie zwrócił jej uwagi, że nie może się kąpać w zwykłych majtkach i że musi pobiec po strój kąpielowy. Lionel odkręcił wodę, ale basen nie był jeszcze gotowy, więc zaczął podlewać nasturcje; jakby tutaj mieszkał. Polly powiedziała coś do Brendana, a on zacisnął mocno palce na dziurce, w którą dmuchał, i podał jej częściowo nadmuchany plastik.

Lorna przypomniała sobie, że to Polly nadmuchała delfina na plaży. Jak sama powiedziała, miała mocny dech. Dmuchała równo i bez widocznego wysiłku. Stała tam w szortach, na rozstawionych nogach, jej skóra lśniła jak kora brzozy. A Lionel na nią patrzył. Może myślał: dokładnie to, czego potrzebuję. Taka kompetentna i rozsądna kobieta, wiotka, ale solidna. Ani zarozumiała, ani niepraktyczna, ani sfrustrowana. Taką kobietę mógłby kiedyś poślubić. Kobietę, która wszystkim się zajmie. Wtedy on być może się zmieni, raz i drugi, może zakocha się w jakiejś innej kobiecie, na swój sposób, ale jego żona będzie zbyt zajęta, by to zauważyć.

Mogło się tak zdarzyć. Polly i Lionel. Albo i nie. Być może Polly wróci do domu, jak planowała, i nikt nie będzie po niej płakał. Przynajmniej tak się Lornie wydaje. Może Polly wyjdzie kiedyś za mąż lub nie wyjdzie nigdy, ale tak czy owak, to nie damsko-męskie historie miały złamać jej serce.

W krótkim czasie brodzik był nadmuchany i stał równo. Zaniesiono go na trawnik, wąż włożono do środka i Elizabeth mogła już chlapać się w wodzie do kostek. Popatrzyła w górę na Lornę, tak jakby przez cały czas wiedziała, że matka tam stoi.

– Jaka zimna! – zawołała z zachwytem. – Mamusiu, jaka zimna!

Teraz Brendan podniósł głowę i zobaczył Lornę.

– Co tam robisz na górze?

– Rozpakowuję rzeczy.

– Nie musisz tego robić teraz. Chodź do ogrodu.

– Zaraz przyjdę.

Od chwili, kiedy weszła do domu – a dokładniej od momentu, kiedy zdała sobie sprawę, że głosy, które słyszała, dobiegają z jej ogrodu i należą do Polly i Lionela – nie myślała o towarzyszącej jej przez całą drogę wizji ciała Polly blokującego swym ciężarem tylne drzwi. Teraz poczuła się tym obrazem tak zdziwiona, jak bywa czasami ktoś, komu długo po przebudzeniu przypomni się sen. Wizja była silna i bezwstydna jak sen. I tak samo bezużyteczna.

Nie od razu, lecz z pewnym opóźnieniem, wróciło do niej wspomnienie dokonanej wymiany. Niejasnego, prymitywnego, neurotycznego pojęcia wymiany.

Ale co ona właściwie obiecała?

Nic dotyczącego dzieci.

Coś związanego z nią samą?

Obiecała, że zrobi wszystko, co trzeba, gdy rozpozna, że to właśnie to.

Niezły wykręt; taka wymiana nie była żadną wymianą, taka obietnica zupełnie nic nie znaczyła.

Wypróbowała jednak kilka różnych możliwości. Jakby układała historyjkę, którą komuś opowie – już nie Lionelowi, ale komuś innemu.

Przestanie czytać książki.

Zaadoptuje dzieci z marginesu albo z kraju Trzeciego Świata. Poświęci swe życie, żeby zagoić rany na ich ciele i duszy.

Zacznie chodzić do kościoła. Zgodzi się uwierzyć w Boga.

Obetnie włosy, przestanie się malować, nigdy więcej nie włoży stanika podnoszącego biust.

Usiadła na łóżku, znużona tą zabawą, tak nietrafioną.

W wymianie chodziło raczej o to, że będzie dalej żyć tak jak dotychczas. Transakcja już się

dokonała. Ma zaakceptować to, co się stało, i nie mieć żadnych złudzeń co do przyszłości. Dni, lata i uczucia będą wciąż takie same, tyle że dzieci dorosną i może pojawi się jeszcze jedno czy dwoje, które też dorosną, a ona i Brendan będą coraz starsi, aż zestarzeją się zupełnie.

Nigdy wcześniej, aż do tego momentu, nie uświadamiała sobie z taką jasnością, że przez cały czas liczyła, że coś się wydarzy, coś, co odmieni jej życie. Przyjęła swoje małżeństwo jako wielką zmianę, wielką, ale nie ostatnią.

A więc odtąd nie będzie już nic, czego ona lub ktoś inny nie potrafiliby racjonalnie przewidzieć. Na tym ma polegać jej szczęście, na to się wymieniła. Odtąd już nic ukrywanego, nic niezwykłego.

„Bądź tego świadoma”, pomyślała. Ogarnęła ją nagła i silna potrzeba, żeby uklęknąć. Stało się coś ważnego.

Elizabeth znowu zawołała:

– Mamusiu, chodź tutaj.

A za nią inni – Brendan, Polly i Lionel, jedno przez drugie, zaczęli ją wołać, żartować z niej.

„Mamusiu”.

„Mamusiu”. „Chodź tutaj”.

To wszystko zdarzyło się dawno temu. W Północnym Vancouver, gdy mieszkali w domu zbudowanym w stylu Post and Beam. Kiedy miała dwadzieścia cztery lata i pierwszy raz negocjowała wymianę.

Co się pamięta

W pokoju hotelowym w Vancouver Meriel jako młoda kobieta wkłada krótkie białe letnie rękawiczki. Ma na sobie beżową lnianą sukienkę, a jej włosy – w tamtym czasie ciemne – okrywa cienki, biały szal. Uśmiecha się, bo przypomniawszy sobie, co dla pewnego czasopisma powiedziała królowa Tajlandii Sirikit –w każdym razie jakie jej słowa zacytowano: „Wszystkiego nauczył mnie Balmain. Powiedział: »Zawsze noś białe rękawiczki. Nie ma nic lepszego«,„.

„Nie ma nic lepszego”. Dlaczego się przy tym uśmiecha? Słowa te wydają się wyszeptaną wskazówką, absurdalną i ostateczną mądrością. Jej dłonie w rękawiczkach wyglądają oficjalnie, ale też miło i delikatnie, jak łapki kota.

Pierre pyta, dlaczego się uśmiecha.

– Tak sobie – mówi. Po czym mu wyjaśnia.

– Kto to jest Balmain? – odpowiada pytaniem Pierre.

Szykowali się do pogrzebu. Dzień wcześniej wieczorem przybyli promem z wyspy Vancouver, gdzie mieszkali, by mieć pewność, że nie spóźnią się na poranne nabożeństwo. Po raz pierwszy od nocy poślubnej zatrzymali się w hotelu. Kiedy teraz jeździli na wakacje, zawsze byli z dwójką dzieci i szukali niedrogich moteli, kierujących ofertę do rodzin.

Był to dopiero drugi pogrzeb, w którym uczestniczyli jako małżeństwo. Ojciec Pierre'a nie żył, matka Meriel też, ale oboje zmarli, zanim Pierre i Meriel się spotkali. Zeszłego roku umarł nagle nauczyciel w szkole Pierre'a i odbył się uroczysty pogrzeb: śpiewał chór chłopięcy, odczytano modlitwę z szesnastowiecznej ceremonii pogrzebowej. Zmarły już dawno przekroczył sześćdziesiątkę i jego śmierć nie wydała się Meriel i Pierre'owi ani jakoś specjalnie niespodziewana, ani tragiczna. Nie robiło im wielkiej różnicy, czy ktoś umiera w wieku sześćdziesięciu pięciu, siedemdziesięciu pięciu czy osiemdziesięciu pięciu lat.

Inaczej było z dzisiejszym pogrzebem. Chowano Jonasa: od lat najlepszego przyjaciela Pierre'a i osobę w jego wieku – dwudziestodwunastoletnia. Pierre i Jonas dorastali razem w Zachodnim Vancouver; pamiętali miasto z okresu przed wybudowaniem mostu Lion's Gate, gdy sprawiało wrażenie małego miasteczka. Ich rodzice się przyjaźnili. W wieku jedenastu czy dwunastu lat chłopcy zbudowali łódkę wiosłową, którą zwodowali z mola w Dundarave. Na uniwersytecie przez jakiś czas ich drogi się rozeszły: Jonas wybrał studia inżynierskie, Pierre – filologię klasyczną, a studenci kierunków humanistycznych i technicznych tradycyjnie sobą pogardzali. Jednak w następnych latach przyjaźń do pewnego stopnia została ożywiona. Jonas, który się nie ożenił, przyjeżdżał w odwiedziny do Meriel i Pierre'a i czasem zostawał u nich na cały tydzień.

Obu młodych ludzi zaskoczyło to, jak potoczyły się ich losy, i żartowali sobie z tego. Wybór zawodu dokonany przez Jonasa budził nadzieje jego rodziców i niemą zazdrość rodziców Pierre'a,

a jednak to Pierre się ożenił, dostał pracę nauczyciela i podjął zwyczajne obowiązki, podczas gdy Jonas po studiach nie zagrzał miejsca ani przy jednej dziewczynie, ani na jednej posadzie. Ciągłe był na jakichś stażach, które nie kończyły się stałym zatrudnieniem w żadnej firmie, zaś dziewczyny – tak w każdym razie mówił – były na stażu u niego. Ostatni raz pracował jako inżynier gdzieś w północnej części prowincji i został tam po tym, jak go zwolniono, czy może sam zrezygnował. „Stosunek pracy rozwiązany za porozumieniem stron”, napisał do Pierre'a, dodając, że mieszka w hotelu, wśród rozmaitych bogatych osób, i że może dostanie pracę w ekipie drwali. Uczył się też pilotażu, chcąc się zatrudnić jako *bush pilot*.⁵ Obiecywał, że jak tylko rozwiąże swoje aktualne problemy finansowe, przyjedzie ich odwiedzić.

Meriel miała nadzieję, że do tego nie dojdzie. Jonas sypiał na kanapie w salonie i rano zrzucał pościel na podłogę; to ona musiała ją później zbierać. Nie dawał Pierre'owi zasnąć przez pół nocy, wspominając wydarzenia z czasów, gdy byli nastolatkami, albo nawet wcześniejsze. Mówił do Pienia „Piernik” –jak w tamtych latach – a innych starych kumpli nazywał „Śmierdziel”, „Doktoś” czy „Rycho”; nigdy imionami: Stan, Don i Rick, pod jakimi znała ich Meriel. Z męczącą drobiazgowością przypominał incydenty, które zdaniem Meriel wcale nie były aż tak niezwykle ani śmieszne (podpalenie na ganku wychowawcy worka pełnego psich kup, zaczepki starucha, który oferował chłopcom dziesiątaka za opuszczenie spodni), i robił się poirytowany, gdy rozmowa zahaczała o terażniejszość.

Była wstrząśnięta i pełna skruchy, gdy musiała poinformować Pierre'a o śmierci Jonasa. Pełna skruchy, bo nigdy go nie lubiła, a wstrząśnięta, bo był pierwszą znajomą osobą w ich wieku, która zmarła. Pierre nie wydawał się jednak ani zaskoczony, ani szczególnie wstrząśnięty.

– Samobójstwo – skwitował.

Nie, poprawiła go, wypadek. Jechał w nocy motorem, po żwirze, i wypadł z drogi. Ktoś go znalazł albo z nim był, udzielono mu pierwszej pomocy, ale zmarł po godzinie. Odniósł śmiertelne obrażenia.

Tak wyraziła się jego matka, przez telefon. „Odniósł śmiertelne obrażenia”. Wyglądała na łatwo pogodzoną z tą śmiercią, bynajmniej nie zaskoczoną. Jak Pierre mówiący: „Samobójstwo”.

Meriel i Pierre prawie nie rozmawiali już potem o samej tej śmierci, tylko o pogrzebie, pokoju hotelowym, konieczności znalezienia opiekunki do dzieci na całą noc. Trzeba było oddać do pralni garnitur, postarać się o białą koszulę. Meriel zajęła się przygotowaniami, zaś Pierre dopytywał się o wszystko z mężowską troską. Najwyraźniej oczekiwał, że będzie równie opanowana i rzeczowa jak on, i nie będzie uzurpować sobie praw do jakiegokolwiek żalu, którego – był tego pewien – nie mogła naprawdę odczuwać. Zapytała go, dlaczego powiedział „samobójstwo”.

– Po prostu to mi przyszło do głowy – odparł.

Odczuła ten unik jako swego rodzaju ostrzeżenie albo nawet wyrzut. Jak gdyby podejrzewał ją o czerpanie z tej śmierci – lub z ich zetknięcia z tą śmiercią – jakichś niegodnych i egocentrycznych emocji. Niezdrowego, ostentacyjnego podniecenia.

W tamtych czasach młodzi mężowie byli surowi. Niedawni konkurenci, niemal groteskowi osobnicy na krzywych nogach, rozpaczliwi w swych seksualnych udrękach, obecnie, zapewniwszy sobie miejsce w łóżku, okazywali się stanowczy i bezpardonowi. Wychodzili co rano do pracy – gładko ogoleni, w krawatach na młodzieńczych szyjach – i spędzali dni na nieokreślonych zajęciach, by wrócić do domu w porze kolacji, rzucić krytycznym okiem na wieczorny posiłek i odgrodzić się płachtą gazety od kuchennego bałaganu, kłopotów i emocji, dzieci. Jak wiele musieli się nauczyć, i to tak szybko. Jak płaścić się przed szefami i jak postępować z żonami. Jak stawiać na swoim w kwestii kredytów mieszkaniowych, ścian nośnych, trawników, kanalizacji, polityki, a także posad, z których będą musieli utrzymać rodzinę przez następną ćwierć wieku. To kobiety mogły cofnąć się chyłkiem – w ciągu dnia i zawsze pomnie powierzonej im niewiarygodnej odpowiedzialności, jeśli chodzi o dzieci – do swego rodzaju drugiej nastoletniości. Poczuć, jak po wyjściu mężów ogarnia je lekkość. Powitać w domach rozmarzony bunt, wywrotowe spotkania, salwy śmiechu, dzięki którym powracały do czasów szkoły średniej, rozkwitając pośród ścian postawionych na koszt ich mężów, w godzinach, w których oni sami byli nieobecni.

Po pogrzebie część osób została zaproszona do domu rodziców Jonasa w Dundarave. Żywopłot z rododendronu był cały w kwiatach – czerwieni, różu i fiolecie. Ojcu Jonasa gratulowano ogrodu.

– Ach, nie wiem – mówił. – Musieliśmy naprędce doprowadzić go do porządku.

– Proszę wybaczyć, ale to żaden lunch – uprzedzała matka Jonasa. – Raczej przekąski.

Większość osób piła cherry, choć niektórzy mężczyźni whisky. Potrawy ustawiono na rozsuniętym stole w jadalni: krakersy z kremem z łososia, tarty z pieczarkami, kiełbaski w cieście, lekkie ciasto cytrynowe i ciasteczka z kandyzowanymi owocami i marcepanem, jak również kanapki z krewetkami, szynką, pastą z awokado i z ogórkiem. Pierre naładował sobie wszystkiego na mały porcelanowy talerzyk i Meriel usłyszała, jak jego matka zwraca mu uwagę:

– Wiesz, zawsze możesz wrócić po dokładkę.

Matka Pierre'a nie mieszkała już w Zachodnim Vancouver, ale przyjechała na pogrzeb z White Rock. Teraz, kiedy Pierre był nauczycielem i żonatym mężczyzną, nie czuła się pewnie, karcąc go wprost.

– Czy może myślałeś, że zabraknie? – dodała.

– Może zabraknie tego, co chciałem – odrzekł nonszalancko Pierre.

Jego matka zwróciła się do Meriel:

– Jaka ładna sukienka.

– Tak, ale proszę zobaczyć – odpowiedziała Meriel, wygładzając fałdki, jakie porobiły się, kiedy siedziała podczas nabożeństwa.

– Tak, to kłopotliwe – przyznała matka Pierre'a.

– Co jest kłopotliwe? – wtrąciła się energicznie matka Jonasa, zsuwając tarty na podgrzewany

półmisek.

– Len jest kłopotliwy – wyjaśniła matka Pierre'a. – Meriel właśnie mówiła, jak jej się pogniotła sukienka... – powstrzymała się od dodania: „podczas nabożeństwa żałobnego” – na co odpowiedziałam, że len jest właśnie taki kłopotliwy.

Matka Jonasa chyba w ogóle nie słuchała. Spoglądając przez pokój, odezwała się:

– To lekarz, który się nim opiekował. Przyleciał ze Smithers własnym samolotem. To naprawdę miło z jego strony.

– To jednak spora wyprawa – zauważyła matka Pierre'a.

– Tak. No cóż. Chyba w ten sposób się przemieszcza, by móc dotrzeć do pacjentów mieszkających gdzieś na odludziu.

Mężczyzna pogrążony był w rozmowie z Pierre'em. Nie miał na sobie garnituru, ale porządną marynarkę, włożoną na golf.

– Pewnie tak – przyznała matka Pierre'a, a matka Jonasa potwierdziła: – Tak. – I Meriel poczuła, jakby właśnie wyjaśniły i ustaliły między sobą jakąś kwestię; czy chodziło o jego ubiór?

Popatrzyła na złożone w czworo serwetki. Nie były tak duże jak serwetki obiadowe ani tak małe jak koktajlowe. Ułożono je w zachodzące na siebie rzędy, by róg każdej z nich (na którym wyszyty był maleńki niebieski, różowy lub żółty kwiatusek) zachodził na róg sąsiedniej. Zadbano o to, by serwetki z kwiatuskami w tym samym kolorze nigdy nie leżały obok siebie. Nikt po nie nie sięgał, a jeśli tak – dostrzegła jednak parę osób trzymających serwetki – brano ostatnią z brzegu, nie zakłócając porządku.

Podczas nabożeństwa pogrzebowego ksiądz porównał życie Jonasa na ziemi do przebywania dziecka w łonie matki. Dziecko, mówił, nie zna żadnej innej egzystencji, zamieszkując w ciepłej, ciemnej, wilgotnej jamie ciała; nie ma pojęcia o wielkim jasnym świecie, na który wkrótce zostanie wydane. My, na ziemi, możemy snuć przypuszczenia, ale nie potrafimy wyobrazić sobie światła, w jakie wkroczymy, przeszedłszy męki konania. Gdyby w jakiś sposób poinformowano dziecko o tym, co je spotka w bliskiej przyszłości, czy nie byłoby nieufne i przerażone? Tak samo przeważnie jest z nami, choć to niesłuszne – otrzymaliśmy bowiem obietnicę. Nasz ślepy umysł nie jest jednak zdolny wyobrazić sobie, pojąć, do czego przejdziemy. Dziecko pogrążone jest w nieświadomości, w wierze swego niemego, bezbronnego bytu. My, którzy nie trwamy ani w pełnej nieświadomości, ani w pewności, powinniśmy okryć się w naszą wiarę, w słowo naszego Pana.

Meriel popatrzyła na księdza, który z kieliszkiem cherry w dłoni słuchał żywiołowej kobiety z burzą blond włosów. Nie wyglądało na to, by rozmawiali o mękach konania ani czekającym nas świetle. Co by zrobił, gdyby podeszła i zagadnęła go na ten temat?

Nikt nie miałby takiej śmiałości. Ani takiego tupetu.

Zerknęła za to w stronę Pierre'a i lekarza. Pierre perorował z chłopięcym ożywieniem, nieczęstym u niego w ostatnim czasie – w każdym razie nieczęsto oglądanym przez Meriel. Wyobraziła sobie, że widzi go po raz pierwszy: jego kręcone, krótko ostrzyżone, bardzo ciemne włosy przerzedzone na

skroniach, odsłaniające gładką, złotawą skórę; szerokie, kanciaste barki, piękne długie kończyny i zgrabną, raczej niewielką głowę. Uśmiechał się czarująco, ale nie w sposób świadomie uwodzicielski, a odkąd zaczął uczyć chłopców – znacznie rzadziej. Jego czoło żłobiły delikatne zmarszczki stałego zmartwienia.

Przypomniało jej się przyjęcie dla nauczycieli przeszło rok temu, gdy znaleźli się po przeciwnych stronach sali, poza sferą prowadzonych w sąsiedztwie rozmów. Obeszła salę i niepostrzeżenie zbliżyła do niego, po czym zaczęła z nim rozmawiać, jakby dyskretnie flirtowała z nieznanym. Uśmiechał się wtedy tak, jak teraz – z pewną jednak różnicą, gdyż z kokietką rozmawia się inaczej – i podjął grę. Wymieniali wymowne spojrzenia i banalne uwagi, aż oboje wybuchnęli śmiechem. Ktoś podszedł do nich i powiedział, że dowcipy małżonków nie są dozwolone.

– Co panu każe sądzić, że jesteśmy małżeństwem? – zapytał Pierre, tak zwykle poważny na tego rodzaju imprezach.

Teraz zmierzała w jego stronę, nie myśląc o takich wygłupach. Chciała mu przypomnieć, że wkrótce powinni się rozdzielić. On miał dotrzeć samochodem do zatoki Horseshoe, by złapać najbliższy prom, ona zaś musiała przejechać autobusem przez North Shore, do Lynn Valley. Postanowiła wykorzystać okazję i odwiedzić przyjaciółkę swej zmarłej matki, którą ta kochała i podziwiała tak bardzo, że nadała swojej córce jej imię. Meriel nazywała ją ciocią, choć nie były spokrewnione. Ciocia Muriel. (Dopiero gdy Meriel poszła na studia, zmieniła pisownię swego imienia). Starsza pani mieszkała w domu opieki w Lynn Valley, a Meriel nie była u niej już ponad rok. Miejsowość leżała zbyt daleko, by można było tam wpaść podczas ich nieczęstych wypraw całą rodziną do Vancouver, zresztą atmosfera domu opieki i twarze jego mieszkańców przygnębiająco działały na dzieci. Na Pierre'a także, choć wolał się do tego nie przyznawać. Pytał za to, kim właściwie jest ta kobieta dla Meriel.

„To przecież nie to samo co prawdziwa ciotka”.

Teraz więc Meriel miała pojechać do niej sama. Czułaby wyrzuty sumienia, gdyby nie pojechała, mając ku temu okazję. Poza tym, choć nie powiedziałyby tego głośno, cieszyła się, że po-będzie trochę sama, bez rodziny.

– Może cię odwieźć? – zaoferował się Pierre. – Nie wiadomo, ile będziesz czekała na autobus.

– Nie zdążysz – odpowiedziała. – Spóźnisz się na prom. – Przypomniała, że są umówieni z opiekunką do dzieci.

– Masz rację – przyznał.

– Ja panią odwozę – zaproponował nieoczekiwanie jego rozmówca, lekarz, który, chcąc nie chcąc, słyszał ich wymianę zdań.

– Sądziłam, że pan przyleciał – zdziwiła się Meriel, podczas gdy Pierre mówił: – Przepraszam, to moja żona, Meriel.

Lekarz przedstawił się, ale nie dosłyszała nazwiska.

– Nie tak łatwo wylądować na górze Hollyburn – wyjaśnił. – Zostawiłem więc samolot na lotnisku

i wynająłem samochód.

Ponieważ zabrzmiała w tym lekko wymuszona grzeczność, Meriel pomyślała, że jej uwaga mogła się wydać dość obcesowa. Czuła, że przeważnie zachowuje się albo zbyt zuchwale, albo zbyt płochliwie.

– Naprawdę nie robiłoby to panu różnicy? – upewnił się Pierre. – Ma pan czas?

Lekarz popatrzył prosto na Meriel. Nie było to nieprzyjemne spojrzenie: ani zuchwale czy przebiegłe, ani oceniające. Ale nie wyrażało specjalnej uwagi.

– Oczywiście – odpowiedział.

A więc na tym stanęło. Mieli się wkrótce pożegnać, Pierre jechał na prom, a Asher, bo tak nazywał się lekarz – czy raczej doktor Asher – miał odwieźć Meriel do Lynn Valley.

Meriel zamierzała posiedzieć u cioci Muriel, może nawet zostać na kolacji, a potem złapać autobus z Lynn Valley do dworca w centrum (autobusy do „miasta” jeździły dość często) i wieczornym autobusem dojechać na prom, a nim – do domu.

Dom opieki nosił nazwę Dworku Księżniczki. Był to dwuskrzydłowy, parterowy budynek, pokryty różowobrazowym stiukiem. Stał przy ruchliwej ulicy; nie było tam ogrodu, ani nawet żywopłotów czy ogrodzenia, które dawałyby osłonę przed hałasem lub chroniły skrawki trawnika. Po jednej stronie dom sąsiedował ze zborem ewangelickim o dziwacznej wieży, po drugiej ze stacją benzynową.

– Słowo „dworek” przestało już cokolwiek znaczyć, prawda? – stwierdziła Meriel. – Nie sugeruje nawet istnienia piętra. Ma tylko sprawić, by ludzie wzięli to miejsce za coś, czego nawet nie próbuje udawać.

Lekarz nie odezwał się; może jej słowa nie wydawały mu się sensowne. Lub niewarte wypowiedzenia – nawet jeśli zawierały prawdę. Przez całą drogę z Dundarave odczuwała konsternację, słuchając własnej gadaniny. Nie chodziło nawet o to, że paplała, wygadując, co jej ślina na język przyniesie, ale raczej o to, że usiłowała wyrazić myśli, które uznawała za ciekawe lub które brzmiałyby interesująco, gdyby potrafiła ubrać je w słowa. Wyrzucane przez nią w trajkocie musiały jednak sprawiać wrażenie pretensjonalnych, jeśli nie obłąkanych. Z pewnością przypominała kobietę, która za wszelką cenę chce przeprowadzić nie zwyczajną, ale „prawdziwą” rozmowę. I chociaż wiedziała, że jej wysiłki są na nic, że to gadanie musi go męczyć, nie potrafiła przestać.

Skąd się to wzięło? Ze skrępowania, ponieważ rzadko ostatnio rozmawiała z nieznajomymi. Z poczucia dziwaczności tej sytuacji, jaką była jazda samochodem z mężczyzną, który nie był jej mężem.

Zapytała nawet, nieco zbyt pośpiesznie, jakie jest jego zdanie na temat wspomnianej przez Pierre'a teorii, że wypadek na motorze był samobójstwem.

– Taką hipotezę można by wysunąć w odniesieniu do wielu wypadków – odpowiedział.

– Nie musi pan podjeżdżać pod sam dom – uprzedziła. – Mogę tutaj wysiąść. – Czuła się tak

speszona i tak spieszo jej było zostawić go z jego uprzejmą obojętnością, że położyła dłoń na klamce drzwi, jakby już zamierzała je otworzyć, chociaż samochód jeszcze nie stanął.

– Chciałem zaparkować i poczekać – powiedział i tak skręcając na podjazd. – Nie zamierzałem tak pani zostawiać.

– To może potrwać jakiś czas – ostrzegła.

– W porządku. Zaczekam. Albo wejść do środka i rozejrzeć się. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Już miała powiedzieć, że dom opieki może podziałać przygnębiająco i deprymująco, ale przypomniała sobie w porę, że on jest lekarzem i nie zobaczy tutaj niczego, czego by już wcześniej nie widział. Poza tym zaskoczył ją ton, z jakim powiedział „Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu”: oficjalny, ale i niepewny. Jakby fakt, że oferuje jej swój czas i swoją obecność, miał to niewiele wspólnego z kurtuazją, a więcej – z jej osobą. W jego propozycji pobrzmiwała szczerza pokora, ale nie była ona prośbą. Gdyby Meriel odparła, że nie chce nadużywać jego uprzejmości, nie należałoby, grzecznie by się pożegnał i odjechał.

Tymczasem jednak wysiedli z samochodu i skierowali się, ramię w ramię, w stronę głównego wejścia.

Kilka starszych lub niepełnosprawnych osób siedziało na zewnątrz, na placyku okolonym kilkoma pierzastymi krzewami i doniczkami petunii, mającymi wywołać wrażenie tarasu ogrodowego. Ciotki Muriel wśród nich nie było, ale Meriel i tak złapała się na tym, że zaczęła rozdzielać serdeczne pozdrowienia. Coś się z nią stało. Ogarnęło ją nagle tajemnicze poczucie siły i rozkoszy, jak gdyby z każdym krokiem przenikała ją, od stóp do głów, jakaś promienna prawda.

Gdy później zapytała go: „Dlaczego wszedłeś tam za mną?”, odpowiedział: „Bo nie chciałem stracić cię z oczu”.

Ciotka Muriel siedziała samotnie w fotelu na kółkach, w ciemnym korytarzu, przy drzwiach do swojego pokoju. Była opuchnięta i lśniąca, a to dlatego, że owinięto ją azbestowym fartuchem, by mogła wypalić papierosa. Meriel była przekonana, że kiedy się z nią żegnała – przed wieloma miesiącami i o innej porze roku – ciotka siedziała w tym samym fotelu, w tym samym miejscu, choć bez fartucha z azbestu, który musiał świadczyć o wprowadzeniu jakichś nowych przepisów albo o pogorszeniu zdrowia pensjonariuszki. Bardzo możliwe, że siedziała tu codziennie, obok tej popielniczki wypełnionej piaskiem, wpatrując się w siną ścianę – pomalowaną co prawda na różowo lub liliowo, ale siną w mroku korytarza – z przyczepioną półką, z której zwisał sztuczny bluszcz.

– Meriel? Tak myślałam, że to ty – powiedziała. – Poznałam cię po krokach. Poznałam cię po oddechu. Zaćma musiała mi się cholernie pogorszyć. Widzę same plamy.

– Tak, to ja. Jak się czujesz? – Meriel ucałowała ją w skroń. –Dlaczego nie siedzisz na słońcu?

– Nie lubię słońca – odpowiedziała starsza pani – Muszę dbać o cerę.

Mogła żartować, ale mogło to być prawdą. Na jej bladej twarzy i rękach widać było przebarwienia – trupioblade plamy, które w nikłym świetle korytarza nabierały srebrzystego poblasku. Muriel była

dawniej naturalną blondynką o różowej cerze, szczupłą, z prostymi, starannie ostrzyżonymi włosami, które posiwiały, gdy przekroczyła trzydziestkę. Teraz włosy miała zmierzwione, zgniecione od leżenia, zaś płatki jej uszu zwisały jak zwiędłe sutki. Kiedyś nosiła w uszach maleńkie diamenty; gdzie się one podziały? Diamenty w uszach, złote łańcuszki, prawdziwe perły, jedwabne bluzki o niespotykanych kolorach – bursztynu, bakłazanu – i śliczne wąskie buty.

Pachniała szpitalnym proszkiem i lukrecją, którą cały dzień ssała pomiędzy jednym a drugim racjonowanym papierosem.

– Przydałyby się jakieś krzesła – stwierdziła. Pochyliła się, zamachała w powietrzu ręką trzymającą papierosa i spróbowała zagwizdać. – Służba, proszę. Krzesła.

– Ja poszukam – odezwał się lekarz.

Stara i młoda Muriel zostały same.

– Jak ma na imię twój mąż?

– Pierre.

– I masz dwoje dzieci, prawda? Jane i Davida?

– Tak. Ale mężczyzna, który jest ze mną...

– Oo, nie – przerwała jej Muriel. – To nie twój mąż.

Ciotka Muriel należała raczej do pokolenia babki Meriel niż jej matki. Była nauczycielką plastyki matki Meriel. Najpierw inspiratorką jej prac, potem towarzyszką, wreszcie przyjaciółką. Malowała duże abstrakcyjne obrazy, z których jeden – prezent dla matki Meriel – wisiał w tylnym korytarzu domu, w którym Meriel dorastała; przewieszano go do jadalni, gdy autorka przychodziła do nich z wizytą. Był w kolorach ziemi – ciemnych rudościach i brązach (ojciec Meriel mówił o nim: „Pożar kupy gnoju”) – choć sama ciotka Muriel wydawała się zawsze pogodnie i dzielnie usposobiona. W młodości, zanim podjęła pracę w szkole w ich mieście położonym w głębi kraju, mieszkała w Vancouver. Przyjaźniła się z artystami, których nazwiska widywało się teraz w gazetach. Tęskniła za Vancouver i w końcu tam wróciła. Zamieszkała z majętnym starszym małżeństwem, któremu prowadziła interesy. Ludzie ci przyjaźnili się z artystami, pełniąc rolę ich mecenasów. Póki żyli, wydawało się, że Muriel ma dużo pieniędzy, ale gdy zmarli – została bez grosza. Żyła z emerytury, malowała akwarele, bo nie było jej stać na farby olejne, nie dojadła (jak podejrzewała matka Meriel), by móc zapraszać do restauracji Meriel, która była wtedy na studiach. Podczas tych spotkań żartowała i wygłaszała kontrowersyjne sądy, udowadniając, że budzące zachwyt dzieła i idee są funta kłaków warte, za to w dorobku jakiegoś mało znanego współczesnego twórcy lub zapomnianego artysty z zeszłego wieku można znaleźć rzeczy nadzwyczajne. Określenie „nadzwyczajny” było w jej ustach równoznaczne z najwyższą pochwałą. Wymawiała je szeptem, który sugerował, że oto właśnie, ku własnemu zaskoczeniu, trafiła na coś wartościowego, co należy absolutnie docenić.

Lekarz wrócił z dwoma krzesłami i przedstawił się w zupełnie naturalny sposób, jakby do tej pory nie miał po temu okazji.

– Eric Asher.

– Jest lekarzem – wyjaśniła Meriel. Już miała zamiar zacząć opowiadać o pogrzebie, wypadku, locie ze Smithers, ale nie dopuszczono jej do głosu.

– Ale niech się pani nie obawia, nie jestem tu służbowo – dodał.

– Ach, nie – odparła ciotka Muriel. – Przyszedł pan z nią.

– Tak – przyznał.

W tym momencie sięgnął w stronę krzesła Meriel i ujął jej dłoń, by przez chwilę przytrzymać ją w silnym uścisku, a potem puścić. Po czym zwrócił się do ciotki Muriel:

– Jak pani to odgadła? Po moim oddechu?

– Odgadłam – powiedziała z lekkim zniecierpliwieniem. – Ze mnie też był kiedyś kawał czorta.

Jej głos – słyszalne w nim drżenie lub chichot – w niczym nie przypominał głosu, jaki pamiętała Meriel. Jakby w tej nagle dla niej obcej kobiecie warzyła się zdrada. Zdrada wobec przeszłości, może wobec pamięci matki Meriel lub przyjaźni, jaką ta żywiła do osoby wyższej od niej rangą. A może zdrada wobec tamtych obiadów z samą Meriel, wyrafinowanych rozmów. Meriel przeczuwała jakieś poniżenie. Czuła z tego powodu irytację, niejasne podeksycytowanie.

– Och, miałam kiedyś przyjaciół – mówiła ciotka.

– Miałaś wielu przyjaciół – dodała Meriel i wymieniła kilka nazwisk.

– Nie żyją – skwitowała ciotka.

Meriel zaprzeczyła; niedawno czytała w gazecie o jakiejś wystawie retrospektywnej czy nagrodzie.

– Tak? Sądziłam, że on nie żyje. Może go z kimś mylę... Znał pan Delaneyów?

Zwracała się bezpośrednio do mężczyzny, nie do Meriel.

– Nie sądzę – przyznał. – Nie.

– Mieli posiadłość, gdzie wszyscy bywaliśmy, na Bowen Island. Delaneyowie. Myślałam, że może pan o nich słyszał. Cóż. Różne rzeczy się tam działy. O to mi właśnie chodziło, gdy mówiłam, że był ze mnie kiedyś kawał czorta. O przygody. Niby przygody, ale wszystko działo się wedle ustalonego scenariusza, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Czyli w rzeczywistości nie były dla nas aż takim zaskoczeniem. Oczywiście wszyscy upijaliśmy się w sztok. Ale zawsze musiały być zapalone świece w krąg i oczywiście muzyka. Coś jakby rytuał. Ale nie do końca. Nie chodzi mi o to, że nie można było spotkać kogoś nowego i posłać scenariusz do diabła. Spotkać kogoś po raz pierwszy w życiu i zacząć się całować bez pamięci, i uciec do lasu. W ciemność. Daleko nie dało się uciec. Mniejsza o to. Nieważne.

Chwycił ją kaszel. Próbowwała mówić, ale nie mogła; poddała się. Doktor wstał i parę razy klepnął ją wprawnie w pochylone plecy. Kaszel przeszedł w jęknięcie.

– Już mi lepiej – powiedziała. – Ach, człowiek wiedział, co robi, ale udawał, że nie wie. Pewnego razu zawiązali mi oczy. Nie w lesie, w domu. Nie miałam nic przeciwko temu, zgodziłam się. Ale nie za bardzo to wyszło; i tak wiedziałam. Zresztą nie było tam nikogo, kogo i tak nie potrafiłabym rozpoznać.

Ponownie zaczęła kaszleć, choć już nie tak gwałtownie. Potem uniosła głowę, oddychała głęboko i głośno przez parę chwil, trzymając ręce w górze, jak gdyby po to, by zawiesić rozmowę, bo miała jeszcze coś ważnego do dodania. Ale w końcu tylko się roześmiała i powiedziała:

– Teraz mam na stałe związane oczy. Zaćma. Nikt mnie na jej konto nie wykorzystuje, w żadnej orgii, o jakiej by mi było wiadomo.

– Kiedy zaczęła się rozwijać? – zapytał lekarz z pełnym szacunku zainteresowaniem; ku wielkiej uldze Meriel pograżyli się w fachowej konwersacji na temat narastania i usuwania zaćmy, wskazań i przeciwwskazań do operacji oraz na temat nieufności ciotki Muriel wobec okulisty, którego przeflancowano – jak się wyraziła – by zajmował się ludźmi w tym miejscu. Sprośne rojenia – bo tak oceniła jej słowa Meriel – bez najmniejszej trudności przeszły w medyczną pogawędkę, miło pesymistyczną ze strony ciotki Muriel i ostrożnie krzepiącą ze strony lekarza. Podobne rozmowy musiały się często toczyć w tych murach.

Po jakimś czasie Meriel i lekarz wymienili spojrzenia, w których kryło się pytanie, czy odwiedziny nie przeciągnęły się zbyt długo. Spojrzenia ukradkowe, niemal małżeńskie; ich maskarada i mdła intymność wydawała się podniecająca tym dwojgu, którzy przecież małżeństwem nie byli.

Już zaraz.

Ciotka Muriel przejęła inicjatywę.

– Wybaczcie, to niegrzecznie z mojej strony – powiedziała – ale muszę powiedzieć, że trochę się zmęczyłam.

W jej zachowaniu nie zostało już nic z tej osoby, która rozpoczęła pierwszą część rozmowy. Meriel, rozkojarzona, nienaturalna, z niesprecyzowanym poczuciem wstydu, pochyliła się nad nią i pocałowała ją na pożegnanie. Miała przeczucie, że już nigdy nie zobaczy ciotki Muriel, i nie zobaczyła.

Za rogiem, za otwartymi na oścież drzwiami pokoiów pensjonariusze leżeli w łóżkach i spali, a może ich obserwowali. Lekarz dotknął ją między łopatkami i przesunął dłonią po jej plecach, aż do talii. Zdała sobie sprawę, że pociągał za tkaninę sukienki, która przykleiła się do jej wilgotnej skóry, kiedy opierała się o krzesło. Sukienka była też wilgotna pod pachami.

Musiała pójść do łazienki. Rozejrzała się za toaletą dla gości, którą chyba widziała, kiedy wchodzili.

Tam. Miała rację. Poczwała ulgę, ale i trudność, bo nieoczekiwanie musiała opuścić sferę jego obecności i powiedzieć „Zaraz wracam” głosem, który wydał jej się odległy i spięty. Przytaknął, po czym szybko skierował się w stronę drzwi „Dla mężczyzn”, a czułość tamtej chwili ulotniła się.

Kiedy wyszła na gorące słońce, on spacerował koło samochodu, paląc papierosa. Do tej pory nie palił – w domu rodziców Jonasa, w drodze tutaj, ani u ciotki Muriel. Było w tym goście jakieś zdystansowanie, niecierpliwość, może chęć skończenia wreszcie z jedną rzeczą i przejścia do drugiej. Nie była pewna, czy była tą drugą rzeczą, czy tą, z którą należało skończyć.

– Dokąd jedziemy? – zapytał, gdy ruszyli. Po czym dodał, jak gdyby uznał, że odezwał się zbyt

szorstko: – Dokąd chciałabyś pojechać? – Brzmiało to prawie tak, jakby zwracał się do dziecka lub do ciotki Muriel – do kogoś, komu miał zapewnić zajęcie na popołudnie.

– Nie wiem – odpowiedziała Meriel, jak gdyby nie pozostało jej nic innego, jak zachowywać się niczym kapryśne dziecko. Powstrzymywała w sobie jęk rozczarowania, krzyk pożądania. Pożądania, które do tej pory odzywało się nieśmiało i sporadycznie, choć w sposób nieunikniony, teraz jednak nagle okazało się niestosowne, jednostronne. Dłonie na kierownicy znów należały tylko do niego, jakby jej wcale nie dotknął.

– Co powiesz na Stanley Park? – zaproponował. – Nie prześzłabyś się?

– Och, Stanley Park – ożywiła się. – Wieki całe tam nie byłam. – Jak gdyby pomysł wydał jej się znakomity i nie potrafiła wyobrazić sobie nic lepszego. Po czym pogorszyła sprawę, dodając: – Taki cudowny dzień.

– Tak. To prawda.

Rozmawiali jak karykatury samych siebie; to było nie do zniesienia.

– W samochodach do wynajęcia nie ma radia. To znaczy, czasem jest. A czasem nie.

Kiedy przejeżdżali przez most Lion's Gate, otworzyła okno. Zapytała, czy mu to nie przeszkadza.

– Nie. Zupełnie nie.

– To dla mnie zawsze oznacza lato. Gdy można otworzyć okno i wystawić łokieć, a do środka wpada wiatr. Chyba nigdy nie przyzwyczaję się do klimatyzacji.

– W niektórych temperaturach można się przyzwyczaić.

Zmuszała się do milczenia do czasu, aż znaleźli się w parkowym lesie, którego wysokie, grube drzewa mogłyby wchłonąć niemądre słowa i wstyd. Wtedy zepsuła wszystko zbyt afirmatywnym westchnieniem.

– Punkt widokowy Prospect Point – przeczytał na głos tabliczkę.

Ludzi kręciło się mnóstwo, choć było to majowe popołudnie w środku tygodnia, a wakacje jeszcze się nie zaczęły. Za chwilę być może to skomentują. Parking przed restauracją był pełen samochodów, a do platformy widokowej z lornetkami na monety ustawiały się kolejki.

– O, tam. – Jakiś samochód wyjeżdżał z parkingu. Przez chwilę nie trzeba było nic mówić, kiedy manewrował, by zaparkować w dość ciasnym miejscu. Wysiedli równocześnie, obeszlili samochód i spotkali się na chodniku. Obrócił się w jedną i drugą stronę, jak gdyby decydując, którądy pójść. Wszystkie ścieżki pełne były spacerowiczów.

Nogi jej drżały, nie mogła już tego dłużej znieść.

– Weź mnie gdzieś indziej – powiedziała. Spojrzał jej w twarz.

– Dobrze.

Tam, na chodniku, na oczach całego świata. Całowali się jak szaleńcy.

„Weź mnie” – powiedziała. „Weź mnie gdzieś indziej”, a nie: „Pojedźmy gdzieś indziej”. To dla

niej ważne. To ryzyko, przekazanie władzy. Pełne ryzyko i całkowite przekazanie. „Pojedźmy” zawierałoby ryzyko, ale nie poddanie się, które we wszystkich wspomnieniach tej chwili było dla niej początkiem erotycznego poślizgu. A gdyby on też się poddał? *Gdzie* indziej? To by jej również nie odpowiadało. Musiał powiedzieć to, co rzeczywiście powiedział. Musiał odpowiedzieć: „Dobrze”.

Wziął ją do mieszkania, w którym się zatrzymał, w Kitsilano. Należało do kolegi pływającego akurat na kutrze rybackim, gdzieś na zachód od wyspy Vancouver. Budynek był niewielki, schludny, dwu- czy trzypiętrowy. Miała z niego zapamiętać tylko luksfery wokół głównego wejścia oraz nowoczesną jak na tamte czasy, solidną wieżę hi-fi, która zdawała się stanowić jedyne umeblowanie salonu.

Wolałaby inną scenerię, i taką właśnie umieszczała w swoich wspomnieniach. Wąski, pięcio- czy sześciopiętrowy, swego czasu modny hotel w zachodniej części Vancouver. Pożółkłe firanki, wysokie sufity, być może żelazna krata na części okna – namiastka balkonu. Nic nieprzyzwoitego czy niegodnego, jedynie atmosfera schronienia udzielanego od dawna osobistym nieszczęściom i winom. Musiałaby przejść przez niewielki hol z opuszczoną głową i rękoma przyciśniętymi do boków, z całym ciałem przesiąkniętym dotkliwym wstydem. On zaś rozmawiałby z recepcjonistą niskim głosem, który nie sugerowałby celu ich wizyty, ale go też nie ukrywał ani za niego nie przeproszał.

Potem jazda starą windą, obsługiwaną przez starszego windziarza, albo windziarkę, może inwalidkę, przebiegłą służkę występku.

Po co przywoływała, dodawała tę scenę? Dla tej chwili zdemaskowania, przeszywającego poczucia wstydu i dumy, które opanowało jej ciało, gdy przechodziła przez ten (wyimaginowany) hol; dla dźwięku jego głosu, dla rozwagi i przekonania, z jakimi wypowiadał do recepcjonisty słowa, których ona dokładnie nie usłyszała.

Może użył tego tonu w drogerii, parę przecznic od mieszkania, po tym jak zaparkował i powiedział:

– Zaraz wracam.

Sprawy praktyczne, do których w małżeństwie podchodziło się z ciężkim sercem i z niechęcią, mogły w tych innych okolicznościach wywołać w niej delikatne ciepło, nieznane omdlenie i uległość.

Po zmroku została odwieziona z powrotem, przez park i most oraz Zachodnie Vancouver, niedaleko domu rodziców Jonasa. Niemal w ostatniej chwili dotarła do zatoki Horseshoe i weszła na pokład promu. Pod koniec maja dni należą do najdłuższych w roku i pomimo świateł przystani oraz reflektorów samochodów wjeżdżających do wnętrza statku, widziała łunę po zachodniej stronie nieba, a na jej tle odcinający się czarny kształt wyspy – nie Bowen, ale jakiejś innej, której nazwy nie знаła – o gładkich konturach, jak foremka zastygłego budyniu w ujściu zatoki.

Musiała dołączyć do tłumu przepychających się podróżnych, torujących sobie drogę po schodach, a gdy dotarła na pokład pasażerski, usiadła na pierwszym wolnym miejscu, jakie zobaczyła. Nie chciało jej się nawet jak zwykle szukać miejsca przy oknie. Miała przed sobą półtorej godziny, zanim

prom dobieje do brzegu po drugiej stronie przesmyku, i wiele do zrobienia.

Ledwie statek ruszył, pasażerowie obok niej zaczęli rozmawiać. Nie byli to przypadkowi podróżni, którzy spotkali się na promie, lecz przyjaciele lub członkowie rodziny, którzy dobrze się znali i mieli dość tematów do rozmowy na cały rejs. Wstała więc, wyszła na pokład, gdzie zwykle przebywało mniej osób, i usiadła na skrzyni, w której przechowywano kamizelki ratunkowe. Czuła ból tam, gdzie się spodziewała i gdzie się nie spodziewała.

Musiała sobie wszystko przypomnieć, a „przypomnieć” znaczyło doświadczyć czegoś jeszcze raz w myślach, a następnie ukryć to na zawsze. Uporządkować przeżycia całego dnia, nie pozostawiając niczego luzem, na boku, zebrać całość jak skarb, zamknąć i odłożyć.

Trzymała się dwóch przepowiedni: pierwszej wygodnej, drugiej – w tej chwili dość łatwej do przyjęcia, z czasem niewątpliwie trudniejszej.

Jej małżeństwo z Pierrem przetrwa, utrzyma się.

Nigdy więcej nie zobaczy Ashera.

Obie się sprawdziły.

Jej małżeństwo faktycznie trwało – przeszło trzydzieści lat po tym zdarzeniu, do śmierci Pierre'a. Na początku choroby, gdy czuł się jeszcze względnie dobrze, czytała mu – głównie książki, które oboje znali z dawnych lat i do których mieli ochotę wrócić. Wśród nich *Ojców i dzieci*. Po scenie, w której Bazarów wyznaje miłość Annie Siergiejewnej, co ta przyjmuje z przerażeniem, rozgorzała między nimi dyskusja. (Nie kłótnia – na to stali się zbyt delikatni).

Meriel wolałaby, żeby scena miała inny przebieg. Nie wierzyła, że Anna mogła zareagować ten sposób.

– To interwencja pisarza – stwierdziła. – Zwykle nie czuję tego u Turgieniewa, ale tu mam wrażenie, że autor wkracza i brutalnie ich rozdziela, i to dla jakichś własnych powodów.

Pierre uśmiechnął się blado. Każdy wyraz twarzy stawał się u niego umowny.

– Myślisz, że by uległa? – spytał.

– Nie. Nie: uległa. Nie wierzę jej, myślę, że czuje to samo, co on. Zrobiliby to i już.

– Jakie to romantyczne. Naciągasz fakty, by doprowadzić do szczęśliwego zakończenia.

– Nie mówiłam nic o zakończeniu.

– Posłuchaj – podjął Pierre cierpliwie. Lubił takie rozmowy, ale wiele go one kosztowały; musiał co chwila odpoczywać i zbierać siły. – Jeśli Anna by ustąpiła, to dlatego, że go kochała. Po tym wszystkim kochałaby go bardziej. Czy nie takie są kobiety? To znaczy, gdy są zakochane. A co on by zrobił? Następnego ranka wyjechałby, może nawet nie zamieniając z nią ani słowa. Taka jest jego natura. Nienawidzi tego, że ją kocha. Dlaczego więc takie zakończenie miałyby być lepsze?

– Bo coś by im pozostało. Wspólne doświadczenie.

– On by szybko zapomniał, a ona umarłaby ze wstydu, ze świadomości bycia odrzuconą. Jest

inteligentna. Wie o tym.

- Tak – powiedziała Meriel, przerywając na chwilę, bo poczuła się przyparta do muru. – Turgieniew tego nie mówi. Mówi, że Anna jest całkowicie zaskoczona. Chłodna.
- Jest chłodna dzięki swojej inteligencji. W odniesieniu do kobiety „inteligentna” znaczy chłodna.
- Nie.
- Mam na myśli wiek dziewiętnasty. W dziewiętnastym wieku znaczyło właśnie to.

Tamtej nocy na promie, kiedy miała nadzieję, że wszystko sobie poukłada, niczego takiego nie zrobiła. Musiała przywołać ponownie – fala po fali – intensywne wspomnienia. I to właśnie miała czynić – z czasem coraz rzadziej – w nadchodzących latach. Zbierać rzeczy, które jej umknęły i które wciąż nią wstrząsały. Słyszeć lub widzieć na nowo: swój szept, spojrzenia, którymi się rozpoznawali lub wzajemnie zachęcali. Spojrzenia na swój sposób chłodne, a mimo to pełne szacunku i bliższe niż jakiegokolwiek wymieniane przez małżonków lub osoby, które są sobie nawzajem coś winne.

Wspominała jego orzechowoszare oczy, oglądaną z bliska szorstką skórę, starą okrągłą bliznę przy nosie, gładką szerokość jego klatki piersiowej, gdy się znadniej unosił. Ale nie potrafiła trafnie opisać jego wyglądu. Tak mocno, od samego początku, odczuwała jego obecność, że zwykła obserwacja nie była możliwa. Nagłe wspomnienie choćby pierwszych, niepewnych chwil między nimi wciąż sprawiało, że zwijała się w sobie, jakby chroniąc brutalne zaskoczenie własnego ciała, wybuch pożądania. „Ko–cha–ny–ko–cha–ny”, powtarzała w szorstki, mechaniczny sposób, słowa jak tajemny okład.

Kiedy ujrzała jego zdjęcie w gazecie, nie przeszył jej nagły ból. Wycinek przysłała matka Jonasa; do końca życia starała się utrzymywać z nimi kontakt, przypominając im, kiedy tylko mogła, o Jonasie. „Pamiętacie doktora z pogrzebu Jonasa?”, napisała nad wydrukowanym drobnym drukiem tytułem. „Śmierć lekarza z północy w wypadku lotniczym”. Była to z pewnością stara fotografia, którą dodatkowo rozmyła reprodukcja w gazecie. Raczej pełna twarz, uśmiechnięta – czego nie spodziewałaby się po nim wobec obiektywu aparatu. Nie zginął we własnym samolocie, ale w helikopterze, którym leciał na miejsce wypadku. Pokazała wycinek Pierre'owi.

- Dowiedziałeś się w ogóle, po co on przyjechał na ten pogrzeb? – zapytała.
- Może się kumplowali. Jak wszyscy ci straceńcy na dalekiej północy.
- O czym z nim rozmawiałeś?
- Opowiedział mi, jak wziął kiedyś Jonasa ze sobą, by uczyć go latania. Powiedział: „Nigdy więcej”.

Po chwili Pierre zapytał:

- Czy on cię dokądś nie odwoził? Dokąd?
- Do Lynn Valley. Do ciotki Muriel.

– I o czym mówiliście?

– Ciężko się z nim rozmawiało.

Fakt, że umarł, nie wpłynął jakoś specjalnie na jej fantazje, jeśli tak można je określić. Marzenia, w których wyobrażała sobie spotkania, przypadkowe, a nawet uzgadniane na przekór wszystkiemu, nigdy nie miały oparcia w rzeczywistości i nie zostały skorygowane z powodu jego śmierci. Musiały się po prostu wyczerpać w niepojęty dla niej sposób, na który nie miała wpływu.

Gdy wracała tego wieczoru do domu, zaczęło lekko padać. Została na zewnątrz, na pokładzie. Podniosła się i zaczęła spacerować, ale nie mogła już na powrót usiąść na skrzyni z kamizelkami ratunkowymi, nie mocząc sobie sukienki. Patrzyła więc na pianę, mieloną przez śrubę statku, i myślała, że w pewnego typu historiach – jakich się już nie pisało – powinna teraz rzucić się do wody. Tak, jak stała – wypełniona po brzegi szczęściem, zaspokojona, jak nigdy w życiu już pewnie nie będzie, z każdą komórką ciała nasyconą słodkim poczuciem własnej wartości. Taki romantyczny postępek można by uznać – z zakazanego punktu widzenia – za w najwyższym stopniu racjonalny.

Czy odczuwała pokusę? Prawdopodobnie tylko wyobrażała sobie, że tak. Prawdopodobnie do tego, by mogła jej ulec, było bardzo daleko, choć uległość wpisana była w porządek owego dnia.

Dopiero po śmierci Pierre'a przypomniała sobie jeszcze jeden szczegół.

Asher przywiózł ją do zatoki Horseshoe, na prom. Wysiadł z samochodu i przeszedł na jej stronę. Stała tam, chcąc się z nim pożegnać. Zrobiła ruch w jego stronę, by go pocałować – co byłoby czymś naturalnym, zważywszy na ostatnie kilka godzin – on jednak powiedział: „Nie”.

– Nie. Nigdy tego nie robię.

Oczywiście nie było prawdą, że nigdy tego nie robił. Że nigdy nie całował kogoś publicznie, gdzie każdy mógł go zobaczyć. Zrobił to tego samego popołudnia, na Prospect Point.

„Nie”.

Po prostu. Ostrzeżenie. Odmowa. Chroniąca chyba zarówno ją, jak i jego. Nawet jeśli wcześniej tamtego dnia nie zaprzętał sobie tym głowy.

„Nigdy tego nie robię” oznaczało coś zupełnie innego. Inny rodzaj przestrogi. Informację, która nie mogła jej uszczęśliwić, choć przypuszczalnie została wypowiedziana po to, by ustrzec ją przed popełnieniem poważnego błędu. Przed fałszywymi oczekiwaniami i upokorzeniem w konsekwencji błędu określonego rodzaju.

Jak się w takim razie pożegnali? Czy uścisnęli sobie dłonie? Nie pamiętała.

Ale słyszała jego głos, lekkość, a mimo to powagę tonu, widziała jego zdecydowaną, miłą twarz, czuła nieznaczne odsunięcie się poza zasięg jej bliskości. Nie wątpiła w prawdziwość tego wspomnienia. Nie mogła zrozumieć, jak potrafiła tak skutecznie je w sobie zagłuszyć, przez cały ten czas.

Pomyślała, że gdyby tego nie dokonała, jej życie mogłoby się potoczyć inaczej.

Jak?

Mogła nie zostać z Pierre'em. Mogła nie zdołać zachować równowagi. Próba dopasowania słów, jakie padły przy promie, do tego, co zostało powiedziane i zrobione wcześniej, mogła obudzić w niej większy niepokój i ciekawość. Mogły też zagrać duma i przekora – pragnienie, by jakiś mężczyzna odwołał swe słowa, by nie musiało to być dla niej nauzką – ale to nie byłoby wszystko. Mogła prowadzić inne życie – co nie znaczy, że by je wolała. Pewnie z racji wieku (którego zawsze zapominała wziąć pod uwagę) i ponieważ od śmierci Pierre'a oddychała rzadszym, chłodnym powietrzem, ten inny rodzaj życia potrafiła wyobrazić sobie po prostu jako swoistą pracę badawczą, z jej wzlotami i upadkami.

Być może zresztą nie było aż tak wiele do odkrywania. Może była to wciąż ta sama rzecz, jakiś oczywisty, choć niepokojący fakt dotyczący własnej osoby. W jej przypadku fakt ten sprowadzał się do tego, że przez cały czas kierowała się ostrożnością, a przynajmniej w oszczędny sposób gospodarowała emocjami.

Ten jego nieznaczny ochronny gest, to uprzejme, a zarazem kategoryczne ostrzeżenie, pewna sztywność, trochę za bardzo u niego utrwalona, jak u staroświeckiego dandysa. Mogła widzieć go teraz w świetle codziennej mistyfikacji, jakby był jej mężem.

Zastanawiała się, czy taki pozostanie, czy może miała dla niego w zanadrzu jakąś nową rolę, jakiś nowy sposób spożytkowania go w myślach, w czasie, jaki jeszcze miała przed sobą.

Queenie

– Może lepiej już mnie tak nie nazywaj – powiedziała Queenie, gdy spotkałyśmy się na Union Station.

– Jak? Queenie?

– Stanowi się nie podoba – wyjaśniła. – Mówi, że to brzmi jak imię dla konia.

Dla mnie jeszcze dziwniej niż to, że Queenie nie nazywa się już Queenie, tylko Lena, zabrzmiało imię „Stan”. Ale przecież nie mogłam oczekiwać, że po półtora roku małżeństwa nadal będzie mówiła o mężu „pan Vorguilla”. Nie widziałam jej przez ten czas i gdy wreszcie dostrzegłam ją wśród ludzi czekających na peronie, ledwo ją poznałam.

Była ufarbowana na czarno i utapirowana w stylu, jaki w tamtych latach zastąpił ul. Piękny kolor zboża – złocisty na wierzchu, ciemniejszy pod spodem – zniknął z jej włosów na zawsze, wraz z jedwabistą długością. Miała na sobie żółtą wzorzystą sukienkę, kończącą się sporo powyżej kolan, i wyglądała w niej na szczuplejszą. Grube kreski dla Kleopatra i fioletowy cień na powiekach sprawiały, że jej oczy wydawały się mniejsze, a nie większe, jakby zostały celowo ukryte pod makijażem. I miała przekłute uszy; kołysały się w nich złote koła.

Zauważyłam, że ona też patrzy na mnie z pewnym zdziwieniem. Spróbowałam być śmiała i bezpośrednia.

– To sukienka, czy tylko falbanka wokół pupy? – spytałam. Roześmiała się, a ja dorzuciłam: – Ale gorąco było w tym pociągu. Jestem spocona jak mysz.

Mój głos, nosowy i serdeczny, zabrzmiał dla mnie jak głos mojej macochy, Bet.

„Spocona jak mysz”.

Potem, gdy jechałyśmy tramwajem do domu Queenie, też zachowywałam się jak idiotka.

– Jesteśmy jeszcze w centrum? – zapytałam.

Nie było już widać żadnych wysokich budynków, ale nie nazwałabym tej dzielnicy willową. Za oknem przesuwały się w kółko takie same budynki i sklepy – pralnia chemiczna, kwiaciarnia, warzywniak, restauracja. Na chodnikach stragany z owocami i warzywami, w oknach na pierwszym piętrze tabliczki gabinetów dentystycznych i hydraulików, szyldy pracowni krawieckich. Prawie żadnych wyższych budynków, żadnej zieleni.

– To nie jest właściwe centrum – odpowiedziała Queenie. –Pamiętasz, gdzie był Simpson? Pokazywałam ci. Tam, gdzie wsiadłyśmy do tramwaju. To jest centrum.

– Więc to już niedaleko? – zapytałam.

– Nie, jeszcze kawałek – odparła.

– Daleko – dodała po chwili. – Stan nie lubi, kiedy mówię „kawałek”.

Monotonny widok za oknem, a może upał, sprawił, że poczułam niepokój i lekkie mdłości.

Trzymałyśmy moją walizkę na kolanach; kilka centymetrów od moich palców znajdował się gruby kark i łysina innego pasażera. Do potylicy przylgnęło mu kilka czarnych, spoconych kosmyków. Nie wiem, dlaczego pomyślałam o zębach pana Vorguilla leżących na półce w apteczce, które raz pokazała mi Queenie, gdy pracowała u tych ludzi – swoich sąsiadów – jako pomoc domowa. To było na długo przedtem, zanim pan Vorguilla mógł być przez kogoś tutaj nazywany Stanem.

Dwa złęczone zęby leżały obok brzytwy, pędzla do golenia i drewnianej miseczki, w której trzymał swoje obrzydliwe, oblepione włosami mydło.

– To jego mostek – powiedziała Queenie.

Mostek?

– Złęczone zęby.

– Fuj – skrzywiłam się.

– Zapasowe – powiedziała. – Drugie nosi.

– Fuj! Takie żółte?

Queenie zakryła mi usta dłonią. Nie chciała, żeby pani Vorguilla nas usłyszała. Pani Vorguilla leżała na kanapie w jadalni piętro niżej. Prawie zawsze miała zamknięte oczy, ale mogła nie spać.

Kiedy w końcu wysiadłyśmy z tramwaju, musiałyśmy ruszyć pod górę stromą ulicą, próbując wspólnie taszczyć walizkę. Domy nie były identyczne, chociaż takie się wydawały na pierwszy rzut oka. W niektórych dach zacieśniał ściany jak daszek czapki, w innych całe drewniane górne piętro stanowiło poddasze. Deski pomalowane były na głęboką zieleń albo ciemniejszy lub jaśniejszy brąz. Frontowe werandy kończyły się o krok od chodnika, a domy dzieliła tak niewielka przestrzeń, że wystawiając rękę z bocznego okna, można by ucisnąć dłoń sąsiadowi. Na chodniku bawiła się gromadka dzieci, ale Queenie nie zwróciła na nie większej uwagi, niż gdyby dreptało tam stadko gołębi. Jakiś gruby mężczyzna, rozebrany do pasa, siedział na stopniach ganku i wpatrywał się w nas tak ponuro i uporczywie, że tylko czekałam, aż się do nas odezwie. Queenie przemaszerowała mu przed nosem jakby nigdy nic.

Mniej więcej w połowie wzgórza skręciła w zwirową alejkę pomiędzy kubłami na śmieci. Jakaś kobieta zawołała coś do nas z górnego okna. Nie zrozumiałam ani słowa.

– To moja siostra, przyjechała w odwiedziny – odkrzyknęła jej Queenie.

– Właścicielka domu – wyjaśniła, – Mieszkają od frontu na piętrze. To Grecy. Ona prawie nie mówi po angielsku.

Okazało się, że Queenie i pan Vorguilla dzielą z Grekami łazienkę. Idąc do ubikacji, trzeba było mieć ze sobą własny papier toaletowy; jeśli się zapomniało, nie było żadnego. Od razu poszłam do ubikacji, bo miałam obfitą miesiączkę i musiałam natychmiast zmienić podpaskę. Jeszcze wiele lat później na wspomnienie podmiejskich uliczek w upalny dzień, niektórych odcieni brązowej cegły, pomalowanych na ciemno desek oraz dzwonięcia tramwajów wydawało mi się, że czuję skurcze

w dole brzucha, że cieknie ze mnie, jest mi gorąco i nie wiem co robić.

Jeden pokój służył za sypialnię Queenie i pana Vorguilli, drugi pełnił rolę pokoju gościnnego; poza tym była wąska kuchnia i weranda. Na werandzie stało łóżko polowe, tam miałam nocować. Tuż pod oknami właściciel i jego kolega naprawiali motocykl. Zapach oleju, smaru i metalowych części mieszał się z zapachem dojrzewających na słońcu pomidorów. W oknie na górze radio grało na cały regulator.

– To jedyna rzecz, jakiej Stan nie może znieść – powiedziała Queenie. – Tego radia.

Zaciągnęła szczelnie zasłony w kwiaty, ale hałas i słońce nadal wdzierały się do pokoju.

– Szkoda, że nie stać mnie na podwójne zasłony – powiedziała.

Ciągle trzymałam w ręku zużytą podpaskę, owiniętą w papier toaletowy. Queenie przyniosła mi papierową torebkę i wysłała mnie do stojących na zewnątrz kubłów na śmieci.

– Każdą następną też – zaznaczyła. – Od razu tam. Nie zapomnisz, prawda? I nie zostawiaj paczek z podpaskami nigdzie na widoku, dobrze? Stan nie cierpi, kiedy mu się to kładzie przed oczy.

Nadal próbowałam zachowywać się na luzie, udawać, że czuję się jak u siebie.

– Przydałaby mi się taka fajna kiecka jak ta twoja – powiedziałam.

– Może mogłabym ci uszyć coś podobnego – odpowiedziała Queenie z głową w lodówce. – Ja piję colę, a ty? Kupuję materiały w punkcie, gdzie sprzedają końcówki serii. Na tę sukienkę wydałam może trzy dolary. Jaki masz teraz rozmiar, tak na wszelki wypadek?

Wzruszyłam ramionami. Odpowiedziałam, że właśnie się odchudzam.

– Aha. Coś ci znajdziemy

– Chcę się ożenić z jedną panią, która ma córeczkę w podobnym wieku co ty – powiedział mój ojciec. – A ta dziewczynka nie ma swojego taty. Więc musisz mi obiecać, że nigdy, przenigdy nie będziesz jej tego wypominać ani dokuczać jej z tego powodu. Może się zdarzyć, że się pokłócicie albo obrazicie na siebie, jak to bywa między siostrami, ale tej jednej rzeczy nie możesz jej nigdy wypominać. A jeżeli jakieś inne dzieci będą tak mówić, nigdy nie bierz ich strony.

Odpowiedziałam, że ja nie mam mamy i nigdy nikt mi z tego powodu nie dokuczał.

– To co innego – powiedział ojciec.

Pomylił się we wszystkim. Wcale nie byliśmy w zbliżonym wieku, bo Queenie miała dziewięć lat, a ja sześć, gdy ojciec ożenił się z Bet. Chociaż później, gdy ja przeskoczyłam jedną klasę, a Queenie nie zdała do następnej, zbliżyłyśmy się trochę do siebie w szkole. Nigdy też nie spotkałam nikogo, kto chciałby dokuczać Queenie. Była osobą, z którą każdy chciał się kolegować. Wybierano ją pierwszą do drużyny baseballowej, chociaż grała tak sobie, i pierwszą na konkurs ortograficzny, chociaż była słaba z ortografii. I nigdy się nie pokłóciłyśmy. Ani razu. Była dla mnie niezwykle serdeczna, a ja ją ogromnie podziwiałam. Uwielbiałabym ją już choćby za te ciemnoblonde włosy i zawsze trochę senne, ciemne oczy – za sam jej wygląd i za śmiech, słodki i szorstki jak brązowy cukier. Zadziwiające było

to, że przy tych wszystkich atutach potrafiła być ciepła i serdeczna.

Gdy zbudziłam się tego ranka, w dniu zniknięcia Queenie, wczesną zimą, od razu poczułam, że odeszła.

Było jeszcze ciemno, między szóstą a siódmą rano. W domu panował ziąb. Zawinęłam się w obszerny, brązowy wełniany szlafrok, który nosiłyśmy na spólkę. Nazywałyśmy go „Buffalo Bili”, a wkładała go ta, która wcześniej wstała i złapała pierwsza. Jego pochodzenie było niejasne.

– Może jest po jakimś znajomym Bet, z czasów, zanim wyszła za twojego tatę – powiedziała kiedyś Queenie. – Tylko nie mów jej tego, bo mnie zabije.

Łóżko Queenie było puste; nie było jej w łazience. Zeszłam po schodach, ale nie włączyłam światła; nie chciałam budzić Bet. Wyjrzałam przez okienko w drzwiach frontowych. Ścieżka przed domem, chodnik i szary trawnik pokryte były lśniącem szronem. Śnieg się spóźniał. Włączyłam ogrzewanie w holu; jego pomruk podziałał na mnie kojąco. Niedawno zainstalowaliśmy ogrzewanie olejowe i ojciec mówił, że ciągle jeszcze budzi się o piątej nad ranem, z myślą, że już czas wstawać, zejść do piwnicy i napalić w piecu.

Ojciec sypiał w dawnej spiżarni, niewielkim pomieszczeniu, do którego wchodziło się z kuchni. Miał tam metalowe łóżko i krzesło ze złamanym oparciem. Leżała na nim sterta starych numerów „National Geographic”, które czytał, gdy nie mógł zasnąć. Zapalał i gasił górne światło za pomocą sznurka przywiązanego do poręczy łóżka. Cały ten wystrój wydawał mi się normalny i odpowiedni dla głowy rodziny, ojca. Ktoś taki powinien spać jak strażnik, przykryty szorstkim kocem, owiany zgoła nie domowym zapachem smaru do maszyn i tytoniu. Czytać i czuwać do późna, i być czujnym nawet we śnie.

Ale nawet on nie usłyszał Queenie. Powiedział, że musi być gdzieś w domu.

– Sprawdziałaś w łazience?

– Nie ma jej tam – odpowiedziałam.

– To może jest u mamy. Może Bet znowu coś napadło.

Ojciec mówił, że Bet coś napadało, gdy ta budziła się – albo nie do końca się budziła – ze złego snu. Wypadała wtedy z pokoju, półprzytomna, nie umiejąc powiedzieć, co ją przestraszyło, i tylko Queenie potrafiła zaprowadzić ją z powrotem do łóżka. Potem kładła się obok niej, przytulona do jej pleców, i mruzczała kojąco, jakby szczeniaczek chleptał mleko; rano Bet niczego nie pamiętała.

Zapaliłam górne światło w kuchni.

– Nie chciałam jej budzić – powiedziałam. – To znaczy Bet.

Popatrzyłam na pojemnik na chleb – jego dno trochę rdzewiało, zbyt wiele razy przetarte wilgotną ściereczką – na kubki stojące na kuchence, umyte, lecz nieodłożone do szafki, i na dewizę mleczarni Fairholme na kartoniku mleka: „Pan jest sercem tego domostwa”. Wszystkie te rzeczy czekały głupio na rozpoczęcie dnia, nieświadome, że wydarzyła się katastrofa.

Zasuwka w drzwiach na boczną werandę była odsunięta.

– Ktoś tu wszedł – powiedziałam. – Ktoś wszedł i zabrał Queenie.

Ojciec wyszedł z kuchni w spodniach naciągniętych na kalesony. Z korytarza dobiegło szuranie kapci Bet, która zbliżała się, zapalając po drodze światła, owinięta w szlafrok frotte.

– Nie ma u ciebie Queenie? – zapytał ją ojciec. A zwracając się do mnie, zauważył:

– Te drzwi można otworzyć tylko od wewnątrz.

– A co jest z Queenie? – zapytała Bet.

– Może poszła się przejść – wyraził przypuszczenie ojciec.

Bet puściła tę uwagę mimo uszu. Twarz miała pokrytą jakąś zaschniętą różową mazią. Pracowała jako konsultantka w firmie kosmetycznej i każdy produkt, który miała sprzedawać, testowała najpierw na sobie.

– Idź do Vorguillów – poleciła mi. – Może przypomniła sobie o czymś, co miała jeszcze u nich zrobić.

Od pogrzebu pani Vorguilli minął może tydzień, ale Queenie nadal tam pomagała, tym razem przy pakowaniu naczyń, zasłon i pościeli, bo pan Vorguilla przeprowadzał się z domu do mieszkania. W szkole, gdzie uczył, trwały właśnie przygotowania do koncertów bożonarodzeniowych, więc nie miał czasu pakować wszystkiego sam. Bet była zdania, że Queenie powinna dać sobie z tym spokój i teraz, w okresie świątecznym, raczej poszukać pracy w sklepie.

Włożyłam stojące koło drzwi gumowce ojca, zamiast iść na piętro po swoje buty. Przeczłapałam w nich przez podwórze i zadzwoniłam do drzwi państwa Vorguillów. Dzwonek wygrywał melodię, co miało zaświadczać o muzykalności domowników. Owinęłam się szczelniej Buffalo Billem z błagalnym: „Och, Queenie, Queenie, zapal światło”. Nie pomyślałam, że gdyby Queenie już coś tam robiła, to światło byłoby włączone.

Żadnej odpowiedzi. Załomotałam do drzwi. Pan Vorguilla nie będzie w dobrym humorze, gdy go wreszcie zbudzę. Przycisnęłam ucho, nasłuchując dźwięków z wewnątrz.

– Panie Vorguilla! Panie Vorguilla! Przepraszam, że pana budzę, panie Vorguilla. Czy jest tam kto?

W sąsiednim domu ktoś podniósł w górę okno. Mieszkał tam stary kawaler, pan Hovey, ze swoją siostrą.

– Oczu nie masz? – zawołał do mnie. – Popatrz na podjazd.

Nie było samochodu pana Vorguilli.

Pan Hovey zatrzaskał okno.

Gdy wróciłam do kuchni, Bet i ojciec siedzieli przy stole. Przed nimi stały filiżanki z herbatą. Przez chwilę pomyślałam, że alarm minął. Że może ktoś zadzwonił z jakąś uspokajającą informacją.

– Pana Vorguilli nie ma w domu – powiedziałam. – Nie ma jego samochodu.

– To już wiemy – odrzekła Bet. – Wiemy już wszystko.

– Spójrz – zwrócił się do mnie ojciec, popychając w moją stronę kartkę papieru.

„Wychodzę za pana Vorguillę – przeczytałam. – Wasza kochająca Queenie”.

– Leżało pod cukierniczką – dorzucił ojciec.

Bet upuściła łyżeczkę.

– Do sądu go podam! – krzyknęła. – A ją wyślę do poprawczaka. Zadzwoń na policję.

– Ma osiemnaście lat i może wyjść, za kogo chce – powiedział ojciec. – Policja nie robi blokady dróg.

– A kto mówi, że dokądś jada? W motelu się gdzieś zaszyli, ta idiotka i ten stary przyk z wyłupiastymi gałami.

– Mówienie takich rzeczy nie sprowadzi jej tu z powrotem.

– A kto ją tu chce z powrotem? Nie przyjmę jej, choćby mnie błagała na kolanach. Jak sobie pościeliła, tak się wyśpi, z tym swoim wytrzeszczeni. Może ją pieprzyć nawet przez ucho, jeśli o mnie chodzi.

– Wystarczy – przerwał jej mój ojciec.

Queenie przyniosła mi colę i dwie pastylki przeciwbólowe.

– To niesamowite, jak te bóle miesiączkowe mijają, kiedy wyjdiesz za mąż – zapewniła. – A więc ojciec powiedział ci o nas?

Kiedy powiedziałam ojcu, że mam zamiar poszukać pracy wakacyjnej przed rozpoczęciem nauki w kolegium nauczycielskim jesienią, odparł, że mogłabym pojechać do Toronto i sprawdzić, co słyhać u Queenie. Że Queenie napisała do niego, na adres jego firmy przewozowej, pytając, czy nie pożyczylby im trochę pieniędzy, żeby jakoś dotrwali do wiosny.

– Nigdy bym nie napisała, gdyby Stan nie dostał zapalenia płuc – powiedziała Queenie.

– To była pierwsza wiadomość od ciebie – odrzekłam. Łzy napłynęły mi do oczu, sama nie wiem dlaczego. Może dlatego, że byłam taka szczęśliwa, gdy się dowiedziałam, gdzie są, tak samotna, zanim się tego dowiedziałam, a może dlatego, że czekałam, aż doda: „Oczywiście zawsze chciałam skontaktować się z t o b ą”, i nie doczekałam się.

– Bet o niczym nie wie – wyjaśniłam. – Myśli, że jestem tutaj sama.

– Mam nadzieję, że nie – powiedziała chłodno Queenie. – To znaczy, mam nadzieję, że nie wie.

Miałam jej tyle rzeczy do zrelacjonowania, o tym co w domu. Opowiedziałam jej, że firma przewozowa rozrosła się z trzech samochodów do kilkunastu, że Bet kupiła futro z piżmaków i rozwinęła interes, zakładając w domu gabinet kosmetyczny. W tym celu zajęła spiżarnię, w której kiedyś sypiał ojciec, a on przeniósł łóżko polowe i stertę „National Geographic” do swego biura – lotniczej przyczepy, którą przyholował na parking dla ciężarówek. Siedząc przy kuchennym stole, gdzie uczyłam się do matury, słyszałam, jak Bet mówi: „Z tak delikatną cerą nie powinna pani nawet myśleć o wycieraniu twarzy ręcznikiem”, by następnie wcisnąć klientce o twarzy czerwonej jak surowe mięso kilka kremów i toników. A przy innej okazji, z nie mniejszym uczuciem, ale bardziej

zgaszonym głosem: „Mówię pani, spotkałam zło wcielone, diabeł mieszkał tu obok, drzwi w drzwi, a ja niczego nie podejrzewałam, bo czegoś takiego człowiek się nie spodziewa, prawda? Ja zawsze myślę o ludziach jak najlepiej. Aż do chwili, gdy dostanę prosto w zęby”.

„To prawda – odpowiadała klientka. – Ze mną jest tak samo”.

Lub: „Człowiek myśli, że wie, co to jest nieszczęście, ale się myli”.

Odprowadziwszy kobietę do drzwi, Bet wracała do kuchni i wzdychała: „Gdybym dotknęła jej twarzy po ciemku, pomyślałabym, że to papier ścierny”.

Queenie nie wydawała się zainteresowana moimi opowieściami. Poza tym nie miałyśmy już czasu. Nie dopiłyśmy jeszcze coli, gdy dały się słyszeć szybkie, mocne kroki na żwirowej ścieżce i do kuchni wszedł pan Vorguilla.

– Spójrz, kto tu jest! – zawołała Queenie. Już wstawała z krzesła, jakby chciała do niego podejść, ale on skręcił w stronę zlewu.

W jej głosie było tyle radosnego zdziwienia, że zaczęłam się zastanawiać, czy powiedziała mi w ogóle o moim liście i o tym, że się do nich wybieram.

– To Chrissy – dodała.

– Zauważyłem – odpowiedział pan Vorguilla. – Musisz bardzo lubić upały, Chrissy, skoro przyjechałaś latem do Toronto.

– Chrissy ma zamiar poszukać pracy – powiedziała Queenie.

– A masz jakieś kwalifikacje? – zapytał pan Vorguilla. – Masz kwalifikacje, żeby znaleźć pracę w Toronto?

– Jest po maturze – odrzekła Queenie.

– Miejmy nadzieję, że to wystarczy – podsumował pan Vorguilla. Nalał sobie szklanek wody i wypił ją duszkiem, odwrócony do nas plecami. Dokładnie tak samo jak kiedyś, w ich poprzednim domu. Pani Vorguilla, Queenie i ja siedziałyśmy przy kuchennym stole. Pan Vorguilla wracał z próby albo miał przerwę w lekcjach gry na fortepianie w salonie. Gdy rozlegały się jego kroki, pani Vorguilla posyłała nam ostrzegawczy uśmiech. Wszystkie pochylałyśmy wtedy głowy nad scrabblami, dając mu możliwość wyboru: zechce nas zauważyć czy nie. Czasami nas nie dostrzegał. Stuk drzwiczek od szafki, odkręcanie kranu, odstawienie szklanki – wszystko to brzmiało jak seria cichych eksplozji. Jakby ostrzegał, żeby nikt nie odważył się nawet głośno odetchnąć w jego obecności.

Gdy uczył nas w szkole muzyki, był taki sam. Wchodził do klasy krokiem człowieka, który nie ma ani chwili do stracenia, stukał raz w biurko i lekcja się zaczynała. Przechadzał się między ławkami z głową pochyloną lekko w bok, z wyłupiastymi oczami, w których malowała się czujność, z wyrazem skupienia i zaczepności na twarzy. W każdej chwili mógł zatrzymać się koło twojej ławki, żeby posłuchać Jak śpiewasz, czy aby nie udajesz lub nie fałszujesz. W takich sytuacjach pochylał wolno głowę w twoją stronę, wbijając w ciebie wzrok, gestem uciszając pozostałych śpiewających, by w zapadającej ciszy wystawić cię na pośmiewisko. Podobno zachowywał się w taki sam dyktatorski

sposób w innych miejscach, gdzie prowadził rozmaite chóry i chórki. A jednak był ulubieńcem swoich podopiecznych, szczególnie kobiet. Na Boże Narodzenie robiły mu na drutach różne rzeczy. Skarpety, szaliki i rękawice, żeby nie marzł w tych swoich ciągłych wędrówkach między szkołami i chórami.

Kiedy Queenie prowadziła mu dom – bo pani Vorguilla była już zbyt chora, by dać sobie z tym radę – wyciągnęła raz z szuflady jakiś włóczkowy obiekt i pomachała mi nim przed oczami. Był to jeden z tych prezentów, ale bez dołączonej karteczki od kogo.

Nie mogłam zgadnąć, co to takiego.

– To pokrowiec na jasia. – oświeciła mnie Queenie. – Pani Vorguilla powiedziała, żeby mu tego nie pokazywać, bo wpadnie w szał. Nie wiesz, co to pokrowiec na jasia?

– A fuj! – powiedziałam.

– No co ty, przecież to tylko żart.

Queenie i pan Vorguilla wychodzili wieczorem do pracy. Pan Vorguilla w smokingu, bo grał na pianinie w jakiejś restauracji. Queenie pracowała jako kasjerka w kinie. Kino było tylko parę przecznic dalej, więc poszłam tam razem z nią. I gdy zobaczyłam ją za szybą kasy biletowej, dotarło do mnie, że jej makijaż, utapirowane i ufarbowane włosy i kolczyki–koła nie powinny były mnie zdziwić. Wyglądała jak jedna z dziewczyn mijających mnie na ulicy lub przychodzących do kina z chłopakiem. Przypominała dziewczyny z plakatów filmowych wiszących wokół niej na ścianach. Jej wygląd pasował do świata filmu, scenerii ognistych romansów i niebezpieczeństw, które rozgrywały się na ekranie w kinowej sali.

Z takim wyglądem, jak by to ujął mój ojciec, Queenie plasowała się w pierwszej lidze.

– Może poszłabyś się przejść po okolicy? – zaproponowała. Ale ja czułam, że będę zwracać na siebie uwagę. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym siedzieć w kawiarni, pić kawę i demonstracyjnie pokazywać, że nie mam co robić ani dokąd pójść. Albo że weszłabym do sklepu i zaczęła przymierzać ubrania, o których kupieniu nie mogłam marzyć. Wdrapałam się z powrotem na wzgórze, pomachałam ręką Greczynce, wołającej coś z okna. Otworzyłam drzwi kluczem Queenie.

Usiadłam na łóżku polowym na werandzie. Nie miałam gdzie rozwiesić ubrań, które przywiozłam, a poza tym czułam, że rozpakowanie się nie jest chyba dobrym pomysłem. Panu Vorguilli mogłoby się nie spodobać, że zamierzam u nich zostać dłużej.

Pomyślałam, że pan Vorguilla zmienił się nie mniej niż Queenie. Ale w odróżnieniu od niej nie nabrał czegoś, co mogłabym nazwać wielkomięjskim blichтром czy wyrafinowaniem. Jego włosy, dawniej rude, przetykane siwizną, były teraz prawie zupełnie siwe, a na twarzy – na której zawsze łatwo było o wściekłość wobec choćby podejrzenia braku szacunku, niedostatecznych starań czy po prostu faktu, że coś w jego domu nie znajduje się tam, gdzie powinno – malowała się nieustannie uraza, jakby na każdym kroku obrażano go albo bezkarnie demonstrowano przed nim niewłaściwe zachowanie.

Podniosłam się z połówki, żeby pochodzić trochę po mieszkaniu. Nigdy nie można się tak naprawdę rozejrzeć po czyimś domu w obecności gospodarzy.

Kuchnia była najprzyjemniejszym miejscem, chociaż zbyt ciemnym. Queenie posadziła bluszcz wokół okna nad zlewem i trzymała drewniane łyżki w ładnym dzbanku, dokładnie tak, jak kiedyś pani Vorguilla w swojej kuchni. W pokoju gościnnym stał fortepian, ten sam co w tamtym salonie. Był tam również fotel, półka na książki zbudowana z cegieł i desek, adapter, a na podłodze wysoka sterta płyt. Nie zauważyłam telewizora. Ani bujanych foteli z orzechowego drewna czy ozdobnych zasłon. Nawet lampy z papierowym abażurem ozdobionym japońskimi rysunkami. A przecież pewnego zimowego dnia wszystkie te rzeczy zostały przewiezione do Toronto. Byłam wtedy w domu, w porze lunchu, i widziałam ciężarówkę z firmy przewozowej. Bet sterczała przy okienku w drzwiach frontowych. W końcu nie wytrzymała, dała sobie spokój z dobrymi manierami, które zawsze starała się zachowywać wobec nieznanym, otworzyła drzwi i wydarła się na pracowników firmy.

– Zabierajcie się do Toronto i powiedzcie mu, że jeżeli kiedykolwiek pokaże się na tej ulicy, to pożałuje!

Tamci w odpowiedzi pomachali do niej wesoło, jakby byli przyzwyczajeni do podobnych scen; może faktycznie byli. W takiej pracy nie da się uniknąć wysłuchiwanie pretensji i awantur.

Ale gdzie się to wszystko podziało? Pewnie sprzedali, pomyślałam. Tak, na pewno sprzedali. Ojciec uważał, że panu Vorguilli musiało być ciężko znaleźć tu, w Toronto, zapewniającą utrzymanie pracę w zawodzie. A Queenie wspomniała coś o „tarapatach”. Nigdy by nie napisała do mojego ojca, gdyby nie byli w tarapatach.

Pewnie sprzedali te meble, jeszcze zanim napisała.

Na półce z książkami stała *Encyklopedia muzyki. Leksykon oper świata i Biografie wielkich kompozytorów*. A także duża, chociaż niezbyt gruba książka z piękną okładką – *Rubajjaty* Omara Chajjama – którą pani Vorguilla często trzymała na nocnym stoliku.

Była też inna książka z podobną, ozdobną okładką, której tytułu dokładnie nie pamiętam. Coś w nim kazało mi pomyśleć, że książka może mnie zainteresować. To mogło być słowo „kwiatowy”, albo „wonny”. Otworzyłam ją i pierwsze zdanie, jakie przeczytałam, zapadło mi w pamięć:

„Młode odaliski w harimie uczono także wyszukanych sposobów używania paznokci”.

Nie byłam pewna, kim były odaliski, ale słowo „harim” (dlaczego nie „harem”?) wiele sugerowało. I nie mogłam nie przeczytać dalszej części i nie dowiedzieć się, co takiego uczono je robić paznokciami. Czytałam i czytałam, może przez godzinę, po czym wypuściłam książkę z rąk, tak że zsunęła się na podłogę. Czułam podniecenie i obrzydzenie, i niedowierzanie. Czy to są właśnie te rzeczy, którymi naprawdę interesują się dorośli? Nawet wzór na okładce, ozdobne pnącza dzikiego wina, przeplatające się i giętkie, wydał mi się jakiś złowieszczy i podszyty zepsuciem. Podniosłam książkę z podłogi, żeby odłożyć ją na miejsce, ale otworzyła się na pierwszej stronie i zobaczyłam że jest podpisana. „Stan i Marigold Vorguilla”. Kobięcym charakterem pisma. Stan i Marigold.

Przypomniałam sobie wysokie, blade czoło pani Vorguilli i ciasno skręcone, czarno-siwe loczki.

Pomyślałam o jej kolczykach z perłami i bluzkach związywanych przy szyi tasiemką na kokardę. Była znacznie wyższa od pana Vorguilla i ludzie uważali, że to dlatego nie pokazywali się nigdzie razem. Ale powód był inny: nie mogła złapać oddechu. Nie mogła złapać oddechu, wchodząc po schodach czy wieszając pranie. A w końcu brakowało jej tchu nawet, gdy siedziała przy stole i grała w scrabble.

Na początku ojciec nie pozwalał nam brać pieniędzy za to, że robiłyśmy jej sprawunki lub wieszałyśmy pranie; mówił, że to zwykła sąsiedzka pomoc.

Bet oświadczyła, że chyba też się położy i zobaczy, czy ktoś przyjdzie i będzie jej usługiwał za darmo.

Potem pan Vorguilla odwiedził nas i umówiono się, że Queenie zacznie u nich pracować. Queenie zależało na tej pracy, bo nie zdała do następnej klasy w szkole średniej i nie miała ochoty re-petować. W końcu Bet wyraziła zgodę, ale zabroniła jej zajmować się panią Vorguillą.

– Jeśli jest zbyt skąpy, by wynająć pielęgniarkę, to niech ciebie to nie obchodzi.

Queenie opowiadała, że pan Vorguilla przygotowuje codziennie rano zestaw tabletek, a wieczorami myje panią Vorguillę gąbką. Próbował nawet prać jej pościel w wannie, jakby w domu nie było czegoś takiego jak pralka.

Przypomniałam sobie czasy, gdy graliśmy w scrabble w kuchni, a pan Vorguilla, po wypiciu swojej szklanki wody, kładł dłoń na ramieniu pani Vorguilli i wzdychał głęboko, jakby właśnie wrócił z długiej, męczącej podróży.

– Cześć, kotku – mówił.

Pani Vorguilla pochylała głowę w bok, żeby cmoknąć go w tę rękę.

– Cześć, kotku – odpowiadała.

Wtedy on patrzył na nas, na mnie i Queenie, tak, jakby nasza obecność w ogóle go nie raziła.

– Cześć, wy dwie.

Wieczorem ja i Queenie chichotałyśmy po ciemku, leżąc w łózkach.

– Dobranoc, kotku.

– Dobranoc, kotku.

Ile bym dała, żebyśmy mogły wrócić do tych czasów.

Jeśli nie liczyć wyjścia do ubikacji i wymknięcia się z podpaską do pojemnika na śmieci, siedziałam na pościelonym łóżku na werandzie, dopóki pan Vorguilla nie wyszedł z domu. Obawiałam się, że może nie mieć dokąd wyjść, ale najwyraźniej miał. Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Queenie mnie zawołała. Postawiła przede mną obraną pomarańczę, płatki kukurydziane i kawę.

– A tu masz gazetę – powiedziała. – Przejrzałam ogłoszenia „Dam pracę”. Ale najpierw chcę coś zrobić z twoimi włosami. Skrócić je trochę z tyłu i zakręcić na wałki. Co ty na to?

Skinęłam głową. Gdy jeszcze jadłam, Queenie krążyła wokół mnie, przyglądając mi się z różnych stron i wypracowując swoją koncepcję. Potem kazała mi wstać, posadziła mnie na taborecie – chociaż wciąż trzymałam filiżankę kawy – i zabrała się do rozczesywania i podcinania moich włosów.

– To jakiej pracy szukamy? – spytała. – Potrzebują kogoś do pralni chemicznej, praca przy odbiorze towaru. To ci odpowiada?

– Może być – odpowiedziałam.

– Ciągłe chcesz zostać nauczycielką? Odpowiedziałam, że nie wiem. Przyszło mi na myśl, że Queenie może uznać ten zawód za nudny.

– Myślę, że powinnaś. Jesteś zdolna. Nauczyciele lepiej zarabiają. Więcej niż tacy jak ja. Człowiek ma większą niezależność.

Ale praca w kinie, dorzuciła, też była w porządku. Dostała ją jakiś miesiąc przed ostatnim Bożym Narodzeniem i była wtedy taka szczęśliwa, że wreszcie ma własne pieniądze i może kupić składniki na świąteczne ciasto z bakaliami. Dogadała się z facetem, który sprzedawał choinki z przyczepy ciężarówki. Sprzedał jej choinkę za pięćdziesiąt centów, a Queenie sama wniosła ją na wzgórze. Powiesiła na niej łańcuchy z taniutkiej czerwonej i zielonej bibuły. Zrobiła ozdoby z kartonu owiniętego srebrną folią, inne kupiła na dzień przed Bożym Narodzeniem, gdy już była wyprzedaż w drogerii. Upiekła ciasteczka i powiesiła je na choince, jak widziała na zdjęciu w czasopiśmie. To taki europejski zwyczaj.

Chciała urządzić przyjęcie, ale nie wiedziała, kogo by tu zaprosić. Byli Grecy za ścianą, poza tym Stan miał kilku znajomych. Wpadła na pomysł, żeby zaprosić jego uczniów.

Nadal nie mogłam się przyzwyczaić, że Queenie mówi: „Stan to, Stan tamto”. To nie była tylko oznaka jej zażyłości z panem Vorguillą, chociaż niewątpliwie też. Można było odnieść wrażenie, że stworzyła go od zera. Nowa osoba. Stan. Tak jakby nigdy nie było pana Vorguilli, którego obie znałyśmy, a już na pewno nie było kogoś takiego jak pani Vorguilla.

Wśród uczniów Staną byli teraz sami dorośli – w gruncie rzeczy wolał uczyć dorosłych – więc nie musieli sobie zaprzętać głowy różnymi gramami i zabawami. Jakie przygotowuje się dla dzieci. Urządzili przyjęcie w niedzielę wieczorem, bo to był jedyny dzień, kiedy Stan nie pracował w restauracji, a ona w kinie.

Grecy przynieśli domowe wino, uczniowie ajerkoniak, rum i sherry. Paru wzięło ze sobą płyty z muzyką do tańczenia. Uznali, że Stan może nie mieć tego rodzaju muzyki, i mieli rację.

Queenie przygotowała bułki z kiełbasą i ciasto, a Greczynka upiekła jakieś ciasteczka. Wszystko było bardzo smaczne. Prywatka się udała. Queenie tańczyła z Chińczykiem o imieniu Andrew, który przyniósł boską płytę.

– Obróć się, obróć – zanuciła, a ja posłusznie odwróciłam głowę. Roześmiała się i powiedziała: – Nie, nie mówiłam do ciebie. To piosenka z tej płyty. Zespołu The Byrds.

– Obróć się, obróć – powtórzyła. – Na wszystko jest pora...

Andrew studiował stomatologię. Ale chciał nauczyć się grać *Sonatę Księżycową*. Stan stwierdził, że

to długa droga. Andrew był cierpliwy. Powiedział Queenie, że nie jedzie na święta do domu w północnym Ontario, bo nie stać go na podróż.

– Myślałam, że jest Chińczykiem – wtrąciłam.

– Ale nie Chińczykiem z Chin. Chińczykiem stąd.

W końcu zegrali w jedną dziecięcą zabawę. Bawili się w muzyczne krzesła. Wszyscy byli już wtedy rozochoceni. Nawet Stan. Pociągnął Queenie do siebie na kolana, gdy przebiegała obok jego krzesła, i nie chciał jej puścić. A potem, gdy wszyscy już wyszli, nie pozwolił jej posprzątać. Chciał tylko iść z nią do łóżka.

– Wiesz, jacy są mężczyźni – powiedziała Queenie. – A swoją drogą, masz już chłopaka, i w ogóle?

Powiedziałam, że nie. Kierowca, którego ostatnio zatrudnił mój ojciec, ciągle przychodził do nas do domu, żeby przekazać jakieś nieistotne informacje, co ojciec skwitował słowami: „Szuka okazji, żeby pogadać z Chrissy”. Ja jednak traktowałam go chłodno, a on jak dotąd nie zebrał się na odwagę, żeby się ze mną umówić.

– Więc w sumie to nic jeszcze na ten temat nie wiesz? – zapytała Queenie.

– Pewnie, że wiem. – odrzekłam.

– Hm, hm – mruknęła Queenie.

Goście zjedli prawie wszystko poza ciastem. Trochę tylko spróbowali, ale Queenie nie poczuła się urażona. Było bardzo sycące, a zanim pojawiło się na stole, wszyscy już byli najedzeni bułkami z kiełbasą i innymi przekąskami. Poza tym nie miało czasu dojrzeć zgodnie z przepisem – więc Queenie nawet się ucieszyła, że zostanie na później. Jeszcze zanim Stan odciągnął ją od sprzątanego, pomyślała, że powinna owinąć je w nasączoną winem ściereczkę i odłożyć w jakieś chłodne miejsce. Albo tylko pomyślała o tym, albo faktycznie owinęła, w każdym razie gdy rano zobaczyła, że ciasto nie leży na stole, uznała, że jednak je schowała. Pomyślała: „Jak to dobrze, że jednak schowałam ciasto”.

Dzień czy dwa później Stan zagadnął:

– Może byśmy zjedli kawałek ciasta?

Odpowiedziała:

– Niech jeszcze trochę dojrzeje – ale on nalegał. Więc zajrzała do szalki, a potem do lodówki, ale ciasta nie było. Przeszukała wszystkie kąty i nigdzie go nie znalazła. Próbowwała wrócić w pamięci do chwili, gdy ciasto leżało na stole. I przypomniała sobie wyraźnie, jak bierze czystą ściereczkę, nasącza winem i owija nią starannie kawałek ciasta. A potem zawija w pergamin. Ale kiedy to było? Czy w ogóle to zrobiła, czy też tylko jej się to przyśniło? Gdzie odłożyła tak zapakowane ciasto? Próbowwała sobie przypomnieć ten moment, ale miała pustkę w głowie.

Przeszukała wszystkie szafki, chociaż wiedziała, że pakunek był zbyt duży, by mógł się tam zmieścić. W końcu zajrzała do piekarnika, w tak nieprawdopodobne miejsca, jak szuflady w toaletce, a nawet pod łóżko i na półkę w szafie na ubrania. Nigdzie ani śladu.

– Jeśli je odłożyłaś, to musi gdzieś być – powiedział Stan.

– Tak, gdzieś odłożyłam – odrzekła Queenie.

– Może je wyrzuciłaś po pijanemu – zasugerował.

– Nie upiłam się. Nie wyrzuciłam.

Ale jednak wyszła i zajrzała do pojemników na śmieci. Nie.

Usiadł przy stole i przyglądał się jej. „Jeśli je odłożyłaś, to musi gdzieś być”. Poczula się zupełnie skołowana.

– Jesteś pewna? – zapytał. – Czy jesteś pewna, że po prostu go nie oddałaś?

Była pewna. Była pewna, że go nie oddała. Owinęła je, żeby jeszcze poleżało. Była pewna, prawie pewna, że owinęła je, żeby jeszcze poleżało. Była pewna, że go nie oddała.

– O, ja tam nie wiem – zauważył Stan. – Myślę, że mogłaś je oddać. I myślę, że wiem komu.

Queenie zatrzymała się w miejscu jak wryta. Komu?

– Myślę, że dałaś je Andrew.

Andrew?

A, tak. Temu biednemu Andrew, który powiedział jej, że nie stać go na bilet do domu na święta. Zrobiło jej się go żal.

– Więc jemu dałaś ciasto.

Nie, odpowiedziała. Dlaczego miałyby to zrobić? Nie zrobiłaby tego. Nie przyszłoby jej to głowy, żeby dać Andrew ciasto. Stan powiedział:

– Lena, nie kłam.

Tak się rozpoczęła długa, męcząca szarpanina. Queenie mogła tylko zaprzeczać. Nie, nie, nie oddałam nikomu ciasta. Nie dałam Andrew ciasta. Nie, nie kłamię.

– Pewnie się upiłaś – powiedział Stan. – Upiłaś się, więc nie pamiętasz.

Queenie odpowiedziała, że się nie upiła.

– To ty się upiłeś – odparowała.

Wstał z krzesła i ruszył w jej stronę z podniesioną ręką, mówiąc, żeby mu nie mówiła, że się upił, żeby nigdy mu czegoś takiego nie mówiła.

Queenie krzyknęła:

– Już nie będę, już nie będę, przepraszam.

I nie uderzył jej. Ale zaczęła płakać. Płakała i ciągle próbowała go przekonać. Dlaczego miałyby oddawać komuś ciasto, nad którym się tak napracowała? Dlaczego on jej nie wierzy? Dlaczego miałyby go okłamywać?

– Każdy kłamie – odrzekł Stan. I im bardziej płakała i błagała go, żeby jej uwierzył, tym bardziej stawał się zimny i sarkastyczny.

– Pomyśl logicznie. Jeśli jest tutaj, wstań i je znajdź. Jeśli go tutaj nie ma, znaczy, że je oddałaś.

Queenie odparła, że to wcale nie jest logiczne. To, że nie może go znaleźć, wcale nie znaczy, że je komuś oddała. Wtedy on znowu podszedł bliżej, z tak spokojnym wyrazem twarzy, z półuśmiechem, że w pierwszej chwili pomyślała, że chce ją pocałować. Ale on zacisnął ręce na jej gardle i na sekundę odciął jej powietrze. Nawet nie zostawił śladów palców.

– Czyżby? – spytał. – Czyżby? Ty będziesz mnie uczyć logiki?

Potem poszedł się przebrać przed wyjściem do restauracji.

Przestał się do niej odzywać. Napisał karteczkę, że zacznie z nią rozmawiać, gdy powie prawdę. Płakała przez całe święta. Mieli ze Stanem pójść w gości do Greków w pierwszy dzień świąt, ale Queenie była tak spuchnięta od płaczu, że nie mogła się im pokazać. Stan musiał pójść i powiedzieć, że jest chora. Grecy prawdopodobnie i tak wiedzieli, jaki jest prawdziwy powód. Pewnie słyszeli przez ścianę podniesione głosy.

Nałożyła tony makijażu i poszła do pracy, ale szef spytał:

– Czy chcesz pokazać ludziom, że na tym filmie się płacze?

Powiedziała, że ma chore zatoki; zwolnił ją do domu.

Wieczorem, kiedy wrócił Stan i udawał, że Queenie nie istnieje, odwróciła się i spojrzała na niego. Wiedziała, że położy się do łóżka i będzie leżał obok niej jak kłoda, a jeżeli ona będzie próbowała się do niego przytulić, będzie tak leżał dalej, dopóki ona się nie odsunie. Zrozumiała, że on może żyć w ten sposób, ale ona nie. Że jeżeli ma tak dalej żyć, to umrze. Umrze, jakby naprawdę odciął jej dopływ powietrza.

Więc powiedziała: Wybacz mi.

Wybacz mi. Zrobiłam tak, jak mówisz. Przepraszam.

Proszę, proszę. Przepraszam.

Usiadł na łóżku. Nie odezwał się ani słowem.

Naprawdę zapomniała, że oddała ciasto, ale teraz sobie przypomniała i żałuje.

– Nie kłamałam – powiedziała. – Zapomniałam.

– Zapomniałaś, że oddałaś ciasto Andrew? – zapytał.

– Musiałam zapomnieć. Wyleciało mi to z głowy.

– Andrew. Dałaś je Andrew.

Tak, przytaknęła Queenie. Tak, tak, to właśnie zrobiła. I zaczęła płakać na cały głos i obejmować go, i błagać, żeby jej przebaczył.

No dobrze, przestań histeryzować, mruknął. Nie powiedział, że jej wybacz, ale wziął myjkę zamoczoną w ciepłej wodzie i przetrął jej twarz. Potem położył się obok, przytulił ją i ani się obejrzała, a już miał ochotę na całą resztę.

– Koniec z lekcjami gry dla pana od *Sonaty Księżycowej*.

A na dodatek później znalazła to ciasto.

Zawinięte w ściereczkę i dodatkowo w pergamin, tak, jak zapamiętała. Włożone do torby na zakupy wiszącej na haczyku na tylnej werandzie. Oczywiście. Weranda była idealnym miejscem: zbyt chłodnym, żeby siedzieć tu zimą, ale nie lodowatym. To właśnie musiała mieć na względzie, zostawiając tu ciasto. Idealne miejsce. A później zapomniała. Była trochę pijana, tak, pewnie trochę była. Kompletnie zapomniała. A teraz się znalazło.

Wyrzuciła je. Nigdy nie wspomniała o tym Stanowi.

– Wywaliłam je – powiedziała. – Było nadal dobre, wszystkie te drogie bakalie i inne rzeczy, ale za nic nie chciałam wracać do tego tematu. Więc po prostu je wyrzuciłam.

W głosie Queenie, tak pełnym żalu w pewnych momentach tej historii, pojawiło się rozbawienie i nutka przebiegłości, jakby przez cały czas opowiadała mi dowcip, a wyrzucenie ciasta stanowiło śmieszny puentę.

Musiałam wyswobodzić głowę z jej rąk, żeby się odwrócić i spojrzeć na nią.

– Ale on nie miał racji – powiedziałam.

– Och, oczywiście że nie miał racji. Mężczyźni nie są normalni, Chrissy. To jedna z tych rzeczy, których na pewno się dowiesz, jeśli kiedykolwiek wyjdiesz za mąż.

– To na pewno nie wyjdę. Na pewno nie wyjdę za mąż.

– Po prostu był zazdrosny – powiedziała. – Potwornie zazdrosny.

– Nigdy.

– Wiesz, ty i ja bardzo się różnimy, Chrissy. Bardzo – westchnęła. – Nie mogę żyć bez miłości.

Pomyślałam, że pewnie zobaczyła te słowa na plakacie filmowym. „Nie mogę żyć bez miłości”. Na plakacie jednego z filmów wyświetlanych w jej kinie.

– Będziesz wyglądać cudownie, gdy zdejmę wałki – zapewniła. – Już niedługo nie będziesz mówić mi, że nie masz chłopaka. Dzisiaj już za późno, żeby jechać szukać pracy. Jutro masz wstać skoro świt. Jeśli Stan cię zapyta, powiedz, że byłaś w paru miejscach i że zapisali twój numer telefonu. Obojętnie, w sklepie, w restauracji czy gdziekolwiek, byle myślał, że szukasz.

Znalazłam pracę już następnego dnia i to w pierwszym miejscu, w którym zapytałam, chociaż wcale nie wyszłam z domu zbyt wcześnie. Queenie postanowiła uczesać mnie jeszcze inaczej i pomalować mi oczy, ale rezultat był inny, niż się spodziewała.

– Dla ciebie jednak najlepszy jest naturalny styl – stwierdziła, a ja zmyłam makijaż i pomalowałam usta własną szminką, zwyczajnie czerwoną, niejasną i błyszczącą jak jej.

Ale wtedy zrobiło się zbyt późno, żeby Queenie mogła wyjść ze mną i zajrzeć do swojej skrytki pocztowej. Musiała się już zbierać do kina. Była sobota, więc zaczynała pracę po południu i zostawała do wieczora. Wyjęła kluczyk i poprosiła mnie, żebym poszła przy okazji na pocztę i zajrzała do jej skrytki. Wytłumaczyła mi, gdzie to jest.

– Musiałam założyć sobie skrytkę, gdy napisałam do twojego ojca – powiedziała.

Dostałam pracę w aptece, która mieściła się w piwnicy bloku mieszkalnego. Miałam pracować przy wydawaniu przekąsek. Kiedy tam weszłam, czułam się dosyć beznadziejnie. Włosy mi oklapły w tym upale, a nad ustami zrobił się wąsik z kropelek potu. Dobrze, że przynajmniej brzuch przestał mnie boleć.

Kobieta w białym fartuchu stała za ladą, pijąc kawę.

– Przyszłaś w sprawie pracy? – spytała.

Przytaknęłam. Kobieta miała prostokątną, grubo ciosaną twarz, brwi narysowane ołówkiem i kok w kolorze bordo.

– Znasz angielski, prawda? – Tak.

– To znaczy, nie jest tak, że się go tylko nauczyłaś? Nie jesteś z zagranicy?

Powiedziałam, że nie.

– W ciągu dwóch ostatnich dni przyjąłem na próbę dwie dziewczyny i obie zwolniłam. Jedna powiedziała, że zna angielski, ale nie znała, a tej drugiej musiałam wszystko powtarzać po dziesięć razy. Umyj porządnie ręce nad zlewem; dam ci fartuch. Mój mąż jest farmaceutą, a ja obsługuję kasę. – (Dopiero teraz dostrzegłam za wysoką ladą w rogu siwowłosego mężczyznę, który mi się przyglądał, chociaż udawał, że nie patrzy w naszą stronę). – Na razie jest spokojnie, ale niedługo zrobi się ruch. W tym bloku mieszkają sami starzy ludzie i po porannej drzemce schodzą tutaj na kawę.

Zawiązałam fartuch i stanęłam za ladą. Dostałam pracę w Toronto. Próbowałam zorientować się sama, gdzie co jest, i musiałam zapytać tylko o dwie rzeczy: jak obsługiwać ekspres do kawy i co robić z pieniędzmi.

– Wypisujesz rachunek, a oni płacą u mnie. A co myślałaś?

Nie było źle. Przychodzili po jednej, dwie osoby głównie na kawę lub colę. Pilnowałam, żeby mieć zapas umytych i wytartych kubków i czystą ladę, i najwyraźniej rachunki też dobrze wypisywałam, bo nie było żadnych skarg. Wśród klientów, jak już mówiła właścicielka, przeważali starsi ludzie. Niektórzy zagadywali mnie życzliwie, widząc, że jestem tutaj nowa, i nawet pytali, skąd przyjechałam. Inni wydawali się pogrążeni w swoim świecie. Jakaś kobieta zamówiła tosta i dałam sobie z nim radę. Potem zrobiłam kanapkę z szynką. Musiałam się szybko uwijać, gdy w pewnej chwili obsługiwałam cztery osoby naraz. Pewien mężczyzna poprosił o ciasto i lody, a te okazały się twarde jak cement i miałam problem z nabraniem ich. Ale się udało. Poczułam się pewniej. Mówiłam „Proszę”, gdy stawiałam przed kimś zamówione danie, i „Oto poniesione straty”, gdy podawałam rachunek.

Gdy przez chwilę było spokojniej, kobieta wstała zza kasy i podeszła do mnie.

– Widziałam, że zrobiłaś komuś tosta – powiedziała. – Umiesz czytać?

Wskazała na tabliczkę zatknietą za lustro za moimi plecami. „PO 11.00 ŚNIADAŃ NIE SERWUJEMY”. Odparłam, że chyba można zrobić tosta, jeśli w menu są zapiekane sandwicze.

– Cóż, błąd. Zapiekane sandwicze, tak, za dodatkowe dziesięć centów. Tosty – nie. Rozumiesz?

Odpowiedziałam, że rozumiem. Nie byłam tak zdruzgotana, jak mogłam się spodziewać. Przez cały czas pracy myślałam o tym, co to będzie za ulga, wrócić i powiedzieć panu Vorguilli że tak, mam pracę. Mogłam teraz poszukać własnego pokoju. Może jutro, w niedzielę, jeżeli apteka będzie zamknięta. Jeślibym miała chociaż jeden pokój, myślałam, Queenie mogłaby tam uciec, gdyby pan Vorguilla znowu się na nią wściekł. A gdyby Queenie kiedykolwiek postanowiła zostawić pana Vorguillę (wciąż sądziłam, że to możliwe, pomimo sposobu, w jaki Queenie skończyła swoją opowieść), wówczas z naszych obu pensji może dałoby się wynająć małe mieszkanie. A przynajmniej pokój z kuchenką i ubikacją, i własnym prysznicem. Byłoby tak jak wtedy, gdy mieszkaliśmy z rodzicami, z tą różnicą, że nie miałybyśmy rodziców na głowie.

Udekorowałam każdą kanapkę strzępkiem sałaty i ogórkiem konserwowym. Ogórek do kanapki obiecywała inna tabliczka zatknietą za lustro. Ale gdy wyjęłam go ze słoika, uznałam, że jest za duży, więc przekroiłam go na pół. Ledwo podałam jakiemuś klientowi tak przygotowaną kanapkę, kobieta znów opuściła miejsce za kasą i stanąwszy obok, zrobiła sobie kawę. Wróciła z filiżanką do kasy i wypila kawę na stojąco. Kiedy mężczyzna skończył jeść kanapkę, zapłacił i wyszedł, znowu podeszła.

– Dałaś temu człowiekowi połowę ogórka. Czy wszystkie kanapki przygotowałaś w ten sposób?

Przytaknęłam.

– Nie umiesz pokroić ogórka? Jeden ogórek powinien wystarczyć na dziesięć kanapek.

Spojrzałam na tabliczkę.

– Tu nie jest napisane „plasterek ogórka”, tylko „ogórek” – odparłam.

– Dostyc tego – powiedziała kobieta. – Zdejmuj fartuch. Żadna pracownica nie będzie mi odpyskiwać, co to, to nie. Zabieraj swoją torebkę i wynocha stąd. I nie pytaj, gdzie twoja zapłata, bo na nic mi się tutaj nie przydałaś, a poza tym byłaś tylko na próbę.

Siwowłosy mężczyzna zerkał zza lady z nerwowym uśmiechem.

W ten sposób znalazłam się z powrotem na ulicy. Poszłam na przystanek tramwajowy. Ale orientowałam się już co do układu niektórych ulic i wiedziałam, gdzie się przesiąść. Nawet zdobyłam doświadczenie zawodowe. Mogłam powiedzieć, że pracowałam w punkcie z kanapkami. Miałabym kłopot, gdyby ktoś poprosił o referencje – ale mogłam dodać, że ten punkt z kanapkami był w moim rodzinnym mieście. Czekaając na tramwaj, wyjęłam listę z adresami innych miejsc, do których zamierzałam pojechać, i plan od Queenie. Ale zrobiło się później, niż sądziłam, a prawie wszystkie miejsca były za daleko. Bałam się rozmowy z panem Vorguillą. Postanowiłam wrócić na piechotę, w nadziei, że gdy dojdę do domu, już go nie będzie.

Dochodziłam do wzgórza, gdy przypomniałam sobie o poczcie. Znalazłam ją, wyjęłam list ze skrzynki i ruszyłam z powrotem do domu. Teraz już na pewno go nie będzie.

Ale był. Kiedy przechodziłam obok otwartego okna pokoju gościnnego, które wychodziło na zwirową ścieżkę, usłyszałam muzykę. To nie była muzyka, którą włączyłaby Queenie. To była męcząca muzyka, jaką słyszeliśmy czasami z otwartych okien domu państwa Vorguillów – wymagała skupienia i nie miała sensu, w każdym razie dla mnie. Klasyczna.

Queenie była w kuchni, ubrana w jedną ze swoich kusych sukienek i w pełnym makijażu. Na rękach miała bransoletki. Ustawiała filiżanki na tacy. Przez chwilę zakręciło mi się w głowie, gdy weszłam do środka z pełnego słońca, i na całym ciele wystąpiły mi krople potu.

– Cśśś – uciszyła mnie, bo za głośno zamknęłam drzwi. – Słuchają płyt w salonie. On i jego kolega Leslie.

W tym momencie muzyka gwałtownie ucichła i usłyszeliśmy wybuch ożywionej rozmowy.

– Jeden z nich włącza płytę, a drugi musi zgadnąć, co to jest, po usłyszeniu małego fragmentu – wyjaśniła Queenie. – Puszczają krótkie kawałki i zatrzymują, i tak w kółko. Można dostać od tego kręćka.

Zaczęła kroić plasterki filetu z kurczaka i układać je na posmarowanych kromkach.

– Znalazłaś pracę? – spytała.

– Tak, ale to nie było nic stałego.

– No trudno. – Nie wydawała się tym specjalnie zainteresowana. Ale gdy muzyka znowu zaczęła grać, podniosła głowę, uśmiechnęła się, spytała: – Poszłaś na... – i zobaczyła list, który trzymałam w ręku.

Wypuściła nóż i podeszła do mnie szybko, mówiąc cicho:

– Wszłaś tu, niosąc go na wierzchu. Powinnam była ci powiedzieć, żebyś go włożyła do torebki. Mój prywatny list.

Wyjęła mi list z ręki, ale w tym momencie czajnik zaczął gwizdać.

– Och, zdejmij czajnik, Chrissy, szybko, szybko! Zdejmij czajnik, bo inaczej on tutaj wpadnie; nie znosi tego dźwięku.

Odwróciła się do mnie plecami i rozerwała kopertę.

Zdjęłam czajnik z kuchenki, a ona powiedziała:

– Zalej herbatę, proszę – cichym, nieobecny głosem osoby, która czyta pilną wiadomość. – Wystarczy, że zalejesz; jest już odmierzona.

Roześmiała się, jakby przeczytała dowcip. Zalałam listki herbaty wrzątkiem, a ona powiedziała:

– Dzięki. Och, dzięki, Chrissy, dzięki.

Odwróciła się i spojrzała na mnie. Twarz miała zaróżowioną, a wszystkie bransoletki podzwaniały cicho na jej drżących rękach. Złożyła list, podniosła spódniczkę i zatknęła go za gumkę od majtek.

– Czasami grzebie mi w torebce – powiedziała.

– Czy to herbata dla nich? – zapytałam.

– Tak. Muszę wracać do pracy. Rety, co ja wyprawiam! Muszę pokroić kanapki. Gdzie jest nóż?

Podniosłam nóż, przekroiłam kanapki i ułożyłam je na talerzu.

– Nie chcesz wiedzieć, od kogo jest ten list? – spytała. Nie mogłam zebrać myśli.

– Od Bet? – strzeliłam.

Miałam nadzieję, że Queenie była tak wniebowzięta z powodu listu, w którym Bet jej wybaczła.

Nawet nie spojrzałam na pismo na kopercie.

Queenie zmieniła się na twarzy: przez chwilę wyglądała tak, jakby nie wiedziała, kto to jest Bet.

Potem znowu powrócił jej wyraz rozmarzenia. Podeszła do mnie, objęła mnie i wyszeptała mi do ucha, drżącym, nieśmiałym i triumfującym głosem:

– To od Andrew. Możesz zanieść im tacę? Ja nie mogę. Nie w tej chwili. Och, dziękuję.

Przed wyjściem do pracy Queenie weszła do salonu i pocałowała pana Vorguillę i jego kolegę. Pocałowała ich obu w czoło. Mnie pomachała:

– To cześć.

Kiedy wniosłam tacę, zobaczyłam na twarzy pana Vorguilli irytację, że to ja, a nie Queenie. Ale odezwał się do mnie zaskakująco łagodnym głosem i przedstawił mnie Lesliemu. Leslie był krępy, łysym mężczyzną, którego w pierwszej chwili uznałam za równolatka pana Vorguilli. Ale jeśli się z nim chwilę pobyło i przymknęło oko na łysinę, wydawał się dużo młodszy. Nie sądziłam, że pan Vorguilla może mieć takich kolegów. Nie był szorstki i zadufany, tylko sympatyczny i serdeczny. Na przykład, gdy opowiedziałam o pracy w punkcie z kanapkami, skomentował:

– To jest naprawdę coś. Dostać pracę w pierwszym miejscu, do którego weszłaś. To znaczy, że wiesz, jak zrobić dobre pierwsze wrażenie.

Wcale nie było mi trudno o tym opowiedzieć. Obecność Lesliego ułatwiała wszystko i wydawała się mieć łagodzący wpływ na pana Vorguillę. Tak jakby musiał zachowywać się wobec mnie kulturalnie w towarzystwie kolegi. A być może wyczuł we mnie zmianę. Ludzie wyczuwają zmianę, kiedy przestajesz się ich bać. Nie mógł wiedzieć, na czym ona polega i co ją spowodowało, ale świadomość ta mieszała go i uczyniła ostrożniejszym. Podobnie jak Leslie uznał za pomyślną okoliczność, że już tam nie pracuję; jego zdaniem kobieta wyglądała na jedną ze starych oszustek, na jakie można się czasami natknąć w szemranym prywatnym biznesie w Toronto.

– I tak powinna była ci zapłacić – powiedział.

– Dziwne, że jej mąż się nie wtrącił – zauważył Leslie. – W końcu jeśli jest aptekarzem, to jest szefem.

– Może przygotuje kiedyś jakiś specjał w odpowiednio dużej dawce. Dla swojej żonki – dodał pan Vorguilla.

Nie było tak trudno nalewać herbatę, podsuwać mleko i cukier, proponować kanapki, nawet rozmawiać, kiedy wiedziało się coś, czego ten drugi nie wiedział: że jest w niebezpieczeństwie.

Właśnie z tego powodu mogłam czuć do pana Vorguilli coś innego niż wyłącznie nienawiść. Nie dlatego, że to on się zmienił – czy raczej: jeżeli się zmienił, to pewnie dlatego, że najpierw ja się zmieniłam.

Chwilę później musiał zacząć się szykować do pracy Poszedł się przebrać. Wtedy Leslie zapytał, czy nie zjadłabym z nim kolacji.

– Tu niedaleko jest miejsce, do którego zwykle chodzę – powiedział. – Nic specjalnego. Nie tak jak u Staną.

Spodobało mi się to, że nie pójdziemy do żadnego eleganckiego miejsca.

– Chętnie – odpowiedziałam. Podrzuciliśmy pana Vorguillę do jego restauracji i pojechaliśmy do baru z frytkami. Leslie zamówił zestaw Super Obiad – chociaż dopiero co zjadł kilka kanapek z kurczakiem – a ja poprosiłam średni zestaw. On pił piwo, ja colę.

Opowiadał o sobie. Żałował, że nie poszedł do kolegium nauczycielskiego, a zamiast tego wybrał studia muzyczne, po których trudno o stałe zajęcie,

Byłam tak pochłonięta własną sytuacją, że nawet nie zadałam mu pytania, na czym gra. Ojciec kupił mi bilet powrotny, mówiąc: „Nigdy nie wiadomo, jak tam się ułoży z nim albo z nią”. Przypomniałam sobie o tym bilecie w chwili, gdy zobaczyłam, jak Queenie wsuwa list od Andrew za gumkę od majtek. Chociaż wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to list od Andrew.

Nie przyjechałam do Toronto ot, tak sobie. Ani po to, żeby poszukać pracy na lato. Przyjechałam, żeby być częścią życia Queenie. Lub, jeśli nie dałoby się inaczej, częścią życia Queenie i pana Vorguilli. Nawet wtedy, kiedy fantazjowałam o mieszkaniu razem z Queenie, te wyobrażenia też miały coś wspólnego z panem Vorguillą i nauczka, jaką dostanie.

Kiedy jednak pomyślałam o bilecie powrotnym, uznałam za pewnik coś innego. To, że będę mogła wrócić i mieszkać z Bet i swoim ojcem, i być częścią ich życia.

Mój ojciec i Bet. Pan i pani Vorguilla. Queenie i pan Vorguilla. Nawet Queenie i Andrew. Same pary, a każda z nich, choćby niedobrana, miała – przynajmniej we wspomnieniach – swoją prywatną dziuplę, a w niej swoje własne wyładowania i zakłócenia, od których byłam odcięta. I musiałam, chciałam być, bo w życiu tych ludzi nie znajdowałam niczego, co mogłoby stanowić dla mnie podpowiedź lub zachętę.

Leslie też był człowiekiem bez swojego miejsca. A mimo to opowiadał mi o różnych ludziach, z którymi łączyły go więzy pokrewieństwa lub przyjaźni. Siostra i jej mąż. Siostrzenice i siostrzeńcy; znajome małżeństwa, które odwiedzał i z którymi wyjeżdżał na wakacje. Wszyscy oni mieli jakieś problemy, ale wszyscy byli wartościowymi ludźmi. Opowiadał o ich pracy, lub o braku pracy, o uzdolnieniach, szczęśliwych przypadkach i życiowych błędach, bardziej może zainteresowany niż przejęty ich losem. Wydawał się nie czuć do nikogo ani miłości, ani urazy.

Później, w dalszej przyszłości, miałam dostrzec minusy takiej postawy. Poczucie niecierpliwości, nawet nieufności, jaka może ogarnąć kobietę wobec mężczyzny pozbawionego pasji. Który ma do zaoferowania tylko przyjaźń i proponuje ją tym łatwiej, że nawet jeśli jego oferta zostanie odrzucona,

spokojnie przejdzie nad tym do porządku dziennego. To nie był samotny gość próbujący znaleźć sobie dziewczynę. Nawet ja to widziałam. Raczej ktoś, kto czerpie z takich chwil otuchę i kryje się bezpiecznie za fasadą zwyczajnego życia.

Ale właśnie takiego towarzystwa wtedy potrzebowałam, chociaż chyba nie zdawałam sobie z tego sprawy. Być może świadomie był dla mnie życzliwy. Jak ja, tak niespodziewanie, za ledwie chwilę wcześniej, starałam się być życzliwa dla pana Vorguilli lub przynajmniej go chronić.

Studiowałam w kolegium nauczycielskim, kiedy Queenie znowu uciekła. Dowiedziałam się o tym z listu od ojca. Napisał, że nie wie, jak i kiedy to się stało; pan Vorguilla nie zawiadomił go od razu, tylko po pewnym czasie, sądząc, że może Queenie wróci do domu. Ojciec odpisał, że jego zdaniem było to raczej mało prawdopodobne. W liście do mnie stwierdził, że przynajmniej na razie nie możemy tego zupełnie wykluczyć.

Przez całe lata, nawet po wyjściu za mąż, dostawałam kartki świąteczne od pana Vorguilli. Sanie wyładowane kolorowymi prezentami; szczęśliwa rodzina, zapraszająca gości do udekorowanego wnętrza. Być może uznał, że takie scenki rodzajowe przypadną mi do gustu w mojej obecnej sytuacji. A może wybierał w kiosku pierwszą lepszą kartkę. Zawsze podawał adres zwrotny – przypominając mi o swoim istnieniu i informując mnie, gdzie mieszka, na wypadek jakichś wieści.

Sama straciłam już na nie nadzieję. Nie dowiedziałam się nawet, czy Queenie faktycznie uciekła z Andrew, czy z kimś innym. Ani czy jeszcze są razem, jeżeli to był on. Gdy zmarł ojciec, zostawił trochę pieniędzy i bardzo staraliśmy się wtedy odnaleźć Queenie, ale na próżno.

Teraz jednak wydarzyło się coś szczególnego. Ostatnimi czasy, gdy dzieci są już dorosłe, a mąż jest na emeryturze i często gdzieś razem jeździmy, wydaje mi się, że widuję Queenie. Ale nie dlatego, że jakoś szczególnie pragnę czy staram się ją spotkać; poza tym właściwie nie bardzo wierzę, że to naprawdę ona.

Raz zobaczyłam ją na zatłoczonym lotnisku; miała na sobie sarong i słomkowy kapelusz z kwiatkami wokół ronda. Opalona i tryskająca energią, na oko bogata, otoczona przyjaciółmi. Innym razem znajdowała się w grupce kobiet czekających przy drzwiach kościoła na wyjście młodej pary. Ubrana w poplamioną zamszową kurtkę, nie wyglądała ani na zamożną, ani na zadowoloną z życia. A jeszcze innym razem przechodziła przejściem dla pieszych jako opiekunka ustawionych w pary przedszkolaków w drodze na basen czy do parku. Dzień był gorący; kwieciste szorty i koszulka z jakimś napisem nie maskowały przysadzistej figury kobiety w średnim wieku, która czuje się wygodnie we własnym ciele i nie ma kompleksów.

Ostatni i najdziwniejszy przypadek zdarzył się w supermarkecie w Twin Falls w Idaho. Skręciłam w alejkę, niosąc kilka rzeczy na piknik, i zobaczyłam starszą kobietę, która stała oparta o wózek zakupowy, jakby tam na mnie czekała. Drobną, pomarszczoną kobietę, o krzywych ustach i niezdrowo wyglądającej ciemnej cerze z żółtobrązowymi strąkami na głowie, w fioletowych

spodniach, podciągniętych wysoko na lekko wystającym brzuchu. To była jedna z tych szczupłych kobiet, które w miarę upływu lat tracą wyraźnie zarysowaną talię. Spodnie wyglądały jak z lumpeksu, podobnie sweterek, kolorowy, ale znoszony i przykrótki, zapięty na guziczki na piersi płaskiej jak u dziesięcioletniej dziewczynki.

Jej wózek był zupełnie pusty. Nawet nie miała torebki.

W odróżnieniu od poprzednio spotkanych kobiet ona jedna wydawała się wiedzieć, że jest Queenie. Uśmiechnęła się do mnie z radosnym błyskiem w oczach i widocznym pragnieniem, bym też ją poznała. Wyglądała, jakby spotkało ją jakieś wielkie szczęście – szansa, wydobywająca ją z cienia na jeden dzień spośród tysiąca.

A ja rozciągnęłam usta w uśmiechu, tyleż życzliwym, co niezobowiązującym – jak uśmiechamy się do dziwnego nieznajomego – i nie zatrzymując się, poszłam do kasy.

Byłam już na parkingu, gdy wymyśliłam jakąś wymówkę – powiedziałam mężowi, że o czymś zapomniałam – i wróciłam pospiesznie do sklepu. Chodziłam między półkami tam i z powrotem, rozglądając się na wszystkie strony. Ale w ciągu tego krótkiego czasu drobna kobieta zdążyła gdzieś zniknąć. Może wyszła zaraz po mnie; być może wracała właśnie do domu którąś ulicą Twin Falls. Pieszko, a może samochodem, prowadzonym przez sąsiada albo przez krewnego. Niewykluczone, że prowadziła sama. Była jednak niewielka nadzieja, że jest jeszcze w sklepie i że chodzimy wzdłuż tych półek, nie mogąc się spotkać. Krążyłam wśród regałów we wszystkich kierunkach, drżąc z zimna w lodowatej temperaturze sklepu w lecie, i wpatrywałam się w ludzkie twarze, prawdopodobnie budząc lęk tym spojrzeniem, którym błagałam, by powiedziano mi, gdzie mogę znaleźć Queenie.

Aż się opamiętałam i uświadomiłam sobie, że to niemożliwe, i że kimkolwiek była czy nie była Queenie, zostawiła mnie na dobre.

Stary niedźwiedź mocno śpi

Fiona mieszkała z rodzicami w mieście, w którym oboje z Grantem skończyli studia. Przestronny dom z przeszklonymi wykuszami wydawał się Grantowi równie zbytkowny, co zaniedbany: dywaniki leżały krzywo na posadzkach, lakier stołu poznaczony był okrągłymi śladami po filiżankach. Matka Fiony pochodziła z Islandii; miała silną osobowość, burzę siwych włosów i radykalnie lewicowe poglądy. Ojciec, wybitny kardiolog otoczony czcią w miejscu pracy, w domu zmieniał się w szczęśliwego pantoflarza i przysłuchiwał się dziwnym przemowom z lekko nieobecny uśmiechem. Wygłaszali je różni ludzie –jedeni zamożni, inni ubodzy, którzy wciąż przychodzili i wychodzili, dyskutowali i naradzali się, nierzadko mówiąc z obcym akcentem. Fiona miała własny samochód i stos kaszmirowych sweterków, ale nie należała do stowarzyszenia absolwentek –powodem był, prawdopodobnie, polityczny klimat jej domu.

Niespecjalnie się tym przejmowała. Stowarzyszenia absolwentek wydawały jej się śmieszne, jak zresztą cała polityka – chociaż lubiła nastawić płytę z *Los Cuatro Generales*, a nawet *Międzynarodówkę* na cały regulator, jeżeli gościli akurat kogoś, kogo jej zdaniem mogło to wytrącić z równowagi. Zalecał się do niej pewien melancholijny, kędzierzawy obcokrajowiec – nazywała go Wizygotem – i dwóch czy trzech poważnych i nieśmiałych młodych lekarzy. Fiona stroiła sobie z nich żarty, z Gran–ta zresztą też. Ze śmiechem cytowała jego małomiasteczkowe wyrażenia. Gdy mu się oświadczyła pewnego zimnego, słonecznego poranka, na plaży w Port Stanley, w pierwszej chwili wziął to za żart. Piasek siekł ich po twarzach, a fale z hukiem wyrzucały żwir do ich stóp.

– Nie sądzisz, że byłoby fajnie... – zawołała – gdybyśmy się pobrali?

Podjął wyzwanie i odkrzyknął, że tak. Chciał być zawsze przy niej. Promieniowała radością życia.

Już mieli wychodzić, gdy Fiona dostrzegła niewielką smugę na podłodze w kuchni. Takie ślady zostawiały tanie czarne pantofle, w których chodziła po domu.

– Myślałam, że już przestały brudzić – zauważyła z irytacją i zdziwieniem, próbując zetrzeć szarą smugę, która wyglądała jak maźnięcie kredką świecową.

I dodała, że więcej nie będzie musiała tego robić, bo nie zabiera ze sobą tych pantofli.

– Chyba będę przez cały czas porządnie ubrana – powiedziała. – Nie tak jak w domu. Jakbym mieszkała w hotelu.

Wyplukała ściereczkę, którą wytarła podłogę, i powiesiła na drążku w szafce pod zlewem. Potem włożyła jasnobrązową kurtkę narciarską z futrzanym kołnierzem. Miała na sobie biały golf i eleganckie brązowe spodnie. Była wysoka, wąska w ramionach, mimo siedemdziesiątki wyprostowana i zadbana. Miała długie nogi, smukłe stopy, delikatne nadgarstki i bardzo małe, zabawne uszy. Jej włosy były jasne jak puch dmuchawca i Grant nawet nie zauważył, kiedy ich popielaty blond przeszedł w biel, tym bardziej, że nadal nosiła je rozpuszczone, sięgające ramion, tak

jak kiedyś jej matka. (To właśnie najbardziej zaalarmowało matkę Granta, małomiasteczkową wdowę, która pracowała jako sekretarka w gabinecie lekarskim. Długie białe włosy powiedziały jej wszystko, co chciała wiedzieć o sposobie bycia i poglądach politycznych matki Fiony, więcej nawet niż stan domu).

Ale poza tym Fiona – ze swoją szczupłą sylwetką i małymi szafirowymi oczami – nie przypominała w niczym matki. Miała trochę krzywe usta, których zarys podkreślała ostatnio czerwoną szminką – była to zwykle ostatnia rzecz, jaką robiła przed wyjściem z domu. Tego dnia była zwyczajnie sobą – bezpośrednia i nieprzewidywalna, jak to ona, ciepła i ironiczna.

Mniej więcej rok wcześniej Grant zauważył małe żółte karteczki porozlepiane po całym domu. Nie była to zupełna nowość. Fiona zawsze coś sobie zapisywała – tytuł książki podany w audycji radiowej, listę rzeczy planowanych na ten dzień. Nawet poranki miała rozpisane z precyzją, która zdumiewała i wzruszała Granta: „7.00 joga. 7.30–7.45 zęby twarz włosy. 7.45–8.15 spacer. 8.15 Grant i śniadanie”.

Nowe zapiski różniły się od poprzednich. Przyklepione były na kuchennych szufladach; „sztuńce”, „ściereczki do naczyń”, „noże”. Czy nie prościej wysunąć szufladę i zobaczyć, co jest w środku? Przypomniał sobie historyjkę o niemieckich żołnierzach, patrolujących granicę z Czechosłowacją w czasie wojny. Jakiś Czech opowiedział mu, że każdy wilczur z patrolu miał na szyi tabliczkę z napisem *Hund*. „Po co?” – zapytali Czesi, a Niemcy odpowiedzieli: „Ponieważ to jest *hund*”.

Chciał powtórzyć to Fionie, ale się rozmyślił. Zawsze śmiali się z tych samych rzeczy, lecz co będzie, jeżeli tym razem ona się nie roześmieje?

Ale to był dopiero początek. Pewnego dnia Fiona pojechała do miasta i zadzwoniła z budki, pytając, jak dojechać do domu. Kiedyś jak co dzień poszła na spacer do lasu, ścieżką wśród pól, ale wróciła wzdłuż ogrodzenia – okrężną, dużo dłuższą drogą. Jak powiedziała, liczyła na to, że płot zawsze dokądś człowieka doprowadzi.

Trudno było się w tym połapać. Uwagę o płotach wypowiedziała tak, jakby to był żart; i przecież pamiętała numer telefonu.

– Nie, to nic poważnego – stwierdziła. – Chyba po prostu głupieję.

Zapytał, czy bierze jakieś środki nasenne.

– Nic takiego nie pamiętam – odparła. Chwilę później przeprosiła za swój niefrasobliwy ton. – Jestem pewna, że niczego nie brałam. Może powinnam. Jakies witaminy.

Witaminy nie przyniosły poprawy. Fiona stawała w drzwiach, próbując sobie przypomnieć, dokąd właściwie szła. Zapominała włączyć gaz pod garnkiem lub nalać wody do ekspresu do kawy. Spytała Granta, kiedy się tu wprowadzili:

– W zeszłym roku czy dwa lata temu?

– Dwanaście lat temu – odpowiedział.

– Coś podobnego!

– Ale ona zawsze była taka – mówił Grant lekarzowi. – Raz zostawiła futro w przechowalni i po prostu o nim zapomniała. To było w czasie, gdy zawsze wyjeżdżaliśmy w zimie do jakichś ciepłych miejsc. Później powiedziała, że zrobiła to niechcący celowo, że to było jak zmycie z siebie grzechu. Przez to, jak ludzie patrzą na kogoś w futrze.

Próbował, bez większego powodzenia, wytłumaczyć mu coś jeszcze – wyjaśnić, że zdziwienie Fiony i jej tłumaczenia wydają się pasować do jej sposobu bycia, że pobrzmiewa w nich skrywane rozbawienie. To było tak jakby trafiła na nową atrakcję, jakiej się nie spodziewała. Jakby zaczęła grać w jakąś grę i czekała, aż Grant się zorientuje, o co w tym chodzi. Zawsze mieli swoje gry – nonsensowny język, role, które sobie wymyślali. Niektóre głosy, którymi odzywała się Fiona, szczebioczące lub marudne (tego nie mógł opowiedzieć lekarzowi), brzmiały niepokojąco podobnie do głosów kobiet, z którymi miał romanse, a których Fiona nigdy nie spotkała i o których nie wiedziała.

– No tak, cóż – powiedział lekarz – na początku to może być sporadyczne, nie wiemy tego, prawda? Dopóki nie wychycimy jakiejś prawidłowości w tych zanikach pamięci, nie sposób niczego stwierdzić.

Wkrótce przestało być istotne, jak to nazwać. Fiona, która nie chodziła już sama na zakupy, znikła z supermarketu, gdy Grant na chwilę się odwrócił. Kilka przecznic dalej zatrzymał ją policjant; szła środkiem ulicy. Zapytał, jak się nazywa, i odpowiedziała bez wahania. Potem zapytał ją, jak się nazywa premier.

– Jeśli nie wiesz takich rzeczy, młody człowieku, to jak ci się udało dostać tę posadę?

Wybuchnął śmiechem. Ale wtedy popełniła błąd, pytając, czy nie widział Borysa i Nataszy. Były to nieżyjące od dawna charty rosyjskie, które Fiona przygarnęła wiele lat temu, wyświadczając uprzejmość przyjacielowi, i którymi się opiekowała, póki nie zdechły ze starości. Wzięła je mniej więcej wtedy, gdy dowiedziała się, że prawdopodobnie nie będzie mogła mieć dzieci. Coś tam miała zablokowane czy zrosnięte, Grant nie pamiętał co. Zawsze unikał wyobrażenia sobie żeńskiego układu rozrodczego. A może to było po śmierci jej matki. Ze swoimi smukłymi nogami, jedwabistą sierścią i wąskimi, subtelnymi, dumnymi głowami, charty pasowały do Fiony i podkreślały jej urodę. Sam Grant, który właśnie wtedy dostał pierwszą posadę na uniwersytecie (pieniądze teścia były mile widziane, niezależnie od jego politycznych przekonań), mógł się wydawać kolejną ekscentryczną zachcianką Fiony, jeszcze jednym rozpieszczanym i pielęgnowanym pupilem. Na szczęście zdał sobie z tego sprawę dopiero po latach.

Przy kolacji, wieczorem tego dnia, gdy wyszła z supermarketu, Fiona powiedziała:

– Wiesz, co będziesz musiał ze mną zrobić, prawda? Będziesz musiał mnie umieścić w tym miejscu. Jak mu tam, Shallowlake?

– Meadowlake – podpowiedział Grant. – Do tego jeszcze daleko.

– Shallowlake, Shillylake – ciągnęła, jakby tylko się przekomarzali. – Sillylake⁶, Sillylake i basta.

Siedział z łokciami na stole, z głową opartą na rękach. Jeżeli będą musieli o tym pomyśleć, dodał, to tylko jako o czymś tymczasowym. Na próbę, żeby sprawdzić, czy to coś da. Dla wypoczynku.

W Meadowlake obowiązywała zasada, że w grudniu nie przyjmuje się nowych pensjonariuszy. Okres świąt krył w sobie zbyt wiele emocjonalnych pułapek. Więc wybrali się w tę dwudziestominutową podróż dopiero w styczniu. Żeby dostać się na autostradę, musieli przejechać drogą wśród podmokłych łąk, teraz zupełnie zamarzniętych. Cienie klonów i dębów bagiennych wyglądały na gładkim śniegu jak pręty krat.

– O, pamiętam – odezwała się Fiona.

– Też o tym pomyślałem – powiedział Grant.

– Tylko że wtedy świecił księżyc – dodała.

Chodziło o pewną noc, gdy wybrali się na biegówki przy pełni księżyca i po śniegu, znaczone czarnymi cieniami, dotarli aż tutaj, do miejsca dostępnego tylko w środku zimy. Słyszeli trzask gałęzi rozsadzanych przez mróz.

Jeżeli pamiętała to tak wyraźnie i dokładnie, to czy naprawdę coś jej dolegało? Z trudem się powstrzymał, żeby nie zatrzymać samochodu i nie zawrócić.

Kierowniczka wyjaśniła Grantowi jeszcze jedną obowiązującą w ośrodku zasadę. Nowo przyjętych pensjonariuszy nie można było odwiedzać przez pierwszy miesiąc. Większość tych osób potrzebowała czasu, by się tu zadomowić. Zanim wprowadzono tę regułę, dochodziło do dramatycznych scen; nawet ci, którzy przyjeżdżali chętnie, trzeciego czy czwartego dnia potrafili się załamać i błagać, by zabrano ich z powrotem. Niektóre rodziny ulegały. Pacjenci wracali do domów, gdzie ich stan zdrowia i samopoczucie wcale się nie poprawiały. Po pół roku, a czasami już po paru tygodniach cała ta męczarnia się powtarzała.

– Tymczasem okazało się – mówiła kierowniczka – że jeżeli na początku zostawi się ich samych, to zwykle już po miesiącu czują się tu szczęśliwi jak ślimaki w kapuście. Trzeba ich wręcz wywabiać do autobusu, żeby pojechali na wycieczkę do miasta. Tak samo z odwiedzinami w domu. Można ich już tam spokojnie zabrać na godzinę czy dwie, bo to oni będą pilnować, czy wrócą punktualnie na kolację. Ich domem jest już Meadowlake. Oczywiście nie dotyczy to pensjonariuszy z pierwszego piętra; tych nie możemy nigdzie wypuścić. To zbyt skomplikowane, a oni i tak nie wiedzą, gdzie się znajdują.

– Moja żona nie trafi na piętro – powiedział Grant.

– Ma się rozumieć – odparła kierowniczka z namysłem. – Chciałam tylko wyjaśnić wszystko od razu.

Fiona i Grant przed laty byli kilka razy w Meadowlake; odwiedzali tu pana Farquara, starego kawalera, który miał farmę w ich sąsiedztwie. Mieszkał samotnie w zimnym domu z czerwonej cegły, w którym nic się nie zmieniło od prawie stu lat, jeśli nie liczyć pojawienia się lodówki i telewizora. Wpadał z wizytą do Granta i Fiony, z rzadka i bez zapowiedzi, i poza różnymi miejscowymi sprawami lubił też porozmawiać o czytanych akurat książkach – o wojnie krymskiej, ekspedycjach polarnych i historii broni palnej. Ale od kiedy zamieszkał w Meadowlake, opowiadał już tylko o tym, jak się tam żyje, i mieli wrażenie, że ich odwiedziny, choć przyjmowane z wdzięcznością, były dla niego jednak kłopotliwe. Fiona szczególnie nie znosiła unoszącej się w powietrzu woni moczu i chloru i obowiązkowych bukietów sztucznych kwiatów w niszach ciemnych, niskich korytarzy.

Tego budynku już nie było, chociaż wybudowano go zaledwie w latach pięćdziesiątych. Tak jak nie było już domu pana Farquara; na jego miejscu powstał tandetny pałacyk, który służył za dom letniskowy jakimś ludziom z Toronto. Nowy budynek Meadowlake był przestronny, z wysokimi sufitami, a w powietrzu unosił się zapach sosnowego lasu. Na korytarzach stały wielkie donice z żywymi, bujnymi roślinami.

Ilekcją jednak Grant myślał o Fionie podczas tego długiego miesiąca, który musiał spędzić bez niej, wyobrażał ją sobie w starym Meadowlake. Dla Granta to był najdłuższy miesiąc w życiu – ciągnął się bardziej niż miesiąc, który spędził z matką u krewnych w Lenark County, kiedy miał trzynaście lat; niż miesiąc, kiedy Jacqui Adams była na wakacjach z rodziną, gdzieś na samym początku ich romansu. Codziennie dzwonił do Meadowlake, mając nadzieję, że uda mu się poprosić do telefonu pielęgniarkę o imieniu Kristy. Wydawała się trochę rozbawiona tą jego stałością, ale udzielała mu pełniejszych informacji niż inni.

W pierwszym tygodniu Fiona się przeziębila, ale to, jak mówiła Kristy, często się zdarza u nowo przybyłych.

– Jak z dziećmi, które pierwszy raz idą do szkoły. Łapią wszystkie nowe bakterie i przez pewien czas ciągle chorują, dopóki się nie uodpornią.

Potem przeziębienie minęło. Fiona nie musiała już brać antybiotyków i nie wydawała się już tak zagubiona jak na początku. (Grant nic wcześniej nie słyszał o antybiotykach i zagubieniu). Miała całkiem dobry apetyt i wyglądało na to, że chętnie przesiaduje w świetlicy. Że lubi oglądać telewizję.

Jedną z rzeczy zupełnie dla nich nie do zniesienia w starym Meadowlake było to, że w każdym kącie stał włączony na okrągło telewizor, zagłuszający wszelkie myśli i rozmowy, gdziekolwiek się siadło. Niektórzy ze współwięźniów (tak ich wówczas między sobą nazywali, zamiast mówić „pensjonariusze”) unosili wzrok w stronę włączonego telewizora, niektórzy mówili coś do postaci na ekranie, ale większość po prostu siedziała i potulnie znosiła jego dominację. W nowym budynku, o ile Grant sobie przypominał, telewizor był w specjalnej świetlicy, a także w sypialniach. Można było oglądać telewizję albo nie.

Więc jeśli Fiona oglądała, to znaczy, że chciała. Ale co takiego chciała oglądać?

Przez wszystkie lata, które spędzili razem w tym domu, oglądali wspólnie z Fioną sporo programów. Podglądali życie każdego ssaka, gada, owada czy wodnego stworzenia, do którego tylko zdołała dotrzeć kamera, śledzili fabuły wielu raczej podobnych do siebie, porządnych ekranizacji dziewiętnastowiecznych powieści. Zakochali się w angielskiej komedii obyczajowej o ludziach ze sklepu wielobranżowego i oglądali ją tyle razy, że znali dialogi na pamięć. Mocno przeżywali każde zniknięcie aktora, bo zdarzało się, że któryś umarł lub przyjął angaż do innych produkcji; witali ich, gdy ci powracali na plan po dłuższej nieobecności w scenariuszu. Patrzyli, jak kolor włosów kierownika działu przechodzi stopniowo z czarnego w siwy, a potem z powrotem staje się czarny, podczas gdy tania scenografia w tle nie zmieniała się ani na jotę. Ale nawet to zbladło; w końcu i scenografia, i najczarniejsze włosy zszarzały, jak gdyby kurz z londyńskiej ulicy dostał się do środka przez szparę pod drzwiami windy, co przepełniało Granta i Fionę większym smutkiem niż ekranizacje tragedii z *Masterpiece Theatre*. Tak więc przestali oglądać kolejne odcinki, jeszcze zanim serial na dobre zniknął z ramówki.

Kristy powiedziała, że Fiona znalazła sobie nowych znajomych. W końcu wyszła z tej swojej skorupy.

„O jakiej skorupie pani mówi?” – chciał zapytać Grant, ale ugryzł się w język, chcąc nadal pozostać w łaskach u Kristy.

Gdy ktoś dzwonił, Grant nie podnosił słuchawki. Odpowiadała automatyczna sekretarka. Znajomi, z którymi się czasami widywali, mieszkali nie w najbliższym sąsiedztwie, lecz w dalszej okolicy. Większość z nich była już na emeryturze, tak jak oni, i często gdzieś wyjeżdżała, nikogo o tym nie informując. Sprowadziwszy się tam, przez kilka pierwszych lat Grant i Fiona spędzali zimy na miejscu. Zima na wsi była dla nich nowym doświadczeniem, poza tym mieli mnóstwo do zrobienia, urządzając i remontując dom. Potem doszli do wniosku, że powinni pojeździć po świecie, póki jeszcze mogą, i wybrali się do Grecji, do Australii i do Kostaryki. Jeśli ktoś dzwonił, pewnie myślał, że znowu gdzieś wyjechali.

Grant jeździł na biegówkach, żeby utrzymać formę, ale nigdy nie zapuszczał się aż na zamrażnięte mokradła. Wyszedł na pole za domem i jeździł w kółko, aż zachodzące słońce pozostawiło na niebie różową łunę; w jej poświacie krajobraz wyglądał jak skute lodem fale o niebieskich krawędziach. Wykonał zaplanowaną ilość okrążeń po polu, po czym wrócił do pogrążającego się w ciemności domu i włączył telewizor, by zrobić sobie kolację przy wieczornych wiadomościach. Zwykle przygotowywali kolację razem. Jedno nalewało drinki, drugie rozpalało w kominku. Rozmawiali o jego pracy (pisał o wilkach z mitologii skandynawskiej, przede wszystkim o wielkim wilku Fenrisie, który połyka Odyna w dniu końca świata) i o tym, co Fiona akurat czytała, i o wszystkim, o czym myśleli w ciągu dnia spędzonego pod jednym dachem, choć osobno. To była dla nich pora największej bliskości; było też, oczywiście, pięć czy dziesięć minut pieszczot po wejściu do łóżka – które wprawdzie nieczęsto przeradzały się w seks, ale umacniały ich oboje w poczuciu, że ten etap życia jeszcze się nie skończył.

Przyśniło mu się, że pokazuje list koledze z pracy, o którym zawsze myślał jako o przyjacielu. Napisała go współlokatorka dziewczyny – zdążył już o niej zapomnieć – a jego ton był mieszaniną moralizatorstwa, wrogości i płaczliwych pogroźek. Grant uznał, że autorka jest sfrustrowaną lesbijką. Z dziewczyną, o której była mowa, rozstał się spokojnie i kulturalnie i nic nie wskazywało na to, by chciała robić z tego aferę, a co dopiero próbować popełnić samobójstwo, o czym wyraźnie i wylewnie donosiła autorka listu.

Kolega, któremu pokazał list, należał do mężów i ojców, którzy pierwsi zrezygnowali z noszenia krawatów i wieczornych powrotów na łono rodziny, by spędzać każdą noc na materacu z oszłamiająco piękną kochanką; przychodził do gabinetu i na zajęcia w wymiętym ubraniu przesiąkniętym zapachem konopi i kadzidełek. Ale obecnie niechętnie patrzył na takie wyskoki i Grant przypomniał sobie, że tamten w końcu ożenił się z jedną z tych panienek, a ona zajęła się przygotowywaniem niedzielnych obiadów i rodzeniem dzieci, jak przystało na żonę.

– To nic zabawnego – powiedział Grantowi (który wcale nie uważał listu za zabawny). – Na twoim miejscu uprzedziłbym Fionę.

Więc Grant pojechał do Fiony do Meadowlake (tego dawnego Meadowlake), ale trafił do wypełnionej po brzegi auli. Wszyscy czekali na jego wykład. A w ostatnim, najwyższym rzędzie siedziało stado zimnookich młodych kobiet odzianych w żałobną czerń, które ani na chwilę nie spuszczały z niego pogardliwego wzroku i ostentacyjnie nie robiły notatek.

W pierwszym rzędzie siedziała Fiona, spokojna jak zawsze. Sama jej obecność przekształciła aulę w coś w rodzaju oazy spokoju, którą umiała stworzyć wokół siebie na każdym przyjęciu: spokojne miejsce, z dala od zgiełku i tłoku, gdzie sączyła wino z wodą mineralną, paliła zwykłe papierosy i opowiadała zabawne historyjki o swoich psach. W ten sposób, w towarzystwie paru podobnych osób, opierała się wszystkim zawirowaniom, jak gdyby dramaty, które rozgrywały się w innych kątach pokoju, w sypialniach i na nieoświetlonych werandach, były tylko dziecinną igraszką. Jak gdyby wstrzemięźliwość seksualna oznaczała klasę, a towarzyska rezerwa – błogosławieństwo.

– Bzdury – podsumowała. – Dziewczęta w tym wieku zawsze grożą, że się zabiją.

Ale to, co powiedziała, nie wystarczyło; tak naprawdę raczej go zmroziło. Bał się, że Fiona może się mylić, że stała się rzecz straszna; zobaczył coś, czego ona nie mogła dostrzec: że ten czarny krąg się przybliży, zaciska wokół jego szyi, otacza ich ze wszystkich stron.

Wydzwignął się z tego snu i zabrał do oddzielania faktów od fikcji.

Faktycznie był list i słowo „SZCZUR” napisane czarną farbą na drzwiach jego gabinetu, a Fiona, usłyszawszy, że jedna ze studentek nieszczęśliwie się w nim zakochała, zareagowała podobnie jak we śnie. Rozmowy z kolegą nie było, żadne czarno ubrane dziewczyny nie zjawiły się na jego wykładach i nikt nie popełnił samobójstwa. Pozycja zawodowa Granta pozostała nienaruszona. W sumie, jeśli pomyśleć, jak coś takiego mogłoby się skończyć zaledwie Mika lat później, musiał przyznać, że mu się upiekło. Ale wieść się rozniosła. Ludzie ostentacyjnie ich unikali. Dostali mniej kartek

świętecznych i spędzili sylwestra tylko we dwoje. Grant się wstawił i, choć Fiona tego nie oczekiwała – a on, dzięki Bogu, nie popełnił tego błędu, by się jej wypowiadać – obiecał, że złączą nowe życie.

Czuł wstyd, ale wstydził się tego, że został wystrychnięty na dudka, że nie dostrzegł w porę, jak bardzo wszystko się zmieniło. A niejedna kobieta dała mu to odczuć. Pierwsza zmiana dokonała się w przeszłości, kiedy tak wiele kobiet tak nagle stało się dostępnych – w każdym razie w jego odczuciu – a teraz przychodziła kolejna, gdy okazało się, że przecież nie o to im wcale chodziło. Tak, uczestniczyły w tym wszystkim, ponieważ były bezsilne i skołowane, ale w gruncie rzeczy zostały wykorzystane, a nie uszczęśliwione. Nawet wtedy, gdy to one robiły pierwszy krok, to właśnie dlatego, że były na z góry przegranej pozycji.

Nikt nigdy nie przyznał, że życie kobieciarza – jeżeli Grant miałby się tak określić (znajomy, który we śnie czynił mu zarzuty, miał na koncie co najmniej dwa razy więcej podbojów) – wymagało wspaniałomyślności, a nawet poświęceń. Może nie na początku romansu, ale w każdym razie na dalszych etapach. Wielokrotnie zaspokajał kobiecą ambicję lub chronił kobiecą wrażliwość, okazując więcej czułości – lub gwałtownej namiętności – niż naprawdę czuł. Wszystko po to, by teraz oskarżono go, że kogoś skrzywdził, wykorzystał i upokorzył. I że zdradził żonę, co oczywiście było prawdą. Ale czy byłoby lepiej, gdyby postąpił z nią tak jak inni: gdyby ją porzucił?

Nawet przez myśl mu to nie przeszło. Nigdy nie przestał kochać się z Fioną pomimo różnorodnych nacisków ze strony innych kobiet. Nie spędził z dala od niej nawet jednej nocy. Nie wymyślał mętnych wykrętów, by wyskoczyć na weekend do San Francisco albo pod namiot na wyspę Manitoulin. Przystopował z alkoholem i trawką i nadal publikował, zasiadał w komisjach, rozwijał się zawodowo. Nigdy nie czuł potrzeby, by rzucić pracę i żonę, przenieść się na wieś i zająć się stolarką lub pszczelarstwem.

A jednak, ku jego zaskoczeniu, właśnie coś takiego się stało. Przeszedł na wcześniejszą emeryturę i dostawał mniej, niż oczekiwał. Ojciec Fiony zmarł, po kilku samotnych latach spędzonych ze stoickim roztargnieniem w wielkim, pustym domu, a Fiona odziedziczyła zarówno dom, jak i farmę nad zatoką Georgian, gdzie jej ojciec spędził dzieciństwo. Rzuciła pracę koordynatorki wolontariuszy w szpitalu (w normalnym świecie, jak mówiła, gdzie ludzie mają problemy niezwiązane z seksem, narkotykami czy intelektualnymi potyczkami). Nowe życie to nowe życie.

Borys i Natasza już nie żyły. Jeden z psów zachorował i zdechł – Grant nie pamiętał już który – a potem zdechł drugi, mniej lub bardziej z żalu po tamtym.

Doprowadzili dom do porządku. Kupili narty biegowe. Nie byli specjalnie towarzyscy, ale stopniowo zaprzyjaźnili się z sąsiadami. Grant zostawił za sobą płomienne romanse. Przyjęcia, podczas których czyjaś bosa stopa wspinała się po jego nodze pod stołem. Puszczalskie mężatki.

W samą porę – uznał, gdy poczucie doznanej krzywdy trochę się rozmyło. Feministki, a może nawet ta nieszczęsna głupia gęś, a także jego tchórzliwi fałszywi przyjaciele wysadzili go z siodła w samą porę. Tamto życie zaczynało nieść ze sobą więcej problemów, niż było warte. I mogło go kosztować Fionę.

W dniu, w którym miał po raz pierwszy odwiedzić Fionę w Meadowlake, zbudził się wcześniej. Czuł lekką treść, jak dawniej przed pierwszą randką z nowo poznaną kobietą. To nie było czysto seksualne odczucie. (Po jakimś czasie, gdy spotkania przeradzały się w rutynę, pozostawało tylko to). Było w nim oczekiwanie nowych odkryć, niemal duchowej podróży. Także nieśmiałość, pokora, niepokój.

Wyjechał z domu za wcześnie. Odwiedziny zaczynały się o drugiej. Nie chciał czekać na parkingu, więc pojechał w przeciwnym kierunku.

Przyszła odwilż. Wszędzie leżał jeszcze śnieg, ale twardy, olśniewający zimowy krajobraz już się rozpadał. W szarym świetle rozmokłe zasy na polach wyglądały jak sterty śmieci.

W miasteczku w pobliżu Meadowlake znalazł kwiaciarnię i kupił wielki bukiet. Nigdy wcześniej nie dawał Fionie kwiatów. Ani nikomu innemu. Wszedł do budynku, czując się jak romantyczny adorator albo skruszony mąż z rysunku w satyrycznym piśmie.

– Ojej! Narcyzy o tej porze? – skomentowała Kristy – Musiały być bardzo drogie.

Ruszyła przed nim korytarzem i zapaliła światło w pomieszczeniu wyglądającym na spiżarnię, by poszukać wazonu. Była młoda, mocno zbudowana i odnosiło się wrażenie, jakby we własnym wyglądzie przestało ją obchodzić cokolwiek poza włosami. Były jasne i bardzo gęste. Spiętrzony przepych –jaki widuje się na głowach kelnerek lub tancerek w nocnych lokalach – wieńczył popoliczną twarz i ciało.

– To tam – powiedziała, wskazując w głąb korytarza. – Nazwisko jest na drzwiach.

Znalazł je na tabliczce ozdobionej rysunkiem ptaszków. Zawahał się, czy powinien zapukać, zapukał, po czym uchylił drzwi i zawołał Fionę po imieniu.

W pokoju jej nie zastał. Szafa była zamknięta, łóżko równo pościelone. Na stoliku nocnym zobaczył tylko paczkę chusteczek higienicznych i szklankę wody. Nigdzie żadnego zdjęcia, obrazka, książki ani czasopisma. Może kazano im wkładać wszystko do szafki.

Wrócił do dyżurki pielęgniarek czy recepcji – jakkolwiek się to zwało.

– Nie ma jej? – zapytała Kristy. Zdziwienie w jej głosie wydało mu się nieszczerze. Zatrzymał się na progu, ściskając w ręku bukiet.

– No dobrze, niech pan zostawi tu kwiaty – powiedziała i wzdychając, jakby Grant był jakimś nierozgarniętym dzieckiem, które nie umie trafić do klasy pierwszego dnia w szkole, zaprowadziła go do przestronnej sali z przeszklonym sufitem, która służyła za świetlicę. Kilka osób siedziało na fotelach pod ścianami, reszta przy ustawionych na dywanie stolikach. Nikt nie wydawał się poważnie chory. Byli starzy – niektórzy poruszali się już tylko na wózkach – ale wyglądali normalnie. Gdy Grant przyjeżdżał tu z Fioną w odwiedziny do pana Farquara, widywali bardziej przykre formy starości – staruszki z policzkami obsypanymi zarostem, kogoś z wybałuszonym okiem przypominającym nadgniłą śliwkę. Ludzi śliniących się, kołyszących głowami, mówiących coś od rzeczy. Być może najgorsze przypadki przeniesiono gdzie indziej. Albo była to zasługa leków, zabiegów chirurgicznych; może pojawiły się skuteczne sposoby leczenia zmian zwyrodnieniowych,

problemów z mową czy nietrzymaniem moczu – metody, których nie znano jeszcze kilka lat temu.

Była jednak jakaś nieszczęśliwiczka, która siedziała przy pianinie, stukając w klawisze jednym palcem i nigdy nie trafiając w żadną melodię. Inna, wpatrzona w coś znad ekspresu do kawy i stosu plastikowych kubków, wyglądała na śmiertelnie znudzoną. Ale ta chyba tu pracowała; miała na sobie jasnozielony uniform ze spodniami, taki sam jak Kristy.

– Widzi ją pan? – zapytała Kristy, ścisząc głos. – Niech pan spokojnie podejdzie i się przywita, tylko proszę jej nie zaskakiwać. Ona może nie... Nieważne. No, niech pan idzie.

Zobaczył Fionę z profilu. Siedziała przy jednym z karcianych stolików, ale nie brała udziału w grze. Jej twarz wydawała się lekko nabrzmiąta, nigdy wcześniej fałda policzka nie zasłaniała w ten sposób kącika ust. Przyglądała się grze siedzącego obok mężczyzny, który trzymał karty przechylone tak, żeby mogła je widzieć. Gdy Grant podszedł bliżej, uniosła wzrok. Nie ona jedna – wszyscy gracze unieśli na moment głowy i spojrzeli na niego z jednakowym niezadowoleniem, po czym natychmiast wbili wzrok w karty, wyraźnie nie życząc sobie, by ktokolwiek im przerywał.

Ale Fiona uśmiechnęła się tym swoim krzywym, speszonym, przebiegłym i uroczym uśmiechem, wstała z krzesła i podeszła do niego, kładąc palec na ustach.

– Brydź – wyszeptała. – Na śmierć i życie. Lepiej im nie przeszkadzać.

Pociągnęła go w stronę bufetu, wyjaśniając gawędziarskim tonem:

– Pamiętam, że też tak miałam na studiach. Zrywałyśmy się z zajęć, żeby siedzieć w świetlicy, palić i grać do upadłego. Jedna miała na imię Phoebe, imiona reszty wyleciały mi z pamięci.

– Phoebe Hart – podpowiedział Grant. Przypomniał sobie wyraźnie drobną, czarnooką, płaską jak deska dziewczynę, która pewnie już dawno nie żyła. Fiona i Phoebe, i dwie inne, w oparach papierosowego! dymu, w brydżowym transie, jak więdźmy.

– Ty też ją znałeś? – spytała Fiona, uśmiechając się do kobiety o kamiennej twarzy. – Może się czegoś napijesz? Herbaty? Obawiam się, że tutejsza kawa to straszna lura.

Grant nigdy nie pijał herbaty.

Nie był zdolny jej przytulić. Coś w jej głosie i uśmiechu, pozornie znajomych, coś w sposobie, w jaki wydawała się odgradzać od niego grających, a nawet kobietę przy ekspresie do kawy – chroniąc go zarazem przed ich niezadowoleniem – uniemożliwiało mu takie powitanie.

– Przyniosłem ci kwiaty – powiedział. – Pomyślałem, że ubarwią trochę twój pokój. Poszedłem tam, ale cię nie zastałem.

– Bo byłem tutaj – odparła.

– Widzę, że masz nowego znajomego – dodał. Skinął głową w kierunku mężczyzny, obok którego wcześniej siedziała. W tym momencie mężczyzna spojrział w stronę Fiony, a ona się obejrzała, może na słowa Granta, a może dlatego, że wyczuła jego spojrzenie.

– To tylko Aubrey – wyjaśniła. – Najdziwniejsze jest to, że znałam go kiedyś, wiele lat temu. Pracował w sklepie z narzędziami, w którym zaopatrywał się dziadek. Często rozmawialiśmy

i żartowaliśmy, ale on nie mógł zdobyć się na odwagę, by się ze mną umówić. Dopiero w ostatni weekend wakacji zabrał mnie na mecz. Ale gdy tylko mecz się skończył, dziadek po mnie przyjechał i odwiózł mnie do domu. Byłam tam na wakacjach. U dziadków, mieszkali na farmie.

– Fiono, wiem, gdzie mieszkali twoi dziadkowie. Na tej samej farmie, na której my teraz mieszkamy. Mieszkaliśmy.

– Naprawdę? – spytała, nie słuchając go zbyt uważnie, ponieważ Aubrey znów na nią spojrzał. Tym razem w jego spojrzeniu kryła się nie prośba, lecz rozkaz. Był mniej więcej w wieku Granta lub niewiele starszy. Gęste i sztywne siwe włosy opadały mu na czoło; jego skóra, pobrużdżona i blada, o żółtawym odcieniu, wyglądała jak stara, pomięta dziecięca rękawiczka. Pociągła twarz była pełna godności i melancholii. Miał w sobie coś z piękna potężnego, zmęczonego, starego konia. Gdy jednak patrzył na Fionę, wyraz zgorzknienia zniknął z jego twarzy.

– Lepiej już wróć na miejsce – powiedziała Fiona, a na jej zaokrąglone policzki wypłynął rumieniec. – Uważa, że nie może grać, jeżeli przy nim nie siedzę. To głupie, ja ledwo pamiętam reguły gry. Przepraszam, muszę już iść.

– Długo wam to zajmie?

– Pewnie nie. To zależy. Jeśli ładnie poprosisz tę ponurą panią, dostaniesz herbatę.

– Poradzę sobie – odrzekł Grant.

– Więc cię zostawiam, tak? Znajdziesz sobie jakieś zajęcie? Wiem, na początku człowiek zawsze czuje się trochę obco, ale zdziwisz się, jak szybko się przyzwyczaisz. Zapoznasz się ze wszystkimi. No, może z wyjątkiem tych, którzy żyją w swoim własnym świecie, więc raczej trudno oczekiwać, by zapamiętali, kim jesteś.

Wróciła na miejsce i szepnęła coś Aubreyowi na ucho. Postukała palcami w jego dłoń.

Grant poszedł poszukać Kristy i spotkał ją w holu. Pchała przed sobą wózek, na którym dzwoniły dzbanki z sokiem jabłkowym i winogronowym.

– Momencik – rzuciła w jego stronę i zajrzała do pokoju obok. – Sok jabłkowy? Winogronowy? Ciasteczka?

Poczekał, aż napełni dwa plastikowe kubki i zanieś je do pokoju. Wyszła i położyła dwa ciasteczka z tapioki na papierowe talerzyki.

– I co? – zagadnęła. – Nie cieszy się pan, że bierze udział w grze i jest aktywna?

– Czy ona w ogóle wie, kim ja jestem? – zapytał.

Nie wiedział, co ma o tym myśleć. To mógł być żart. To by było całkiem w jej stylu. Trochę się zdradziła pod koniec rozmowy, gdy ni stąd, ni zowąd zaczęła z nim rozmawiać tak, jak gdyby wzięła go za nowego pensjonariusza.

Jeżeli na tym miał polegać żart. Jeżeli udawała.

Ale, w takim razie, czy nie powinna pobiec za nim i wyśmiać go, że dał się nabrać? A nie wrócić

z powrotem do stolika, udając, że o nim zapomniała. To by było zbyt okrutne.

– Po prostu przyszedł pan w złym momencie. Gdy była zajęta grą – stwierdziła Kristy.

– Przecież ona nie gra – odparł.

– Ona nie, ale gra jej przyjaciel. Aubrey.

– Kim jest ten Aubrey?

– Po prostu Aubrey. Jej przyjaciel. Napije się pan soku?

Grant pokręcił głową.

– Widzi pan – zaczęła Kristy – tutaj tworzą się tego typu więzi. To mija po jakimś czasie. Najlepszy kumpel, najlepsza przyjaciółka, rozumie pan? To taka faza, przez którą wszyscy przechodzą.

– Chce pani powiedzieć, że ona może naprawdę nie wiedzieć, kim jestem?

– Może. W każdym razie dzisiaj. Ale jutro? Kto wie? To się zmienia; raz jest tak, a raz inaczej, i nic nie można na to poradzić. Zobacz pan, jak to jest, gdy będzie pan tu jeździć przez jakiś czas. Przestanie pan tak to przeżywać. Zacznie pan traktować to jako coś zwykłego.

Coś zwykłego. Ale nic się nie zmieniało, a on nie mógł się przyzwyczaić do tego, jak było. To raczej Fiona przyzwyczaiła się do niego, ale tylko jako kogoś, kto z niejasnych przyczyn uparcie ją odwiedza. Albo nawet jako uciążliwego gościa, któremu nie wypada okazać, że nie jest zbyt mile widziany. Odnosiła się do niego z pełną roztargnieniem, zdawkową uprzejmością, która skutecznie powstrzymywała go od zadania najbardziej oczywistego i najważniejszego pytania. Nie mógł zażądać od niej odpowiedzi, czy pamięta go jako swego męża, z którym przeżyła prawie pięćdziesiąt lat. Miał wrażenie, że takie pytanie by ją zmieszało, ale że byłaby zakłopotana jego zachowaniem, a nie swoim. Pewnie by się miło roześmiała, jakby usłyszała komplement, a potem zmroziła go uprzejmością i zmieszaniem, i w końcu nie odpowiedziałaby ani tak, ani nie. Albo odpowiedziałaby w taki sposób, że nadal nie wiedziałaby, co ma o tym myśleć.

Kristy była jedyną pielęgniarką, z którą mógł rozmawiać. Czasem inne traktowały całą sytuację jak niezły żart. Jedna z nich, stara jędza, roześmiała mu się prosto w twarz: „Ten Aubrey z tą Fioną? Ale im odbiło, co nie?”.

Od Kristy dowiedział się, że Aubrey pracował kiedyś jako przedstawiciel firmy sprzedającej rolnikom środki chwastobójcze „i takie tam”.

– To był naprawdę świetny gość – zapewniła, ale Grant nie wiedział, czy chodziło jej o to, że Aubrey był uczciwy, hojny i uprzejmy dla innych, czy o to, że był kulturalny, elegancki i jeździł dobrym samochodem. Może o jedno i drugie.

A potem, będąc jeszcze w pełni sił, przed emeryturą, doznał jakiegoś nietypowego urazu.

– Zwykle zajmuje się nim żona. Opiekuje się nim w domu. Umieściła go tutaj tylko na jakiś czas, żeby trochę odpocząć. Pojechała do siostry na Florydę. Wie pan, dużo przeszła, kto mógł się

spodziewać, że taki mężczyzna... Pojechali gdzieś na wakacje i on coś tam złapał, jakąś infekcję z bardzo wysoką gorączką. Potem zapadł w śpiączkę i gdy z niej wyszedł, był już taki jak teraz.

Grant zapytał ją o związki między pensjonariuszami. Jak daleko to się może posunąć? Już potrafił nadać głosowi pobłażliwy ton, w nadziei, że uchroni go to przed wykładem.

– Zależy, o co pan pyta – powiedziała Kristy. Zapisywała coś w zeszycie dyżurów i miała czas zastanowić się, jak mu odpowiedzieć. Kiedy skończyła robić notatki, uniosła głowę i spojrzała na Granta z życzliwym uśmiechem.

– Ciekawe, że często mamy największy kłopot z takimi osobami, które wcale nie są sobie jakoś szczególnie bliskie. Może nawet wcale się nie znają, wiedzą tylko, no, że to jest kobieta, a to mężczyzna. Można by sądzić, że to starzy faceci będą próbować wleźć do łóżka jakiejś starej kobiecie, ale równie często jest na odwrót. Stare kobiety przyczepiają się do starych mężczyzn. Pewnie nie są tak zupełnie wypalone, jak można by sądzić.

Potem przestała się uśmiechać, jakby z obawy, że powiedziała zbyt wiele lub ujęła to zbyt dosadnie.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – dodała. – Nie mówiłam o Fionie. Fiona to dama.

Grant już miał spytać: „No dobrze, a Aubrey?”, ale przypomniał sobie, że Aubrey jeździ na wózku.

– Fiona to prawdziwa dama – powtórzyła Kristy tonem tak kategorycznym i przekonującym, że Grant nie poczuł się bynajmniej przekonany. W wyobraźni zobaczył Fionę, ubraną w jedną z jej długich koszul nocnych, obręzionych niebieską la-mówką, jak filuternie zagłębia pod kołdrę jakimś starym mężczyźnie.

– Czasami się zastanawiam... – pomyślał na głos.

– Nad czym? – przerwała szorstko Kristy.

– Zastanawiam się, czy Fiona nie bawi się ze mną w jakąś szaradę.

– W co?

Większość popołudni para spędzała przy karcianym stoliku. Aubrey miał wielkie, niezgrabne ręce i grube palce. Było mu trudno manipulować kartami. Fiona tasowała i rozdawała za niego, a czasami pospiesznie poprawiała kartę, która wydawała się wyslizgiwać z jego dłoni. Z drugiej strony pokoju Grant widział jej szybki ruch i słyszał jej przeproszający śmiech. Widział, jak Aubrey po męzowsku marszczy czoło, gdy kosmyk jej włosów musnął mu twarz. Dopóki była tuż obok, Aubrey wolał ją ignorować.

Ale wystarczyło, że uśmiechnęła się do Granta, że odsunęła krzesło, by się z nim przywitać i zaproponować mu herbatę – dając przez to do zrozumienia, że akceptuje jego odwiedziny – a już twarz Aubreya przybierała wyraz ponurej konsternacji. Karty wysuwały mu się z rąk i rozsypywały po podłodze. Przerywano partię, a Fiona musiała wrócić do stolika i doprowadzić wszystko do ładu.

Jeżeli Fiona i Aubrey nie siedzieli akurat przy stoliku do brydża, spacerowali po korytarzach:

Aubrey opierał się jedną ręką o poręcz, a drugą o ramię Fiony. Pielęgniarki uważały to za prawdziwy cud, że udało jej się skłonić go do wstania z wózka. Jednak na dłuższe wyprawy – do oranżerii na końcu budynku lub do pokoju telewizyjnego w drugim skrzydle – nadal potrzebny był wózek.

Telewizor wydawał się stale nastawiony na kanał sportowy, a Aubrey śledził każdą dyscyplinę, chociaż wyglądało na to, że jego ulubioną był golf. Grant oglądał czasem golfa razem z nimi. Siadał kilka krzeseł dalej. Na wielkim ekranie grupka widzów i komentatorów podążała za graczami po sielskich zielonych polach, w odpowiednich momentach wyrażając elegancko aplauz. Gdy gracz robił wymach, a piłeczka wyruszała w swoją samotną, ściśle wyznaczoną podróż powietrzną, po obu stronach ekranu zapadała cisza. Aubrey, Fiona, Grant i inni widzowie śledzili jej lot, wstrzymując oddech; pierwszy oddychał mocniej Aubrey, wyrażając satysfakcję lub rozczarowanie. Chwilę później Fiona wzdychała dokładnie na tę samą nutę.

W oranżerii nie można było liczyć na ciszę. Para znalazła sobie miejsce – można by powiedzieć: przytulne gniazdko – wśród najbujniejszych, najbardziej rozłożystych tropikalnych roślin. Grant z trudem opanował się, żeby nie zajrzeć do środka. Wśród szelestu liści i dźwięku płynącej wody usłyszał cichy głos i śmiech Fiony.

Potem coś jakby gardłowy chichot. Które z nich się śmiało?

Może to nie oni; może ten dźwięk wydał jeden z bezczelnych, jaskrawo ubarwionych ptaków zamieszkujących klatki w kątach pomieszczenia.

Aubrey mógł mówić, chociaż jego głos po chorobie brzmiał pewnie inaczej niż przedtem. Chyba coś właśnie powiedział, kilka niewyraźnych sylab.

„Uważaj. On tu jest. Najdroższa”.

Na dnie wyłożonej niebieskimi kafelkami fontanny leżało kilka monet, wrzuconych na szczęście. Grant właściwie nigdy w życiu nie widział, żeby ktoś wrzucał monety do fontanny. Wpatrywał się w te pięcio-, dziesięcio- i dwudziestopięciocentówki, zastanawiając się, czy nie są przypadkiem przyklejone do kafelków – jeszcze jeden pozytywny element wystroju.

Dwoje nastolatków na meczu baseballa, siedzących wysoko na trybunach, z dala od kolegów chłopaka. Między nimi kilka centymetrów drewnianej ławki, zmierzcha się, wieczorami pod koniec lata szybko robi się chłodno. Nerwowe ruchy rąk, nogi ułożone raz tak, a raz inaczej, ale oczy wbite w boisko. Jeżeli on ma na sobie kurtkę, zdejmie ją, żeby zarzucić na jej szczupłe plecy. Pod osłoną kurtki może ją przyciągnąć bliżej do siebie, objąć otwartą dłonią jej miękkie ramię.

Nie tak jak dzisiaj, gdy każdy smarkacz pewnie od razu włożyłby jej łapę w majtki na pierwszej randce.

Miękkie, chude ramię Fiony. Młodzieńcze podniecenie, które zaskakuje ją i rozlewa się po wszystkich włóknach nerwowych jej nowego, wrażliwego ciała, podczas gdy nad rozświetlonym kurzem boiska zagęszcza się noc.

W Meadowlake nie było wielu luster, nie musiał więc patrzeć na siebie, jak chodzi za Aubreym

i Fioną albo ich szuka. Ale co jakiś czas uświadamiał sobie, jak głupio, żałośnie musi wyglądać, gdy tak się za nimi snuje; może nawet sprawia wrażenie szaleńca. I nie udawało mu się otwarcie z nią porozmawiać, ani z nim. Był coraz mniej pewny, czy ma prawo dalej grać w tym przedstawieniu, ale nie potrafił się usunąć. Nawet w domu, gdy pracował przy biurku, sprzątał w kuchni czy odgarniał śnieg, jakiś wewnętrzny metronom tykał zgodnie z rozkładem dnia w Meadowlake, odliczając czas do kolejnej wizyty. Czasami sam sobie wydawał się podobny do wyrostka z oślim uporem zalecającego się do dziewczyny, u której nie ma żadnych szans. To znów czuł się jak świr, który chodzi krok w krok za sławną kobietą, wierząc, że pewnego dnia ta obejrzy się na ulicy i rozpozna w nim swą prawdziwą miłość.

Wielkim wysiłkiem woli zmusił się do ograniczenia wizyt do dwóch dni w tygodniu i zaczął jeździć tam tylko w środy i soboty. Dodatkowo wyznaczył sobie rolę obserwatora innych aspektów życia w Meadowlake, jak gdyby nie przyjeżdżał tam w odwiedziny do konkretnej osoby, lecz dokonywał czegoś w rodzaju inspekcji, prowadził badania socjologiczne.

W soboty panowała wakacyjna atmosfera i rozluźnienie. Przyjeżdżały całe rodziny. Zwykle rządziły matki; prowadziły swoje stadka mężczyzn i dzieci jak radosne i namolne psy pasterskie. Jedynie najmłodsze dzieci nie traktowały przyjazdu jak kary. Od drzwi zauważały zielone i białe płytki w holu i na jedne nadeptywały, a drugie przeskakiwały. Co odważniejsze wspinały się na stojące pod ścianami wózki inwalidzkie, żeby pojeździć na nich po holu jak na hulajnodze. Niektórym tak się to podobało, że nie chciały przestać, pomimo upomnień rodziców, więc za karę miały wyjść i poczekać w samochodzie. Jak skwapliwie, z jaką ulgą któreś ze starszych dzieci albo ojciec podejmował się odprowadzić winowajcę do samochodu i też tam poczekać.

To kobiety starały się podtrzymać rozmowę. Mężczyźni wydawali się speszeni, nastolatki obrażone. Pensjonariusze jechali obok swoich gości na wózkach lub szli, podpierając się laską, a czasami dreptali sztywno, bez laski, na czele procesji, dumni z tak liczego towarzystwa, choć zarazem trochę oszołomieni, lub też, przejęci sytuacją, paplali zawzięcie. W otoczeniu tylu osób z zewnątrz mieszkańcy ośrodka już nie wydawali się zupełnie normalni. Można ogolić szczecinę na kobiecej brodzie, pokryte bielmem oczy zasłonić opaską czy ciemnymi okularami, odpowiednie leki mogą pohamować niestosowne wypowiedzi, jednak pozostawało jakieś otępienie, jakaś upiorna sztywność – jak gdyby ci ludzie pogodzili się z tym, że stali się już wspomnieniem po sobie, ostatnią fotografią.

Grant teraz lepiej rozumiał, jak musiał się czuć Farquar. Ludzie stąd – nawet ci, którzy nie uczestniczyli w żadnych zajęciach, tylko siedzieli, patrząc na drzwi lub wyglądając przez okno – prowadzili bardzo aktywne życie w myślach (nie mówiąc już o życiu ciała, złowróżbnych przemianach w jelitach, wszystkich klucjach i skurczach po drodze), ale życie to w większości przypadków nie nadawało się do opisywania czy wspomniania w towarzystwie gości. Jechali na wózkach czy jakoś się przemieszczali, mając nadzieję, że uda im się wymyślić coś, co można by pokazać i o czym można by porozmawiać.

Zawsze można było pokazać oranżerię i duży ekran w pokoju telewizyjnym. Ojcowie byli pod

wrażeniem ekranu. Matki zachwyciły się paprociami w holu. A potem wszyscy rozsiadali się przy jednym ze stolików i jedli lody – wszyscy z wyjątkiem nastolatków, którzy umierali z obrzydzenia. Kobiety ocierały ślinę z trzęsących się podbródków, mężczyźni patrzyli w inną stronę.

Musiało być coś przyjemnego w tym rytuale odwiedzin i można się było spodziewać, że nawet nastolatki będą kiedyś zadowolone, że tu przyjeżdżały. Grant nie czuł się ekspertem od życia rodzinnego.

Do Aubreya nie przyjeżdżały żadne dzieci ani wnuki, a ponieważ nie dało się grać w karty – wszystkie stoliki były zajęte przez rodziny jedzące lody – razem z Fioną oboje znikali gdzieś, gdzie nie docierał gwar odwiedzających. Oranżeria była zbyt popularnym miejscem, by można było tam prowadzić intymne rozmowy.

Oczywiście nadal mogły się one toczyć za zamkniętymi drzwiami pokoju Fiony. Grant nie potrafił się przemóc, by zapukać, chociaż stał przed tymi drzwiami przez dłuższy czas, z głęboką, zajadłą niechęcią wpatrując się w tabliczkę z rysunkiem disneyowskich ptaszków.

A może byli w pokoju Aubreya. Grant nie wiedział, gdzie to jest. Im dłużej tu przebywał, tym więcej odkrywał nowych korytarzy, sal z miejscami do siedzenia i klatek schodowych; w tych wędrówkach nadal zdarzało mu się zabłądzić. Zapamiętywał jakiś konkretny obraz czy krzesło jako charakterystyczny punkt odniesienia, a tydzień później ten sam przedmiot wydawał się znajdować gdzie indziej. Nie chciał napomykać o tym Kristy, żeby nie pomyślała, że on też cierpi na zaburzenia umysłowe. Doszedł do wniosku, że te ciągłe zmiany wystroju mogą być podyktowane chęcią ożywienia codziennej rutyny pensjonariuszy.

Nie chciał też wspominać o tym, że czasami widział z oddali kobietę, którą brał za Fionę, ale to przecież nie mogła być ona, bo ona nigdy nie nosiła takich ubrań. Od kiedy Fiona lubiła kolorowe bluzki w kwiaty czy jaskrawoniebieskie spodnie? Pewnej soboty wyjrzał przez okno i zobaczył, jak Fiona – to musiała być Fiona – popycha wózek, na którym siedzi Aubrey, po ogrodowej alejce oczyszczonej ze śniegu i lodu. Miała śmieszna, wełnianą czapkę i kurtkę w niebiesko-fioletowe wzory; w podobnych kurtkach widział kobiety w miejscowym supermarkecie.

Chyba nikt się tu nie przejmował sortowaniem odzieży kobiet, które nosiły mniej więcej ten sam rozmiar. Liczono na to, że pensjonariuszki i tak nie rozpoznają swoich ubrań.

Poza tym obcięto Fionie włosy. Jej anielska aureola zgasła. W środę, gdy znowu było spokojniej, karciane rozgrywki toczyły się w najlepsze, kobiety robiły w pracowni sztuczne kwiaty i włóczkowe lalki, bez świadków, którzy by zagadywali albo się zachwycali – i gdy Fiona i Aubrey znów byli na widoku, tak że Grant mógł odbyć jedną z tych krótkich, kulturalnych i absurdalnych konwersacji ze swoją żoną – zapytał:

– Dlaczego obcięli ci włosy?

Fiona dotknęła dłońmi głowy, jakby chciała się upewnić.

– Co? A po co mi one? – powiedziała.

Pomyślał, że powinien sprawdzić, co działo się na piętrze, gdzie przebywali ci, którzy – jak to ujęła Kristy – już kompletnie zgłupieli. Wywnioskował z tego, że pensjonariusze, którzy spacerowali po parterze, rozmawiając sami ze sobą lub z nienacka zadając przypadkowej osobie dziwne pytanie („Czy mój sweter został w kościele?”) nie zgłupieli jeszcze zupełnie.

Nie na tyle, żeby znaleźć się na górnym piętrze.

Na górę prowadziły schody, ale drzwi były zamknięte, a klucze miał tylko personel. Nie można było wsiąść do windy, jeżeli któraś z pielęgniarek nie nacisnęła przycisku za biurkiem.

Co takiego robią ludzie, którzy zgłupieli?

– Niektórzy po prostu siedzą – powiedziała Kristy. – Inni siedzą i płaczą. Jeszcze inni próbują zawyć się na śmierć. Szczerze mówiąc, lepiej żeby pan nie wiedział.

Czasami pamięć im wracała.

– Przychodzisz do ich pokoju dzień w dzień przez cały rok, a oni nie wiedzą, kim jesteś. Aż tu pewnego dnia: „Dzień dobry, kiedy stąd wychodzę?”. Nagle są z powrotem sobą.

Ale nie na długo.

– Myślisz sobie, no, wyzdrowieli. A potem znowu się wyłączają. – Pstryknęła palcami: – Ot tak.

W mieście, którym dawniej pracował, była księgarnia; zaglądali do niej z Fioną raz czy dwa razy w roku. Wybrał się tam sam. Nie był w nastroju do zakupów, ale wziął ze sobą listę książek i parę z nich znalazł, a przy okazji kupił jeszcze jedną, zauważoną przypadkiem. Był to album o Islandii. Reprodukcje dziewiętnastowiecznych akwareli, namalowanych przez zwiedzającą wyspę podróżniczkę.

Fiona nigdy nie nauczyła się islandzkiego, ojczystego języka matki, i nie czuła szczególnego szacunku dla zachowanych w nim historii, o których Grant pisał i wykladał i które nadal stanowiły przedmiot jego pracy naukowej. Ich bohaterów nazywała: „staruszek Njal” lub „staruszek Snorri”. W ostatnich latach zainteresowała się jednak samą wyspą i zaczęła przeglądać przewodniki. Czytała o podróżach Williama Morrisa i Audena. Tak naprawdę nie miała zamiaru tam jechać. Powiedziała, że pogoda jest tam koszmarna. A także, że człowiek powinien mieć jakieś miejsce, o którym myśli, o którym coś tam wie, może nawet za którym tęskni, ale którego nigdy nie zobaczy.

Kiedy Grant zaczął wykladać literaturę anglosaską i skandynawską, na jego zajęcia przychodzili zwykli studenci, młodzi ludzie. Po kilku latach zauważył, że coś zaczęło się zmieniać. Na studia wracało coraz więcej mężatek. Nie po to, by podnieść swoje kwalifikacje zawodowe czy w ogóle zdobyć jakiegokolwiek, ale by zająć się czymś ciekawszym niż tylko dom i przeciętne hobby. I być może naturalnym porządkiem rzeczy mężczyźni, którzy tych ciekawych rzeczy uczyli, stawali się częścią owego urozmaicenia; wydawali się tym kobietom bardziej tajemniczy i pociągający niż ci, którym na co dzień gotowały i z którymi sypiały.

Najczęściej wybierały psychologię, historię sztuki bądź literaturę angielską. Zdarzało się, że archeologię i językoznawstwo, ale porzucały studia, gdy program okazywał się zbyt trudny. Te, które zapisały się na zajęcia do Granta, miały skandynawskie korzenie, jak Fiona, albo dowiedziały się czegoś o skandynawskiej mitologii z Wagnera czy jakiejś powieści historycznej. Było też kilka, które sądziły, że Grant uczy celtyckiego, a wszystko, co związane z Celtami, miało dla nich niemal mistyczny urok.

Do takich kandydatek Grant zwracał się dosyć szorstko zza swojego biurka:

– Jeśli chce się pani nauczyć jakiegoś ładnego języka, proszę się zapisać na hiszpański. Przyda się na wakacjach w Meksyku.

Niektóre wyczuwały jego ostrzegawczy ton i rezygnowały. Na inne jednak jego szorstkość oddziaływała pozytywnie. Przykładały się do zajęć i wносиły w jego uregulowane życie zawodowe nowy, nieoczekiwany ładunek dojrzałego kobiecego przywiązania, wraz z niepewną nadzieją, że on to doceni.

Jego wybór padł na Jacqui Adams. Była przeciwieństwem Fiony: niska, pulchna, ciemnooka i wylewna. Ironia była jej obca. Spotykali się przez rok, dopóki jej mąż nie został przeniesiony do innego miasta. Kiedy się żegnali, w jej samochodzie, zaczęła się konwulsyjnie trząść, jakby miała dreszcze. Napisała do niego kilka razy, ale ton jej listów wydał mu się histeryczny i nie mógł zdecydować, jak na nie odpowiedzieć. Odczekał, aż minął czas, w którym wypadało odpisać, i zupełnie niespodziewanie, jak za sprawą magii, zaczął się spotykać z dziewczyną tak młodą, że mogłaby być córką Jacqui.

Gdy trwał jego związek z Jacqui, rozpoczęła się kolejna Jeszcze bardziej oszałamiająca przemiana obyczajowa. Młode, długowłose kobiety, w sandałach na bosych stopach, przychodziły do jego gabinetu i niemal wprost oznajmiały, że chcą się z nim kochać. Wymyślne podchody i subtelne zaloty, które pamiętał ze swojego związku z Jacqui, z dnia na dzień poszły w niepamięć. Porwał go wir zmian, jak zresztą wielu innych; ledwo pomyślałeś, już miałeś. Życzenia spełniały się tak szybko, że zaczął się zastanawiać, czy przez to czegoś nie traci. Ale nikt nie miał czasu na wątpliwości. Dochodziły go słuchy o rozlicznych romansach, często z więcej niż jedną osobą naraz, o dzikich i ryzykownych spotkaniach. Wybuchaly dramatyczne skandale, ale towarzyszyło temu poczucie ulgi. Były reperkusje i zwolnienia. Ci jednak, którzy wylecieli z pracy, zaczęli wykładać na mniejszych uczelniach, nastawionych bardziej tolerancyjnie, lub na przeróżnych kursach, a wiele porzuconych żon otrząsnęło się z szoku i przejęło kostium i pozę seksualnej nonszalancji od dziewczyn, które uwiodły ich mężów. Spotkania towarzyskie, kiedyś tak przewidywalne, zmieniły się w pola minowe. Wybuchła epidemia; bakcyl roznosił się jak hiszpańska grypa. Z tą różnicą, że ludzie marzyli, by go złapać: rzadko ktoś między szesnastym a sześćdziesiątym rokiem życia chciał, by go to ominęło.

Chciała na przykład Fiona. Jej matka była umierająca, a doświadczenie, jakie stało się udziałem Fiony w szpitalu, kazało jej porzucić dotychczasową pracę rejestratorki i zaangażować się w nowe zajęcie. Grant też nie stracił do reszty zdrowego rozsądku, w każdym razie w porównaniu z niektórymi mężczyznami ze swojego otoczenia. Nie pozwolił już żadnej kobiecie zbliżyć się do

siebie tak, jak przedtem Jacqui. Przede wszystkim jednak nigdy wcześniej nie czuł się tak dobrze we własnej skórze. Lekka nadwaga, z którą zmagał się, odkąd skończył dwanaście lat, znikła. Wbiegał po schodach po dwa stopnie naraz. Jak nigdy przedtem rozkoszował się widowiskiem poszarpanych chmur i zimowych zachodów słońca, które oglądał z okien swojego gabinetu, ulegał czarowi staroświeckich lamp, przeświecających przez zasłony w oknach sąsiadów, wsłuchiwał się w okrzyki dzieci, które zjeżdżały na sankach z górki w parku i nie chciały wracać do domu pomimo zapadającego zmierzchu. Gdy nadeszło lato, nauczył się nazw kwiatów. Po wielu próbach i treningach pod okiem teściowej (której rak krtani prawie zupełnie odebrał już wówczas głos) odważył się na wykładzie wyrecytować, a potem przetłumaczyć, podniosłą i krwawą islandzką odę, okup za głowę, *Höfudlausn*, skomponowaną na cześć króla Eryka Krwawego Topora przez skalda, którego ów król skazał na śmierć. (I który – dzięki sile swojej poezji – został przez tego samego króla ułaskawiony). Wszyscy bili brawo – nawet hipisi i pacyfiści, wcześniej zagadnięci przez niego żartobliwie, czy nie woleliby wyjść i przeczekać na korytarzu. Jadąc samochodem do domu tego dnia, a może dzień później, złapał się na tym, że chodzi mu po głowie absurdalny i bluźnierczy cytat.

„I tak wzrastał w mądrości i sile.

I w łasce u Boga i ludzi”.

Wtedy go to zmieszało i przez chwilę poczuł zabobonny lęk. Jak nigdy przedtem. Ale dopóki nikt o niczym nie wiedział, wszystko wydawało się w porządku.

Jadąc do Meadowlake, Grant zabrał ze sobą album. Była środa. Spodziewał się, że zastanie Fionę przy grze w karty, ale nie znalazł jej w świetlicy. Jakaś kobieta zawołała do niego:

– Nie ma jej tu. Jest chora.

W jej głosie słychać było ożywienie i poczucie własnej ważności – była zadowolona, że go rozpoznała, podczas gdy on nie wiedział, z kim rozmawia. A może jej zadowolenie płynęło z przekonania, że wie wszystko o Fionie, o jej życiu w Meadowlake, że wie może więcej niż Grant.

– Jego też tu nie ma – dodała.

Grant poszedł poszukać Kristy.

– Nic poważnego – powiedziała, gdy zapytał, co dolega Fionie. – Po prostu poszła się położyć, jest w nie najlepszym nastroju.

Fiona siedziała wyprostowana na łóżku; w czasie swoich nielicznych wizyt w jej pokoju nie zauważył, że było to szpitalne łóżko, które da się ustawić jak fotel. Miała na sobie dziewczęcy szlafrok z wysoką stójką, a jej twarz, zwykle lekko zarumieniona, była blada jak papier.

Aubrey siedział na wózku obok łóżka, tak blisko, jak tylko zdołał podjechać. Zamiast jednej ze swych zwykłych nijakich koszul z rozpiętym kołnierzykiem miał na sobie marynarkę i krawat. Na łóżku leżał jego szykowny tweedowy kapelusz. Wyglądał, jakby właśnie wrócił z ważnego spotkania.

Z prawnikiem? A może był w banku? Albo załatwiał formalności pogrzebowe?

Gdziekolwiek był, musiał się bardzo zmęczyć. On też był szary na twarzy.

Oboje spojrzeli w stronę drzwi wzrokiem pełnym niepokoju graniczącego z rozpaczą, który przeszedł w ulgę, a nawet radość, gdy zobaczyli, kto wchodzi. A więc spodziewali się kogoś innego. Trzymali się za ręce tak mocno, jakby od tego zależało ich życie.

Kapelusz leżący na łóżku. Marynarka i krawat.

Nie chodziło o to, gdzie Aubrey był albo skąd wrócił. Chodziło o to, dokąd się wybierał.

Grant położył album na łóżku obok ręki Fiony.

– To o Islandii – wyjaśnił. – Pomyślałem, że chętnie obejrzysz.

– Ach, dziękuję – odpowiedziała Fiona. Nawet nie spojrzała na książkę.

– Islandia – spróbował ponownie.

– Is-landia – powtórzyła. W pierwszej sylabie była jeszcze iskierka zainteresowania, ale druga zabrzmiała już bezbarwnie. Zresztą Fiona musiała znowu zająć się Aubreyem, który właśnie wysuwał swoją wielką łapę z jej dłoni.

– Co się stało? – zapytała. – Co ci jest, umiłowany?

Grant nigdy wcześniej nie słyszał z jej ust tego górnolotnego określenia.

– Już dobrze – dodała uspokajająco – Proszę, proszę... Podała Aubreyowi kilka chusteczek, wyszarpniętych z pudełka stojącego na stoliku przy łóżku.

Aubrey zaczął bowiem szlochać. Z nosa mu pociekło, a on nie chciał robić z siebie widowiska, szczególnie przed Grantem.

– No już, już dobrze – powtarzała Fiona. Najchętniej chyba sama wytarłaby mu nos i osuszyła łzy – i być może, gdyby byli sami, Aubrey by na to pozwolił. Ale nie w obecności Granta. Aubrey złapał chusteczkę higieniczną i na tyle, na ile potrafił, niezgrabnie wycierał zapłakaną twarz.

W tym czasie Fiona zwróciła się do Granta:

– Może ty masz na nich jakiś wpływ? – zapytała szeptem. – Widziałam, jak z nimi rozmawiałeś.

Aubrey wydał pomruk, który mógł oznaczać sprzeciw, znużenie, a może wzgardę. Potem się wychylił, jakby chciał paść w ramiona Fiony, a ona zsunęła się z łóżka, złapała go i mocno przytuliła. Grant chciał jej pomóc, ale w tej sytuacji wydało mu się to niestosowne; oczywiście pomógłby jej przytrzymać Aubreya, gdyby istniała obawa, że ten może upaść na podłogę.

– Cicho, już nie płacz – powtarzała Fiona. – Cicho, kochanie. Na pewno będziemy się widywać. Na pewno. Ja będę odwiedzać ciebie, a ty mnie.

Aubrey wydał ten sam dźwięk co przedtem, z twarzą przyciśniętą do piersi Fiony. Grantowi nie pozostało nic innego, jak wyjść z pokoju.

– Niech jego żona się pospieszy – powiedziała Kristy. – Niech już go stąd wywiezie i skróci tę udrękę. Za chwilę będziemy podawać kolację, a jak ona ma coś przełknąć, skoro on tu ciągle jest?

– Może powinienem zostać? – zapytał Grant.

– Po co? Nie jest chora, sam pan widział.

– Żeby dotrzymać jej towarzystwa – powiedział.

Kristy pokręciła głową.

– Muszą sami sobie z tym poradzić. Zwykle mają krótką pamięć. To ma swoje dobre strony.

Kristy nie była kobietą bez serca. Od kiedy ją poznał, zdołał się trochę o niej dowiedzieć. Miała czwórkę dzieci. Nie wiedziała, gdzie mógł przebywać jej mąż, ale pewnie gdzieś w Albercie. Najmłodszy chłopiec tak ciężko chorował na astmę, że pewnej styczniowej nocy zmarłby, gdyby pogotowie nie przyjechało na czas. Nie brał żadnych prochów, czego nie mogła z całym przekonaniem powiedzieć o starszym synu.

Z jej perspektywy Grant i Fiona, a także Aubrey, musieli uchodzić za szczęściarzy. Przeżyli życie bez większych komplikacji. To, co przyszło im przecierpieć teraz, na starość, praktycznie się nie liczyło.

Grant wyszedł, nie wróciwszy już do pokoju Fiony. Zauważył, że wiatr zrobił się cieplejszy; wrony kotłowały się nad drzewami, głośno kracząc. Jakaś kobieta w kraciastym kostiumie wyciągała z bagażnika samochodu składany wózek inwalidzki.

Ulica, którą jechał Grant, nazywała się Black Hawks Lane. W całej okolicy ulice nosiły nazwy starych drużyn hokejowych. To były przedmieścia miasteczka w pobliżu Meadowlake. Grant i Fiona przyjeżdżali tu wielokrotnie na zakupy, ale z całego miasteczka znali tylko jedną ulicę, główną.

Domy, które mijał, wyglądały na wybudowane mniej więcej w tym samym czasie, trzydzieści czy czterdzieści lat temu. Jezdnia była szeroka i kręta, bez chodników; powstała w czasach, gdy nie przypuszczano, że w przyszłości ktoś może jeszcze chodzić gdziekolwiek na piechotę. Znajomi Fiony i Granta przenosili się w podobne okolice, gdy pojawiały się dzieci. Z początku usprawiedliwiali się. Nazywali to „przeprowadzką na Grillowe Pola”.

Nadal mieszkali tu głównie młode rodziny. Nad drzwiami garaży wisały kosze do piłki, na podjazdach stały trzykołowe rowerki. Ale niektóre domy już podupały i straciły klimat rodzinnej posesji, którą miały z założenia być. Ich podwórka były poznaczone śladami opon, a okna zaklejone folią lub zasłonięte wyblakłymi flagami.

Domy na wynajem. Wynajmujący: młodzi, nieżonaci mężczyźni. Wciąż nieżonaci – lub ponownie wolni.

Zdarzały się też zadbane posesje; widać było, że ich mieszkańcy starają się utrzymać je w takim stanie, w jakim były, gdy się wprowadzali. Być może nie było ich stać na przeprowadzkę do lepszej okolicy, a może nie chcieli się stąd ruszać. Ozdobne krzewy w ogródkach wyrosły, a pastelowy siding rozwiązał problem malowania fasady. Zadbane płotki i żywopłoty wskazywały, że dzieci, które tu kiedyś mieszkaly, podrosły i opuściły dom, a ich rodzice nie mieli już powodu, by pozwalać przebiegać przez podwórko każdemu dziecku, które akurat grasuje w sąsiedztwie.

Dom, którego właścicielami, według książki telefonicznej, byli Aubrey i jego żona, należał właśnie do takich. Alejka prowadząca do drzwi była wyłożona kostką i wysadzana hiacyntami, na zmianę różowymi i błękitnymi, tak prostymi i sztywnymi, jakby były sztuczne.

Fiona nie doszła do siebie. Nie jadła, chociaż udawała, że je, chowając jedzenie w serwetce. Dwa razy dziennie dostawała do wypicia preparat wzmacniający – ktoś z personelu stał nad nią i patrzył, jak przełyka. Rano wstawała z łóżka i ubierała się, ale potem chciała już tylko siedzieć w swoim pokoju. W ogóle przestałaby się ruszać, gdyby nie to, że Kristy lub inna pielęgniarka, a także Grant w godzinach odwiedzin, spacerowali z nią tam i z powrotem po korytarzu i zabierali ją na świeże powietrze.

Siedziała na ławeczce pod ścianą w wiosennym słońcu, cicho szlochając. Była nadal kulturalna – przeproszała za to, że płacze, zgadzała się na wszystko i udzielała odpowiedzi na każde pytanie. Ale szlochała. Jej oczy były zaczerwienione i zamglone od płaczu, jej sweter – o ile to był jej sweter – zapięty krzywo. Jeszcze nie doszła do etapu, w którym nie czesze się włosów i nie obcina paznokci, ale to mogła być tylko kwestia czasu.

Kristy powiedziała, że mięśnie Fiony zaczynają słabnąć: jeżeli jej stan szybko się nie poprawi, trzeba będzie dać jej chodziki.

– Ale wie pan, jak to jest – dodała. – Gdy pensjonariusze zaczną posługiwać się chodzikiem, nie potrafią się już bez niego obyć i ruszają się coraz mniej; idą tylko tam, gdzie muszą. Niech pan się postara. Proszę ją zachęcić do ruchu.

Ale Grant był bez szans. Wyglądało na to, że Fiona czuje do niego niechęć, chociaż stara się tego nie okazywać. Być może jego widok przypominał Fionie jej ostatnie minuty z Aubreyem, gdy zwróciła się do niego o pomoc, a on nic nie zrobił.

Chyba nie było już sensu wspominać, że są małżeństwem.

Nie chciała siedzieć w świetlicy, gdzie ci sami w większości ludzie nadal grywali w karty. Nie chciała też chodzić do pokoju telewizyjnego ani do oranżerii.

Powiedziała, że nie lubi tego dużego ekranu; że od niego bolą ją oczy. A hałas, który robią ptaki, jest irytujący, i że mogliby od czasu do czasu wyłączyć fontannę.

O ile Grant mógł się zorientować, nawet nie rzuciła okiem na album o Islandii ani na żadną z – zaskakująco niewielu – książek, które zabrała z domu. Zdarzało się jej jednak przesiadywać w czytelnicy. Być może wybierała to miejsce, bo rzadko ktoś tam był, i gdy Grant brał z półki jakąś książkę, zgadzała się, żeby jej poczytał. Podejrzewał, że w ten sposób jego obecność stawała się dla niej mniej uciążliwa – mogła zamknąć oczy i pograć się we własnym smutku. Gdyby chociaż na chwilę się z niego otrząsnęła, uderzyłby ją ze zdwojoną siłą, wracając przy pierwszej okazji. Czasami podejrzewał, że zamykała oczy, żeby ukryć przed nim wyraz zrezygnowanej rozpaczki, której nie chciała z nim dzielić.

Siedział więc i czytał jej na głos jedną ze starych powieści o czystej miłości i straconym

i odzyskanym szczęściu, która trafiła tu pewnie z jakiejś zlikwidowanej wiejskiej biblioteki czy biblioteczki szkółki niedzielnej. Wyglądało na to, że nikt specjalnie nie dbał o modernizację oferty czytelnicy na równi z troską o resztę wyposażenia ośrodka.

Okładki tych książek, miękkie, prawie aksamitne, miały wytłoczone wzory liści i kwiatów, tak by przypominały szkatułki na biżuterię lub pudełka czekoladek. Żeby kobiety – sądził, że chodziło o kobiety – mogły nieść je do domu jak skarb.

Kierowniczka poprosiła go do gabinetu. Powiedziała, że stan Fiony pozostawia wiele do życzenia.

– Traci na wadze pomimo wzmacniającego preparatu, który jej podajemy. Robimy co w naszej mocy.

Grant odrzekł, że zdaje sobie z tego sprawę.

– Chodzi o to, że jak pan pewnie wie, leżący pacjenci wymagający pełnej opieki przebywają na pierwszym piętrze. Na parterze zapewniamy taką opiekę tylko tymczasowo, jeśli ktoś zachoruje. Ale gdy pacjent jest zbyt osłabiony, by się samodzielnie poruszać i zajmować się sobą, rozważamy możliwość przeniesienia go na piętro.

Odpowiedział, że jego zdaniem Fiona nie spędza aż tyle czasu w łóżku.

– Nie, ale jeśli nie odzyska sił, to niedługo w ogóle przestanie wstawać. Jest już od tego o krok.

Wydawało mu się, przyznał, że na piętrze przebywają pacjenci z zaburzeniami umysłowymi.

– Tak, to też.

Jedynym, co Grant zapamiętał z wyglądu żony Aubreya, to kostium w szkocką kratę, w którym widział ją na parkingu. Tył zakietu się rozchylił, gdy przygięta wyjmowała z bagażnika wózek. Zauważył wąską talię i szerokie biodra.

Dziś nie miała na sobie kostiumu, tylko brązowe spodnie z paskiem i różowy sweter. Miał rację co do talii – była wąska, co dodatkowo podkreślał ciasno zapięty pasek. Może lepiej, gdyby jej tak nie akcentowała, bo powyżej i poniżej była raczej pulchna.

Mogła być jakieś dziesięć–dwanaście lat młodsza od męża. Miała krótkie, kręcone włosy ufarbowane na rudo, niebieskie oczy jaśniejsze od oczu Fiony, turkusowe jak jajeczko drozda, lekko skośne pod ciężkimi powiekami, i mnóstwo zmarszczek, które uwydatniał puder w kolorze orzecha włoskiego. A może to była opalenizna.

Powiedział, że nie bardzo wie, jak ma się przedstawić.

– Widywałem pani męża w Meadowlake. Jeżdżę tam często w odwiedziny.

– Aha – odpowiedziała, wysuwając agresywnie podbródek.

– Jak się miewa pani mąż? – zapytał.

Wymyślił to pytanie w ostatniej chwili. Normalnie zapytałby: „Co u niego słyhać?”.

– Ma się dobrze – odpowiedziała.

– Moja żona bardzo się z nim zaprzyjaźniła.

– Słyszałam o tym.

– Chciałbym z panią porozmawiać, jeśli mogę zająć pani chwilę.

– Mój mąż nie startował do pana żony, jeśli o to panu chodzi – odrzekła. – Nie molestował jej. Nie jest w stanie, zresztą i tak by tego nie zrobił. Z tego, co słyszałam, było na odwrót.

– Nie, nie w tym rzecz – uspokoił ją Grant. – Nie przyszedłem ze skargą.

– Och. Cóż, przepraszam. Myślałam, że to pana sprowadza.

Tyle tylko usłyszał w ramach przeprosin. I nie powiedziała tego przepaszającym tonem. Była raczej rozczarowana i zdezorientowana.

– W takim razie niech pan wejdzie – dodała. – Zimno wpada do środka. Wcale nie jest tak ciepło, jak się wydaje.

A więc już to, że w ogóle wpuściła go do domu, oznaczało sukces. Nie sądził, że to może być tak trudne. Spodziewał się innego typu kobiety. Zmieszanej kury domowej, przyjemnie zaskoczonych niespodziewaną wizytą i dowartościowanej jego poufnym tonem.

Przeprowadziła go przez salon.

– Musimy usiąść w kuchni – oznajmiła – żebyśmy mogła słyszeć Aubreya.

W oknach wisiały firanki i jedwabne zasłony, jedne i drugie niebieskie, w odcieniu pasującym do sofy i onieśmielająco jasnego dywanu. Grant dostrzegł jeszcze lśniące lustra i mnóstwo ozdób. Fiona miała specjalne określenie na tak upięte zasłony; w jej ustach to słowo brzmiało jak żart, chociaż kobiety, od których się go nauczyła, używały go całkiem serio. Każdy pokój, który urządziła Fiona, był prosty i jasny; byłaby zdumiona widokiem tylu ozdóbek upchniętych na tak niewielkiej przestrzeni. Jakie to było słowo?

Z pokoju sąsiadującego z kuchnią dochodziły dźwięki telewizora. Opuszczone rolety zasłaniały wielkie okna, nie wpuszczając do środka popołudniowego słońca.

Aubrey. Obiekt westchnień Fiony siedział kilka kroków dalej. Sądząc po odgłosach, oglądał mecz baseballa. Żona popatrzyła na niego przez chwilę.

– Wszystko dobrze? – zapytała i przymknęła drzwi.

– Jak już pan przyjechał, to może napije się pan kawy – zwróciła się do Granta.

– Dziękuję – odparł.

– W ostatnie Boże Narodzenie syn włączył mu mecze na kanale sportowym. Inaczej nie wiem, co byśmy robili.

Na kuchennych szafkach stały przeróżne urządzenia – ekspres do kawy, mikser, ostrzarka do noży i kilka przyrządów, których zastosowania ani nazwy nie znał. Wszystkie wyglądały na drogie i nowe, tak jakby przed chwilą zostały wyjęte z firmowych opakowań albo jakby codziennie je polerowano.

Przyszło mu na myśl, że nie zaszkodzi czegoś tu pochwalić. Więc pochwalił ekspres do kawy,

który właśnie włączyła, mówiąc, że taki sam zawsze chcieli sobie kupić z żoną. Zmyślił to na poczekaniu: Fiona była bardzo przywiązana do europejskiego modelu na dwie filiżanki.

– Dostaliśmy go w prezencie – odpowiedziała. – Od syna i jego żony. Mieszkają w Kamloops. Przysyłają nam więcej rzeczy, niż potrzebujemy. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby wydali te pieniądze na co innego, na przykład na odwiedzin u nas.

– Pewnie są zajęci własnym życiem – stwierdził filozoficznie Grant.

– W zeszłym roku znaleźli czas, by polecieć na Hawaje. Mogłabym to zrozumieć, gdybyśmy mieli jeszcze kogoś z rodziny gdzieś blisko. Ale mamy tylko jego.

Gdy kawa była gotowa, nalała ją do zielono-brązowych ceramicznych kubków, zdjętych z kikutów gałęzi ceramicznego drzewka, które stało na kuchennym stole.

– Tak, ludzie czasami czują się samotni... – powiedział Grant; uznał, że to dobry moment, żeby przejść do rzeczy – ...jeżeli nie mają możliwości widywania kogoś, kto jest im drogi. Cierpią. Na przykład Fiona. To znaczy, moja żona.

– Chyba wspomniał pan, że ją pan odwiedza.

– Tak – potwierdził. – Nie chodzi o mnie.

Zebrał się na odwagę i wyjaśnił, z jaką prośbą przyjechał. Czy nie mogłaby zawozić Aubreya do Meadowlake, powiedzmy raz w tygodniu, w odwiedzin? To tylko kilka mil stąd. A może chciałaby od czasu do czasu odpocząć – Grant wcześniej nie wziął tej możliwości pod uwagę i teraz z przerażeniem słuchał sam siebie – i on mógłby sam zawieźć Aubreya do Meadowlake, dla niego to naprawdę żaden problem. Na pewno by sobie poradził. A ona miałaby ten czas dla siebie.

Gdy mówił, kobieta poruszała zamkniętymi ustami, jakby próbowała zidentyfikować jakiś podejrzany posmak, przesuwając językiem po zębach. Przyniosła dzbanuszek z mlekiem i talerz pierniczków.

– Domowej roboty – oznajmiła, stawiając przed nim talerz. W jej głosie nie było gościnności, raczej wyzwanie. Nie odezwała się więcej, tylko usiadła, dolała mleka do kawy i zamieszała. A potem odmówiła.

– Nie, nie zrobię tego. A to dlatego, że nie chcę go denerwować.

– Czy to by go zdenerwowało? – zapytał z powagą Grant.

– O, na pewno. Na pewno. Tak się nie robi. Przywieźć go do domu, a potem odwieźć. Znowu zabrać do domu i znowu odwieźć. Nie będzie wiedział, co się dzieje.

– Ale czy on nie zrozumie, że to tylko odwiedzin? Nie przyzwyczaiłby się do jeżdżenia tam od czasu do czasu?

– On rozumie wszystko doskonale – powiedziała takim tonem, jakby próbował obrazić Aubreya. – Ale to i tak byłby stres. Poza tym musiałabym go wyszykować do wyjścia i posadzić w samochodzie, a to wysoki, postawny mężczyzna; to nie takie proste, jak się panu wydaje. Muszę mu pomóc wsiąść, złożyć wózek, spakować do bagażnika, i po co to? Jeżeli już mam się tak namęczyć, to wolę zawieźć

go w jakieś ciekawsze miejsce.

– Nawet jeśli ja bym się tym zajął? – zapytał Grant, starając się, by zabrzmiało to rozsądnie i obiecująco. – Oczywiście, że nie powinna się pani męczyć.

– To niemożliwe – ucięła. – Pan go nie zna. Nie pozwoliłby panu nic przy sobie zrobić. Tyle zamieszania, a co on by z tego miał?

Grant uznał, że nie powinien po raz kolejny wspominać o Fionie.

– Lepiej by było zabrać go do centrum handlowego – dodała. – Żeby sobie popatrzył na dzieci i wszystko, co tam mają. Tyle że jeszcze zaczęłyby tęsknić za dwójką swoich wnuków, których nigdy nie widuje. Albo nad jezioro. Już się pojawiły żaglówki. Dobrze by mu zrobiło, gdyby popatrzył sobie na wodę i łódki.

Wstała i przyniosła paczkę papierosów i zapalniczkę z parapetu nad zlewem.

– Pan pali?

Odpowiedział: „Nie, dziękuję”, chociaż nie był pewny, czy ona go częstowała.

– A palił pan kiedyś? Czy nigdy?

– Rzuciłem – odpowiedział.

– Dawno?

Zastanowił się chwilę.

– Trzydzieści lat temu. Nie, chyba więcej.

Postanowił skończyć z paleniem mniej więcej wtedy, gdy zaczął się spotykać z Jacqui. Ale nie pamiętał, co było pierwsze: czy najpierw przestał palić i spodziewał się za to wielkiej nagrody, czy też uznał, że jego życie stało się tak ekscytujące, że może obejść się bez papierosów.

– A ja rzuciłam rzucanie – powiedziała, zapalając papierosa. – Postanowiłam raz na zawsze rzucić rzucanie.

Może dlatego miała tyle zmarszczek. Słyszał kiedyś – mówiła mu o tym jakaś kobieta – że palaczki mają specyficzny rodzaj zmarszczek. Ale przyczyną mogło też być słońce, a może po prostu miała taką skórę; jej szyja też była pokryta zmarszczkami. Pomarszczona szyja, a przy tym piersi jędrne jak u młodej kobiety. W tym wieku podobne sprzeczności są czymś normalnym. Atuty i defekty, lepsze i gorsze geny przemieszane ze sobą. Rzadko która kobieta zachowywała całą swoją urodę, lekko tylko przyblakła, jak Fiona.

A może się mylił? Może tak mu się tylko wydawało, bo poznał Fionę, gdy była młoda? I aby mieć takie wrażenie, trzeba poznać kobietę w młodości?

Czy Aubrey, patrząc na swoją żonę, widzi zbuntowaną, uszminkowaną nastolatkę z szyderstwem w przymrużonych, turkusowoniebieskich oczach, zaciągającą się zakazanym papierosem?

– Więc pańska żona jest w depresji? – spytała żona Aubreya. – Jak jej na imię? Nie pamiętam.

– Fiona.

– Fiona. A panu? Chyba się pan nie przedstawił.

– Grant.

Niespodziewanie wyciągnęła do niego rękę nad stołem.

– Jestem Marion.

– Teraz, kiedy już przeszliśmy na ty – powiedziała po chwili – nie będę ukrywać przed tobą, co naprawdę o tym myślę. Nie wiem, czy Aubreyowi nadal zależy na spotkaniu z twoją... z Fioną. Może tak, może nie. Ja go o to nie pytam, a on mi nie mówi. Może to była tylko taka... miłośćka. Ale wolę go tam nie zabierać, gdyby miało się okazać, że to coś poważniejszego. Nie chcę ryzykować. Nie chcę, żeby wszystko na nowo przeżywał i żeby to się ciągnęło. I bez tego mam przy nim dość pracy. Nikt mi nie pomaga. Jestem z tym sama. Jak palec.

– Nie myślałaś nigdy o tym, żeby... Musi ci być bardzo ciężko... – zaczął ostrożnie Grant. – Czy nie myślałaś o tym, żeby zawieźć go tam na stałe?

Mówiąc to, ściszył głos prawie do szeptu, ale ona widocznie nie odczuwała takiej potrzeby.

– Nie – odpowiedziała. – Aubrey zostanie tutaj.

– Cóż, to bardzo szlachetne z twojej strony.

Miał nadzieję, że słowo „szlachetne” nie zabrzmiało sarkastycznie. Nie chciał, by tak zabrzmiało.

– Tak myślisz? – odpowiedziała. – Ja bym tak tego nie nazwała.

– Bądź co bądź, nie jest ci lekko.

– Lekko nie jest. Ale nie mam wyboru. Nie stać mnie na umieszczenie go w ośrodku; musiałabym sprzedać dom. To jedyne, co mam. Nie mam nic innego do sprzedania. W przyszłym roku będę dostawać dwie emerytury, jego i moją, ale i tak nie dam rady płacić za ośrodek, jeśli zachowam dom. A mój dom dużo dla mnie znaczy.

– Jest bardzo ładny – pochwalił Grant.

– Tak, niczego sobie. Wkładam w niego wiele pracy. Naprawiam, zajmuję się wszystkim.

– Widać, że o niego dbałaś. Dbasz.

– Nie chcę go stracić.

– Rozumiem.

– Nie zamierzam go stracić.

– To zrozumiałe.

– Firma zostawiła nas na lodzie – ciągnęła. – Nie znam wszystkich szczegółów, ale skończyło się tym, że go wywalili. Powiedzieli, że jest im winien jakieś pieniądze, a kiedy próbowałam się dowiedzieć, o co chodzi, Aubrey odpowiadał tylko, że to nie moja sprawa. Myślę, że zrobił coś głupiego. Ale mam się nie dopytywać, więc nie pytam. Byłeś żonaty. Jesteś. Wiesz, jak to jest. No i akurat wtedy, gdy to wszystko wyszło na jaw, pojechaliśmy na wycieczkę z tymi ludźmi; było za późno, żeby zrezygnować. I on tam złapał tego wirusa, o którym nikt nigdy nie słyszał, i zapadł w śpiączkę. No to mieli go z głowy.

– A to pech – powiedział Grant.

– Oczywiście nie rozchorował się celowo. Po prostu stało się. Nie mam do niego pretensji, ani on do mnie. Takie jest życie.

– To prawda.

– Z życiem nie wygrasz.

Oblizła usta skrzątnie jak kot, zbierając językiem okruszki ciastka.

– Filozofuję, co? – podjęła. – Słyszałam, że wykładałeś na uniwersytecie.

– Dawno temu – odpowiedział Grant.

– Bo ze mnie żadna intelektualistka.

– Też nie jestem pewien, czy ze mnie taki wielki intelektualista.

– Ale gdy już coś wiem, to wiem. I wiem, że nie zamierzam stracić tego domu. Czyli Aubrey zostaje tutaj i nie pozwolę, żeby zaczął sobie wyobrażać jakieś przenosiny. To był pewnie błąd, że umieściłam go w ośrodku, żeby wyjechać na trochę, ale wiedziałam, że druga taka okazja mi się nie trafi, więc nie chciałam jej przepuścić. Cóż. Mam za swoje.

Wytrząsnęła z pudełka kolejnego papierosa.

– Założę się, że wiem, co sobie myślisz – stwierdziła. – „Ale wyrachowana”.

– Nie oceniam cię. To twoje życie.

– Otóż to.

Pomyślał, że powinni zakończyć tę rozmowę bardziej neutralną nutą. Zapytał więc, czy Aubrey jako młody chłopak pracował w wakacje w sklepie z narzędziami.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedziała. – Nie mieszkałam tutaj w młodości.

W drodze powrotnej mijał podmokłe łąki, wcześniej pokryte śniegiem i naznaczone surowymi cieniami drzew, a teraz rozjaśnione liliami o wielkich jak talerze soczysto zielonych liściach, które sprawiały wrażenie jadalnych. Żółte kwiaty rosły strzeliście w górę jak płomienie świec i było ich tak dużo, a ich kolor był tak czysty, że wyglądało, jakby w ten pochmurny dzień na łąkach zapalono światło. Fiona powiedziała mu kiedyś, że lilie wydzielają też ciepło. Powtarzając zaczerpniętą nie wiadomo skąd informację, tłumaczyła, że poczuje się je, gdy włoży się rękę do kielicha kwiatu. I że kiedyś nawet to zrobiła, ale nie jest pewna, czy poczuła ciepło naprawdę, czy tylko w wyobraźni. To ciepło przyciągało owady.

– W przyrodzie nic nie jest przypadkową dekoracją.

Spotkanie z żoną Aubreya okazało się fiaskiem. Liczył się z niepowodzeniem, ale zupełnie nie przewidział tego typu powodów. Spodziewał się, że główną przeszkodą będzie zwyczajna kobieca zazdrość albo to, co pozostało z zazdrości o faceta – zadawnione poczucie krzywdy.

W ogóle nie przyszło mu do głowy, że mogłaby widzieć sprawę w ten sposób. A mimo to w tej rozmowie było coś przygnębiająco znajomego. Przypomniała mu rozmowy z członkami jego rodziny. Bracia matki, dalsi krewni, a pewnie nawet jego matka, myśleli tak jak Marion. I byli przekonani, że

ci, którzy myślą inaczej, są naiwni jak dzieci: bujają w obłokach, żyją złudzeniami, którymi karmi ich wygodne i bezpieczne życie lub nabyte wykształcenie. Stracili kontakt z rzeczywistością. Ci wszyscy wykształceni, piszący czy bogaci ludzie – tacy jak lewicujący teściowie Granta – stracili kontakt z rzeczywistością. Przez swoje niezасłużone szczęście lub wrodzoną głupotę. W przypadku Granta, jak mógł się domyślać, uważali pewnie, że było to jedno i drugie.

Tak musiała go widzieć Marion. Wszedł na głupca, który zna życie tylko z książek, na kogoś, kogo szczęśliwy traf uchronił przed wiedzą o tym, jak jest naprawdę. Na kogoś, kto nie musi się martwić, że straci dom, więc może trawić czas na abstrakcyjnych rozmyślaniach. Snuć piękne, wydumane plany, które jego zdaniem uszczęśliwią innych.

Co za dupek, myślała pewnie.

Mając kogoś takiego za przeciwnika, czuł się bezsilny i żalorny, bez żadnych szans na wygraną. Dlaczego? Bo w zetknięciu z tego typu osobą nie był już pewny własnych poglądów? Bo obawiał się, że w gruncie rzeczy tacy ludzie mają rację? Fiona nie podzielałaby tych wszystkich wątpliwości. Nikt jej nie złamał, nie zdołał jej ograniczyć, gdy była młoda. Sposób, w jaki go wychowano, wydawał jej się zabawny, a surowe zasady, jakie mu wpajano – osobliwe.

Niemniej jednak, tacy ludzie mieli swoje racje. (Złapał się na tym, że polemizuje z kimś w myślach. Z Fioną?). Wąskie horyzonty mają swoje zalety. Marion pewnie sprawdziłaby się świetnie w sytuacji kryzysowej. Potrafiłaby przetrwać, zdobyć pożywienie, zdjąć buty zabitemu leżącemu na ulicy.

Próby zrozumienia Fiony zawsze były frustrującym zajęciem. Chwilami przypominały wysiłki, żeby nie stracić z oczu mirażu.

Nie, były jak życie wewnątrz mirażu. Zbliżenie się do Marion mogło być trudne z innych względów. Byłoby jak wgrzyzienie się w owoc liczi. Mięsz o dziwnym, jakby sztucznym wyglądzie, chemicznym smaku i aromacie, otaczający cienką warstewką duże twarde nasiono, pestkę.

Mógł się z nią ożenić. Wziąć to pod uwagę. Mógł się ożenić z taką dziewczyną jak ona. Gdyby został w swoim środowisku. Była wystarczająco atrakcyjna, z takim wyborowym biustem. Pewnie niejednemu zawróciła w głowie. To, jak wierciła się na krześle, te ściągnięte usta, zaczepna pewność siebie – tyle zostało z niewinnych w gruncie rzeczy chwytów małomiasteczkowej flirciary.

Musiała mieć spore oczekiwania, gdy poderwała Aubreya. Przystojny przedstawiciel handlowy z urzędniczymi aspiracjami. Na pewno myślała, że życie przyniesie jej coś więcej niż to, z czym teraz została. Często tak bywa z tymi praktycznymi osobami. Mimo wszystkich kalkulacji i instynktu przetrwania nieraz nie udaje im się zająć tak daleko, jak sobie rozsądnie zaplanowali. Nic dziwnego, że uważają to za niesprawiedliwe.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył po wejściu do domu, było migające światełko automatycznej sekretarki. „Fiona” – pomyślał. Za każdym razem myślał, że dzwoniła Fiona. Jeszcze zanim zdjął płaszcz, nacisnął przycisk, żeby odsłuchać wiadomość.

„Cześć, Grant. Mam nadzieję, że dodzwoniłam się pod właściwy numer. Właśnie mi się coś przypomniało. Urządzamy tu u nas w miasteczku dancing w klubie kombatantów, w najbliższą sobotę, specjalnie dla samotnych. Jestem w komitecie organizacyjnym, co oznacza, że mogę przyjść z osobą towarzyszącą. I tak sobie pomyślałam, że może byłbyś zainteresowany? Oddzwoń przy okazji”.

Kobięcy głos podał miejscowy numer telefonu. Potem rozległ się sygnał i ten sam głos odezwał się ponownie.

„Właśnie się zorientowałam, że zapomniałam się przedstawić. Nie wiem, może poznałeś mnie po głosie. Mówi Marion. Ciągłe nie mogę się przyzwyczaić do tych automatycznych sekretarek. Chciałam ci jeszcze powiedzieć, że wiem, że nie jesteś kawalerem, i to nie miało tak zabrzmieć. Ja też nie jestem singielką, ale nie zaszkodzi wyjść gdzieś od czasu do czasu. Jeśli chciałbyś tam pójść, to oddzwoń, a jak nie, to nie zwracaj sobie tym głowy. Tak tylko pomyślałam, że może i ty miałbyś ochotę czasami gdzieś wyskoczyć. Mówi Marion. Chyba się już przedstawiłam. No dobrze, to tyle. Do widzenia”.

Głos, który nagrał się na automatyczną sekretarkę, brzmiał inaczej niż ten, który zapamiętał z rozmowy w jej domu. W pierwszej wiadomości różnica była nieznaczna, w drugiej – zdecydowanie większa. To nerwowe drżenie głosu i udawana nonszalancja; z jednej strony pośpiech, chęć, by mieć to już za sobą, z drugiej – ociąganie się z odłożeniem słuchawki.

A więc coś do niego poczuła. Ale w którym momencie? Jeśli od razu, na samym początku, to udało jej się to świetnie ukryć przez całą rozmowę. Bardziej prawdopodobne jest, że docierało to do niej stopniowo, może dopiero po jego odjeździe. Niekoniecznie musiał wpaść jej w oko. Po prostu zdała sobie sprawę, że jest samotnym mężczyzną do wzięcia. Mniej lub bardziej samotnym. Że mogłaby spróbować.

Ale miała tremę, robiąc pierwszy ruch. Zaryzykowała. Do jakiego stopnia – tego jeszcze nie wiedział. Generalnie kobiety stają się coraz bardziej podatne na zranienie w miarę upływu czasu i rozwoju sytuacji. Jedno było pewne: jeżeli już na początku tak to przeżywa, to później jej emocje będą jeszcze bardziej intensywne. Poczul wyraźną satysfakcję – czemu miałby się tego wypierać? – że doprowadził ją do takiego stanu. Że wywołał tę delikatną mgiełkę, to zawirowanie na gładkiej powierzchni jej osobowości. Że usłyszał w jej głosie tę cichutką, błagalną nutę.

Wyjął pieczarki i jajka, żeby usmażyć omlet. Potem pomyślał, że mógłby też zrobić sobie drinka.

Wszystko było możliwe. Czy naprawdę...? Czy naprawdę wszystko było możliwe? Czy mógłby na przykład – gdyby chciał – przełamać jej opór, sprawić, by go posłuchała i zawiozła Aubreya do Fiony? Nie tylko w odwiedziny, ale już na zawsze, do końca jego życia? Dokąd mogłoby ich doprowadzić to lekkie zawirowanie? Do problemów, do zupełnego zatracenia rozsądku? Do szczęścia Fiony?

To by było wyzwanie. Wyzwanie i niezły wyczyn. I żart, którego nie mógłby nigdy nikomu opowiedzieć – ta myśl, że swoim skokiem w bok zrobiłby Fionie przysługę.

Ale tak naprawdę nie potrafił o tym myśleć. Jeżeli miałyby w ogóle wziąć to pod uwagę, musiałyby wyobrazić sobie, co stanie się z nim i z Marion, gdy już dostarczą Fionie Aubreya. To się nie uda – chyba że dotarcie do pestki czystego egoizmu pod tym wyrośniętym mięszem okaże się jeszcze ciekawsze, niż przypuszczał.

Nigdy do końca nie wiadomo, jak się takie rzeczy potoczą. Wydaje się, że wiesz, ale nigdy nie możesz być pewien.

Marion siedzi pewnie teraz w domu, czekając na telefon od niego. Nie, raczej nie siedzi beczynn timer. Raczej próbuje się czymś zająć. Wyglądała na kobietę, która stale jest czymś zajęta. Jej dom wyraźnie wskazywał, że poświęcano mu nieustanną uwagę. I był jeszcze Aubrey – codzienna opieka nad nim musiała przebiegać bez zakłóceń. Być może dała mu wcześniej kolację, dostosowując godziny posiłków do rozkładu dnia w Meadowlake, żeby wcześniej położyć go do łóżka i mieć trochę wieczoru dla siebie. (Co by z nim zrobiła, wybierając się na potańcówkę? Czy można go było zostawić samego, czy musiałyby załatwić opiekunkę? Czy powiedziałyby mu, gdzie wychodzi, i przedstawiła osobę towarzyszącą? Czy partner do tańca miałby opłacić opiekunkę?).

Mogła karmić Aubreya, gdy Grant kupował pieczarki w drodze do domu. Teraz pewnie go kładzie. Ale przez cały czas nasłuchuje telefonu, wsłuchuje się w ciszę. Może wyliczyła sobie, ile zajmie mu droga powrotna. Adres w książce telefonicznej pozwolił jej mniej więcej określić odległość. Do czasu przejazdu dodała chwilę na zrobienie zakupów (zgadując, że samotny mężczyzna może nie mieć zapasów w lodówce). Do tego dorzuciła jeszcze z kwadrans, zanim on odsłucha wiadomości po wejściu do domu. Gdy cisza będzie się przedłużać, pomyśli o innych powodach. O innych rzeczach, które mogły zatrzymać go po drodze. Może je dziś kolację na mieście, może jest z kimś umówiony i w ogóle nie dotrze do domu przed północą.

Nie pójdzie spać do późna, będzie sprzątać szafki w kuchni, oglądać telewizję i spierać się sama ze sobą, czy są jeszcze szansę, że oddzwoni.

Chyba go trochę poniosło. Marion jest przecież trzeźwo myślącą kobietą. Na pewno pójdzie spać jak zwykle, najwyżej pomyśli, że Grant i tak nie wyglądał na dobrego tancerza. Zbyt sztywny, typowy belfer.

Usiadł obok telefonu, przeglądając czasopisma, ale nie podniósł słuchawki, gdy telefon znowu zadzwonił.

„Cześć, Grant, to ja, Marion. Byłam na dole w piwnicy i wkładałam pranie do suszarki, gdy usłyszałam telefon, ale zanim zdążyłam odebrać, ten ktoś już się rozłączył. Więc pomyślałam, że powinnam ci powiedzieć, że jestem w domu. Jeżeli to ty dzwoniłeś, bo nie wiem nawet, czy już dojechałeś. Nie mam automatycznej sekretarki, więc oczywiście nie mogłeś zostawić wiadomości. Więc tylko chciałam. Powiedzieć ci, że jestem. To pa”. Było dwadzieścia pięć po dziesiątej.

„To pa”.

Powie jej, że właśnie otwierał drzwi, gdy zadzwoniła. Lepiej, żeby nie wiedziała, że siedzi tu od dłuższego czasu, rozważając wszystkie za i przeciw.

Draperie. To było to słowo na niebieskie zasłony: draperie. W sumie, czemu nie? Pomyślał o pierniczkach, tak idealnie okrągłych, że musiała zaznaczyć, że są domowej roboty, o ceramicznych kubkach na ceramicznym drzewku, o chodniku z tworzywa sztucznego, który chronił dywan w przedpokoju. Każdy detal na wysoki połysk, wszystko urządzone ze skrupulatnością, jakiej nawet jego matka nie zdołała nigdy osiągnąć, a która wzbudziłaby jej zachwyt. Czy to tu leżało źródło tego dziwnego, niezrozumiałego uczucia? A może czuł się tak dziwnie, bo po pierwszym drinku nalał sobie jeszcze dwa?

Ciemna opalenizna jej twarzy i dekoltu – tak, to musiała być opalenizna – sięgała pewnie niżej, aż do szczeliny między piersiami, głębokiej, miękkiej, pachnącej i ciepłej. To o tym powinien myśleć, wystukując numer, który już wcześniej zapisał na kartce. O tym i o jej zmysłowym, zręcznym, kocim języku. Jej turkusowych oczach.

Fiona była w swoim pokoju, ale nie leżała w łóżku. Siedziała przy otwartym oknie, ubrana w sukienkę odpowiednią do pory roku, ale dziwnie krótką i jaskrawą. Przez okno napływał ciepły, uderzający do głowy zapach kwitnącego bzu i wiosenna woń nawozu z okolicznych pól.

Na kolanach miała otwartą książkę.

– Spójrz, jaki piękny album znalazłam. O Islandii – odezwała się, gdy Grant wszedł. – Kto by pomyślał, że zostawiają takie drogie książki w pokojach. Ludzie tutaj są niekoniecznie uczciwi. Ale ubrania im się chyba pomieszały. Nigdy nie miałam niczego w żółtym kolorze.

– Fiono... – zaczął.

– To co, możemy już wracać? – spytała. Miał wrażenie, że głos jej zadrżał, choć starała się nadać mu pogodne brzmienie. – Długo cię nie było.

– Fiono, mam dla ciebie niespodziankę. Czy pamiętasz Aubreya?

Popatrzyła na Granta tak, jak gdyby gwałtowny podmuch wiatru uderzył ją prosto w twarz. Prosto w twarz, w głowę, rwąc wszystko na strzępy. Strzępy i luźne nitki.

– Imiona mi umykają – powiedziała szorstko.

Po chwili jej zmieszanie znikło. Wyraźnie starała się odzyskać poprzedni, żartobliwy nastrój. Odłożyła ostrożnie książkę, wstała i uniosła ręce, by go objąć. Na jej skórze, a może w jej oddechu, wyczuł słaby, nowy dla niego zapach przywodzący na myśl kwiaty, które zbyt długo stały w wazonie.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedziała, ciągnąc go za ucho. – Mogłeś po prostu odjechać. Wsiąść do samochodu i nawet się nie obejrzeć. Mogłeś mnie zostawić. Zapomnieć. Zapomnieć.

Przytulał policzek do jej białych włosów, przez które przeświecała różowa skóra głowy, jej ślicznej głowy.

– Nic z tego.

Przypisy

¹ *Harper Valley P.T.A.* – tytuł piosenki country, przeboju z 1968 r, na podstawie której powstał film, a następnie serial telewizyjny. Autor tekstu, Tom T. Hall, przedstawił scenę (fikcyjną) z zebrania rady rodziców w liceum Harper Valley, podczas którego jedna z matek ujawnia hipokryzję osób zasiadających w *radzie* (przyp. tłum.).

² Angielskie słowa *mummy* (mumia) i *mommy* (mamo) wymawia się tak samo (przyp. tłum.).

³ Post and Beam – styl w architekturze amerykańskiej oparty na konstrukcji słupowo–ryglowej; dosł. „słup i belka” (przyp. tłum.).

⁴ Fragmenty *Madeline* Ludwiga Bemelmansa, popularnej amerykańskiej książki dla dzieci z 1939 r. (przyp. red.).

⁵ *Bush pilot* – pilot specjalizujący się w lotach do trudno dostępnych, odludnych miejsc, gdzie nie docierają inne środki transportu (przyp. red.).

⁶ Angielskie słowo *shallow* znaczy „płytki”, *shilly* nawiązuje do *shilly–shally* oznaczającego niezdecydowanie, a *silly* to „głupi” (przyp. red.).